

462
BIBLIOTEKA DZIEJÓW I KULTURY WSI T. 4.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

DR. FIL.

PISARZE LUDOWI

WYBÓR PISM
I STUDJUM O LITERATURZE LUDOWEJ

Z PRZEDMOWĄ PROF. DR. FRANCISZKA BUJAKA

TOM PIERWSZY

LWÓW 1938

NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „WIEŚ” WE LWOWIE,
UL. TRZECIEGO MAJA 11.

CENA OBU TOMÓW 6 ZŁ.

WALIOSYTAĆ DZIEJÓW I KULTURY WSKAŻ

KAROL LUDWIK KONINSKI

PISARZE LUDOWI

WYBÓR PISM

PISARZE LUDOWI

TOM PIERWSZY

1913

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY, WARSZAWA

BIBLIOTEKA DZIEJÓW I KULTURY WSI T. 4.

KAROL LUDWIK KONINSKI

DR. FIL.

PISARZE LUDOWI

WYBÓR PISM
I STUDJUM O LITERATURZE LUDOWEJ

Z PRZEDMOWĄ PROF. DR. FRANCISZKA BUJAKA

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

~~Nr. 2689~~

~~TOM PIERWSZY~~



LWÓW 1938

NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „WIEŚ” W Ł. LWOWIE,
UL. TRZECIEGO MAJA 11.



Kon
Pis
80

2689



821.162.1(091):929-0527 "19/20"
SN 19896

PRZEDMOWA.

Oddajemy w ręce czytelników książkę ciekawą, pożyteczną i podnoszącą na duchu.

Wybór twórczości ludu polskiego na polu piśmiennictwa musi budzić zainteresowanie, bo twórczość ta rozwija się coraz bujniej pod względem ilościowym we wszystkich niemal klerunkach i przedstawia się coraz poważniej pod względem wartości. Coraz więcej talentów wybija się ponad przeciętny poziom piśmiennictwa ludowego i budzi nadzieje na dalszy rozwój. Stwierdza to, jak żywotne i obfite jest owo praźródło kultury naszej.

Każdy, kto głębiej spogląda na wieś, spostrzeżga nie bez zdumienia, że w jej życiu jest tyle pędu do wyrażania nastrojów duchowych mową wiązaną, że coraz częściej obok przyśpiewów tanecznych, zawsze pełnych werwy i ciętego dowcipu, obok wierszy prymitywnych pod względem formy i ubogich pod względem treści, w serdecznych listach prywatnych, wierszach okolicznościowych, przesyłanych obficie do czasopism, spotyka się nietylko formę poprawną, ale nawet pięknie wyrażony nastrój i głębszą myśl, słowem napotyka się na zarodki artyzmu a nawet istotną kulturę artystyczną. Nie wolno tych objawów twórczości poetyckiej sprowadzać do łatwego naśladownictwa; przeczą temu utwory Sawczuka, Kapuścińskiego, Nędzy-Kubińca i wielu innych, tutaj przytoczone lub drukowane w czasopismach ludowych.

Obok świetnych prozaików, do których należy wielu autorów pamiętników z Jakóbem Bojką na czele, stają włościanie, umiejący wyrażać swe myśli ściśle, trzeźwo i mądrze, jak np. Andrzej Średniawski, mający zacięcie naukowe i ważący się na polemikę z najbardziej kompetentnymi ekonomistami, jak zwłaszcza Wincenty Witos, znakomity mowca, oddziaływujący nie na uczucie, ale na rozum słuchaczy swoją argumentacją trzeźwą, logiczną i pełną mocy przekonywującej, a zarazem pisarz, umiejący dać w krótkich nieraz słowach trafny rozbiór skomplikowanego często stanu rzeczy i rzetelną ocenę działań ludzkich.

W czasopiśmie ludowych występują coraz to nowe talenty pisarskie, zwłaszcza publicystyczne, na wiecach pojawia się coraz więcej żywołowych mowców, przykuwających uwagę i porywających uczucia słuchaczy, na wieczornicach i zabawach ludowych odsłania się coraz więcej talentów aktorskich oraz pełnych smaku i dowcipu opowiadaczy.

Wydaje się prawdopodobne, że w miarę wzrostu oświaty będzie się także rozwijać twórczość duchowa włościan. Pociągnie to za sobą zacieranie się tej jaskrawej różnicy, jaką teraz widzimy między twórczością włościan a ludzi wykształconych. Z tego powodu książka niniejsza powinna podnosić na duchu każdego Polaka i budzić w nim wiarę w przyszłość Narodu, wiarę opartą na przeświadczeniu, że kryje on w sobie tyle skarbów duchowych w najniższych swych pokładach.

Zarazem powinna ta książka być pewnego rodzaju ostrzeżeniem przed tamowaniem rozwoju warstwy włościańskiej przez nadmierne opłaty szkolne, przez unicestwianie samorządu i przez odbieranie jej praw politycznych oraz przed podkopywaniem w lu-

dzie zasad moralności tudzież poczucia prawa i praworządności przez stosowanie do niej barbarzyńskich metod — niegodnych ludzi kulturalnych w demokratycznym państwie, słowem przed rabunkowym gospodarowaniem tym tak cennym, tak szlachetnym materiałem ludzkim. Jeżeli tego nie będzie, na nic się zda Instytut Kultury Wsi, bo ta wieś musi marnieć i dziczeć a z nią i reszta Polski.

Niniejszego wyboru literatury ludowej dokonał z wielką starannością i umiejętnością dr. Karol L. Koniński, miłośnik i znawca tej dziedziny naszej twórczości narodowej i gruntowny jej naukowy badacz. Dokonał tego, pracując w niezwykle trudnych warunkach osobistych, zmuszony do stałego przebywania w Zakopanem dla zdrowia, a więc w warunkach podobnych, a może nawet gorszych, niż niezapomniani Stanisław Witkiewicz i Władysław Matlakowski, którzy wysoko podnieśli twórczość artystyczną Podhala i zaznajomili z nią całą Polskę, zapoczątkowując systematyczne zbieranie i badanie góralskiej sztuki plastycznej i literatury.

Dr. Koniński pojął swoje zadanie niezwykle rzetelnie i idąc za najlepszymi wzorami starał się nietylko dać wybór utworów literackich, ale przy pomocy wybranych ustępów dać pogląd na kulturę ludową i jej rozwój w ostatnich kilkudziesięciu latach, a nadto podjął naukowe badanie tej literatury i dał pierwsze podstawy jej historii¹⁾, zbierając wiadomości o życiu i bibliografji autorów ludowych.

¹⁾ Wł. Kołodziej w pracy *O literaturze ludowej (Rys historyczny)* wydanej w r. 1935 w Brześciu n/B, nakładem Poleskiego Wojewódzkiego Związku Młodej Wsi, nie daje w istocie rzeczy żadnego zarysu literatury ludowej, tylko bardzo pobieżny przegląd autorów, którzy omawiali pokrzyw-

Mimo całej zapobiegliwości autora dzieło jego nie zadowoli zapewne niejednego krytyka. Przedewszystkiem może budzić pewne wątpliwości, dlaczego autor niniejszej antologii, wchodzącej w skład *Biblioteki dziejów i kultury wsi*, umieścił obok pisarzy wiejskich z ducha i pochodzenia także i pisarzy z miejskim, a nawet proletarjackim światopoglądem. Niewątpliwie zaważyło tu stanowisko naukowe twórcy antologii, który dla oceny utworów literackich uznał za daleko ważniejsze rozróżnienie stopnia wykształcenia autorów od ich przynależności do wsi lub miasta jako zasadniczych typów socjologicznych. Wobec tego daremne było przypominanie tytułu naszej *Biblioteki* i mojej intencji wyraźnie zgóry zaznaczonej. Pewna nierównomierność w uwzględnianiu autorów, jak np. W. Witosa, lub przeoczenie innych, co mogłaby także krytyka podnieść, należy policzyć przedewszystkiem na karb ciężkich osobistych warunków, które ogromnie utrudniały drowi Konińskiemu dotarcie do wydawnictw, zawierających niektóre prace zasługujące na wcielenie do wyboru. Mam jednak nadzieję, że w nowym wydaniu, którego się książka w niedługim czasie powinna doznać, te braki i nierówności zostaną wygładzone.

dzenie ludu wiejskiego lub czerpali tematy z życia ludu. Przegląd swój kończy na r. 1914, pozostawiając bez wzmianki rozprószony po czasopismach dorobek prawdziwej literatury ludowej ocenie krytycznej przyszłych historyków, sam ogranicza się do krótkiej informacji o próbach zorganizowania Towarzystwa Literatów Ludowych, które powstało w r. 1925, ale już w r. 1927 rozpadło się, dając początek dwom nieżywotnym organizacjom, tj. Tow. Literatów Lechickich i Związkowi Pisarzy Ludowych w Krakowie. Z ostatniego potem wydzieliła się osobna grupa, która wydawała jakiś czas w Jordanowie koło Rabki, omawiane poniżej czasopismo, *Wiś i Jej Pieśń*, ale o tem autor już nie wspomina.

Wydanie wyboru literatury ludowej należało do naczelných punktów programu *Biblioteki dziejów i kultury wsi*, to też jestem szczerze zadowolony, że został on obecnie wykonany. Szanownemu Autorowi składam niniejszem w imieniu Wydawnictwa serdeczne podziękowanie za jego ofiarny trud. Dziękuję również drowi Marjanowi Jakóbcowi za pomoc w przeprowadzeniu druku.

Lwów, w dzień Święta Dzieci Lwowskich 22 listopada 1937 r.

Franciszek Bujak.

PRZEDMOWA AUTORA.

Rzecz niniejsza jest częścią większej zamierzonej całości. Autor, jako publicysta, spotkał się z terminem i hasłami „kultury ludowej“. Należało zbadać zawartość tego terminu, zrozumieć i ocenić te hasła. Zagadnienia, które przy tem wyszły, okazały się zajmujące i obfite. Sprowadzają się one do tych pytań naczelnych: Są w narodzie nietylko dwie warstwy, ludzi „prostych“ i ludzi wykształconych (nb. nie wspominając dla wyrazistości o warstwach pośrednich), lecz i dwa światy duchowe: inteligencki, o psychice w wysokim stopniu zracjonalizowanej, umysłowości i technice różnego rodzaju wysoce wyrobionych— i ludowy, o psychice w wysokim stopniu irracjonalnej, o technikach prymitywnych, o umysłowości nieraz przypominającej umysłowość pierwotną. Ale świat ludowy wciągany jest we współczesne życie, polityczne, ideowe, umysłowe, techniczne itd. Jak się w miejscach swego zetknięcia te światy wobec siebie zachowują, jakie stąd wynikają nieporozumienia, i co ważniejsze, jakie jest oddziaływanie tych kontaktów na swoiste wartości obu warstw, obu rodzajów życia? Co lud ma do zawdzięczenia inteligencji, co inteligencja ludowi? Co robić, ażeby przy wzajemnem przenikaniu się życia inteligenckiego i ludowego, przy ścieraniu się swoistych ich wartości, jak najmniejszy był zanik

wartości, jak największe obustronne korzyści z tego obcowania? Są to kwestje bardzo ważne dla każdego, kto chce zorjentować się w zawiłych drogach postępu, i kto chce zdać sobie sprawę z możliwości i zasobów narodowej kultury.

Kwestje te napotykać miałem sposobność już we wczesnych latach młodości. Byłem jeszcze uczniem szkoły realnej w Krakowie, gdy zasłużona wychowawczyni p. Marja Piechocka, założyła czasopismo *Łan Młodzieży*, które ogłosiło konkurs literacki dla młodzieży szkół średnich; jedną z pięknych nagród, która się dostała podpisanemu, był pobyt kilkutygodniowy u znanego działacza społecznego śp. X. Antoniego Tyczyńskiego w Albigowej pod Łańcutem; wpadłem wtedy, syn miasta i środowiska inteligenckiego, w istną kuźnię roboty z ludem, dla ludu, z ludem dla Polski. Zwłaszcza długie jesienne „wieczory albigowskie“ w saloniku p. Marji Gostkowskiej, dyrektorki tamtejszej bardzo wysoko postawionej szkoły gospodarskiej dla dziewcząt, pozostaną mi na zawsze pamiętne: Tyle tam było wtedy — bez szablonu wyrażając się — miłości dla ludu, tyle nadziei, że już niedługo, razem z tym ludem, do wolnej, i nie tylko wolnej, ale i szczęśliwej Polski dojdziemy... To było zresztą w całej atmosferze tych lat tuż-przedwojennych: obok zaczynających się robot niepodległościowych, nie przeciw nim, ale wespół z nimi, trwała dalej ta robota organiczna, to TSL, te kooperatywy, te wycieczki ludowe do Krakowa, to wszystko, co bez żadnego przymusu, bezinteresownie, owszem dla własnej przyjemności, dla rozrywki, dla poczci życia, a z taką korzyścią dla ludu i dla narodu, tylu wówczas, starszych i młodszych, uprawiało... Kto zasmakował w takim

duchu, jakiego jednym z centrów była wtedy Albigowa, ten naturalnie, idąc na uniwersytet krakowski, musiał zapisać się do ówczesnego Akad. Koła TSL, które było instytucją na swoją miarę potężną, gdzie się nieraz uprawiało robotę i niepodległościową i organiczną, a nadewszystko bardzo systematycznie rozprawiało się nad tymi tematami, które należą do „kultury ludowej“ — choć wtenczas tego terminu nie używało się. Były to czasy, nad którymi wisiała książka Bujaka o Galicji, i trzeba ją było znać. Potem przyszła już wojna, skończyły się „wyjazdy na wieś“, roboty i robótki, ale zato młody inteligent, który był we wojsku, poznał prostych ludzi całkiem zbliżka — i przekonał się, że pomimo różnicy umysłowości i wykształcenia, pomimo tych wszystkich nieporozumień, jakie są nieuniknione przy zetknięciu się dwóch światów, inteligentkiego i ludowego, — istotne podobieństwa i różnice między ludźmi są o wiele głębiej, niżli na powierzchni społecznego podziału, bo w głębiach osobistego charakteru, który nie ma nic wspólnego ze socjalnem wyżej albo niżej...

Wojna minęła, wyłoniły się całkiem nowe sprawy, o wiele straszniejsze, niż to sobie przed wojną wyobrażaliśmy, skończyła się sielanka nieoficjalnej oświatowej roboty ludowo-inteligentkiej, kwestje socjalne wystąpiły w całej grozie. Na tem tle i owe pytania o „kulturę ludową“ jawią się bardzo nagląco. I wtedy, szczęśliwy dla niżej podpisanego wypadek zdarzył, że przez jedno lato miał on sposobność wiele rozmawiać i gawędzić z takim znawcą i entuzjastą rzeczy ludowych jak Jędrzej Cierniak, przyjaciel i dawny krakowski kolega, a potem znowuż, rozmowy w krakowskim Muzeum Etnogra-

ficznem, z takimi ludźmi i takimi ludoznawcami jak dyrektor tegoż muzeum, sędziwy a młody Seweryn Udziela i Tadeusz Seweryn, też były dlań niezmiernie pożywne, ze względu na tę kwestję, co to właściwie jest i co jest warta ta „ludowa kultura“. Kilka o *kwestji kultury ludowej* uwag, wypowiedziałem w szkicu pod tym właśnie tytułem, w jednym z miesięczników, a to z okazji znanej konferencji łowickiej i książki pt. *Kultura wsi* (1930), w której było zawarte sprawozdanie z owej konferencji. Następnie szkic ten znacznie rozszerzyłem, wyliczyłem systematycznie wiele coby tu należało zbadać, aby móc o ludzie, o jego wartościach i niewartościach, zaletach i wadach, mówić ze ścisłością naukową, nb. o tyle, o ile ona we wiedzy o żywym człowieku jest możliwą. Praca ta, z r. 1932, dotąd jest w rękopisie, gdyż, na skutek pewnych okoliczności osobistych, nie udało mi się uposażyć ją w taką obfitość faktycznego materiału i osobistych świeżych obserwacyj, jakaby się tu należała. Wybrałem więc do publikacji to, co się najłatwiej w danych warunkach dało zrobić.

Jeśli pozwoliłem sobie tu na te częściowo autobiograficzne wynurzenia, to tylko dlatego, ażeby mieć sposobność wspomnieć o tych czasach, tych robotach i tych ludziach, którym wiele w tym zakresie zawdzięczam.

Rzecz niniejsza jest przede wszystkim antologią. Antologia ta była pomyślana jako obraz wszechstronny życia ludowego, odmalowany przez samychże ludzi z ludu. Obfite przypiski mają na celu czytelnika obcego tym rzeczom wprowadzać we wiedzę o ludzie, czytelnikowi ludowemu lub młodocianemu podawać wiadomości potrzebne, ażeby zro-

zumiał czytane ustępy; zamierzają też podkreślać co autor antologii godnem uwagi osądził. Zestawienie antologii o życiu jest rzeczą dlatego trudną, iż antologja sprawiedliwa dla życia, które ma zobrazować, powinna być obrazem jego ściśle odpowiednim, o tem samym, dokładnie wymierzonym, rozmieszczeniu cieniu i światła i rozmaitych wogóle odcieni, które ma życie¹⁾: żeby autor był jaknajmniej subiektywnym w takim zestawieniu, czyli, jak się rzekło właśnie, sprawiedliwym, musi mieć możność cytowania bardzo obfitego i szerokiego. Toteż pierwsza redakcja tej pracy była ponad rozmiar książki taniej, któraby trafiła do licznych czytelników; trzeba więc było kilkakrotnie przesiewać zebrany materiał cytat — i to był właściwy trud oraz przykreść tej pracy: tyle rzeczy, z jakiegoś względu znaczących i ciekawych, trzeba było odrzucać, z tą świadomością, że przy tej selekcji owo sprawiedliwe odmierzanie światła i cienia, które jest obowiązkiem antologisty, musi na szwank zostać narażone... Odpadło zarazem i wiele osobistych uwag autora oraz przytoczeń z innych autorów. Znacznemu skróceniu uległy również Dodatki, gdzie chciałem dać obszernie wyjątki

¹⁾ Już po sformułowaniu sobie celu mej antologii j. w., znajduję cytata z antologa niemieckiego Kurta Phintusa: Antologja ma być zbiorem „wstrząsów i namiętności, tęsknot, szczęścia, męki epoki i ma być odbiciem ruchu ludzkiego z [jednego] czasu w [drugij] czas; nie szkielety twórców ma pokazywać, tylko skłębioną całość naszej epoki“. J. E. Płomieński, tę cytata podając (*Szukanie współczesności*, 1934, 146), dodaje, że antologja tym sposobem „przekreśla swą dowolność — a staje się syntetycznym przekrojem epoki i człowieka zbiorowego“. (Antologja „twórcza“. Jabym ją raczej nazwał „zwierciadlaną“).

ze studjów i artykułów, moich i cudzych, o kulturze ludowej. Jakkolwiek bądź rzecz wypadła, niechaj czytelnik uwierzy, że zależało mi tylko na tem, ażeby te wyjątki oddały prawdę życia. Ponadto mają one charakteryzować osobistości samych pisarzy, oświetlać ich drogi rozwojowe. Zdaję sobie sprawę, że są jakieś pominięcia w tym przeglądzie, ale mogę zapewnić, że nikt i nic co najważniejsze, opuszczonem nie zostało. W każdym razie rzecz niniejsza ma tę zaletę, że jest pierwszą w tym rodzaju²⁾ — i że przychodzi na czas, kiedy o sprawach ludowych wiele mówi się.

Praca ta byłaby pełniejszą, gdyby zarazem, jako tło dla piśmiennictwa ludowego, przedstawiała zagadnienia i próbki językowej twórczości ludowej niepisanej; studjum takie było przygotowane, ale też musiało odpaść; podobnież można było, dla porównania, pomówić o literaturze młodzieży szkolnej, o literaturze starszłacheckiej, i t. d. I taką jednak, jaką jest, powinna być, mam nadzieję, pożyteczna.

Chce ona zachęcić do czytania literatury ludowej, przynosi trochę dat o pisarzach ludowych, chce, co nie jest w niej najmniej ważnem, pisarzom ludowym wskazać na pewne, w przekonaniu autora pożądane, drogi rozwojowe literatury ludowej. Zamierza przy sposobności służyć ludowym kandydatom na pisarzy technicznemi informacjami; dlatego byłyby były pożądane liczniejsze próbki z utworów, dla słabych wskazania, czego nale-

²⁾ Wyraziłem się, że rzecz ta jest „pierwszą w tym rodzaju“ — ale należy nadmienić, że w r. 1934 Wojciech Breowicz, zamieszkały w Brazylii, Ivai-Teresyna, zapowiadał wydanie antologii pisarzy ludowych, której prospekt zawierał 63 nazwisk; książkę tę zamówiłem, gdym jej dotąd nie otrzymał, nie wiem czy wyszła.

ży unikać; ze względu na oszczędność miejsca ten postulat został spełniony tylko w minimalnym rozmiarze. Wybór ustępów prozaicznych i wierszy kierowany był wedle tych zasad, ażeby dać i to co najlepsze i to, co chociażby słabe, ale z jakiegoś powodu znamienne. Skutkiem tego ostatniego zamiaru autor ociera się blisko o politykę; starał się jednak, gdzie tylko to się dało, unikać polityki, ażeby ułatwić książce jej drogę do wszystkich czytelników. Przy określonym jak poprzednio zamiarze antologii, nie potrzebuję chyba podkreślać, że nie jestem odpowiedzialny za wypowiedzi ideowe przytaczanych pisarzy.

Nie jest to historia literatury ludowej, tj. literatury przez chłopów i robotników tworzonej, gdyż ta w łwiej swojej części jest literaturą współczesną, z w. XIX i XX.; czy we wiekach ubiegłych byli pisarze ludowi autentyczni (nie zajmuję się pisarzami inteligentami z ludu pochodzącymi) — to byłoby do zbadania, czem, na razie przynajmniej, nie mogłem niestety zająć się; ale zgóry wiadomo, że jeśli tacy byli, to byli niezmiernie rzadcy. Literatura tzw. mieszczkańska nie jest „ludową“ w sensie przezemnie przyjętym.

Dzielię więc pisarzy ludowych wedle rodzajów literackich a nie „epok“; porządkuję ich wedle choronologii ich pism, względnie pierwszych wydań. Pisarze ważniejsi otrzymują osobne rozdziały wzgl. po parę rozdziałów, o ile uprawiali różne rodzaje literackie (ale nie trzymam się tego ze zbytnią pedanterją, np. Jantka z Bugaja, feljetonistę, traktuję razem z poetą). Natomiast pisarze czyto mniejszej wagi, czy też tacy, o których wiadomości dokładniejszych nie uzyskałem, są alfabetycznie

tym razem wzmiankowani w osobnym rozdziale zbiorowym. W Dodatkach i Postskryptach znajdują się pisarze nowi, którzy się pojawili w czasie druku książki, o ile informacji o nich nie dało się już wtłoczyć w tekst; tamże Czytelnik znajdzie szereg uzupełnień do tekstu pierwotnego; tam wreszcie odsyłam po informacje o paru pisarzach z pogranicza. We Wstępie i Zakończeniu poruszam zagadnienia rozwojowe literatury ludowej. Przegląd chronologiczny na końcu książki ma wypełnić brak traktowania historycznego. Spis pisarzy ludowych ułatwi orientację ogólną. Względy wydawnicze nie pozwoliły, niestety, na dodanie kilku podobizn.

Wszystkie tytułiki ustępów cytowanych, które są objęte [klamrami] pochodzą odemnie. Kreski — — umieszczam wtedy, gdy mi zależy na wskazaniu, że nie cały odnośny ustęp cytuję. Pisownia, zarówno tekstu jak i cytat, ta której się używało w czasie, gdy książka była robiona, tj. przed połową czerwca 1936. W niektórych cytatach zostawiłem pisownię oryginału, co Czytelnik zaraz dostrzeże.

W skromnej tej pracy pomogło mi wiele osób zamiarowi temu życzliwych. Kilku pisarzy nadesłało mi swe autobiografie lub wydawnictwa. Inni, służyli mi łaskawie czy przyczynkami i materiałami, czy wiadomościami, czy różnemi uprzejmościami, o które prosiłem; wszyscy są skrupulatnie wymienieni w odpowiednich miejscach tekstu albo w przypiskach; tu wyliczę tylko tych, o których nie mam sposobności w samej książce wspomnieć; są nimi profesorowie S. Pigoń, T. Lehr-Spławiński, doc. S. Inglot, pp. dr. A. Bar, red. E. Bielenin, J. Bielatowicz, stud. U. J., dr. W. Olszewicz, Augustyn Steffen, kustosz M. Szukiewicz, urzędnik „Książnicy“ p. Wąsowicz. Dr. M. Jakóbiec czuwał we

Lwowie nad stroną wydawniczą. Znakomity ludoznawca dr. Seweryn, z niezwykłą zaiste koleżeńską, zezwolił mi na cytowanie z pewnego ciekawego a nieznanego pisarza ludowego, zanim sam jeszcze zdołał, jak to sobie zamierza, wydać go. Dzięki pomocy mej Żony mogłem przygotować rzecz do druku. Korzystałem, prócz zbiorów własnych, z Biblj. Jagiellońskiej, z biblj. Muzeum Tatrzańskiego, częściowo także z Biblioteki Publicznej w Zakopanem, oraz z biblj. Zakładu Etnologii Uniwersytetu J. K. we Lwowie³⁾.

Wszystkim, którzy mi jakimkolwiek sposobem ułatwili pracę, dziękuję tem chętniej i serdeczniej, że książka została sporządzona w ciągu czasu, kiedy byłem unieruchomiony — i bez ich pomocy o wieleby ciężej mi było lub zgoła niemożliwym, doprowadzić ją do skutku. Ale pierwsze moje a równie serdeczne dzięki należą się Czcigodnemu memu profesorowi, Prof. Franciszkowi Bujakowi, który mię słowami cieplej zachęty i obietnicą wydania tej pracy, do niej skłonił.

Nadmienię wkońcu, że 10⁰/₀ honorarjum autorskiego będzie oddanem w połowie na bezrobotnych, w połowie jednemu z pisarzy ludowych, który się znalazł w przykrych warunkach. Autor antologii chciałby w ten — aż nazbyt skromny! — sposób, spłacić, choć symbolicznie, trybut, jaki się tym należy, z których pism w swej pracy korzystał.

Zakopane, 10 czerwca 1936.

K. L. K.

³⁾ *Suum cuique*: Kilka osób wcale nie odpowiedziało mi na me listy (polecone) z prośbą o pewne informacje. Ale na pochwałę uprzejmości polskiej należy zaznaczyć, że ilość tych nieodpowiedzialnych nie przekroczyła 5⁰/₀...

WSTĘP.

ZAGADNIENIA PISARSTWA LUDOWEGO.

Kto jest „pisarzem ludowym”? W każdym razie do pisarzy ludowych nie będzie należał nikt, kto sam nie pisze, i to nawet, jeśli pozostają po nim utwory jego, ale spisane przez innych. Pomiedzy pisaniem a mówieniem lub śpiewaniem, jest tak ważny psychologiczny przedział i przedział tak łatwo dla badacza uchwytny, że od tej strony niema żadnej wątpliwości, kto jest, a kto nie jest pisarzem ludowym¹⁾.

1) Zupelnie odmienną jest postawa człowieka wywiadającego się pieśnią lub gawędą, a próbującego wypowiedzieć się pismem. Człowiek, który na czystym stole rozpostiera biały papier i przygotowuje atrament i pióro, ażeby o sobie czy od siebie nieznanemu czytelnikowi mówić, wprowadza w siebie zamiar, który głęboko retrogresywne skutki wywiera na te przeżycia, co go do pisania poruszyły. Człowiek piszący utwór literacki włącza się we wielkie, o własnych prawach, od niego niezależne życie, któremu już w znacznym stopniu ulega, nawet wtedy, gdyby mu ulegać świadomie nie chciał — bo nawet postanowienia bezwzględnej oryginalności są sprzeciwianiem się określonym kształtom literackim epoki, są przez nie, acz negatywnie poniekąd, wyznaczane — i są zawsze podszyte myślą o jakimś czytelniku; ale prosty człowiek, kiedy do pisania uroczyście zasiada, ani marzy o oryginalności, jego najpiękniejszym ideałem jest być przyjętym przez tych, którzy w jego oczach są przedstawicielami pisanej, drukowanej, książkowej, literackiej, słowem, wyższej kultury. Za-

Nawet najbardziej prymitywne i nieudolne co do treści i formy, gryzmoły, spisane przez autora, należą do literatury ludowej (pisanej), a nie należą do niej najprawdziwiej artystyczne utwory ustne, nawet gdyby ich twórcą był sam Sabała²⁾.

Ale nawet, gdy pozostaniemy między rzeczywistymi pisarzami, to nasze zagadnienie może okazać się praktycznie ważnym i trudnym... Przypuśćmy, że znajduje się filantrop, który, nie określwszy bliżej, kogo ma na myśli, zakłada fundację poparcia pisarzy ludowych; dla wykonawców testamentu powstaje raz po raz kwestja, czy ten a ten jest powołanym do korzystania z niego; albo, niech ktoś postanowi sobie wydać antologję pisarzy ludowych: kogo umieścić, kogo wykluczyć? Jakiem się kierować kryterjum „ludowości“? P o c h o d z e n i e m ludowem, i zamieszczać wyjątki z dzieł Jana Kasprowicza i z dzieł Jakóba Wojciechowskiego, traktować je jako rzeczy jednorodnjowe w sensie kulturalnym i literackim? Franciszka Magryisia stawiać na równi z Franciszkiem Bujakiem? Co ciekawego, co w ogóle z takiego zestawienia można wywnio-

miar ten jest wyrazem dezizolacji psycho-kulturowej mas ludowych, a skutkiem jego muszą być jakieś mniej lub więcej daleko idące odchylenia się wyglądu twórczości ludowej pisanej od wyglądu (stylu) twórczości ludowej ustnej. Dlatego tak ważnym jest, aby tę pierwszą od drugiej terminologicznie z należytą stanowczością odróżnić; więc będziemy mówić o „twórczości językowej“ ludu, ustnej i pisanej, ale zgódźmy się na to, aby termin: „literatura ludowa“ zostawić tylko pisarstwu ludowemu.

²⁾ Opowiadania Jana Krzeptowskiego Sabały (1809—1894) spisał Andrzej Stópka: *Sabała*, portret, życiorys, bajki i i. Kraków 1897. O Sabale także u Stanisława Witkiewicza *Na przełęczu*, I ed. 1891, *Z Tatr* 1907.

skować? Nie idzie o hierarchję społeczną ludzi, tylko o sens poznawczy takich zestawień. Chyba, że ktoś zechce zestawić cały wkład kulturalny ludzi pochodzenia ludowego w Polsce; byłoby to dzieło pożyteczne i ważne — ale tam pisarze, prostymi ludźmi będący, znaleźliby się zaledwie *petitem*, na szarym końcu... Więc pochodzenie ludowe wcale nie decyduje o przynależności do grupy „pisarzy ludowych“^{2a)}). Mam dość ważny powód nalegać na to,

^{2a)} Już po napisaniu Wstępu, czytałem w nr. 4/1936 *Młodej Myśli Ludowej*, poświęconym kwestjom literatury ludowej, w artykule F. Pajdaka, *Źródła polskiej literatury chłopskiej i jej zadania*, określenie: „Literaturą chłopską, w odróżnieniu od literatury miasta, kleru, proletariatu fabrycznego — są i będą te dzieła, które i w treści i w intencji autora przenikającej ową treść, wykażą styczność do życia wsi, harmonizować będą z jej duchem i potęgować z dnia na dzień dynamikę jej rozwoju“. Jest to więc definicja normatywna, ideologiczna: „Literatura ta nie umie zejść z drogi, która wiedzie do poezji pracy i zastanowy filozoficznej nad światem“. Będzie jej wstrętną „frazologia, która nie przystoi człowiekowi zasluchanemu w odwieczne głosy nieba i ziemi“, prostotą wyrazu będzie przypominać Mickiewicza i Prusa; na drodze do zdobycia „oryginalnej chłopskiej formy“ są Wojciech Skuza i Wincenty Burek, „pierwszy z nich dzięki nawiązywaniu do rytmu i budowy wiersza ludowego, drugi z racji zadziwiającej zdolności odczucia prawdy życia chłopskiego i odtwarzania jej językiem gwarowym“. Skuza i Burek są inteligentami, ale też „gdyby się upierać przy poglądzie, że literaturę chłopską stworzyć, co więcej, o istotnie chłopskim jej charakterze zadecydować mogą tylko autorzy rekrutujący się żywcem z masy ludowej, zapędziłoby to w beznadziejny zautek ekskluzywności i kastowości. Bodaj czy nie swoistego rasizmu... Im więcej będzie chłopów wykształconych, a nie „wysferzeńców“, tem oczywistszem się stanie, że chłopskość to nie stopień cenzusu naukowego, względnie jego minimum, nie pochodzenie czy majątek, względnie znów jego nieposiadanie, ale

albowiem jako „pisarze chłopscy“, w imieniu ludowych pisarzy, zabierają ostatnio głos pisarze z ludu pochodzący, ale inteligenci, co zaciemnia zagadnienia, które się tu jawią. Może ktoś zechce uzależnić przynależność rzeczoną od poziomu intelektualnego i formalnego, na jaki się prosty człowiek piszący umie zdobyć? Albo od „prawdziwie ludowych“ elementów jego stylu? Ależ to jest dopiero do przestudjowania w określonej ogólnikowo, czuciem i rozsądkiem prędzej, niż zapomocą ścisłego kryterjum, grupie „pisarzy ludowych“! Kryterja poziomu stylu i języka są naukowo zupełnie tu niepożyteczne, bo zgóry zakładają to, co właśnie jest jedną z rzeczy do zbadania.

Kryterjum wykształcenia, względnie jego braku, owszem, jest ono ważne i pomocne; człowiek, który ma studia akademickie, a choćby tylko średnie lub równorzędne, np. szkołę artystyczną, może czuć się „jedno z ludem“, ale nie jest interesującym dla ludoznawcy przedmiotem badania. Założmy więc, że ludzie o wykształceniu, choćby tylko średnim, do „pisarzy ludowych“ nie należą. Ale czyżby w takim razie zaliczyć do nich Orkana, który pochodził z ludu, a matury nie zdawał³⁾? Rey-

sprawa poglądu na świat, rodzaj zamiłowań i odczuwania życia“. Chłopskość to „kultura pracy gromady“, to życie „z naturą w przymierzu“, oparte na „własności samodzielnej“, pod względem politycznym wolne, obce zarówno komunizmowi i faszizmowi. — Autor niniejszego takiemu pojmowaniu życia, stanowości chłopskiej i literatury chłopskiej, może tylko przyklasnąć! Wyjaśniam też, że jeśli w studjum niniejszem inne, nie ideowe, kryterjum literatury ludowej przyjęło się, to dlatego, że cel jego jest badawczy, określony jak poprzednio; ale kryterja badacza nie obowiązują działacza — i naodwrot.

³⁾ Miał zresztą szkołę średnią, acz bez matury.

monta, albo z młodszych Gojawicyńską⁴⁾? Czuje się odrazu, że nie, i widocznie wchodzi tu w grę jakieś nowe kryterjum.

Będzie to chyba kryterjum typu życia: Orkan, mimo swego gospodarstwa w Porębie, żył życiem nawskroś inteligentkiem, w środowisku literackim. Gdybyśmy jednak jako decydujące, to ostatnie przyjęli kryterjum, mianowicie, że pisarzem ludowym jest ten tylko, kto w życiu ludowym pozostał i dalej zarabia na życie pracą fizyczną, to z naszej proponowanej antologii musieliby wypaść pisarze tacy, jak Niecko, który jest dziennikarzem, albo bogaty krawiec Berkan, życiem mieszczańskim żyjący,

⁴⁾ Reymont, jak ktoś, czy może on sam, żartobliwie powiedział, miał tylko dwa dyplomy: na majstra krawieckiego i nagrody Nobla... Nie był zresztą pochodzenia ludowego tylko pół ludowego, syn organisty, wnuk włodarza, matkę miał zubożałą szlachciankę. Pola Gojawicyńska, „dziecko rodziny rzemieślniczej, samouk, w trudnych warunkach zdobywa wiedzę, próbuje różnych zawodów, uczy w szkołach powszechnych, pracuje jako urzędniczka na Kresach“ (*Młoda Myśl. Lud.* 8—9/35), jest wysoce utalentowaną pisarką pochodzenia ludowego, ale nie ludową. — Gdy się w przeszłość cofniemy, to również nie za ludowego, w naszym sensie, pisarza, musimy uznać Kazimierza Deczyńskiego (1800—1838), podoficera, potem oficera WP. Królestwa Polskiego, powstańca i emigranta listopadowego, którego bardzo smutny pamiętnik ogłosił M. Handelsmann (*Żywot chłopca polskiego na początku XIX w.* 1907). Podobnie nie za ludowych pisarzy uznamy autorów takich świetnych o ludowym życiu pamiętników jak X. Dr. Ferdynanda Machaya *Moja droga do Polski* lub Ślązaków Jana Kubisza *Pamiętnik starego nauczyciela* (1927) i dra Andrzeja Cinciały *Pamiętnik* (1931), albo takich jak autorowie pamiętników zawartych w książce prof. Myślakowskiego *Rodzina wiejska, i i.*, inteligenci pochodzenia ludowego.

obaj jednak, czuje się to, w antologii pisarzy ludowych niezbędni⁵⁾). Trudności więc niemałe.

Nie pozostaje nic innego, tylko używać tych kryterjów zbiorowo i fakultatywnie, kierując się właściwymi celami badania pisarstwa ludowego, a tymi będą: Co masa ludowa ma przez swoich piszących, narodowi, a właściwie wykształconej jego warstwie, do powiedzenia? Do jakiego poziomu wypowiedzania się uzdolniony jest nasz polski człowiek z ludu, który, samoukiem będąc, kontaktu ścisłego z życiem ludowym nie utraciłszy, wziął się do pisania? W ostatnim pytaniu zawarte jest, nieściśle coprawda, skorościśle niemożliwe, określenie pisarza ludowego.

Zjawiska graniczne. Są punkty styczne między zjawiskami twórczości językowej ustnej i pisanej, np. zapiska z wierszowaniem „zamawianiem“ do którego należy działa? Rozstrzygamy na korzyść tego pierwszego, a to ze względu na brak przy zapisce tego specjalnego „nastawienia“, któreśmy uznali za znamienne dla „pisarstwa“, czyli uczestnictwa w literaturze. Naodwrot, mowę wygłoszoną, choćby nie sam autor ją pisał, ale wystenografował ktoś inny, do pisarstwa zaliczymy, bo celowość wewnętrzna krasomówstwa jest typowo literacką. Innego rodzaju zagadnienia tworzą: t. zw. literatura bru-

⁵⁾ Niecko i Berkan ciągłą linią ewolucyjną doszli od życia ludowego do inteligenckiego pierwszy, do zamożnego bytu mieszczańskiego drugi. Ponadto Niecko jest niezbędny w tej antologii, jako wyrażający bardzo charakterystyczne dla zagadnień kultury ludowej myśli, a Berkana opuścić byłoby też prawdziwie szkoda.

kowa⁶⁾, np. piosenki ulicznych śpiewaków (jak o Gorgonowej i t. p.); literatura jarmarczna (straganowa), więc rozmaite banjaluki, sybille, senniki; dalej, takie i tym podobne *curiosa*, jak, przez J. Zborowskiego ogłoszona, z końca XVIII w., przez jakiegoś oficjalistę dóbr żywieckich, schłopiałego Niemca, niby to wierszem opowiedziana historia *O Proćpakowej bandzie* (zbójceckiej); takie i tym podobne twory pisane gdzie należą? Lud się w takiej literaturze więcej lubuje niż w jakiej innej, (wyjąwszy chyba olbrzymie powodzenie Trylogji?), ale czy literatura ta tworzy „literaturę ludową“? Chyba tylko literaturę wulgarną, dla etnografa zajmująca i dla badacza kultury ludowej, o ile idzie mu o gusty czytelnika ludowego, ale nie, gdy idzie o pisarza ludowego — bo literatura ta two-

⁶⁾ Zajmujący art. o *Poezji na jarmarku* (nazywam to „brukową“ literaturą), ogłosiła M. Niklewiczowa w *Prosto z Mostu*, 29/935. Są to okropne w treści i formie utwory na tle sensacyjnych, świeżych zbrodni osnute, tworzone przez jakichś nieznanych ćwierćinteligentów, drukowane po prowincjonalnych drukarekach, sprzedawane jako kartki po kilkanaście groszy. Niekiedy są dodane nuty. (Jaki bywa poziom tej „poezji“ niech świadczy wyjątek z piosenki śpiewanej na krakowskiej Rękawce:

Ach bieda jaka teraz jest
Kryzys trzyma się u nas fest
Každy chodzi zamyślony
Mąż nie kocha swej żony
Ze zmartwienia jest aż bładny
Żona chce letnie mieszkanie
A tu niema na śniadanie
Gdzie są te czasy z przeszłych lat... itd. itd.

Według notatki w *Głosie Narodu*).

rzona jest przeważnie przez podupadłych inteligentów^{6a)} i niedokształconych półinteligentów.

Dalej odróżnić należy pisarzy ludowych, w naszym tu sensie, od pisarzy prowincjonalnych, piszących niekiedy z talentem, ale którzy miejsca w dużej historii literatury nie znajdują, jako zbyt naiwni, właściwie tylko dla czytelnika ludowego piszący, sami z wykształcenia najczęściej pół- lub prawie-inteligenci, (np. na Śląsku Górnym Lompa, Miarka, X. N. Bonczyk i inni).

Piśmiennictwo prowincjonalne częstokroć, ale niekoniecznie, miewa charakter regionalny (np. Derdowski i kilku innych na Pomorzu, X. E. Grimm i inni ze Śląska Cieszyńskiego). Przez „regionalizm“ („zemicowość“) w literaturze rozumie się nie to, że zasięg danego dzieła, wzgl. pisarza, nie przekracza jego regionu, tylko to, że celowość dzieła skierowana jest ku wydobyciu i podniesieniu właściwości danej ziemi; pomiędzy regionalnymi bywają i dzieła o sławie światowej. Wreszcie, przez literaturę popularną zgódźmy się, dla fonetycznej wygody, tę rozumieć, która właściwie nazywa się „popularyzacyjną“; (w najwłaściwszym sensie „popularną“ jest ta literatura, która zyskała popularność wśród szerokiej rzeszy czytelniczej).

Ważnym socjologicznym podziałem pisarzy jest podział na zawodowców i amatorów; otóż pisarze ludowi są dotąd tylko amatorami: piszą nie po to, żeby żyć z zarobków literackich — aczkolwiek te

^{6a)} Od stróżki, w Zakopanem, pożyczyłem sobie *Sennik egipski*, autorem jego okazał się ten biedny Mirandola, wynędzniały inteligent, poeta dobrej marki.

zarobki niejednemu z nich pomagały — tylko, żeby się wypowiadać; jeśli pod jakimi przymusami piszą, to nie pod gospodarczym: kiedy chłop i robotnik pisze wiersze, pamiętniki, artykuły do gazet, to dlatego, że to mu sprawia przyjemność, że mu na powiedzeniu czegoś zależy. (Jest więc podobny do dawnego „pańskiego“ pisarza, który nieco przez ramię spoglądał na mieszczańskich pisarzy zawodowców).

Dyskusja o rację bytu literatury ludowej. Prof. Bujak w Łowiczu, na głośnej konferencji o sprawach kultury ludowej, zwrócił uwagę, że chłop nasz bardzo lubi składać wiersze; w każdej wsi znajdzie się conajmniej jeden wierszokleta. Jeden z pisarzy ludowych, M. Breowicz, obecnie w Paranie, zapowiada stamtąd antologję pisarzy ludowych i wymienia w prospekcie 63 nazwisk; co prawda niewiadomo, ilu z tych pisarzy należy do „ludowych“, ilu do „prowincjonalnych“? Z pewnością do pojęcia „pisarstwa“ należy pewna wytrwałość w pisaniu, nie każdy kto parę wierszy napisał jest już „pisarzem“; w każdym razie, gdyby sobie kto zadał, zbędny zresztą trud (bo statystyka często mniej daje niż kosztuje!) i po rocznikach pism ludowych szukał, ten znalazłby ilość mniej lub więcej wytrwale piszących, dziesiątki razy większą niż owych 63-ch, a samych utworów drobnych na dziesiątki tysięcy. Iluż do gazety nie dotarło? A chęć wierszowania wzmaga się jeszcze i o wiele przekracza pojemność prasy ludowej. Wobec tego dawała się uczuć dotkliwa potrzeba utworzenia osobnego pisma, któreby, w jakiejś przynajmniej mierze, owej ciasnocie miejsca na wiersze, zaradziło. Toteż, gdy znalazł się me-

cenas⁷⁾, powstał w Naprawie koło Jordanowa, w woj. krakowskim, miesięcznik (*Wieś i Jej Pieśń*, pod redakcją Jantka z Bugaja i A. Olchy⁸⁾), a cel pisma został przez redaktora Olchę określony niedwuznacznie: „Chodzi o to, żeby dać możność ogłaszania drukiem utworów swoich wszystkim chłopom, w których drzemie bodaj iskra talentu“. Tymczasem jednak okazało się, że ta, tak ściśle rzeczowa, celowość pisma, nie wystarcza sama przez się do orientacji, jak pismo prowadzić. Powstały pewne trudności, na łamach pisma rozwinęła się zajmująca dyskusja, z której zdając sprawę, mam sposobność przystąpić do rozważenia zagadnień pisarstwa ludowego.

Przedewszystkiem więc, redakcja znalazła się wobec trudności określenia, co jest utwór „ludowy“; wiersz jednego z korespondentów pisma, p. t. *Medressa*, zaczynający się od słów: „Podobni stada ibisów na mokradłach Nilu, tworzą rondo“, wywołał oburzenie czytelników, a nawet redaktor Jantek z Bugaja taką dał odprawę obrażonemu za rezygnację z jego dalszego współpracownictwa, biednemu pocie: „Pan C. może liznął uniwersytetu, ale jego talent jest dla pism literackich za krótki, dla nas za długi...“. Tymczasem jednak drukowano cały szereg wierszy w typie nawskroś inteligentkim i nawet na modłę awangardową; ta jedna nieszczęśliwa

⁷⁾ P. Józef Kokoszka, mag. farm. w Jordanowie.

⁸⁾ Wydawcą był Związek Pisarzy Ludowych, założony w r. 1933 w Krośnie, woj. lwowskie, przez Wojciecha Breowicza; pismo w tymże roku zaczęło wychodzić; wyszło około 20 nrów; redaktorem faktycznym był Jantek z Bugaja (p. Antoni Kucharczyk, zamieszkały w Paszkówce koło Krakowa). W r. 1935 pismo przeszło pod wyłączne a specyficzne wpływy p. Marjana Czuchnowskiego i wychodzi jako *Nowa Wieś*.

Medressa padła, słusznie zresztą, ofiarą postulatów ludowości... Jest i inna jeszcze trudność, głębsza i intymniejsza. Dopóki poeta ludowy pisał sobie i drukował gdzie się dało, na własną rękę, dopóty nie było powodu, aby wystąpiła kwestja racji bytu literatury ludowej; pisanie wierszy to była ściśle prywatna rzecz, subiektywnie i uczuciowo bardzo wielka, ale w hierarchji praktycznego życia całkiem błaża sprawa: zabawka na niedzielne popołudnie i tyle... Ale, jak osobne pismo powstało, to z niem razem i nowa psychiczna potrzeba jawi się; bo jak się już razem, całą grupą, wystąpiło, to mimowoli ogarnia uczestników jej pewien niepokój, zagraża im nowa, świeżo narosła problematyka, dotąd zbędna: Jak nas widzą, jak nas sądzą? Pisarz ludowy do tej pory ciepło i intymnie tulił się po ludowych pisemkach, podziwiało go kilka osób i bezpiecznie mu było w tem życiu zacisznem i zamkniętem, o własnych normach oceny; teraz, całą się grupą pojawivszy, czują się wyłuskani z zacisza, jakby obnażeni, i potrzeba im, by, choć sami przed sobą rację swego wspólnego wystąpienia znaleźli, wykazali się jakimś prawem swej wspólnoty...

Naturalnie, ten moralny niepokój odczuwają najinteligentniejsi i najsubtelniejsi z grupy, a więc przede wszystkim jej inteligency lub prawie inteligency prowodyrzy. Konieczną więc okazuje się samozachowawcza praca myślowa nad sensem, „misją“, „idea“ grupy, praca, która ma na celu niepokój ów stłumić, grupę utwierdzić. W danym razie niewystarczającą okaże się ta prymitywna racja: „chce nam się pisać i drukować“, boć o to właśnie idzie, czy warto dla tej przyjemności narażać się na komparację z literaturą inteligencką, na sądy i osądy, ale

także, czy warto dla błażego powodu puszczać w ruch kosztowną bądźcobądź maszynę, jaką jest pismo?... Każda literatura chce mieć echo, pragnie konsumentów, gazeta potrzebuje abonentów, trzeba robić propagandę, trzeba sobie i ludziom udowodnić, że się przychodzi z nową jakąś i niezastąpioną wartością.

Cóż więc dziwnego, że Olcha (w liście do mnie) pisze:

„Wierzę, że już nie ustąpimy. Nie będziemy naśladować Asnyków, Konopnickich i t. d., a stworzymy własną literaturę chłopską, i to nie jak dotąd bywało, V czy VI klasy, ale ją postawimy na równi z oficjalną, albo nawet wyżej. Naturalnie na to trzeba czasu, niemniej to się zrealizować da! Musi się dać. Zapuściliśmy głęboko korzenie w masy“.

Pomińmy 20-letnią czupurność, a otrzymamy ambicję zrozumiałą, jeśli tylko pojmiemy to, że „megalomania“ nowych społecznie grup ze zdrowych płynie źródeł uczuciowych; ale to zrozumienie nie wykluczy rozsądku... Zauważmy odrazu, że poeci chłopscy poprzedniego pokolenia, ani Jantek, ani Kuraś, ani inni, chłopci autentyczni, do żadnej ludowej „misji“ literackiej nie pretendowali, ani im to w głowie było, oni byli szczęśliwi, kiedy mogli podążać kolejami zdawna wyżłobionymi przez inteligentką literaturę, podciągać się do jej form i treści.

Jest więc u tych młodych ambitny ideał; ale jak go sprecyzować? Jest ambicja swoistości i samodzielności (ta sama ambicja, która, *mutatis mutandis*, tworzy i podtrzymuje grupę „naród“), ale jak tę „swoistość“ i „samodzielność“ realizować? I oto przychodzą nowi, inteligenci, krytyczniejsi i dojrzałsi niż młody absolwent seminarjum w Jordanowie, tym razem studenci polonistyki w Krako-

wie, poeci sami, którzy dobrze zdali sobie sprawę, że właściwie lwia część dotychczasowej literatury ludowej jest naśladowczą, tak, iż na dotychczasowych opierając się wynikach, trudno spodziewać się tak niezwykłych rezultatów; cóż więc robić? Chyba to tylko, żeby znaleźć poetom ludowym nową jakąś motywację, nowe jakieś wzruszyć w nich i pobudzić dążenia, któreby do nowego parły literackiego wyrazu; trzeba sobie, tak pisarzom ludowym sugerują inteligenci ludowi, nową wyrobić duchową postawę. W. Skuza tak oto pisze:

„... najczęściej pod nazwą utwór ludowy czy chłopski, tłoczy się właśnie rozmaite półinteligentkie gryzmoły i woła się do ludzi, że choć to słabe ale ludowe, więc bierzcie! Trzebaby zaprotestować przeciw temu! Nam nigdy nie wolno pod słowo „chłopski“ czy „ludowy“, podkładać bądź czego, bo słowo to jest dla nas za święte i wielkie. Pod takim słowem może być tylko ukryta wartość jakaś, treść potężna... Zawsze oglądamy się na kogoś, by nam wybaczył, iż marnie piszemy — no, ale przecież my zawsze przecie jesteśmy tym „ludkiem“! Nieprawda, właśnie dlatego, że jesteśmy ludkiem, nasze pisanie winno być mocne jak grom, cudne jak maj i treściwe jak zboże kłosiaste“.

Poezja ludowa ma być poezją dojrzałą, a nie dziecinną; ale „jak to osiągnąć?“ Naprzód, przejąć się artyzmem ustnej twórczości ludowej, wykorzystać wszystkie samorodne walory artystyczno-językowe, „czy to będzie prymityw, melodyjność czy chłopski sposób wyrażania myśli obrazami“, ale przystosować to do nowych potrzeb wsi, „nie w tem wszelako rozumieniu, iżby głosić hasła polityczne lub frazeologję rewolucyjną“; dalej, czytać, kształcić się na najlepszych utworach poezji „mieszcząńskiej“ [!], nie tylko na gazetkach ludowych; skończyć z naśladownictwem Konopnickiej, Pola, Lenartowi-

cza, ale i „dzisiejszych mieszczańskich poetów“. Wreszcie hasło: „Być artystą z urodzenia!“ Na praktykę przełożony, nakaz ten może tylko tyle znaczyć co zakaz: „nie masz talentu, nie pisz wierszy!“ — zakaz nie do przyjęcia, a nawet, do czego wrócić — niepożądany. Ale na końcu, dość niespodziewana, wobec poprzedniej wskazówki o „frazeologii rewolucyjnej“ precepta: „orać swą duszę“, co ma oznaczać wyrabianie się w heroizmie rewolucyjnym. Nie o formę jednak rewolucyjną idzie, tylko o nową treść: „krzepko i śmiało, w buciarach i z kośćcami wtaszczymy się w przyszłość“.

U Skuzy, w postawie jego, jest nieco optymistycznego konserwatyzmu kulturalnego, mimo akcentów rewolucyjnych; jeśli są, to nie mają charakteru kulturalnego rewolucjonizmu; właściwie on nie odrzuca zasadniczo dróg kultury inteligenckiej w imieniu chłopca, podnosi tylko skalę wzorów; jeśli pisarzowi wiejskiemu nie należy zapatrywać się na poetów drugiego rzędu, to jednak patrzeć mu na wielkich; podobnie, nie odrzucać walorów tzw. kultury ludowej, specyficznej wiejskości, „gazdostwa“. Natomiast M. Czuchnowski zamierza sobie pisarza wiejskiego gruntownie oderwać od kontaktów z „kulturą mieszczańską“, ale z drugiej strony odprowadzić go daleko od kultury ludowej. Nowymi treściami, któreby zdolne były nadać pisarstwu ludowemu specyficzne i nowe oblicze, mogą być tylko treści klasowe. Ale tych nowych treści nie można osiągnąć, dopóki pisarz ludowy będzie się trzymał starych form:

„Poeci ludowi o ile posługiwać się będą starym rymem, starą rytmiką, starą frazeologią obrazowania, skostnieją w przesądach starej poezji i nie będą w możności stworzyć

nie wartościowego, odrębnego od utworów epigonów mieszczańskich. Pozbycie się starego rymowania oraz strofiki może u niejednego wyzwolić nową treść, która dusząc się w starej formie, potrzebuje nowej formy. Nowa treść psychiczna wymaga nowych instrumentów do jej ujawnienia“.

Jest to rozumowanie słuszne: pisarz ludowy dotąd był sielankowym i podniosłym, rzadziej, żartobliwym; na kształt dla tych postaw znajdował gotowe wzory u tych właśnie poetów, od których naśladownictwa młodzi ludowcy chcą go wyzwolić. Były tam u tych poetów inteligentów i ludowych ich naśladowców, i oburzenie i gniew na niesprawiedliwość społeczną i litość nad nędzą chłopską — ale to wszystko było jeszcze nie brutalnie prozaiczne: te protesty groziły rewolucją, ale chyba tylko polityczną, nigdy mordem masowym; to był rewolucjonizm, ale w każdym razie jeszcze na podłożu konserwatywnej w gruncie rzeczy, humanitarnej i chrześcijańskiej moralności, żeby przypomnieć Kopnicką, a z pośród ludowych wskazać na Sawczuka. Teraz, myślącym jak Czuchnowski, o coś całkiem innego idzie — i, powtarzam, ma on rację, kiedy spodziewa się, że tylko bezparndonowa nienawiść klasowa wyzwoliłaby nową proletarjacką poezję; a byłaby to, tak myślę i napewno on tak myśli, poezja o dzikiej rytmice, o brutalnym i bezwstydlivem słownictwie, byłaby to nowa, rzeczywiście „oddolna“ literatura z własnym, nietyle zresztą chłopskim, ile inteligencko-lumpenproletarjackim wyrazem — i niepodobna wątpić, że taka literatura znalazłaby dobry zbyt... u wielu inteligentów, nie licząc skomunizowanych robotników i półinteligencji. I Czuchnowski dobrze rozumuje pragnąc tego, co ja nazywam „psychiczną dezizola-

cją“ wsi, lekko sobie ważąc konserwatywne, „gazdowskie“ walory wiejskie, pragnąc np. inteligenckiego, miejskiego wyrazownictwa u pisarzy wiejskich. Bo wieś w swojej nieufności do miastowego człowieka w krawatce, choćby nawet słowem czerwonym i mściwym mile ją łechtał, niewiele rokuje nadziei systemowi potwornego centralizmu: trzeba naprzód wieś zurbanizować, ażeby ją skomunizować! Ale i konserwatysta kultury, zdając sobie sprawę z niepożądanych stron urbanizacji, nie będzie upierał się bezwzględnie przy izolacji wsi — (jak tego zdaje się chcieć oryginalnie myślący publicysta ludowy Niećko, gardzący wszystkim, co „odgórne i miejskie) — albowiem, jeśli kultura po społeczeństwie od góry do dołu i naodwrot nie krąży, to musi przyjść do nienawiści między obcymi sobie światami, nienawiści, która jest dla kultury zgubną.

Idee Czuchnowskiego wywołały na łamach *Wsi i jej pieśni* ożywioną dyskusję, w której i ludzie deklarujący się jako pracownicy fizyczni zajmująco głos zabrali, a większość ich, w tem nawet radykalnie usposobieni, opowiedziała się przeciw Czuchnowskiemu. Dobrym polemistą okazał się F. Macak, który m. in. powiada: „Nie należy krępować twórczości poetów ludu jakimiś prawidłami, przeciwnie, trzeba tym poetom dać zupełną swobodę w tworzeniu, gdyż tylko wtedy powstać może coś naprawdę wielkiego“. Broni też „kapliczek, skowronków i wróbli“, które nie smakują Czuchnowskiemu; a M. Czuła, jak się zdaje starszy robotnik, choć chwali temperament Czuchnowskiego, jego wołanie o siłę w poezji ludowej („ostatecznie możnaby pisać i w ten sposób i niejeden z naszych poetów spłodziłby nawet coś potężniejszego niż ów

słynny wiersz Tuwima do prostego człowieka, gdyby nie to, że... poeta ludowy tak pisać nie powinien...“) — to jednak na zalecenie, ażeby brać wzór z poetów robotniczych („świadomych organizatorów mas“ według Czuchnowskiego) replikuje, że wieś nie ma co od nich brać, bo „najcelniejsi z nich to żydzi, co potrafią (tylko) z talentem grozić niebu i ziemi...“. Całym programem dla poety ludowego „to wyśpiewać co w duszy czuje“, a programem dla pisma ludowego, żeby „nietylko piszący czuli się zadowoleni, ale żeby mogli je wziąć do ręki i z pożytkiem przeczytać tak inteligent jak i chłop, żeby prócz artykułów zasadniczych były także wzięte z życia ludu powiastki, nowele, opowiadania lub z dziedziny przyrody, krytyki, nauki, wreszcie oczywiście utwory poetyczne“. Poprostu program porządnego tygodnika popularnego. Znamienne, że ten rozsądny „szary człowiek“ wyznacza poezji miejsce dopiero na samym końcu; to nas prowadzi do kwestji następnej⁹⁾.

⁹⁾ Jako *post-scriptum* do wiadomości o tej dyskusji na temat istotnego celu pisarstwa ludowego, podam Stanisława Nędzy Kubińca, górala z Kościeliska głos w zbiorze *Na nową perć* (1936), pt. *O chłopskich poetach i poezji*: „Wyciągnął do niej [do sztuki] chłop rękę brązową od pracy i twarz zlaną rośnym potem, rozpoczął tworzyć sztukę narodową, wykutą w skale własnej myśli młotem“. (Jest to niewątpliwie aluzja do Norwidowskiego z *Promethidionu* (który autorowi temu jest znany): „...Piękno na ńto jest, by zachwycało do pracy, praca by się zmartwychwstało [w sensie religijnym?] I stąd największym prosty lud poetą, co nuci z dłońmi ziemią brązowemi...“. Dla Norwida istotą sztuki jest „postaciować“ myśli (konkretyzować), a z drugiej strony praca fizyczna jest tą, która wyrabia myślenie „postaciami“ czyli konkretne; dlatego uważa, że lud jest uzdolniony szczególnie do sztuki. Zdaje się, że te idee Norwida odbiły się u wspomnianego autora.

Zagadnienie konsumpcji (poczytności) literatury ludowej. Jeśli założymy, że, w jakimś socjologicznym sensie, „naturalną“ w danym środowisku jest ta literatura, którą ono konsumuje w tym stopniu iżby ją podtrzymać (moralnie) i utrzymać (gospodarczo, to znaczy, ażeby opłaciło się książki wydawać) — otóż jeśli tak założymy, to, pominiawszy dziennikarstwo ludowe (czyli dla ludu) — wolno nam wyrazić wątpliwość, czy literatura ludowa jest z konsumpcyjnego punktu widzenia „naturalną“. Czy chłop czyta wiersze poetów ludowych? Ilu wogóle ludzi czyta dziś utwory wierszowane? Tembardziej wolno mi wątpić w to odnośnie do czytelnika ludowego, który, jak nieraz stwierdziłem, już samego typograficznego składu wierszowego boi się¹⁰⁾. Na wsi, ale i w dzielnicy robotniczej dotychczas jeszcze najmiłą literaturą jest straganowa, jeśli nie kryminalna brukowa; kiedy zaś człowiek z ludu bierze się do lektury wyższej, to sięga po książkę mistrza narracji historycznej, pomija literaturę inteligencką na tematy ludowe; (choć swoją drogą w środowiskach robotniczych i małomieszczańskich tematy wiejskie są, zdaje się, nieźle przyjmowane, np. w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim chętnie Orkana czytają; z chęcią w tem samym środowisku czytują pamiętniki historyczne, np. na Śląsku Katowickim rozchwytują *Machaya Moją drogę do Polski*); otóż pytam, czy przy takich nastawieniach czytelnika ludowego poezja ludowa, liryka, może liczyć na wielu czytelników? Albo choćby i pamiętnik ludowy, który (dla nas częstokroć rewelacyjny!) — naogół wiele nowego

¹⁰⁾ Por. w Dodatkach pt. *Wzmianka o czytelnictwie ludowym.*

i ciekawego człowiekowi z ludu — (o ile nie o wojnie, ale tych bardzo mało) — nie opowiada, czyż więc może liczyć na poczytność u ludu? Człowiek nie garnie się do książki poto, aby raz jeszcze mieć te same smutki i tę samą szarżę, co w życiu...

Mniemają niekiedy, że literatura ludowa w typie Jakóba Wojciechowskiego, prymityw językowy, będzie wreszcie tą wyczekiwaną literaturą ludową dla ludu — ale nic nad takie mniemanie błędniejszego: pamiętnik Wojciechowskiego został w jego środowisku źle przyjęty dla dezynwoltury seksualnej, na którą sobie pozwolił nasz Kuba, (prostotny a po przedmieściach fabrycznych miast niemieckich conieco nadpsuty), której jednak nasz zwykły prosty człowiek nie znosi (np. śmiejąc się w teatrze na widok scen miłosnych, bo takich rzeczy nie robi się przed ludźmi); ale zasadniczo już, piśmiennictwu tego typu trudno liczyć na poczytność wśród ludowych czytelników, bo lud chce mieć w książce wyższy świat i jego mowa codzienna (*lingua vulgaris*...¹¹) nie wydaje mu się poprostu godną

¹¹) Kiedy się mówi o „gwarze“ to trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z dwoma zasadniczo zjawiskami; raz z czystymi gwarami ludowymi (po francusku: *patois*), „samorodnymi“, jeśli zaś nie absolutnie czystymi, to w każdym razie zanieczyszczonymi tylko w minimalnym stopniu przez naloży z miasta i obcych języków, u nas przez niemieczkę; o jednej z takich gwar naszych, podhalańskiej, jak ona brzmiała w ustach Sabały i jego rówieśników, Stanisław Witkiewicz powiada, że jest to „klejnot“ kultury ludowej, że są w niej „żywe i doskonałe formy językowe, świetne środki wypowiedania się ludzkiej duszy“. Natomiast ten sam entuzjasta mówi, że „straszniejszej gwary nad tę, którą mówią poduczni chłopci, którzy pod wpływem szkół, zaczynają gardzić gwarą ludową, usiłują mówić językiem podręczników i gazet — niepodobna sobie wyobrazić“. Jest

książki, która właśnie jest posłańcem ze świata w oczach ich ciekawszego, piękniejszego, podnioślejszego niż własne przyziemne bytowanie. Lud chce albo książką bawić się, albo uczyć się, a jak się uczyć to uczyć się i miejskiej inteligenckiej mowy, tego zaś nie da mu prymitywna literatura chłopska czy proletarjacka. Dlatego też i dlatego, że, zarówno jak czytelnik, a raczej tembardziej, pisarz ludowy pragnie przyswoić sobie inteligencką mowę i inteligenckie treści — dlatego literaturę typu Wojciechowskiego należy uznać za zjawisko tylko przejściowe.

Więc, jak myślę, od strony konsumenta ludowego na literaturę ludową spoglądając, jej racji bardzo żywotnej nie znajdziemy. Wprawdzie Antoni Kucharczyk (Jantek z Bugaja) pisze mi, że rozeszło się kilka wydań jego *Bładych kwiatów*. — i to mię serdecznie cieszy — ale, jako badacz tych zagadnień, nie mogę na tem poprzestać i chętniebym wiedział, jaki pośród nabywców był udział robotników i chłopów, ile egzemplarzy rozkupili inteligenci-oświatowcy? Nie mogę przesądzać, ale wyobrażam sobie, że ci ostatni byli nabywcami najczę-

to, żeby tak powiedzieć gwara pół- lub ćwierć-inteligencka, będąca swego rodzaju żargonem (po franc.: *argot*); takim właściwie językiem pisał swój pamiętnik Wojciechowski. (S. I. Witkiewicz proponuje tu dowcipne słowo: „żargot“). Robotnicza gwara śląska, nabita od przyswojeń z niemieckiego jest językiem utworów Morcinka, o Gojałwicyńskiej już nie wspominając: współczesny pisarz w stylu ludowym nie gardzi takimi żargotami. Czy się to godzi? Rzucam to zagadnienie, już nie wchodząc w nie; w każdym razie podtrzymywanie na kresach zachodnich wpływów niemieczyny w mowie, przez pisarzy, uważam za lekkomyślne i szkodliwe ze względu narodowego.

stszymi. Jeśli jednak ten tomik miłych poezyj często bywał po bibliotekach ludowych wypożyczany, to, choćby nie często był przez ludzi ze środowiska ludowego kupowany, spełnił jednak swe przeznaczenie, którem dla utworu ludowego jest: Być literaturą dla ludu. W każdym razie wątpię, aby bez sztucznego sposobu (mecenas!), dało się utrzymać pismo literackie ludowe, wyłącznie wierszom i dyskusjom ideowo-literackim poświęcone, tembardziej wierszom tak niezrozumiałym, jak te w stylu awangardowym.

Natomiast na czytelników inteligentów liczyć mogą pamiętniki ludowe, jeśli nie bardzo licznych, to w każdym razie takich, którzy chcą uczyć się o społeczeństwie, którzy wdzięczni będą za ukazanie im widowisk, tak nieraz wstrząsających a niezmyślonych¹²⁾. Przyczem jednak zauważyć należy, że po wyczerpaniu się świeżości tej literatury autentycznej, już tylko czemś wyjątkowem odznaczający się pamiętnik ludowy, będzie mógł liczyć na skorego czytelnika i wydawcę.

Czy inteligentcy pisarze będą chętnymi czytelnikami pamiętników, ewentualnie autobiograficznych powieści ludowych? Chyba nie w wyższym stopniu, niż inni czytelnicy z tego środowiska, kierowani ciekawością sympatji; bo, skoro o treść idzie, to ci pisarze, co chcą pisać opowieść z życia wiejskiego lub proletarjackiego, znają je chyba z własnych obserwacji, jeśli nie z osobistego doświadcze-

¹²⁾ Zwracam uwagę na dwie książki: *Pamiętniki Bezrobotnych* i *Pamiętniki Chłopów*, 1933 i 1935, obie nakładem Instytutu Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, obie z przedm. prof. Ludwika Krzywickiego. (Ostatnio ogłoszono konkursy na pamiętnik emigranta).

nia; skoro zaś o formę, to walory dla mowy miejskiej, artystycznie pobudzające, posiada ludowa ustna twórczość językowa, głównie rozmowa, te zaś walory w literaturze ludowej pisanej są mocno przyćmione (jeśli są jeszcze), bo walcząc o formę literacką pisarz ludowy wydobywa się ze swej zwykłej spontanicznej mowy; owszem, w najnowszych zwłaszcza pamiętnikach ludowych spotykamy się z fragmentami wypowiedzi pisarskiej wprost wstrząsającymi, przy lekturze ich czuje się nieraz, że tu mówi rzeczywisty i silny talent, talent nieuczony, samorodny; ale te skrawki błyski gasną niebawem w szarzyźnie mowy, która się dopiero podciąga; co jednak ważniejsze, to to, że te najlepsze i najświeższe, najdolegliwsze w wyrazie swoim osiągnięcia pamiętnikarza ludowego, są mową najczęściej pisaną nie ludową, gwarą wsi lub przedmieścia, tylko literacką lub prawie taką!... Więc niejedynemu pisarz zawodowy napewno z zajęciem przeczyta sobie te rzeczy, poprostu jako człowiek z sercem, lub tylko, społecznych spraw ciekawy, jakąś sugestją formalną lub treściową lektura ta może go zapłodnić — ale byłoby niewczesnym spodziewać się po „konsumpcji“ literatury ludowej przez zawodowców literackich jakiegoś rewelacyjnego kryzysu literackiego. Niezastąpiony niczem jest gorzki smak autentyzmu; i rewelacyjnym jest dla nas, że ludzie, o których przypuszczaliśmy naiwnie, że są niemi, mówią i umieją tak mówić; ale „literatura literacka“, (jeśli by wolno takiego tu terminu na zwykłą, nieludową literaturę, użyć), zwłaszcza współczesna, w takie straszne szczeliny życia i tak przenikliwą wkradła się mowa, że to, co, pod tym względem, najciekawszego, literatura ludowa daje, jest co-

najwyżej tylko weryfikacją, a nie pionierstwem; natomiast wolno spodziewać się, że niektórzy z tych pamiętnikarzy, zdobywszy wyższą kulturę literacką, stanęliby w rzędzie tęgich realistów^{12*}).

W związku z tem rozważaniem zwrócę uwagę na pewne niebezpieczeństwo, związane z obudzeniem się wśród czytającego ogółu, gustu do proletarjackiego realizmu: niezdrowego snobizmu, z jednej strony, który od pisarza ludowego zażąda brutalnych frykasów, spekulacji po stronie drugiej; mogą bowiem znaleźć się mniej lub więcej utalentowani spryciarze, którzy będą umieli korzystać z tego gustu do (pseudo-)proletarjackiej dezynwoltury i udawać ludowych pisarzy, gotów powstać typ zawodowego pisarza (pseudo-!) ludowego, a karyera Nachalnika - złodziejaska, którego pamiętnik był faktycznie ciekawy i instruktywny, ale który teraz stał się pisarzem zawodowym, żerującym na gustach niepożądanych, służyć tu może za przestrożę. Niech w te sfery socjalnie, kulturalnie, moralnie dwuznaczne, wtargną ambicje literackie, i jako uprawnienie i jako wzorzec autentyzm jakiegoś Céline'a, a będziemy mieli „oddolną“ literaturę, literaturę gangsterską, która w czytelnictwie szerokich mas miejskich, z młodzieżą szkół średnich włącznie, skutecznie konkuruować będzie z literaturą „odgórną“, ale już nieporównanie zwycięsko z literaturą prawdziwie ludową, z czystymi i zdrowymi Kurasiami i Słomkami.

W związku z temi rozważaniami o „konsumcji“ literatury ludowej jest nowa kwestja:

^{12*)}Por. przypisek 25.

Kwestja stosunku inteligencji do literatury ludowej. Nasz estetycznie wartościujący stosunek nietylko do literatury, ale do sztuki ludowej, ba, nawet do kultury ludowej wogóle, jest skomplikowany. Mamy bowiem dwie miary: Raz mierzymy według transcendentnych w stosunku do kultury ludowej walorów, miarą naszej własnej dojrzałości kulturalnej; drugi raz wedle immanentnych walorów ludowości; coprawda w naszym odczuwaniu obie te miary są godziwe, ale cóż kiedy nie są one logicznie składne?... A sprzeczność ta powiększa się, gdy kultura ludowa, — tu zatrzymamy się przy literaturze — puszczoną zostaje w ruch rozwojowy. Wtedy twórca ludowy musi odczuć pewien tragizm, przynajmniej aż do pewnego punktu swej drogi, punktu, który przekroczyć, danem jest tylko najwybitniejszym. Ale bardziej prosto:

Mierzymy literaturę (i sztukę ludową) raz miarą naszej własnej dojrzałości, i wtedy podoba nam się to, o czym śmiało powiedzieć możemy: „nie poznać, że to pisał prosty człowiek“, i dumni jesteśmy w imieniu ludu, kiedy takie spotykamy zjawiska i osiągi. Ale zarazem podoba nam się to, co właśnie w twórczości ludowej jest pierwotne, naiwne, świeże, samorodne, bliższe tego, co nam się, słusznie czy niesłusznie, wydaje „naturą“. Raz podobieństwo z nami, raz właśnie odmienność ludowa podoba się nam — i słusznie jedno i drugie. Słusznie podobieństwo, bo jeżeli są w naszej kulturze jakieś wartości niewątpliwe i powszechne, to musi radować nas, kiedy widzimy, jak prosty człowiek okazuje talenty kulturalne, jak idzie ku tym

wartościom i bierze je. Słusznie jednak i kulturalna odrębność¹³⁾ ludowa nas cieszy, bo i w ludowej kulturze znajdują się pewne niezastąpione walory, które zagrożone są przez asymilację nie tylko i nie tyle z kulturą inteligencką, książkową, wyższą, lecz także, i co powielekroć gorsze i groźniejsze, przez urbanizm uliczny i przedmiejski; i nie przez oświatę, przez kulturę inteligencką w pełni, ale przez te jej wstępne stopnie, przez te nieprzeżyte od wewnątrz jej szablony, poprzez które nowicjusz każdej kultury musi przejść, o ile genialnym susem ich nie przesadzi, lub nie przejdzie ich metodycznie w szkołach niższych, średnich, wyższych. Na naszym terenie: Twórczość ludowa ustna jest dla nas krynicą ożywczą konkretywizmu, w której od czasu do czasu chcemy skąpać naszą, wyschłą i spieczoną od utylitarnych skrótów i naukowej abstrakcji, mowę. Ale poetyczny ten konkretywizm jest immanentnym, obiektywnym, walorem kultury ludowej, albowiem wyzbyty zeń człowiek ludu niewątpliwie zubożonym zostaje, zubożonym o to soczyste ciepło odczuwań, o tę zamaszystość reakcji, które się w mowie ludowej wyrażają. Pisarz ludowy prymitywny walory owe oddaje naiwnie i tem się czytelnikowi inteligentowi spodobał; pisarz ludowy genialny przeskoczy w świat najwyższej mowy inteligenckiej, ale zdawszy sobie sprawę ze świetnego swego posagu, mowy ludowej będzie używał świadomie i artystycznie; ale też on zdobędzie to powodzenie, które

¹³⁾ Wyjaśniam, że używam dwóch słów: „kulturalny“, co oznacza „odnoszący się do kultury, należący do zagadnień kultury“; „Kulturalny“ oznacza pochwałę za zgodność z pożytywnie wartościowaną kulturą.

go włączy w świat inteligencji, zostanie pisarzem zawodowym i z literatury ludowej wyjdzie¹⁴). Ale co będzie z najwłaściwszym pisarzem ludowym, tym średnim? Owszem, on będzie czytany z zajęciem przez badaczy kultury, będzie czytany przez miłośników ludu, wkońcu przez rzadkich, jak już podniosłem, czytelników ludowych, ale koniec końcem jest bez społecznego przydziału¹⁵). I to właśnie będzie pewnym tragizmem jego rozwoju, że on, w miarę jak będzie starał się rosnać (a w jego, i to słusznym mniemaniu, rozwój polega na zdobywaniu sobie inteligentkiej mowy i treści), to będzie musiał przechodzić dziecienną chorobę nowicjatu kulturalnego, którą jest szablonowość i banalność,

¹⁴) Przypomnę tu z obcych takiego Hamsuna Knuta, Gorkiego albo Walta Witmana, słynnego poety amerykańskiego (1813—1892), który był samoukiem, zecerem z zawodu. (O nim S. Napierski: *Walt Whitman, 75 poematów*, 1934). We Francji, wymieniłbym Pierre Hamp kucharza czy cukiernika, potem kolejarza, potem urzędnika kolejowego, dziś wybitnego literata, współpracownika takich czasopism, jak np. *Nouv. Revue Franç.*

¹⁵) W wierszu Syrokomli *Grajek wioskowy* znajduję bardzo trafną i smutną charakterystykę takiej sytuacji „społecznego bezprzydziału“, szczerego, ale skromnego poety, tym razem nie ludowego, ale prowincjonalnego: środowisko jego własne, drobna szlachta, nie zdoła poety utrzymać, choć go odczuje, środowiska „wyższe“ nie pojmą tej bezpretensjonalnej twórczości: „Cóż z liry za korzyść? Ot, marnie zaginie ubogi syn pieśni, w ubogiej wioszczynie, daremno zamęczy się pracą, tu rzadkie obsiewki, dożyńki, wesele, tu chleba niewiele i zabaw niewiele, niewiele grajkowi zapłaca“, a „na uczcie bogacza nie szukaj dusz bratnich, ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich, u progu ci chyba grać każą. Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny, westchnienia nie zbudzisz, bo duch u nich zimny, z szyderczą słuchają cię twarzą“...

i snobizm nawet¹⁶⁾; to samo przejść musi dziecko, które, mając talent literacki, porzuca swoją uroczą prymitywną gęźbę i dopina się ambitnie do tych, dla nas już nudnych form wyrażania się, które dla niego są jeszcze wzniosłe i zachwycające. Nam wtedy dziecko wydaje się nieszczerem, sztucznem, a tymczasem ono zachowuje się najlegalniej: uczy się mowy dorosłych, którą będzie musiało kiedyś poprawnie władać. Doskonale taką samą jest sytuacja psychiczna i socjalna pisarza ludowego średniej miary: on z dumą i radością zdobywa sobie kulturalną inteligencką formę — a tu niebaczny inteligent traktuje go *per* „epigon“, „naśladowca“, „półinteligencką gryzmołą“ zwie płód jego ambitnego wy-

¹⁶⁾ Krytyk i historyk literatury, Kazimierz Czachowski, autor *Obrazu współczesnej literatury polskiej* (3 tomy 1935—1936, Książnica-Atlas), wyraża taki sąd o piśmiennictwie ludowem: „Pisma autentyczne niewykształconych (choćby na drodze samouctwa) jednostek z ludu, czyli właściwe, nie zaś stylizowane prymitywy ludowe, odznaczają się nieraz świetnymi fragmentami świeżej bezpośredniej obserwacji oraz jędrną, mimowoli artystyczną, ekspresją. Na następnym stopniu wyrobienia kulturalnego przeważają mierne-naogół naśladownictwa literatury artystycznej. Całkowity i artystycznie dojrzały wyraz rzeczywistości ludowej zdolny jest dać tylko taki pisarz, który tę rzeczywistość zna i rozumie, ale także umie ją opisać, czyli posiada potrzebne wyrobienie literackie. Takim pisarzem polskim jest np. Władysław Orkan, z pisarzy obcych wskazać tu można Hamsuna i Gorkiego. Obaj są samoukami [por. przyp. 14]. Zanim się ktoś stanie wybitnym pisarzem, musi być bardzo wytrwałym uczniem, choćby samoukiem. Literatura bez kultury jest nie do przyjęcia“. Ten sąd Czachowskiego (wyrażony w liście do mnie) potwierdza moje własne, w tekście sformułowane poglądy (por. przyp. 25). Nadmieniam, że Czachowski pierwszy wprowadził do historii literatury rozdz. o „pisarzach ludowych“, ale przez nich rozumie i niektórych pisarzy inteligentów z ludu pochodzących (por. t. III *Obrazu*).

siłku... Paradoksalnym zaś jest, jeśli tak szydzi i teroryzuje go, domagając się od niego czyto poziomu równego conajmniej najlepszym zpośród pisarzy inteligentów, czyto jakiegoś „swoistego ludowego oblicza“, właśnie inteligent-ludowiec... Jużśmy zrozumieli tego inteligenta, ale zrozummyż i tego pisarza ludowego, tego prostego człowieka, który się wziął do pisania! Wtedy inteligencki, w cudzem imieniu, bo w imieniu prawdziwych pisarzy ludowych, mesjanizm czyli raczej misjonizm (żeby tamtego wyrazu nie używać poza jego właściwym zakresem) — aczkolwiek w zasadzie legalny, albo zostanie demagogją doktrynerską i, co... najlepsze! bezpłodną — albo pisarza ludowego wypaczy i zmianieruje o wiele gorzej niż te wzory, przed którymi go przestrzega się...

Nasz inteligencki stosunek do twórczości ludowej jest (jak to już dowcipnie kiedyś S. Kołaczko wski zauważył¹⁷⁾ poniekąd „perwersyjny“; nam się to podoba, czego się oni raczej wyzbyć chcieliby, ich naiwność, prywitywizm, ich słowem psychokulturna izolacja, natomiast mniej podoba nam się to, co jest wynikiem ich ambicji, zdążającej do zrównania się z nami. Ich zamierzone efekty artystyczne nie są dla nas efektowne, natomiast, (jak tym razem Bystroń podnosi), co dla nas jest efektem, było częstokroć przez twórcę ludowego niezamierzone¹⁸⁾. Może to będzie trochę przesadne, ale powiedziałbym, że między tradycjonalistami, a masą ludową, w jej najbardziej aktywnych żywiołach, jest to nieporozumie-

¹⁷⁾ *Ponowa* 1/1921. Ta kwestja dokładniej także w mem studjum o kult. lud., u T. Dobrowolskiego w pracy o śląskiej rzeźbie lud., oraz u K. Piwockiego o stylu ludowym, *Przegl. Współcz.* 7/936.

¹⁸⁾ J. S. Bystroń, *Artyzm pieśni ludowej* (1921).

nie, że mybyśmy poniekąd chcieli kulturę ludową zamknąć w rezerwacie, a tymczasem oni chcą się ze swej izolacji wyrwać¹⁹⁾. Kwestja nie jest tak prosta, boć nasze konserwatywne na rachunek ludowy życzenia nie są ani tak jednostronne, ani tak estetyzująco-egzotyczne, owszem mają na celu i pewne rzeczywiste, obiektywne, walory życia ludowego, te walory, którymi ludowe życie, wiejskie zwłaszcza, przewyższa życie miejskie, nawet klas zamożniejszych, oświeconych; z drugiej zaś strony i pośród ludu, nieraz już odzywają się, i to nie jako starcze passeistyczne zrządzenie, ale od ludzi młodych i aktywnych — odzywają się głosy w stosunku do rzeczywistej kultury ludowej konserwatywne, co wpośród ruchu postępowego wsi ku oświacie, zachować chcą specyficzne walory jej życia. Nie będę w to wdawał się dokładnie²⁰⁾; chcę tylko podkreślić

¹⁹⁾ Typową dla takiego stanowiska inteligentów tradycjonalistów, ceniących wysoko niesfałszowaną urbanizmem obyczajowość ludową, mającą własny styl, jest cała działalność teatralno-ludowa Jędrzeja Cierniaka, pozatem takie wypowiedzi jak Mieczysława Limanowskiego na konferencji w Łowiczu (por. książkę zbiorową *Kultura wsi*, Warszawa 1930), jak znakomity artykuł Jerzego Stempowskiego, pt. *Nowe marzenia samotnego wędrowca* (*Marcholt* 3/1935), jak oryginalne wywody Leona Maciańskiego pt. *Pózar czy oświata* (w *Myśli Nar.* z r. 1935), jak wreszcie te oto spostrzeżenia Zygmunta Wasilewskiego: „Dopiero wyrwawszy się na wieś chłopską, między ludzi prostych, żyjących poza wielkim światem wynalazków i rozrywek umysłowych, odnajdywałem żywych całkowitych ludzi. Tam, pomimo biedy i srogich dolegliwości losu, ludzie myślą, mają wrażliwość moralną i energję dążeń: tam doznawałem najwyższej łaski, jaką dać może obcowanie z ludźmi: entuzjazmu życia. Życie fizyczne nie sprzeciwia się duchowemu. Doskonale te dwa światy łączą się w psychice ludu“ (*Myśl Nar.* 43/1933). (Por. przyp. 20).

²⁰⁾ *Kwestję kultury ludowej* omawiałem szerzej

stanowczo, że nasz wybredny smak, który lubuje się w prymitywie ludowym, ale gani t. zw. półinteligentkie objawy w literaturze ludowej (przypominam np. zakończenie pracy prof. Bystronia o *Artyźmie*

w art. pod tym tytułem w 2-ch zeszytach *Przełądu Powszechnego*, z r. 1931 (oraz w rozprawie pod takim samym tytułem, pozostającej dotąd w rękopisie); z pierwszego z wymienionych studjów zacytuje: „Kwestja utrzymania pewnych dodatnich stron kultury ludowej nie jest bynajmniej błahą, idzie o wzgląd zasadniczo dwojaki: Popierwsze wzgląd na lud, a to: moralności i sposobu bycia zdrowej wsi bronić trzeba przed wulgarną urbanizacją. Ten moment jest oczywiście i zarazem równie ważnym ze względu na kulturę narodu. Tu należy dodać ważne oświecenie prof. B u j a k a: *Wieś jest biologicznym rezerwuarem narodu; jak wieś opustoszeje, to miasto straci rezerwy populacyjne.* Ale, żeby wieś trwała w swym byciu, zachować musi poczucie swej odrębnej wartości, wytrwać przy swym typie duchowo-obyczajowym. Należy także starać się zachować i rozwiniąć samorodność artystyczną ludu, która pięknie zdobi życie. Powtóre: wzgląd na całość kultury narodowej, a to: Zachować, podobnie jak rezerwaty naturalne, jakieś dziedziny życia bardziej intymnego, zrosniętego z krajobrazem, cichszego, mniej zbanalizowanego, mniej zuniformizowanego, w którymby się orzeźwiać mogła znużona dusza miasta (zauważam, że mamy prawo do występowania z wartościami wy poczynkowemi wbrew modnej już nie gloryfikacji, ale wprost deifikacji pracy!). Zachować niezasypane źródła stylu rasowego w sztuce, a także w zabawie. Równocześnie jednak z tą obroną kultury ludowej kładłem nacisk na kulturę ludu, czyli na konieczność zrównoważenia tych idei konserwatywnych postępowemi: Smutniejszą jeszcze niż zanikanie kultury ludowej rzeczą byłaby niezdolność ludu do oświaty, nowych form organizacji, życia obywatelskiego — ale nie sądzę byśmy mieli powód być na tym punkcie pesymistami“.

Są zasadniczo dwie tendencje na wsi: jedna, która kładzie nacisk główny na postulaty „postępowe“ tj. na to, ażeby wieś nadążała w oświacie i organizacji za miastem, druga, tradycjonalistyczna, „cierniakowska“, której zależy na utrzy-

pieśni ludowej) — wcale nie może być ostateczną instancją przy decydowaniu o racji bytu literatury ludowej. Jedynie realną i sprawiedliwą zasadą tej oceny może być tylko ta przesłanka, że literatura ludowa nie jest dla inteligenckich smaków (dla inteligencji jest przedewszystkiem literatura stanu inteligenckiego! — ludowa i wogóle jakkolwiek egzotyczna, dopiero w drugim rzędzie — jeśli nie dla celów naukowych i informacyjnych) ale że literatura ludowa jest dla ludu.

Kwestje rozwojowe. Literatura ludowa jest dla ludu — przesłanka ta bynajmniej nie zostanie zakwestjonowaną przez to, że czytelnik przypomni mi dopiero-co wyrażone przezemnie pesymistyczne zapamiętywanie na poczytność jej wśród ludu. To prawda, że człowiek pisze poto, ażeby być czytany i na tem polega szczęście i nieszczęście pisarza. Niemniej jednak pragnienie to nie jest jeszcze motywacją pisarską najgłębszą, bo w gruncie rzeczy, jak ptak śpiewa, żeby śpiewać, wiedziony koniecznością, tak i pisarz pisze, aby pisać, aby się sam sobie odsłonić, wytłómaczyć. Wśród ludu wzbierała powoli, naprzód tylko w nielicznych jednostkach objawiając się, chęć

manii odrębności wsiowej. Tendencje te jednak naogół nie przeciwstawiają się sobie, są raczej tylko przez dokładnego obserwatora do rozróżnienia, przeważnie występują zgodnie w jednych i tych samych ludziach. „Pawie pióra“ bywają uważane za symbol wiejskiego zacofania, ale z drugiej strony, (jak to podnosi w jednym z feljetonów Jan Wiktor po zakopiańskim Święcie Gór w r. 1935) „widać wzrost zdrowego samopoczucia i ocknięcie się świadomości własnego samorodnego piękna u chłopów, na widok podziwu, jaki to piękno budzi u szerokiego ogółu“. Zwłaszcza na Podhalu wyraźnym jest tradycjonalizm i samopoczucie ziemnicowo-stanowe.

do pisania; konkursy wśród ludu rozpisane ukazały setki jednostek, które pragną, a nieraz i bardzo dobrze umieją, wyrażać się pismem; ich przykład jest zachęcający dla wielu innych i wolno powiedzieć, że się w masie ludowej nieomal żywiłowo szerzy chęć do pisania. Chcą pisać, wypisywać się — i taka oto jest, a nie inna racja bytu literatury ludowej.

Powie ktoś rubasznie i wzgardliwie: a cóż, niech piszą, papier i atrament drogie nie są, kto im broni? Ale dla badacza zagadnień kultury — i dla polityka-wychowawcy — sprawa tak łatwo się nie zamknie. Bo w swej obfitości zjawisko dane doszło już rangi zjawiska społecznego, (a nie czysto psychologicznego) — i wobec tego obowiązuje pytanie: czy jest to zjawisko pożądane, czy nie? Czy ta, tak żywo wśród ludu obudzona chęć spisywania swych myśli i przeżyć, jest czy nie jest, objawem dla narodowej kultury pożadany? Oto pytanie decydujące.

Mimo że zdaję sobie sprawę z pewnych niepożądanych stron psycho-kulturnej dezizolacji życia ludowego — której jednym z objawów jest owa współczesna fermentacja pisarska mas ludowych — to jednak na powyższe pytanie odpowiem stanowczo i pozytywnie: pisarstwo ludowe jest zjawiskiem zasadniczo zdrowym, bo pisarza ludowego wprowadza w nowe życie, które, mimo nieuniknionych niebezpieczeństw (jak np. zmanierowanie i t. p.) stanowczo zasługuje na tytuł wyższego i szerszego, albowiem wciąga wiele jednostek ludowych w cyrkulację narodowej kultury. A nie będzie w to wątpił nikt, komu znane są zwierzenia pisarzy ludowych: jaka to radość tak rozpętać w sobie myśl, dotąd zawiłą w sobie.

Pozatem, co także nie jest obojętnem, przez swą obfitość zjawisko to świadczy o jakiejś swej historycznej konieczności²¹⁾. Wobec tego jawi się kwestja całkiem na serjo, jakby ten budzący się żywioł ująć w takie jakieś łożysko, aby pisarstwo ludowe mogło spełnić funkcję pożyteczną, funkcję samowychowania się ludu do narodowej kultury, albo poprostu, aby stało się jednym z organów samokształcenia się ludu. Nie będzie to narzucaniem zzewnątrz celowości pisarzowi ludowemu obcej, bo, pominiawszy grafomanów, pisarzem ludowym jest ten człowiek, który jest gorliwym samoukiem.

Wyłania się kwestja, co robić, aby pisarstwo

²¹⁾ Ta chęć do pisania nietylko w masach ludowych współcześnie obudziła się jako zjawisko wprost żywiołowe, także i w wykształconych środowiskach, nietylko u nas, także i gdzieindziej, np. gdy w r. 1933 czasopismo *Nouvelle Revue Française* w Paryżu ogłosiło konkurs na wiersze, nadesłano dziesiątki tysięcy utworów, przy czem autorowie byli we wieku od lat 7 do 80, a byli między nimi profesorowie uniwersytetu, księża, oficerowie, nauczycielki, robotnicy, chłopci, dyplomaci, radcy ministerjalni, szoferzy, literaci, lekarze, dzieci szkolne, słowem wszyscy. Podobnie w r. 1936 na konkurs powieściowy jednego z pism codziennych paryskich nadesłano parę tysięcy utworów; gdy przed jakimś laty trzydziestu, to samo pismo takżsam konkurs ogłosiło, ilość utworów nadesłanych wynosiła parę setek. U nas konkurs powieściowy *Il. Kurj. Codz.* w r. 1935 przyniósł 571 utworów; na każdym zresztą kroku dowiadujemy się, że ktoś „pisze powieść“ lub przynajmniej marzy o takim pisaniu. Jak sobie to pisarstwo nagminne wytłómaczyć? Pewno jest to w jakimś związku z atmosferą kryzysową. Czy jednak we wiekach ub. np. epoce Rewolucji i wojen napoleońskich, był ten sam objaw? Może kto zechce stwierdzić. Swoją drogą, sam (poniekąd przypadkowy) fakt rozpisywania konkursów, napewno się przyczynił w walnej mierze do wzrostu tej chęci do pisania.

jako rzeczoną funkcję ująć? Trzeba roztoczyć nad niem jakąś opiekę, trzeba pisarza ludowego w jakiś sposób wychowywać; trzeba też coś do literatury ludowej dokładać, skoro ona sama nie utrzyma się, a jest wyrazem funkcji społecznie pożytecznej; jak wychowywać, w jakiej formie pomagać — nad tem przychodzi zastanowić się.

Człowiek z ludu chce cywilizowanym człowiekiem stać się — pisarz ludowy ma przed sobą ideał pisarza inteligenta — a ideał ten specyfikuje on według własnego gustu i na własną miarę. Więc przestańcie, panowie młodzi, teroryzować go ideałem pisarzy najwyższych, pozwólcie mu iść ze średnimi; przestańcie mu narzucać proletarjacki awangardyzm, kiedy on do inteligenckiego wyrafinowania waszej prolet-poezji nie dorósł, a wasz proletaryzm odrzuca, zdrowym wiedziony instynktem: jeśli nawet chłop bywa usposobiony rewolucyjnie, to jego rewolucjonizm jest raczej przygodny i polityczny, nie kulturny, ostatnie jego pragnienia są wcale nie komunistyczne, ale w istocie konserwatywne, gazdowskie; i zaprzestańcież panowie swym własnym misjonizmem ludowym szykanować autentycznego pisarza ludowego, który takich wygórowanych pretensyj nie żywi; Jantki i Kurasie czuli swą godność i swoje znaczenie, choć z rozsądkiem męskiej rezygnacji dobrze zdawali sobie sprawę, że miejsce ich w skromnym zaciszu narodowego piśmiennictwa; przestańcież ich obrażać zarzutem „półintelligenctwa“, zarzutem niesprawiedliwym, bo w kulturze rzadko kiedy skacze się bezpiecznie, najczęściej po drabinie ze szczebla na szczebel trzeba się wspinać, i taki, jak wasz, doping, może tylko do większej i gorszej, niż pewne naturalne jego kwantum, doży snobizmu ku-

sić. Powtórzmy to raz jeszcze i stanowczo: Pisarz ludowy nie może nie naśladować; kogoś naśladować musi — musi naśladować, bo chce rosnać i dojrzewać — a jeśli naśladować będzie literaturę niezrozumiałą sobie, to się zmarnuje. Istoty rosnące same pragną usztywnień wychowania; ale lichem wychowaniem jest wychowanie zbyt gorliwe: są szczeble dojrzewania, na których przymus nawet swobody jest — tyranją.

Chłop polski chce stać się cywilizowanym człowiekiem, ale wartoby, żeby i polskim chłopem pozostał²²⁾ — ale jak to pogodzić? — oto kapitalne zagadnienie. W naszej dziedzinie: Jak pogodzić te postulaty: ażeby pisarz ludowy nauczył się poprawnej mowy inteligenckiej, ale zarazem nie utracił bujnego konkretywizmu ludowej swojej mowy i wyobraźni? Ale czy to nie jest chęć zniesienia sprzeczności, które tylko w sferze wysokiego artyzmu dadzą się pogodzić? Pisarz ludowy to jest ten ludowy człowiek, który dużo czyta, który się z radością uczy — i to jest takie u niego sympatyczne. Ale czy, znowuż sferę wysokiego artyzmu wyłączywszy, czy intensywne czytelnictwo nie osłabia naturalnego, naiwnego artyzmu mowy i wyobraźni? Dlaczego rozmowy intelektualów, o ile nie dysputują, a dysputują coraz rzadziej, takie są często płaskie, anemiczne i ślamazarne? A jak dobrze bawią się gawędą i legendą prości ludzie²³⁾, jakich „bardów

²²⁾ Czytelnik znający pisma Stanisława Witkiewicza domyśli się że zdanie to jest nieznaczną parafrazą (autentycznego!) pytania, które mu zadał jeden mądry góral: „Jak się utrzymywać, aby być cłkiem cywilizowanym, a przecie chłopem polskim ostać?“ (*Na przełęczu* ed. II, 1906, str. 39).

²³⁾ J. Bojko (*Okruszyny z Gręboszowa*, 69) opowiada:

ludowych“, jak ich H. Rzewuski zwał, tych gawędziarzy wyśmienitych, miała dawna szlachta, co głów nad książkami zbytnio nie przemęczała! Bardzo więc możliwem, że życie książkowe i samorodny artyzm ludowej wyobraźni i mowy, naogół, na poziomie średnim talentu, nie godzą się ze sobą — i co na to poradzić?...

Sądziłem do niedawna, że należałoby usilnie popierać twórczość w gwarze — teraz jednak obawiam się na tej drodze znowuż snobizmu, jeśli nie wprost spekulacji. Znajduję bowiem w pamiętnikach chłopów, przynajmniej w jednym wypadku, pozowanie na ludowość, na gwarę; *paradebauer* nie jest przyjemnym typem i nie trza go w literaturze ludowej. Podkreśliłem już, że masom ludowym nie zależy na podtrzymaniu gwary i narzecz, bo one trzymają je w ich izolacji²⁴⁾. I wogóle, przy sposobności należy stwierdzić, pisarz ludowy, jeśli się wyraża w sposób „szczerze ludowy“ to ta szczerłość jest wtórną i artystyczną, dochodzi on do

„Mimo, że byli ludzie niepiśmienni i zabobonni, to jednak ich rozmowy o dużo nieraz były ciekawsze jak dzisiejszego pokolenia. Pamiętali pańszczyzniane czasy, różnych panów, ekonomów, przemarsze, wojny, zaznali różnej niedoli, to mieli o czem rozprawić. Rozumie się, że strachy, czarownice, światła i dusze, chodzące po strychu i izbie mieli na porządku dziennym...“ „młode pokolenie dziś nawet bawić się nie umie“. (*Okruszyny* Bojki były pisane przed wojną, dziś znowu ludzie mają straszne tematy do rozmowy...).

²⁴⁾ Przed paru laty toczyła się na łamach czasopisma *Teatr Ludowy* dyskusja, w której zabierali głos inteligenci Cierniak, Kwieciński, Koniński i chłopak wiejski z Pomorza Małyga, w sprawie używania gwar w czasopismach ludowych. Małyga skarżył się, że gwary są rozmaite, niektóre w jego okolicach niezrozumiałe, że zresztą oni chcą nauczyć się rozumieć najlepsze książki polskie. Inteligenci bronili gwary...

niej po drodze okrężnej, przez wzory poezji inteligenckiej w stylu ludowym. Gwarowa względnie narzeczowa poezja ludowa stanowi zupełnie nieznaczną i nieważną dotychczas część ludowej poezji pisanej — w czym dowód, że jakikolwiek moralny w tym kierunku przymus byłby bezskuteczny lub zgoła szkodliwy. Kto już dojrzeje do tego, ażeby się ponad konieczność używania gwary wzniesić, ten może oglądnąć się za nią jako swobodny jej miłośnik; trzeba móc wyjść na poziom ogólnonarodowej mowy literackiej, aby móc dobrowolnie zejść na poziom mowy ludowej i regionalnej — wtedy twórczość gwarowa będzie czemś konserwatywnem, a nie zacofańcem. Jestem przekonany, że autorami wierszy gwarowych, drukowanych czasem w prasie ludowej, są przeważnie jednostki z pośród młodzieży ludowej kształcącej się lub wogóle najoświecieńszej.

Aczkolwiek literatura ludowa nie może, jak obawiam się, utrzymać się sama, niemniej jednak pożądanem jest, aby zdążyła w tym naturalnym dla siebie kierunku: powinna urabiać się na literaturę wśród czytelników wiejskich i robotniczych rzeczywiście poczytną. Kiedy szukam jakiegoś dla niej, w tym celu, wzoru, znajduję pewnego szlachetnego, bardzo rozumiałego dla czytelników niewyrafinowanych pisarza, prawdziwego pisarza dla ludu, którego należałoby popularyzować — a popularyzować także i w tej nadziei, iż tym sposobem da się pisarzom ludowym przed oczy miłe i zajmujące próbki małej epiki (już mniejsza o to, czy rymowanej, czy prozaicznej). Jest to ten rodzaj literacki, który chyba najłatwiej na czytelnicznym rynku ludowym przyjmie się, a który uważam za najodpowiedniejszy, ażeby się na nim pisarz ludowy w swoim rzemiośle kształcił. Mała epika łatwiejszą jest bez

porównania od dużej (więc np. od powieści)²⁵⁾, ale zarazem stawia pisarzowi instruktywne wymagania: otrząsać się z cikliwych szablonów sentymentalnych, z łatwizny i beztreściwości taniego rymu, grażyć się głębiej w pamięć rzeczywistości, dowcipnie obserwować, no i wreszcie dochodzić do tej, wyższej nad sztukę łzawą sztuki, jaką jest sztuka wesoła... Czy jednak współczesny pisarz ludowy ma do rozporządzenia tak obfity zapas dykteryjek i anegdot, jakim dysponował gawędziarz szlachecki, a jakie są właściwą pożywką małej epiki? Homerycki świat Sabałowy już należy do bajki, co jeszcze tylko w literaturze żyje. Gdzie nowe awanturnicze żywoty ludowe?... O awanturach apaszów

²⁵⁾ Warto przy sposobności przytoczyć, co o (zdaje się dotąd jedynej?) francuskiej powieści ludowej Emila Guillaumin, *Życie prostego człowieka* (*Vie d'un Simple*, I ed., 1905, II ed., 1935) powiada feljetonista literacki jednego z dzienników (*Action Franç.* 10/1/1935): „Powieść ta jest dokumentem godnym uwagi: jest to powieść o życiu czynszownika, człowieka związanego z ziemią, która doń nie należy. Napisana jest z dobrą wiarą, która budzi zachwyt, niepretensjonalnego u pana G. Nad powieściami z życia chłopskiego, które się dziś ukazują, ma tę wyższość, że nigdy nie szarżuje, mówi tylko prawdę. Czyż jednak byłoby to nieodpowiedniem myśleć, że powieść powinna być dziełem sztuki i przede wszystkim jako takie być oceniana? Otóż ja nie jestem pewien, czy *Vie d'un Simple* jest oceniana w sposób należyty. Chcę przez to powiedzieć, że w opinii tych, którzy tak wysoko stawiają to dzieło, bezwątpienia cenne, względy uczuciowe zbyt wiele znaczą. Czy, gdyby autor nie był samoukiem, wieśniakiem, który się wziął do spisania tego, co mu jego przodkowie opowiedzieli, czy przyjęłoby go z takimi względami? Przekonany jestem, że byłoby całkiem inaczej. Z pewnością, zajmuje mię żywo sama osoba autora. Zajmuje mię również ten głos, choć niezręczny, który się podniósł z łona włościństwa francuskiego i dopomaga nam poznać je lepiej. W ocenie tego zdarzenia lite-

nie myślimy tu. Czy, co ważniejsza, współczesny pisarz ludowy, może mieć tyle humoru i fantazji, które są niezbędną przyprawą małej epiki — ile ich miał pisarz typu starszlacheckiego, nawet tak osobście nieszczęsny, jakim był ów dobry nasz Syrokomla?...

Jakkolwiekby, tym może sposobem pisarz ludowy zdobędzie sobie środowisko czytelnicze, co go utrzyma lub przynajmniej podtrzyma? Byleby nie chciał w razie powodzenia rzucać gospodarstwo

rackiego sympatja nasza zbyt jest zainteresowaną, wszystko co p. G. opowiada jest zbyt sympatyczne, abyśmy się nie wzruszyli. Ale wkońcu, powiedzmy sobie prawdę, w tej grubej książce bez zdarzeń, gdzie czas upływa opowiadany tak spokojnie, jak spokojnym jest krok konia roboczego, zamało jest sztuki. Brak stylizacji, mimo że niektóre z tych kart pisanych starannie są urocze. Całość pozostaje tak szarą, jak te dobre zadania francuskie, dobrze napisane i dobrze naśladowane, które szkoła przechowuje na pamiątkę. Wyobrażam sobie, że gdyby to nie była książka francuska tylko tłómaczona, to odniosłaby świetny sukces snobizmu; ten, którym się cieszy, jest jednak głębszy i rzeczywistszy od snobistycznego. Jakkolwiekby, trzeba odróżniać to, co się samo prosi o odróżnianie. Prawda, cnota, prostota są to wartości wysokie i są nawet wartościami artystycznymi; ale nie są artystycznymi do tyła, iżby dzieło literackie wznieść do wyżyny stylu. Niema literatury chłopskiej ani proletarjackiej: jest poprostu i tylko literatura“ (R. Brasillach). Konkurs powieściowy *Ilustrowanego Kurjera Codziennego* w r. 1935. przyniósł kilkaset utworów, a pomiędzy nimi kilkanaście niewątpliwie ludowego pochodzenia. Sąd konkursowy znalazł między autentycznie ludowymi jednego, zasługującego na nagrodę. Jest nim W. Pawlak, por. o nim w tomie II, w rozdz. pt. *Wzmianki o innych pisarzach ludowych*. Tam również szukaj Jana Brzozy, autora powieści *Dzieci*, (1936, Książnica-Atlas), która ukazała się już po oddaniu do druku rzeczy niniejszej (Laureat owego konkursu II. Kur. Codz., Juliusz Kędziora (Marcyna) jest inteligentem).

i iść na pisarza zawodowego, niezależność swą sprzedawać wydawcy, a czas swój gwałcić przymusem pisania; mogą sobie na ten przymus pozwalać pisarze dojrzały, ale pisarz dojrzewający marnowałby się pod takim naciskiem. Czyż nie lepiej jest myśлом, co dojrzewają powoli i długo, w zaciszu uwagi skierowanej na jaką prostą i zdrową robotę rąk, (byle nie robotę zadyszaną od taylorizmu!) — niżli myśлом spędzanym przedwcześnie przez konieczność zarobku?...

Cele więc opieki nad pisarstwem ludowym są te: pomagać pisarzom w ich rozwoju literackim i wogóle intelektualnym; zapomocą rozważnej i liberalnej „polityki literacko-wychowawczej“ nakierowywać literaturę ludową na przemyślane jakieś, najodpowiedniejsze drogi rozwojowe. Nietrudno już będzie zdać sobie sprawę, jakie mają być wskazania praktyczne.

Wskazania praktyczne chyba nie inne są, tylko te: rozpisywać konkursy, wyławiać talenty, najwyższym, którzy wiele obiecują, jeśli jeszcze dosyć młodzi, umożliwić wyższe ukształcenie się umysłu, bo im wyższe ma być dzieło sztuki, tem głębszego wymaga intelektualnego wyrobienia; innym pomagać zapomocą nagród konkursowych, a w jakichś szczególnie uwagi godnych wypadkach, ułatwiać wydawanie zapomocą subwencji wydawniczych. Konkursy powinny mieć znaczenie wychowawcze, być tak obmyślane, aby ich uczestnicy stopniowo szli od jednych zadań literackich do drugich, od łatwiejszych do trudniejszych. Pożądaną byłaby poradnia literacka, któraby nadsyłane utwory — wyjąwszy chyba płody notorycznych manjaków — traktowała jako środki wyrabiania się umysłowego piszących; poradnia ta mogłaby też dopomagać im

wypożyczeniem książek, jakich lektura okazałaby się w danych wypadkach wskazaną. Wreszcie przydałoby się ludowe pismo literackie, jako organ tej poradni, któreby najlepsze utwory drukowało — (honorarja tylko po jakimś kwantum wydrukowanych utworów!), któreby zamieszczało przeglądy i sprawozdania literackie popularnie pisane, ale wytrawnymi piórami, a także wyjątki z najlepszych i rozpowszechnienia godnych dzieł literatury narodowej, czasem i tłumaczeń. Powinnoby to być pismo popularne, bez pedanterji ale pouczające, o charakterze do tego stopnia rozrywkowym, iżby je chętnie brał do ręki każdy.

Tą robotą musiałyby się zająć, częściowo jako zawodowcy, kilka osób — a grono to składać się winno tak z oświatowców, jak z literatów teoretyków, którym nieobce są problemy pedagogji literackiej. Przed jednym należałoby jaknajusilniej przestrzec: przed politykami, którzyby w taką czysto wychowawczą robotę wprowadzili niechybnie namiętności tu zbędne, oceny interesowne. Naturalnie, toby musiało trochę kosztować, choć nie tak wiele, gdyby się to robiło bez biurokratycznego manjactwa²⁶⁾.

Niebardzo przyjemnie jest w czasach powszechnej biedy i powszechnej projektomanii zgłaszać jeszcze jeden projekt, który musiałby trochę, choć niewiele, kosztować. Ale sam bieg wywodów niniejszych logicznie doprowadził do tych wskazań praktycznych; potrzeba zresztą roztoczenia pewnej opieki

²⁶⁾ Np. możnaby, czasem, zrzadka, jakiś kurs porządny urządzić; ale nie zmasowywać gwałtem! Posłać parę dobrych książek i niech tam sobie radzi; tak było np. z Kurasiem. Najlepszy sposób pomocy człowiekowi w jego rozwoju jest: **u n i e s a m o t n i ć** — w s a m o t n o ś c i.

nad twórczością ludową daje się uczuć nietylko u nas, np. niedawno we Francji powstało odpowiednie towarzystwo, w którym zasiadają najwybitniejsi pisarze, jak Valéry i t. p.²⁷⁾, najważniejsze jednak to, że sami pisarze ludowi pragną, aby się nimi zajęto. I tak, młody poeta W. Breowicz, powiada: „Kto zgadnie jaka ilość samorodnych talentów z Bożej łaski zmarnowała się na wsi w ciągu wieków, nieodkryta światłu dziennemu, bo nigdy przez nikogo nie szukana? Żal czujemy do tych, którzy zamiast wyszukiwania, popierania i prowadzenia na szersze życia horyzonty takich talentów, zabijają je...“ Pominę dalsze słowa niekoniecznie sprawiedliwe; o żadnym „zabijaniu“ mowy niema, tembardziej „z premedytacją“... Niemniej jednak prawdą jest, że jest obowiązkiem tych, którzy narodowej kulturze przewodniczą, tej fermentacji pisarskiej mas ludowych nie pominąć obojętnie, tych młodych nie puścić samopas, ale za nich przemyśleć ich trudności, z którymi oni sobie rady dać nie mogą, i pomagać im tak, ażeby te zdrowe fermenty dusz obracały się nie w jady złośliwe, ale w radość dla nich, a na poży-

²⁷⁾ *Nouv. Revue Franç.* (luty 1935) donosi: „Konkurs poetycki rozpisany przed dwoma laty przez NRF. wykazał ile chęci i potrzeby wyrażania się lirycznego kryje się nawet w tych środowiskach, gdzie, zdawałoby się nie zachęca do poezji. Wobec tylu tak wzruszających świadectw, nie bez przykrości myślało się o tylu dobrych chęciach pozostawionych niepewności, zdanych na los przypadkowych lektur, na dezorientację pośród nowości najsporniejszych i tradycyj najbardziej zmurszałych. Toteż napewno ku zadowoleniu rozpierchłego dotąd ogółu piszących, zostało założone Tow. Poetyckie (*Société Poétique*), które nie będzie na usługach żadnej szkoły literackiej, ale będzie miało na celu służyć poezji wszędzie, gdzie się tylko ona pojawi“...

tek szły narodowej kulturze. Pośród wielu zagadnień, stawianych przez życie współczesne naszej odpowiedzialności, — odpowiedzialności warstw oświeconych i kierujących — jawi się nowe, nie najważniejsze coprawda, ale także nie błahe.

Czego możemy się nauczyć z literatury ludowej?

Naprzód zauważmy, że jest ona bogatą kopalnią wiadomości dla ludoznawcy, lecz i dla polityka, czasem historyka, badacza gospodarczego, dla badacza prądów ideowych i wogóle zjawisk kultury; socjolog znajdzie przyczynki do takich zagadnień jak stosunek środowiska do nieprzeciętnej jednostki; okaże mu się, że jednostka wybitniejsza niż ogół dąży do w p o w i e d z e n i a się się nietylko czynem lecz słowem; wychowawca zauważy, jak człowiek wybitniejszy, już od dzieciństwa stwarza sobie własny świat myśli, że sobie pomaga do tego książkami, których łąknie. I następnie: możemy nauczyć się tego, na co już poprzednio w tem studjum wskazałem: że ta powszechnie ożywiona chęć do pisania jest oznaką wzbierających energii, budzących się ambicji, otwierających się na wielkie dziejowe pytania umysłów, serc głęboko zaniepokojonych stanem świata. Tak zwany „dół“ społeczny zaraził się, we wspaniałej epidemji, temi straszliwymi pytaniami, które wydawały się przywilejem tylko sfer najinteligentniejszych, najoświecieńszych. Te oto pytania teraz warstwom przodującym stawiają, całkiem świadomie, masy: Dlaczego jest źle? Czy lepiej być nie może? Co robić, ażeby było lepiej? Od tych pytań już uciec nie można.

Pisarze ludowi stawiają nietylko pytania, próbują znajdować odpowiedzi. I z głębokiem współczuciem czytelnik śledzi tę rozpaczliwą pracę umy-

słów dopiero dojrzewających, nad rozwiązaniem zadań olbrzymich, z którymi sobie tyle umysłów zupełnie dojrzałych, rady dać nie może.

Tu pozwolę sobie na pewną dygresję, która jednak zbyteczną dygresją nie będzie, — bo o znaczeniu umysłowości ludowej, gdy wkracza w życie dziejowe. Jest obowiązkiem warstwy najwyżej w społeczeństwie wykształconej, wziąć w siebie, aż do krwawego dna swej odpowiedzialności, wszystkie te pytania, które biedny i niemocą swą zrozpaczony człowiek z warstw fizycznie pracujących, sobie i światu stawia. Ale decyzje dziejowe mas, choćby je nawet reprezentował jakiś genjusz woli i energii, mogą być tylko zbyt uproszczone, zbyt jednostronne, zbyt krótkowzrocznie utylitarne, więc zbyt brutalne i dlatego zbyt groźne dla cywilizacji. Cywilizacja jest sprawą wolności i pietyzmu, wysiłku i ulgi, sceptycyzmu i wierności, uśmiechu i patosu, dyscypliny i uprzejmości, ostrożności i ostatecznych wyborów, tajemniczych heroicznych porywów i umiarkowania rozsądnego, walki i pokoju, współzawodnictwa i współdziałania... Jest więc machiną sztuczną, kruchą, skomplikowaną, kosztowną, łatwą do zepsucia, trudną do naprawienia.

Tylko ludzie zdolni do rozumienia i czucia komplikacji, mają kompetencję, by cywilizacją, więc społeczeństwami, kierować. Naturalnie nie o to idzie, aby władcze wartości człowieka, który zasługą i zdolnościami wzbija się do środowisk kierowniczych mierzyć dyplomem czy tam świadectwem maturalnym!... Można bez świadectw być wykształconym i mieć to, co się nazywa „kulturą ducha“, nie mieć jej z egzaminami. Że jednak wśród ludzi bez wyższego wykształcenia częstszą jest groźba

t. zw. (lekceważąco) „półinteligentkiej“ mentalności, to także nie potrzebuje osobnego dowodu...²⁸⁾.

Wracam do tematu literatury ludowej: Zależy tu na tem, iżby nawet tak bądź co bądź imponujące okazy pisarstwa ludowego, jak np. w piśmiennictwie niemieckiem pewien słynny już pamiętnik robotniczy, nie unosiły czytelnika w podziwie dla nich tak dale-

²⁸⁾ Już chyba dostatecznie wyraźnie w ciągu wywodów niniejszych wskazywałem, że stanu umysłowego między wyższą kulturą umysłową, a brakiem wykształcenia, nie lekceważy się tu, że owszem bronie nawet pewnych mankamentów pozycji, która jest pozycją rozwojową, nieuniknionych defektów zdrowego zjawiska społecznego, jakim jest dążenie ludu do wyższej oświaty. Ale warunkiem respektu dla człowieka w tej fazie przejściowej będącego, jest jego takt i bezpretensjonalność. Dla ludzi tego typu trzeba wynaleść jakieś inne słowo niż „półinteligent“, bo o wszystkim, co jest „pół“ mimowoli myśli się nie bez lekceważenia — a tymczasem są połowiczności, które nie „są już“, ale „jeszcze“, idą wzwyż... Dość, że słowa „półinteligent“ użyłem tu nagannie — a zagadnienie psychiki zw. półinteligentką jest tu przy omawianiu literatury ludowej nie do obejścia. Myślę, że znamieniem mentalności półinteligentkiej jest właśnie brak poczucia własnych granic, wygłaszanie, na podstawie lektur wytrawnie nieprzemysłanych, sądów despotycznych i kategorycznych, jest, poprostu, śmieszna, a w pewnych okolicznościach nawet oburzająca arogancja. W znamienitym skądinąd pamiętniku A. Hitlera, (*Mein Kampf*), znajdujemy, gdy chce filozofować, ustępy wprost oburzające: Najbrutalniejszy, a płytki kult siły i powodzenia wypowiada w pełnych namaszczenia słowach, które wydają mu się czemś rewelacyjnym, a są to zużyte klisze do ludzi i społeczeństw, zastosowanego zwulgaryzowanego darwinizmu, z domieszkami i ozdobami zwulgaryzowanego również, heglizmu; wygląda tak, jakby mentalność półinteligentka służyła do demaskowania ordynarności i płycizn mentalności i kultury inteligentkiej narodu i epoki.

ko, by aż zapomniał o posłannictwie własnej warstwy społecznej.

Na cóżby zdała się ludzkości dziejowa odwieczna praca nad usprawnieniem umysłu, gdyby można było najtrudniejsze cywilizacyjne zagadnienia rozstrzygać gordyjskimi cięciami umysłów niezupełnie wyrobionych? Warstwa, której za to płacą, żeby myślała, obmyśliwała i przemyślała za mniej wprawnych w myśleniu ich własne kłopoty, może swój obowiązek wobec warstw fizycznie pracujących tylko wtedy spełnić, kiedy się swego władztwa, swego społecznego i wychowawczego prymatu nie wyrzeknie, kiedy się we własnej świadomości nie zdeklasuje. Staralem się to wykazać na skromnym przykładzie jednego z zagadnień pisarstwa ludowego: Do pomocy pisarzom ludowym i literaturze ludowej pocujemy się zobowiązani pod tym warunkiem, że zdamy sobie sprawę, iż jeśli my wielu i ważnych rzeczy od nich możemy się nauczyć, to jednakowoż o wiele więcej oni mogą nauczyć się od nas — i sami tak chcą! Chcą tak dopóty, póki nie ulegli rewolucyjno-klasowej demagogji.

Co innego sprzeciwić się perwersyjnej i fałszywej, nawskroś inteligenckiej zresztą, bo obcej i śmiesznej dla prawdziwego, niezmanjerowanego, człowieka z ludu, idei misjonizmu czy tam mesjanizmu ludowego, a co innego ocenić prawdziwe walory ludu, umysłowe, moralne, polityczne. I tak kto się zapoznał z naszą literaturą ludową, ten niechybnie stwierdzi, że w sferze zagadnień bliskich i konkretnych, które wzrokiem swoim ogarnąć może, lud nasz ma tyle zdrowego i bystrego widzenia, iż bezwarunkowo należy go uznać za zdolny do samorządu... Nie wolno też odsądzać naszych prostych

ludzi od troski o Rzeczpospolitą: bo nieraz już dawali dowody patryjotyzmu świadomego, w literaturze ludowej nierzadkie są tego patryjotyzmu wyrazy.

Polska literatura ludowa ma kilka nazwisk, któremi śmiało poszczycić się może. Przedewszystkiem więc męskim i nawskroś dojrzałym mówcą i publicystą Wincentym Witosem, który, nigdy wsio-wego rodzaju bycia nie zbywszy się, poziomem swej wymowy już nie do ludowego ale narodowego krasomównstwa należy; po nim wymienię zamaszystego, jakby w staropolskim typie, publicystę i mówcę Jakóba Bojkę; oryginalnie myślącego samouka Józefa Nieckę; poważnego, prawdziwie „gazdowskiego“ w całym geście zewnętrznym i wewnętrznym, ściśle rzeczowego pamiętnikarza Jana Słomkę; Władysława Berkana, którego pamiętnik jest swego rodzaju wzorowym „podręcznikiem energji“, w jakimś iście Smiles’owskim stylu; biblijofila i erudytę Jana Wantulę, który, z robotnika w hucie, jest bibliotekarzem i odkrywcą białych kruków w starej bibliotece kościelnej, wcale nie porzucając przytem swych robót polnych i ogrodowych na małym rolnem swem gospodarstwie; ci dla poziomu swych wypowiedzi nie potrzebują żadnej wyrozumiałości. Wysoce ciekawi są, tacy, już z pogranicza prymitywu, jak głęboki rozmyślacz religijny, świątobliwy starzec samotnik z pod Babiej Góry, Piotr Borowy, albo Jan Rak, oglądacz bydła, jeden z pierwszych poetów ludowych, syn pańszczyźnianej jeszcze epoki, utalentowany snycerz a gorzki i zuchwały liryk, który na odwrócenie certyfikatów bydłących wypisywał swe utwory poczęte z ducha jakiegoś chrześcijańskiego cynizmu. Młody, przedwcześnie zmarły podczas wojny Kajetan

Sawczuk z Podlasia, liryk, któremu Konopnicka była mistrzynią, wychowanek organizacji niepodległościowych, poziomem i typem swej rewolucyjnej entuzjastycznej retoryki nie ustępuje wielu spośród ówczesnego poetyckiego pokolenia kształcącej się młodzieży. Godnym Sawczuka następcą jest Konstanty Dobrzyński, który jeśli się dalej tak rozwijać będzie, wejdzie już do „literatury literackiej“. Góral Stanisław Nędza Kubiniec jest pierwszym gwarowym pisarzem autentycznie ludowym, który się dobija artyzmu, i który bardzo wyraziście wyraża współczesne fermenty ludowe. Za nimi idą Jantkowie, Kurasiowie, Magrysiowie i inni, prawie zawsze sympatyczni przez bezpretensjonalność, dobrą obywatelską i ludzką wolę, religijni bez zabobonu, pełni uczciwego męskiego rozsądku, gorliwi i wytrwali samoucy i czytacze, zdobywcy poprawnej, niekiedy naprawdę wdzięcznej formy literackiej. Kiedy zaś do najnowszej masowej produkcji pamiętnikarskiej przejdziemy, to wprost zdumieni i uderzeni będziemy, tak obfitością samorodnych talentów literackich, jak i ogólnym poziomem wysłowienia się. Głęboko poruszy nas ta moc dobrej woli, cierpliwości, a nie raz najwyższy, bo nikomu nie znany, cywilny heroizm, z jakim ci bezimienni, w szarym tłumie biednych ukryci, przez przypadek tylko konkursu literackiego do głosu skuszeni, ludzie młodszy i starszy, ostatkami sił walczą o byt fizyczny i moralny, o okrusz chleba, i o to, żeby rozpaczy nie dać się, i nie uronić nic z przyzwoitości, honoru, a niekiedy i wiary w Boga sprawiedliwego.

Zdajemy sobie sprawę, że ci, co się do pisania wzięli, to ludzie oświeceńsi i nie całkiem w tem śró-

dowisku przeciętni. Ale wiemy i czujemy, że za nimi stoi masa, co ich wydała, życie ludowe, w którym urosli i za które głos zabierają. Więc głęboki żal nas zbiera i oburzenie, na widok tych niezliczonych, co się jak muchy na lepie szarpia w swojej niemocy. Ten smutek przeciwważony jest (ale zarazem i powiększony!) optymizmem patriotycznym, który ogarnia po zapoznaniu się z naszą literaturą ludową. Wygląda z niej smutne dziś, ale jeszcze zdrowe oblicze rasy, rzeźkiej, wytrwałej, o głowach otwartych, lojalnej, po żołniersku gotowej iść za dowódcą, coby znalazł właściwe słowo; z polską rasą ludową — jeśli się ją pojmie i uszanuje — można iść ku możliwościom śmiałym i wysokim. O tem uczą nasi pisarze ludowi.

Dlatego, myślę, nie straci czasu, kto, niniejszą antologią zachęcony, w lekturach swoich nie pominie utworów polskiej literatury ludowej. Aby ją należycie ocenić, jej względne i jej bezwzględne walory, jej naiwności i jej osiągi poznać, należało wniknąć w jej zagadnienia, — które autor tego studjum starał się rozważyć wedle tych jedynie intencji: życzliwości i rzeczowości.

Rzecz niniejsza była napisana na wiosnę 1935 r., z niektórymi zmianami formalnymi oddrukowana tu z *Kultury i Wychowania* 2/1936.

A) PAMIĘTNIKARZE.

I. JAN SŁOMKA.

Jan Słomka, urodz. 1842, w Dzikowie, w pow. tarnobrzesckim nad Wisłą (b. zab. austrj.) syn gospodarza 6 morgowego, (ojciec przybysz z za Wisły, z pow. sandomierskiego), najstarszy z 6-ciorga rodzeństwa. Pierwsze wspomnienie z 1846 r. kiedy byli przerażeni, że „rabacja“ idzie, płakali, zakopali w ziemię dopieroco zarżniętego wieprzka. W 10 roku życia traci ojca, zabitego przez celników austrjackich na Wiśle. Przez dwie zimy, na usilną swą u matki prośbę, uczęszcza do szkółki, utrzymywanej we dworze przez Gabrjelę Tarnowską. Swoją nauczycielkę, Pawłowską, jeszcze po latach odwiedzi w innej miejscowości: „Witała mię jak czuła matka, pocałowała w czoło i wypytywała troskliwie o tych co ze mną do szkoły chodzili“. Dopiero jako wójt poduczy się pisania należycie. Traci matkę 15 letnim chłopcem, jest pod opieką stryja i babki, „lekarki“ okolicznej, kobiety bardzo rządnej i pobożnej. Z wojska reklamowany; żenią go gdy ma lat 19: „Jednak i po takim, w owych czasach powszechnym, przyniewolonym ślubie, małżonkowie żyli ze sobą przeważnie dobrze“. Wesele z wielką paradą, do ślubu jechało więcej niż 40 fur krewnych i znajomych. Żona wnosi w posagu

dwie krowy, klacz, dwoje prosiąt i pół(!) wozu. Gospodarstwo po rodzicach spada na niego, warte 300 reńskich; rodzzeństwo wyposaża, zostaje przy 4 morgach. Żyje z produktów roli i z furmanienia. Wydatki pieniężne roczne oblicza na 30 reńskich. W 1863 r. wielkie wrażenie na niego i na okolicę wywiera śmierć młodego Juljusza Tarnowskiego, poległego niedaleko na czele oddziału swe-go. Dla polepszenia bytu bierze się do doświadczeń rolnych: „O potrzebie odmieniania nasienia do siewu i sadzenia nikt nie myślał. Nasienie było marne, zwyrodniałe, od ojca każdy miał tę naukę, żeby swoje własne nasienie siał i sadił, a także nie sprzedawał go drugiemu do siewu i sadzenia, boby mu się do drugiego gospodarza przewiedło“. Płodozmian również nie był skuteczny, ale tę „naukę ojcowie wpajali w synów, aby tylko tak siać i sadić, bo inaczej urodzaj chybi. Każdy też tej nauki trzymał się, aby nie uchybił i nie był wyśmiany“. Gdy Słomka posadził swe ziemniaki na polu, na którym dotąd tylko proso i żyto siano, jeden ze starych gospodarzy śmiał się: „Twój ojciec i twój dziadek stąd ziemniaków nie jedli i ty nie będziesz jadł“. Ale S. zdobył się na odwagę i sadzenia dokończył, a ziemia dobrze obrodziła; staruszek wtedy nieraz mruczał do siebie: „U młodego to się rozumu uczyć, u młodego“. „Ten wypadek nauczył mię — mówi S. — bardzo wiele. Od tego czasu coraz mniej zważałem na gadki i śmiechy ludzkie, coraz śmieiej zrywałem z przesądami“. Zbiera doświadczenia z płodozmianem i osiąga dobre wyniki; z biegiem czasu zabiera się do przedsięwzięć handlowych i przemysłowych i dochodzi do dość pokaźnego mająteczku: 20.000 reń-

skich, zatrudnia dobrą garść robotników. Chętnie wyjeżdża z Dzikowa, do krewnych w Królestwie i w Ziemi Czerwieńskiej, do Krakowa, do Lwowa, w interesach i na uroczystości narodowe: „Nigdy nie żałowałem wydatków na podróże, chcąc się czegoś nauczyć“. W ciągu 14 lat, 1861—1885, żona powiła mu 12-cioro dzieci, z których dochoowało się 8-ro, w tem 3 synów; z nich jeden poszedł na uniwersytet, jeden został rzemieślnikiem (malarzem), jeden pozostał na roli, z córek jedna została nauczycielką, jedna zakonnicą, inne zostały na wsi. Pod koniec życia liczy sobie 22 wnuków, zaczynają przybywać prawnuczęta; ojcem chrzestnym jednego z nich jest Roman Dmowski. Przez 40 blisko lat jest wójtem swej wsi. Wojnę przeżywa na miejscu, później we Wiedniu i znowu na miejscu, gdzie od powracających wojsk austriackich doznaje wielu przykrości i jest nawet w niebezpieczeństwie życia. Umiera w r. 1932.

Godnem jest uwagi, co Słomka, tłumacząc się dlaczego pisze, mówi na początku książki o stanie, jaki zastał w swem dzieciństwie, a przy jej końcu o postępie wsi, jak widzi u końca swego żywota: „Do pisania onieśmiało mię zawsze to, że nie miałem odpowiedniego przygotowania szkolnego; skłaniały zaś ważne okoliczności, w szczególności to, że w ciągu swego życia patrzyłem na ogromne przemiany, jakie wokół mnie zachodziły, zwłaszcza w życiu włościańskim i uważałem, że pożyteczną rzeczą będzie utrwalić je w książce i przekazać potomności. Dziś trudno prawie uwierzyć, żeby rozmaite sprawy i urządzenia były na wsi do niedawna jeszcze możliwe. Wydaje się np. jakby snem tylko, że przed 80 laty chłop nie miał swojej własności

i był tylko jakby zwierzęciem pociągowym, że mieszkanie jego składało się z jednej izby bez podłogi; że chałupy chłopskie były bez komina i dym w nich rozchodził się po izbie, w której ludzie wędzili się jak piskorze; że po wsiach nie było szkół i w kościele bardzo rzadko widziało się człowieka, żeby się modlił na księżce...“ — tak snuje obraz pierwotnego i ciemnego bytu. Gdyby więc „dawniejsi ludzie, którzy żyli przed pół wiekiem, wstali z grobu i przyszli do nas z tamtego świata, to nie mogliby się napatrzeć i nadziwić tym wszystkim przemianom: dziwiliby się, że tyle domów i ludzi przybyło, że w domach i koło domów inne niż dawniej porządki, że inne zgoła narzędzia rolnicze i gospodarskie, że ludzie inaczej okryci — i dziwnoby im było, skąd na teraźniejszych małych gospodarstwach może na to wszystko wystarczyć — a już zdumienie wywoływałyby bite, równe gościńce, szkoły, instytucje gospodarskie, społeczne, słowem na co zwróciliby uwagę, nie umieliby sobie wytłumaczyć, skąd się to wszystko wzięło, kto to wszystko wyrobił i jakim kosztem. Że po wsiach zaczął się postęp, wpłynęły na to różne przyczyny, a ważniejsze z nich są następujące“: Tu omawia zniesienie pańszczyzny, zaprowadzenie hipoteki, autonomję kraju, regulację rzek, lepsze narzędzia rolnicze, bite drogi i koleje żelazne, parcelację, wychodźstwo zarobkowe, oświatę, zmniejszenie się pijaństwa, przyrost ludności — bo „ludzi przybywało a gospodarstwa malały, wszyscy zaś żyć musieli“ — więc wzięli się lepiej gospodarować, zabrali się do innych zarobków. Słomka nie potępia wszystkiego, co stare, np. żał mu dawniejszego chłopskiego życia sąsiedzkiego, które dziś osłabło, daw-

nych wieczorów, spędzanych na długiej i żywej gawędzie; ale nie jest skostniałym staruchem, co potępia bez wyjątku wszystko nowe.

Pamiętnik Słomki jest dotąd jako pamiętnik ludowy nieprześcigniony. Nietylko wszechstronna obfitość treści obiektywnej i dokładność, naukowa wprost, relacji, pasują go na pamiętnik wzorowy (klasyczny) bez którego historyk społeczny nie obejdzie się, lecz i forma na wskrós dojrzała. Najczystszy i najpoprawniejszy język polski literacki, ściśle rzeczowy, bez wszystkiego, co zbędne, bez żadnej choćby sympatycznej naiwności, świadczącej u innych o pewnym arrywizmie uczuć kulturalnych; zdanie budowane przejrzysto i rytmicznie. A w tej formie i treści, wyraża się osobistość pełna zdrowego rozsądku, powściągliwa, taktowna. Nawet opisując żywioł sobie niesympatyczny, z którym miał wiele przykrości i którego machinacyj na własnej skórze zaznał, nigdy nie wyjdzie z formy, zawsze przyzwoitej; zawsze umie oddać każdemu co jego. Tak, Słomka ma w sobie niewątpliwie „coś z Piasta“, jeżeli ten mit jest stwierdzeniem jakiejś wrodzonej dostojności rasy polskiej, już w ludowych jej złożach. A jego oblicze i postawa wyrażają doskonale tę prawdziwie godną postawę ducha.

*

Jan Słomka. *Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, z przedmowami prof. dr. Franciszka Bujaka, prof. dr. Wacława Sobieskiego, do druku przygotował Jan Słomka młodszy. Wyd. II., Kraków, nakł. Tow. Szkoły Lud. [ed. I. 1912].

1. [Pierwsza nauka. Nauczycielka Pawłowska, 9].

Pozostało nas 6-cioro dzieci sierotami, a z tego dwoje młodszych pomarło niespełna dwa lata po ojcu, a chowało się nas dalej czworo pod opieką matki i dziadków Gierczyków.

W owym czasie nastąpiła w Dzikowie szkołka elementarna, a założyła ją własnym kosztem ś. p. hr. Gabryela z Małachowskich Tarnowska. Ona to sprowadziła panią, która nazywała się Pawłowska, i wybrała kilkanaście dziewcząt ze wsi, żeby je ta pani uczyła czytać, pisać i robót ręcznych.

Po roku czy dwóch istnienia tej szkółki — a miałem wtedy rok 12-ty — gdy przyszła jesień, i było przestało chodzić na pastwisko, prosiłem usilnie w domu, żeby mię posłali na naukę do pani Pawłowskiej. Po długich namysłach posłali mię i chodziłem na naukę przez zimę. Przez ten czas poznałem abecadło i nauczyłem się składać litery czyli „ślabizować“, bo wówczas tak się nauka odbywała, że najpierw były wszystkie litery, następnie uczono składać je w słowa — a potem dopiero czytać i pisać; do nauki zaś służyły małe książeczki, zwane groszówkami. Pani Pawłowska lubiła mnie i wyróżniała z pomiędzy dzieci, bo do nauki przykładałem się z ochotą i dobrze.

Nauka odbywała się w budynku hrabskim, dziś jeszcze istniejącym przy ulicy Zamkowej. Zaczynała się w jesieni, gdy było przestało chodzić na pastwisko, a kończyła na wiosnę, skoro było zaczęli wyganiać i dzieci zaczęły pasać.

Pawłowska przestrzegała u dzieci pilności w nauce i przyzwoitego zachowania się w szkole i poza szkołą. Kto się nie uczył, musiał „trzymać osła

za ucho“. Ta kara była największym wstydem wobec dzieci i bali się jej najwięcej, więcej, niż bicia linją po dłoni czyli tzw. „pacy“.

Z końcem roku szkolnego był popis publiczny czyli egzamin, na którym bywała hr. Gabryela Tarnowska, księża i rodzice dzieci szkolnych. Pawłowska prosiła zawsze, ażeby rodzice na egzamin przychodzili, zwłaszcza, gdy dziecko uczyło się dobrze. Dla rodziców było też to wielkim zaszczytem, jeżeli dziecko ich popisywało się dobrze na egzaminie w czytaniu, pisaniu czy rachunkach.

We wsi wszyscy tę panią nauczycielkę poważali, a matki dzieci, uczęszczających na naukę, zanosily jej szczególnie w zapusty, na kolendę, kiebasę, jaja, masło itp., — choć tego wszystkiego nie potrzebowała i nie prosiła o to, bo miała wikt w zamku. Ona też nawzajem umiała z gospodarzem czy gospodynią porozmawiać i uszanować ich.

Z wiosną po jednej zimie nauki, przestałem, jak inni — uczęszczać na naukę i całe lato spędziłem na pastwisku. Przestała też istnieć i ta szkółka w Dzikowie. Pawłowska przeniosła się do Radomyśla nad Sanem, gdzie z nią, już po ożenieniu się, widziałem. Przy tem spotkaniu jeszcze można było widzieć jej przywiązanie i pamięć o dawnych dzieciach szkolnych. Witała mię tam, jak czuła matka, pocałowała w głowę i wypytywała troskliwie o tych, co do niej na naukę chodzili¹⁾.

Przez następną zimę chodziłem jeszcze na naukę do miasta, gdzie wtenczas uczył nauczyciel Karasiński, — i na tem się moja nauka szkolna skończyła, tj. chodziłem do szkoły wszystkiego dwie zimy. Dopiero później, gdy zostałem wójtem w gminie, dużom nabrał wprawy w czytaniu, a zwłaszcza

w piśmie przy pisarzu gminnym, tak, że dziś na moją potrzebę ta nauka mi wystarcza. Umiem czytać, pisać i porachować, jak mam co.

¹⁾ Nauczycielka Franciszka Pawłowska, położyła szczególniejsze zasługi dla miasteczka Radomyśla nad Sanem, gdzie założyła szkółkę dla dziewcząt, ze składek odbudowała kościół, a w r. 1863 oddawała usługi powstaniu. (Wedł. przyp. na str. 11).

2. [Babka Kunegunda Gierczykowa, 12].

Jak zapamiętałem, całe gospodarstwo było zawsze głównie na głowie babki, Kunegundy z Miśkiewiczów, Do niej należał zarząd domu, ona szła do urzędów, płaciła podatki, załatwiała sprawunki w mieście, na jarmarkach. Ojciec mój i matka nie zaczęli jeszcze samodzielnie gospodarzyć, a dziadek z natury bardzo spokojny, cichy, nieślakomy na cudze, oddawał się głównie pracy w domu i koło domu.

Oboje byli bardzo pobożni, prawie dzień w dzień chodzili do kościoła OO. Dominikanów, a corocznie pod jesień, na pocieszenie, na odpust do Radomyśla nad Sanem. Babka do dnia i w dzień przy pracy śpiewała godzinki i pieśni nabożne, a wszystko z pamięci, bo czytać nie umiała. Żyli z sobą zgodnie, a w domu nie było swarów i kłótni, wódkę, jeżeli pili, to w miarę, nigdy nie upijali się.

Nadto babka była w okolicy głośną lekarką bydła, wzywali ją, gdy krowa zasłała, nie mogła się ocielić itp. Przyjeżdżali po babkę furmankami o kilka mil, także i ze dworów. Raz jeździła do Wrzaw, do dworu barona Horocha. Dr. Babirecki w Tarnobrzegu, także ją cenił. Ze dworów brała wynagrodzenie w ziarnie, od chłopów poczęstunek.

Była bardzo oszczędna i miała zawsze gotówkę w domu.

3. [Pierwszy zegar, 29].

Zegara w całej wsi nie było. W każdym domu natomiast musiał być kogut, który głosem pianiem w sieni oznajmiał zimą czas do wstawania. A piał on z nadzwyczajną regularnością, pierwszy raz na północek, drugi raz koło drugiej godziny, trzeci raz koło czwartej czyli „do dnia“, — pilnowała zaś piania tego najwięcej gospodyni, która budziła domowników już za drugim, a najpóźniej za trzecim pianiem. Prócz tego wychodzili gospodarze na dwór i rozpoznawali po gwiazdach, jak rychło dzień będzie¹). Mnie już na początku gospodarowania uprzykrzyło się to wychodzenie w zimie na dwór i śledzenie po gwiazdach, jak prędko wstać; kogut nieraz pomylił, bo zapiał na północek, a myślało się, że to już drugie lub trzecie pianie, — postanowiłem więc kupić zegar do domu. Żeby się zaś nie narażać z tego powodu na przycinki sąsiadów, — zegar bowiem wówczas uważany był za wielkie dziwo i zbytek, — porozumieiliśmy się z żoną, żeby przynajmniej jakiś czas ukrywać go przed ludźmi. Poszliśmy oboje do zegarmistrza w Tarnobrzegu i wybraliśmy zegar za cztery reńskie z nadmienieniem, że zegarmistrz ma nam go przynieść do domu wieczór i zawiesić na ścianie. Tak się też stało. Rzecz jednak zaraz się wydała, bo dzieci, bawiąc się na drodze pod ścianami naszego domu, posłyszały wydzwanianie godzin. Zrobiły alarm i w mig po całej wsi poszła wiadomość: „U Słomki zegar!“. Niebawem mieliśmy

pełno dzieci pod domem, przychodziły pod okna i przysłuchiwały się cykaniu zegara. Powoli przychodzili i starsi sąsiedzi, oglądali zegar i dziwili się, że mogłem wydać aż cztery reńskie, a ten i ów przygadywał, że bawię się w „pana“. Później bliżsi sąsiedzi, jeżeli który miał gdzie iść lub jechać, przychodzili i za dnia i w nocy pytać się przez okno, która godzina. Z czasem każdy przyszedł do przekonania, że zegar to sprzęt w domu bardzo użyteczny, a dziś niema już domu w Dzikowie, żeby w nim zegara nie było, rozpowszechniły się też między chłopami kieszonkowe zegarki.

1) Przyczynek do kultury ludowej: Człowiek pierwotny z konieczności bliższym jest przyrody, niż cywilizowany, któremu urządzenia techniczne ułatwiają byt.

4. [Ogień, 38].

Ogień rozniecali zapomocą krzesiwa i hubki, a ponieważ to wykrzesanie ognia zadawało dużo trudności, więc gospodynie starały się przechowywać ogień w popiele, nawet z jednego dnia na drugi. Jeżeli zaś zupełnie wygaś, co zdarzało się często, to wstawszy do dnia, wyglądały u kogo się już świeci i tam posyłały po „ogień“. Kto był po to wysłany, brał do garnka żarzące się węgle, nakrywszy je pokrywką, żeby po drodze ognia nie zapuścić, spieszył zaraz z powrotem do domu. Stąd poszło przysłowie: „wpadł jak po ogień“, jeżeli się mówi, o kimś, że w odwiedzinach krótko zabawiał. Dopiero koło roku 1860 rozpowszechniły się więcej zapalki, a prawie równocześnie wchodziło w użycie oświetlenie naftowe. Ale nim się rozpowszechniły dzisiejsze lampy, przez długi czas.

znane były tylko tzw. „knotki“ albo „gajsówki“ małe, bez szkiełka i dające jeszcze tak słabe światło, że w izbie można było przy niem rozpoznać tylko grubsze przedmioty.

5. [Stroje, 36].

Koło roku 1860 i później jeszcze ubierano się tak w lecie, jak w zimie, i odświętnie, i w dniu powszednie przeważnie na biało i kolor biały w odzieniu z domowego płótna najwięcej pano-
wał, — ale strojnieszkie kobiety i dziewczki przy-
wdziewały już spodnice i zapaski kolorowe ze skle-
powych materjałów, nadto sklepowe chustki, chu-
steczki, gorsety, a mężczyźni spodnie i kamizelki su-
kienne siwe, na ciepło. Już matka moja miała ta-
kie stroje i kilka młodszych kobiet w Dzikowie¹).
Następnie ubiory ze sklepowych materjałów roz-
powszechniały się coraz więcej, a koło roku 1870
przyjęła się już dobrze nowa moda. Niektóre ko-
biety miewały po dwadzieścia i więcej sklepowych
spodnic, zapasek, chustek, czapek, — jedna nad
drugą starała się modniej ubrać i na każde święto
czy wesele wystroić się inaczej, a upodobania i gu-
sta w tym względzie zaspokajały sklepiki żydow-
skie w Tarnobrzegu, których coraz więcej przyby-
wało. Była też moda, że kobiety wdziewały po
kilka spodnic, po 5 i 6²), na wierzch najładniejszą,
a właściwie najnowszą, i koszulę miały na sobie
nie jedną. Zaszczytem było, gdy kobieta wyglą-
dała w sobie szeroka i tęga, gdy gospodyni le-
dwie we drzwi się zmieściła. Później nastąpiła mo-
da ścisnąć się i kobiety starały się być cienkie
w pasie³).

1) Kolorowość polskiego stroju ludowego jest przeważnie zjawiskiem dopiero w. XIX-go, a zwłaszcza drugiej jego połowy; pod koniec jednak wieku, strój ludowy, który niedawno tak się barwnie zaczął rozwijać, ustępuje szaremu, miejskiemu.

2) Panie miejskie nosiły krynoliny i „tiurnjury“.

3) Moda wiejska podąża za miejską.

6. [Uprawa roli, 47].

Uprawa gruntu w czasach popańszczyźnianych była bardzo licha i to zarówno we dworze, jak i na wsi. Tak tam, jak i tu, grunta były zarosnięte, na środku niwy rosły ciernie i chwasty różnego rodzaju, perz wszędzie plenił się tak, że pług trudno było do ziemi włożyć; nie brak też było dołów z wodami i różnych nierówności. W sterkach zbożowych na niwach pańskich gnieździły się świny dworskie i chłopskie, i nikt się o to nie gniewał.

Mało się wtedy o to troszczyli, aby ciernie wykopać, grunt odwodnić, zrównać, z chwastów i perzu oczyścić; zamiast łąki były bagna. Blisko trzecia część ziemi leżała odłogiem, nieuprawiona. Chłop był przyzwyczajony za pańszczyzny robić w gruncie, jak za szarwark, aby mu dzień zeszedł, tak u siebie, jak i we dworze; miał to na myśli, że to wszystko gospodarstwo nie jego, więc spychał tylko robotę z dnia na dzień.

Taka licha uprawa była jeszcze ze 20 lat popańszczyźnie, — potem dopiero zaczął się postęp, najpierw we dworze, a następnie i u chłopów¹⁾.

O potrzebie odmieniania nasienia do siewu i sadzenia nikt nie myślał. Nasienie było marne, zwyrodniałe. Jeżeli gospodarz po zebraniu plonów z po-

la widział, że ma zboża lub okopowych za mało na cały rok, to zaraz w jesieni musiał odebrać i schować bezpiecznie do siewu i sadzenia swoje własne nasienie, a do spożycia domowego kupował, choćby miał najdrożej płacić. Od ojca bowiem miał tę naukę, żeby swoje własne nasienie siać i sadzić, a także nie sprzedawał go drugiemu do siewu i sadzenia, „boby mu się do drugiego gospodarza przewiedło“²⁾).

Również kolejne następstwo płodów w gruncie było jak za dawnych czasów. W naszej gminie np. obowiązywał taki podział roli: Gdzie obecnie 5-ta klasa gruntu, tam wszyscy siali żyto ozime i co cztery lata po wygnojeniu proso; gdzie zaś pierwsza klasa, tam siali pszenicę, jęczmień, owies, koniczynę, bób i sadzili ziemniaki i kapustę. Tę naukę ojcowie wpajali w synów i wnuków, aby tylko tak siać i sadzić, bo inaczej urodzaj chybi. Każdy też tej nauki się trzymał, aby nie chybił i nie był wyśmiany.

Odym zaczął samodzielnie gospodarować, ojciec mojej żony doradził mi, żeby trochę ziemniaków zasadzić koło domu na polu, zwanem „Ogniska“, ażeby z nowego można było ziemniaków ukopać na domową potrzebę, nim zbierze się z pola w jesieni. Ja trzymałem się tego, co od ojca i dziadka słyszałem, że w tem miejscu będzie tylko żyto i proso. A teść na to: „Wsadź na wolę Bożą choć kawałeczek ziemniaków, może coś urośnie, będziesz miał bliżej“³⁾. Usłuchałem: przyszła wiosna i na wspomnianem polu sadziłem ziemniaki. Byłem już w połowie roboty, gąy nadszedł jeden z najstarszych wówczas w Dzikowie gospodarzy Maciej Mortka i woła do mnie, śmiejąc się: „Hej, młody

gospodarzu! Twój dziadek i ojciec stąd ziemniaków nie jadł, i ty nie będziesz jadł. Nic ty tu nowego nie zaprowadzisz“. Tak kilka chwil stał nade mną i tłumaczył mi, że źle robię, że nie mam doświadczenia. Były to rady starego, poważnego gospodarza, mogły mną zachwiać, odwieść mnie od rozpoczętej roboty, — zdobyłem się jednak na odwagę i sadzenia dokończyłem.

Przyszła jesień: ziemniaki porosły nad podziw, tak krzaki, jakoteż i pod krzakami także, że można je było naręczkiem nosić do domu. Wszyscy się temu dziwowali niemało, a i ów gospodarz, który odradzał mi sadzenie, ile razy przechodził tamtędy i widział ten niezwykły urodzaj, zatrzymywał się i mówił do siebie: „U młodego trza się teraz rozumu uczyć, u młodego“, i to samo nieraz powtarzał⁴⁾.

Ten wypadek nauczył mnie w życiu bardzo wiele: od tego czasu coraz mniej zważałem na gadki i śmiechy ludzkie, coraz śmieiej zrywałem z przesadami. Wprowadzałem inny płodozmian i gdzieindziej, i dobrze na tem wychodziłem. Na tem samym polu, gdzie starzy ziemniaków nigdy nie sadzili, sadzę je obecnie stale i zawsze ładny mam zbiór, bo ziemia wyjałowiona dawniej zbożami, a zasilana teraz często nawozem, szczególnie nadaje się pod jarzyny.

1) Więc około r. 1870; r. 1870 jest datą pomyślną, skoro idzie o dobrobyt i postęp chłopu galicyjskiego. Dorasta pierwsze pokolenie, które widziało w dzieciństwie zniesienie pańszczyzny, i miało swobodniejszy już umysł, przystępniejszy dla korzystnych nowości.

2) Przesąd, że razem z nasieniem i urodzaje przeszłyby do drugiego gospodarza, jeden z wielu, które obarczają technikę człowieka pierwotnego.

³⁾ Teścia nie obowiązywała owa tradycja domowa, był bowiem z innej wsi. (Por. znaną a bardzo trafną anegdotę, o chłopie, który na kazaniu nie płakał, bo był „nie z tej parafji...“).

⁴⁾ Podobny mizoneizm (niechęć do nowości) w gospodarstwie był i u ziemian; np. Wybranowski (*Z dworów i dworów szlacheckich*, Kraków 1898, str. 20) opowiada taką anegdotę (pow. wadowicki, około połowy ub. w.): „Nikt nie używał, jak dziś, sztucznych nawozów, nawet wapno i gips nie były znane jako pognój dla roli. I kiedy [pewien] młodzieniec wróciwszy ze szkoły rolniczej z zagranicy, namawiał ojca, by świeżo zaprowadzoną w rotacji koniczyne kazał gipsować, on ofuknął go i powiedział: Żałuję mój kochany pieniędzy, które łożyłem na ciebie, skoro tylko tyle cię nauczono. — Dopiero, kiedy syn dowcipnie go przekonał wypisawszy przy drodze, na łanie koniczyzny gipsem „głupiec“, ojciec przeczytawszy odznaczające się słowo bujnością i wzrostem, zrozumiał figiel syna obrażonego. I wtenczas przyznał, że nie napróżno wysłał go po rozum do szkoły“. — Swoją drogą, jak z tej anegdoty szlacheckiej i z relacji Słomki dowiadujemy się, mizoneizm starych ustępował przed doświadczeniem.

O podobnych objawach mizoneizmu opowiadają podróżnicy, np. u szczepów Bantu (murzyni afrykańscy) „syn nie śmie starać się o nic lepszego niż miał ojciec. Jeśli ktoś odważył się ulepszyć budowlę mieszkalną, np. powiększyć wejście do niej, albo ubrać się piękniej lub poprostu inaczej niż inni, zostaje skazanym na grzywnę, ale przede wszystkim staje się przedmiotem tak zjadliwego szyderstwa, że na przyszłość już się na nic podobnego nie odważy...“ W razie jakiegoś nieszczęścia wsi czarownik na niego wskazuje, jako na przyczynę katastrofy. (L é v y - B r u h l, *La mentalité primitive*, 463). — Z drugiej jednak strony zauważyć należy, że skrajne przeciwieństwo mizoneizmu, brak wszelakiego konserwatyzmu i tradycjonalizmu, łapczywy pęd do nowości, byłby połączony z jeszcze większymi dolegliwościami i niebezpieczeństwami dla bytu jednostki i grupy. Cała sprawa rozgrywa się w granicach wyznaczonych przez zdrowy rozsądek — którego właśnie nasz pamiętnikarz ludowy, daje tak znakomity przykład — będąc nie typowym chłopem, ale typowym chłopem przodowniczym.

7. [Bydło, 65].

Zupełnie nie rozumieli tego, że z hodowli krów jest większy pożytek, niż z koni. Ale i krowy chować lubili, dbali o to, żeby ich mieć dużo, przysadzali cieleta; ale cóż z tego, skoro cztery, pięć krów nie dawało w zimie więcej, niż kwartę mleka, i gospodyni narzekała, że nie ma czem barszczu podbić... Na wiosnę, gdy wychodziły na pastwisko, to się staniały od wiatru, nieraz się przewracały i nie mogły się same podźwignąć, i trzeba je było podnosić, a boki miały oblepione zaschniętym gnojem, że nie znać było sierści. Dopiero w lecie na pastwisku, jak się leniły, łajno odłaziło z sierścią, tak że skóra była goła i na nowo sierścią porastała. Wtedy pobierały się i dawały więcej mleka, tak, że go już w domu nie brakowało.

W owych czasach częściej u komornika, niż u gospodarza trafiała się krowa ładniejsza i mleczniejsza, bo komornik nie chował koni i więcej o krowę zadbał¹⁾, ale sąsiedzi przypisywali to zawsze czarom i komornicę nazywali czarownicą²⁾.

¹⁾ Gospodarka (hodowla bydła) ekstenzywna u zamożniejszych, intensywniejsza, z musu, u biedniejszych.

²⁾ Bezwład umysłowy: łatwiej było przypisywać lepszy efekt hodowlany u biedniejszego czarom, niż odnaleźć właściwą przyczynowość.

8. [Kołtun, 190].

Bardzo rozpowszechnione były wówczas kołtuny, zwijające się zazwyczaj skutkiem jakiejś słabości, bo tak w czasie choroby jak i po chorobie przestrzegali, żeby się nie cesać, „żeby bolu nie drażnić, boby się mógł sprzeciwić“. Więc już dla-

tego włosy się kołtuniły. Można powiedzieć, że prawie trzecia część ludzi, zwłaszcza starszych, miała kołtuny, które były znaczne, bo głowa przez nie była znacznie większą.

Zwicie się włosów uważali za dobre, „bo ból przez to wychodził na wierzch“. Kołtun musiał być na głowie przez rok i sześć niedziel, a niektórzy nosili go dłużej z obawy, żeby sobie nie zaszkodzić przez zawczesne obcięcie. Po obcięciu owijali go w szmatki i wynosili najczęściej do krzaków nad Wisłę, gdzie go składali w miejscu nieuczęszczanem, żeby spokojnie leżał; w środek kładli parę grajcarów lub kawałek chleba, „żeby go wywianować“, a kto go wyniósł, w powrocie do domu nie miał się oglądać, „żeby się kołtun do niego nie wrócił“, — dzieci zaś były wszędzie surowo upominane, żeby zdybanego kołtuna nie ruszały. Chowali też obcięte kołtuny na strychu za krokwią, i przy zdzieraniu starej strzechy można było zawsze kilka kołtunów znaleźć; wtedy je zbierali starannie i wynosili w inne spokojne miejsce.

Zdarzało się jednak, że podrzucali kołtun drugim pode drzwi, „żeby go tam ktoś przelazł i żeby ból w niego wstąpił“, — a ci, którzy mieli to uczynione, uważali to za wielką zemstę i, przenosząc podrzucony kołtun w spokojne miejsce, żegnali go, żeby im nie szkodził.

Słowem, obchodzili się z kołtunem, jak z czemś żywym, i starali się mu dogadzać¹⁾.

1) Animizm, czyli wiara w to, że wszystko żyje (ma w sobie jakąś świadomość, „duszę“; *anima*: dusza); przesąd z kołtunem powszechnie znany. (Por. podrzucenie „babrów“ — opisane w powieści Jana Wiktora *Orka na ugorze* (1935).

9. [Lichwa żydowska, pijaństwo chłopskie, 126].

— — W każdej gminie znalazło się dużo lekko-myślnych, którzy brali pożyczki i nic za to nie nabywali, ale po większej części na pijatykę obracali. I tacy nawet prędzej mogli dostać pożyczkę, niż porządniejsi, bo godzili się łatwo płacić taki procent, jak żydzi chcieli. Oni zaś wiedzieli między sobą, ile kto był winien, jaką wartość przedstawia jego majątek, i pożyczali dotąd, dopóki majątek wystarczał na pokrycie kapitału, procentu i kosztów egzekucji.

W samym Dzikowie wydziedziczyli prawie ze wszystkim trzech gospodarzy 18-morgowych, a mianowicie: Józefa Słomkę, Wojciecha Łuczaka i Michała Sadrakulę, zamieszkałych w przysiółku Podłęże; czterech gospodarzy sześciomorgowych a to: Józefa Gronka, Pawła Krzyżka, Józefa Wójcikowskiego i Michała Grycha; z większej zaś lub mniejszej części majątku wydziedziczyli Michała Ozycha, Jana Wiącka, Józefa Zmarzłego, Stanisława Antończyka, Michała Grębowca i wielu innych.

Jakim sposobem podówczas żydzi brali chłopów na łapki, nawet za drobne długi, niech posłuży za przykład to, jak robili z Michałem Grębowcem, moim sąsiadem. Miał on 6 morgów dobrego gruntu i porządne zabudowania gospodarskie. Był chłop robotny, nie pijak, bo jeżeli wypił czasem kieliszek wódki, to przy robocie lub jakiejś okazji; długi zaciągać nie miał potrzeby, bo zadowalał się najzupełniej tem, co z gruntu zebrał, więc nikomu nie był winien ani grosza. Jedną miał tylko wadę, że z żoną był w niezgodzie czasem i nieraz się dobrze

pobił, ale to przechodziło jak burza i znowu sobie sprzyjali. W kłótni żona zawsze mu wypominała, chcąc mu dokuczyć, że cały majątek jej, bo ona wprowadziła na gospodarstwo inwentarz, jako wiano.

Z tej niezgody małżeńskiej skorzystali żydzi. Ściągnęli Grębowca do siebie, częstowali wódką, mówiąc przytem: „Ny, Michale, co wam żona mówi, że majątek nie wasz, — my się was nie boimy, choć tak żona gada, to wam pożyczymy, — niech się żona przekona, że wasz jest majątek, a lepiej was będzie szanować“. Tak wmówili w chłopa, że pożyczał po 5—10 zł., a za każdym razem prowadzili go do notariusza czyli rejenta, zawierali tam akt dłużny, biorąc zawsze za świadków policjantów z Tarnobrzega, znanych wówczas pijaków. W ciągu paru miesięcy zmieniali ciągle u rejenta skrypta dłużne, dopisywali nowe pożyczki i wysokie procenta, wkońcu zrobili z Grębowcem akt na nową pożyczkę, wynoszącą 600 zł. i miał płacić na rok 60 zł. od sta.

Wtenczas dopiero wyprowadzili sądową komisję na opisanie realności Grębowca i zabezpieczenie na niej wspomnianej kwoty. Żona narobiła gwałtu, gdzie, kiedy i naco tyle pożyczał, — on też, zmiarkowawszy, że mu grozi ruina majątkowa, zaczął płakać, za włosy się targać, krzycząc: „o la boga, co ony ze mną zrobiły!“ Po odejściu komisji zacząłem go wypytywać, jak tyle długu narobił, — pokazało się, że na te 600 złr. wybrał gotówką około 50 złr. i to u tych samych żydów przepił, — do tego nie umiał zupełnie rachować, nie wiedział, co znaczy 600 złr.

Poszedłem z nim i z żoną do rejenta, rozpowiedziałem tam, ile Grębowiec wybrał tytułem pożyczki, że za grosz z tych pieniędzy nic nie kupił, na to rejent powiada, że swego czasu zwracał mu uwagę i kazał żonę zawołać, ale Grębowiec wtedy odrzekł: „Djabli żonie do tego, to jest mój grunt, po moim ojcu“, — bo tak go żydzi nauczyli gadać. Mówił dalej rejent, że teraz wszystko przepadło, bo aktu notarialnego nikt nie może obalić, — doradził tylko, żeby Grębowiec sprzedał zaraz część gruntu i zaraz dług zaspokoił, bo inaczej narosną koszta i procenta i nie zostanie nawet przy zagonie: Żydzi wszystko sprzedadzą i z domu go wygonią. Grębowiec usłuchał i to była najlepsza rada, sprzedał zaraz dwie morgi najlepszego gruntu, nadającego się pod ogrody i zapłacił cały dług, bo żydzi nie chcieli nic opuścić, — i ten sposób uratował resztę gospodarstwa.

To wywłaszczanie chłopów z majątków trwało tak długo, aż wyszła ustawa przeciw lichwie, zabraniająca brania wielkich procentów¹⁾. Wtedy sąd zaczął prześladować i karać lichwiarzy, i nastąpiła jakby pomsta Boża nad nimi, bo zaczęli upadać, a niektórzy nawet w biedzie wymarli, inni też nie koniecznie w dostatku dożyli, a pozostałe po nich rodziny są dzisiaj zupełnie biedne. Przyszła też kreska na wspomnianego Dawida, który się chełpił szerokimi plecami. Przyłapany został na oszustwie, mianowicie, że dopisał na wekslu jakiejś kobiecie z Żupawy dużo większą sumę, niż należało. Sąd w Tarnobrzegu wytoczył mu śledztwo i przymknął w areszcie razem ze współnikami, co w mieście wywołało wielki harmider, bo prawie oni pierwsi dostali się do aresztu. Dopiero od tego czasu żydzi-

lichwiarze zmiękli i bali się, a sąd coraz lepiej brał się do nich i poskramiał ich.

1) Ustawa Sejmu galic. z 16. lipca 1877.

[142] Był w Dzikowie gospodarz jeden dosyć zamożny, który lubił drwić z żydów, ale zachodził zawsze do żydowskich szynków i żydzi korzystali z niego przy każdej sposobności.

Raz uderzył szynkarza w twarz za to, że nie chciał dać mu piwa, żądając naprzód zapłaty. Żyd się z tego rozchorował, wniósł skargę do sądu, ale po tem skargę cofnął, gdy chłop obiecał przepić za to w szynku 5 złr.

I przepił tyle zaraz w towarzystwie z drugimi, a gdy chciał dalej pić i szynkarz żądał znowu zapłaty zgóry, palnął go znowu w twarz i powiada: „Przedtem zwałem cię w jedną stronę, a dziś w drugą, bobyś głowę krzywo nosił, a tak to ci się naprostuje“. Zrobił się straszny gwałt i krzyk, ale na tem się skończyło, bo żyd znowu się przeprosił, gdy chłop dalej do niego na pijatykę zachodził.

I dopóki się chłop lepiej miał, żyd przyjmował go w szynku, usługiwał mu i znosił wszelkie przewiska, jakie chłopu ślina do gęby przyniosły, i dopiero, jak majątek od niego wyzyskał, wyrzucał go za drzwi. Skończyło się na tem, że ten zamożny gospodarz umarł w wielkiej biedzie i poniewierce, a żyd ma obecnie jedną z największych kamienic w Tarnobrzegu i dobrze mu się powodzi.

10. [Życie towarzyskie na wsi. 150].

Dzikowscy chłopci i z innych wsi okolicznych przyjaźnili się tylko często z mieszczanami tarno-

brzeskimi, zapraszali ich w kumy, na wesela i inne zabawy i wzajemnie przez nich byli zapraszani. Sami między sobą schodzili się chłopci jużto na zwyczajnych schadzkach sąsiedzkich, jużto na zabawach. Odbywało się to częściej niż obecnie, bo teraz żyje każdy sam dla siebie.

Schadzki odbywały się w zimie wieczorami po domach, latem zaś w niedziele i święta siadywali gromadnie na murawie w miejscu dogodnym przy drodze i rozgadywali się, najchętniej o pańszczyźnie, która niedawno ustała, o wojnach, które starsi zapamiętywali i straszili się wojnami, które przyjść mogły; dalej opowiadali o cholerach, jakie grasowały; o czarach i strachach. Nadto lubili różne opowieści, żarty, zagadki i przepowiednie, nowiny i wypadki, jakie wydarzyły się we wsi i okolicy.

To wszystko znaczyło dawniej tyle, co dziś czytanie gazet¹⁾, a kto umiał opowiadać, tego obsiadywali dookoła i słuchali, jak żydzi rabina, i wierzyli każdemu opowiadaniu, jak dziś wielu daje wiarę każdemu drukowanemu słowu.

¹⁾ Oświata, prócz dobrych skutków, ma i niektóre ujemne; jednym z nich jest podupadanie narratorstwa, wobec konkurencji słowa drukowanego.

[154] Co do zabaw, to dawniej bawili się więcej, niż dzisiaj¹⁾. Prawie nie było ani jednej niedzieli, ni święta, żeby nie było „muzyki“ czyli zabawy w Tarnobrzegu, a najstłynniejsze były u Sruły na ul. Browarnej i u Szrajbra na ul. Mokrzyszowskiej. Grali sami żydzi w swoich domach, poczynając niedługo z południa, czasem przez całą noc aż do rana. Płaciło się za każdy taniec, przyczem ten więcej tańców płacił, kto miał więcej pieniędzy, lub szło

to kolejną: raz płacił ten, drugi raz inny. Taniec kosztował 10 cent., a grali go najwięcej 20 minut. Na granie schodzili się ludzie wsiowi z Dzi-kowa, Miechocina, a także z innych pobliskich wio-sek, nadto mieszczenie tarnobrzescy i sługi dworskie. W tańcach brali udział najwięcej młodzi parobczaki i dziewczęta, ale nie brak było i starszych, żonatyh, a słuchaczów i przyglądających się bywały takie gromady, że aż ciasno było w izbie i przed domem. Bo też tam było co widzieć i słyszeć, między tańczącymi bowiem nie brak było zuchów, wysta-wiających się jeden nad drugiego różnemi śpiew-kami i żartami: z tych dosyć było nieprzyzwoitych i niemoralnych, któreby dzisiaj nie uzyskały po-chwały, a w owych czasach uchodziły za stosowne i przyczyniały się do większej zabawy i rozweselenia uczestników.

Grajek czyli „muzykant“ musiał grać tak, jak tańczący zaśpiewał. Nieraz muzykant nie mogąc wygrać nuty, wił się, jak wąż i nierzadko się trafiało, że spadał mu za to bat na plecy, a nawet nie było zabawy, żeby muzykanci coś nie oberwali, czasem i dobrze. Ale nie było o to żadnej skargi, bo była taka zasada, że „kiedyś się podjął, to graj, jak ci każę, bo ci za to płacę, a jak nie umiesz, to się do tego nie bierz“.

W domu, gdzie w niedzielę była muzyka, całym gospodarzem był żyd: zapobiegał większym nie-porządkom między zgromadzonymi, wypędzał chło-paków, jeżeli zanadto tłoczyli się w izbie.

1) Prof. B u j a k (*Wieś galicyjska*, 109) nie zachwyca się temi zabawami pańszczyźnianego chłopca: „Chłop, biedny i ciem-ny, śpiewał ciągle, przy każdej sposobności, smutnej czy we-sołej, atoli zawsze na wesołą nutę krakowiaka. Ten śpiew

pańszczyźnianego chłopca, to dowód jego niskiego rozwoju duchowego. Dziwnie on był lekkomyślny i obojętny na swój stan. Powagi życiowej, odczuwania potrzeb i myśli o nich, nie ma u ogółu. Te śpiewy i tańce może po części pochodziły z pijaństwa. — Śpiewał, bo nie przejmował się zbyt swą niewolą — ale co miał robić?!... A powtóre, napięcie do śpiewu jest jedną z zalet kultury pierwotnej, niezracjonalizowanej jeszcze. (Wieś oświecająca się zyskuje tyle, że niepodobna oświadczać się przeciw oświeceniu — ale milknie powoli — i czy to nie strata?..).

11. [Słomka ma odwagę zająć się handlem, 120].

Chłopi handlem zupełnie się nie zajmowali, uważali go za zajęcie żydowskie, na którym — jak mówili — tylko żyd wyjść może. Handlu się wstydzili i wyśmialiby chłopca, któryby chciał handlować¹⁾). Przywozili tylko i przynosili na targ do miasta: zboże, ziemniaki, kaszę, jarzyny, drób, jaja, nabiał, wyroby przemysłu domowego i wszystko sprzedawali przeważnie żydom, którzy tem dalej handlowali i zyski z tego ciągnęli. Często chłopi kupowali drogo od żydów na wiosnę zboże, które w jesieni za psie pieniądze żydom sprzedali, zresztą nie było dawniej szkół i chłop do handlu nie był zdatny, poprostu nie umiał liczyć.

Jak trudno było wtedy odważyć się na handel, mogę powiedzieć z własnej praktyki.

Nie było wówczas w zwyczaju, żeby przed jesienią kopać motyką nowe ziemniaki, bo uważali za grzech, niszczyć to, co jeszcze rośnie i przyrasta; można było tylko ziemniaki podbierać ręką na własną potrzebę. Nikt też nowymi ziemniakami nie handlował. Tylko koloniści niemieccy z Padwi przywozili do Tarnobrzega t.zw. wczesne murzyny

i sprzedawali je na garnce, — garniec po 19 centów, co wtedy uchodziło za cenę wygórowaną.

[123] Zrazu naturalnie z tego handlu ludzie się śmiali, wnet jednak i inni zaczęli sadyć wczesne ziemniaki na sprzedaż, ale sprzedawali je w polu żydom. Bo żydzi zaraz i w tym handlu zasmakowali¹⁾, dziś żyje z niego kilka rodzin żydowskich w Tarnobrzegu. Obecnie jednak wielu chłopów z różnych wsi sprzedaje na mieście warzywa i owoce. Śmiechy i drwiny z tego ustały.

¹⁾ Buja k (*Wieś galicyjska*, 87) nieco inaczej o tem sądzi: „Wprawdzie w handlu brali żywy udział także mieszczanie i żydzi, ale z naciskiem stwierdzić należy, że i ludność wiejska trudniła się handlem i że nie dopiero teraz w ostatnich latach do niego zabiera się przez zakładanie kólek rolniczych, czyli właściwie sklepików chrześcijańskich. Był to coprawda bardzo mizerny handel“.

12. [Misje. Abstynencja Słomki, 177].

Straszne to pijaństwo, szerzące się wszędzie¹⁾, zwalczały bardzo skutecznie misje kościelne, na których ludność tłumnie odprzysięgała się od wódki. Ja przysięgałem w r. 1869. Były wtedy przez 8 dni misje w kościele parafialnym w Miechocinie; księża krzyczeli najwięcej na pijaństwo, nakoniec wzywali uroczyście do przysięgania od palących trunków przez podniesienie rąk. Podniosłem wtedy rękę do góry i od tego czasu nie miałem wódki w gębie. To mię ustrzegło od niejednego upadku w życiu, zaoszczędziło mi wiele pieniędzy i zdrowia, a że prztem nie palę też tytoniu, więc dotychczas, choć mam już 87 lat i w życiu niemało pracowałem, nie byłem

nigdy u lekarza, nie przechodziłem cięższej choroby i niejedem podziwiał moje zdrowie.

1) Po uwłaszczeniu, tj. zniesieniu pańszczyzny pijaństwo wzrosło: pewnie dlatego, że mieli więcej czasu, żeby przesiadywać po karczmach. Ale trzeba też pamiętać, że propinacja, czyli produkcja i wyszynk wódki były jednym z ważnych dla większej własności źródeł finansowych i że dwory, jeśli nie zawsze, to często starały się mieć jaknajwięcej karczem na swoim obszarze. Bujak (*Wieś galicyjska*, 109) podaje, że w r. 1863 przypadał w Galicji jeden szynk na 30—50 chat, tj. 200—350 głów. Naturalnie, tak gęste szynki były pokusą dla ludzi... (Por. we wspomnieniach Magrysia).

13. [Śmiertelność dzieci, 179].

W rodzinach było dużo dzieci, przeciętnie było 6—7, ale bywało też po 12—15. Potomstwo uważali za błogosławieństwo Boże, a bezdzietne kobiety za niegodne tego błogosławieństwa i małżeństwa. Kobiety, nie mające potomstwa, czuły się z tego powodu nieszczęśliwe.

Ale też śmiertelność między dziećmi była wielka, bo zaledwie tylko połowa odchowowała się, reszta zaś wymierała, najwięcej w niemowlęctwie i w pierwszych latach życia, wskutek niedostatecznej opieki i nieszczęśliwych wypadków, gdy rodzice byli poza domem, w polu, na weselu i t. p., wskutek lichego odżywiania, chorób dziecięcych, złego leczenia i t. p.

14. [Stosunek do służby, 181].

Jeżeli parobek czy dziewczka byli pilni i trafili na dobrych gospodarzy, to pozostawali w jednym miejscu przez szereg lat. Stosunek między sługami a gospodarzami był familijny; razem robili i jedli

z jednej miski i obyczaj wprost nie pozwalał, ażeby gospodarz czy gospodyni jedli coś lepszego, niż jadły sługi¹⁾.

1) Co oczywiście nie przeszkadzało, że w związkach małżeńskich decydował ekskluzywizm rodowy, a może raczej wzgląd na posag czy wiano.

15. [Pomoc sąsiedzka, 82].

Był zwyczaj, który się i później zachował, że w czasie większych robót w żniwa pomagali sobie, czyli „odrabiali sobie“ nawzajem. Również, gdy się kto budował, to sąsiedzi, krewni i znajomi w gminie pomagali mu po przyjacielsku zwieźć materiały budowlane, wyjeżdżali razem do lasu i prawie zaraz wszystko zwieźli, a mieli zato tylko poczęstne, wódkę i przekąskę¹⁾.

1) Prócz uczuć przyjaznych, ważną niewątpliwie rolę grała tu stara tradycja pańszczyźniana, kiedy to gmina stanowiła wspólnotę gospodarczą pod zarządem dworu. Ustrój gminny świadomie zdążył do wyrobienia solidarności pomiędzy uczestnikami gminy. (Por. książkę prof. R a f a c z a o ustroju wsi pańszczyźnianej).

16. [Uświadomienie narodowe, 258].

Co do uświadomienia narodowego dawniej, jak zapamiętałem, chłopci nazywali się tylko mazurami i mowę swoją mazurską. Żyli tylko sami dla siebie, stanowiąc zupełnie odrębną masę, obojętną zupełnie na sprawy narodowe. Ja np. dopiero wtedy, jak zacząłem czytać książki i gazety, poczułem się Polakiem i uważam, że inni włościanie w ten sam mniej więcej sposób dochodzili do poznania swej narodowości¹⁾.

Dziadkowie moi i inni, którzy pamiętali, jak Galicja z Królestwem stanowiła jedną całość, nieraz na ten rozdział narzekali, mówili, że im się zdaje, jakby im się świat skrócił, i jakby stanął wielki mur, który jedną stronę od drugiej odgraniczył. Opowiadali, że wprzód czy z tej, czy z tamtej strony Wisły każdy był jednakowo wolny, złapał byle korytło i mógł przeprawić się przez Wisłę.

Jeździli też dawniej z jednej strony na drugą swobodnie na odpusty, jarmarki i za innymi sprawami, łączyli się w związki małżeńskie i wzajemnie się popierali, jakby jedna wielka familja — a później wszystko to ustało i doszło do tego, że zerwane były wszelkie związki rodzinne jednej strony z drugą, i nawet bliżsi krewni nie znali się, choć ich dzieliła tylko Wisła. Bo granicy tej bez „przepustki“ czyli „paszportu“ nogą nie wolno było przestąpić, i przepuszczali za Wisłę tylko przez dalekie komory, z różnemi trudnościami. Więc też narzekali na to wszystko, szczególnie w wsiach nadgranicznych, nadwiślańskich i byli za tem, żeby jedną stronę z drugą napowrót połączyć.

Uświadomienie narodowe szło jednak powoli i do ostatnich czasów dość jeszcze znalazło się takich, co gdy im wspomnieć było o Polsce, to się złościли i klęli, mówiąc, że tylko panowie mogą chcieć Polski, żeby na nich ludzie robili, jak za pańszczyzny, i takim trudno było wytłumaczyć, że czasy pańszczyzny już minęły i powrócić nie mogą. Nie chcieli słyszeć o Polsce, bojąc się, że panowie znowu obejmą rządy i przywrócą pańszczyznę.

Ale liczba tych malała, a natomiast rósł zastęp ludzi światłych, którzy twardo stali przy swojej narodowości i byli gotowi do wszelkiej jej obrony

i rozumieli to, że byłoby lepiej, gdyby wszystkie zabory były połączone i naród sam się gospodarował i miał przestronniej.

1) Z historii polskiej wiedzieli, że „Polska przez brak zgody i jedności między panami została rozerwana na trzy części“, pamiętali wojnę z 1809 r., którą nazywali „wojną sandomierską“.

17. [Mowa na wiecu narodowym. Odrzucenie orderu, 414].

Naostatku poprosiłem i ja o głos¹⁾, i przemówiłem do zgromadzonych słowami: „Bracia i siostry! Łączę się razem z wami do ogólnego protestu i piętnuję jaknajmocniej zdradliwe postąpienia naszych zaborców w sprawie polskiej. Było to przed laty, że rząd austriacki przyznał mi odznaczenie, tj. krzyż zasługi za długoletnie sprawowanie wójtostwa²⁾. Wówczas ja odznaczenie to przyjąłem, wierząc święcie w życzliwość Austrii dla narodu polskiego, i do dziś dnia je nosiłem. Skoro jednak do tego doszło, że ten sam rząd, który mi odznaczenie przyznał, wyrządza taką niesłychaną krzywdę narodowi polskiemu, że zamiast nam Polskę oddać, to ją jeszcze dzieli na mniejsze kawałki, przeto hańbą byłoby dla mnie dłużej takie odznaczenie nosić. Odrzucam je więc i zwracam temu rządowi, od którego pochodzi“. Przy tych słowach wobec całego zgromadzenia medal oderwałem i wręczyłem przewodniczącemu zgromadzenia z prośbą o zwrócenie go do Wiednia. Przebieg zgromadzenia wywarł na zebranych wielkie wrażenie, wśród podniosłego nastroju uchwalono protest przeciw oderwaniu Chełmszczyzny i Podlasia od Polski.

Skoro po tym wiecu wróciłem do domu, przybyło do mnie kilkanaście osób z pośród inteligencji i włościan i dziękowali mi za moje wystąpienie. Ja zaś oświadczyłem, że do takiego postąpienia jako Polak byłem obowiązany. Nazajutrz prosił mnie do siebie starosta i radził delikatnie, abym odrzucone odznaczenie napowrót przyjął, ale stanowczo odmówił.

¹⁾ Wiec w Tarnobrzegu, 18 lutego 1918, protestujący przeciwko pokojowi brzeskiemu (Pokojem w Brześciu nad Bugiem, w lutym 1918, Austrija i Niemcy oddały stworzonej przez nie Ukrainie Chełmszczyznę i Podlasie. Był to nowy rozbiór Polski. Przez całą Polskę przeszła fala protestów i rozruchów, a dla szerokiego ogółu polskiego, którego część dotychczas jeszcze liczyła na rozwiązanie sprawy polskiej w oparciu o Niemcy lub Austrię, było to hasłem do zupełnego odrotu od tej orientacji, a zwrócenia się ku Francji i jej sprzymierzeńcom).

²⁾ Był wójtem w Dzikowie przez 40 lat.

18. [Przyczyny postępu na wsi, 485].

Że po wsiach zaczął się postęp, wpłynęły na to różne przyczyny, a ważniejsze z nich są następujące:

Przedewszystkiem zniesienie pańszczyzny, bo przez to chłopu pozostał czas [do] pracy na swoim gruncie i każdy wiedział, że co przyc gospodarzy, to jego, nie tak, jak za pańszczyzny, kiedy pan mógł chłopą łatwiej wygnać, niż dziś parobka, i innego na opróżnionym gruncie obsadzić¹⁾. Teraz pierwszy lepszy chłop jest swobodny i może sobie żyć, jak dawniej szlachcic.

Powtóre zaprowadzenie hipoteki²⁾, bo odtąd dopiero stało się jasną dla każdego rzeczą,

że to, co posiada, jest święcie jego własnością, której mu nikt odebrać nie może, — może to sprzedać, podzielić³⁾, zaciągnąć na to pożyczkę itd. To też, jak dobrze pamiętam, zabezpieczenie własności przez hipotekę dodało ludziom dużo ochoty do lepszej pracy, do powiększenia i podnoszenia gospodarstw.

Następnie, zaprowadzenie autonomji w kraju⁴⁾ za panowania austriackiego, bo rządy swoje, polskie, zaczęły lepiej dbać o zagospodarowanie kraju, niż poprzednie rządy obce, niemieckie. Od czasu, jak nastąpiła autonomja, różne zaniedbane sprawy gospodarcze poczęto brać pod obrady i nie-domagania usuwać, co trwało do upadku państwa austriackiego, a o co rządy niemieckie mało się troszczyły.

Również obwałowanie i regulacja rzek miała, zwłaszcza dla powiatu tarnobrzeskiego wielkie znaczenie, gdyż powiat ten należy do najniżej położonych i przetrzęty jest wieloma rzekami. Niektóre wsie były tu dawniej pod wodą. Wskutek zaś uregulowania rzek i obwałowania tychże nastąpiło osuszenie, okolica zyskała pod względem zdrowotnym, ustąpiły choroby malaryczne, grunty się poprawiły i zyskały na wartości⁵⁾.

Dalej, do lepszego gospodarowania przyczyniły się lepsze narzędzia⁶⁾, bo dziś gospodarz przy dobrych narzędziach może łatwiej, prędzej i mniejszym kosztem grunt uprawić i w domu się obrobić. Nastąpiły bowiem wszędzie rozpowszechnione: dobre pługi, płużki, brony, pazury, młynki do czyszczenia zboża, siewkarnie i mniej rozpowszechnione: siewniki, zastępujące siew ręczny, młocarnie kieratowe,

zastępujące młócenie cepami. Pospolita stała się na wsi maszyna do szycia.

I choć niektóre z tych ulepszonych narzędzi mają obecnie tylko zamożniejsi gospodarze, przecież może je też nabyć np. Kółko rolnicze i wypożyczać członkom za przystępną opłatą, i w ten sposób mogą być dostępne dla wszystkich włościan. Takie droższe narzędzia rolnicze zakupują często też w ten sposób, że gospodarze łączą się z sobą w spółki.

Dalej, w rozwoju pomogły dobre gościńce i koleje żelazne, bo teraz może każdy z łatwością nabywać i sprzedawać narzędzia i płody rolnicze, — nie tak, jak dawniej, kiedy wszystko trza było wozem sprowadzać i po bardzo kiepskich drogach.

Na uwagę zasługuje parcelacja obszarów dworskich, trwająca od kilku dziesiątek lat. Parcelacja ta była z tego względu dobrą, że przez nią wzmocniło się wiele gospodarstw włościańskich, które wskutek podziałów rodzinnych bardzo się rozdrabnia i ciągle się rozdrabniają i, gdyby nie parcelacja, to dzisiaj trudno byłoby zdybać w jakiejś gminie gospodarza, któryby się mógł utrzymać z rodziną ze swego gruntu. Nadto w każdej wsi wielu było takich, którzy ani jednej skiby ziemi nie mieli, ani nawet placu pod dom, — ale skoro dało się nabyć grunt, każdy pracowity, nawet wyrobnik, kupował i zakładał swoje gospodarstwo.

A chociaż pierwsi i drudzy brali sobie na barki wielki ciężar długów, to jednak przy pomocy Boskiej wzięli się do pracy tak w domu, jakoteż wyjeżdżając na zarobek zagranicę, i długi spłacali, a grunt nabyty zostanie im i dzieciom na pamiątkę, że uczciwie żyli i pracowali i nie-

tylko swego nie stracili, ale jeszcze przykupili. Znam takich, co nabyli ładny kawał ziemi za drogie pieniądze i — jak mówili — zrobili to z wielkiem ryzykiem, ale jak się wzięli do pracy i oszczędności, to jakby cudownym sposobem dług ze wszystkim spłacili i teraz mają chleb w domu i swobodnie sobie oddechają. I taki, co kupił ziemię, wie, ile go ona potu kosztowała, nim się wypłacił, uprawia ją starannie, chciałby z niej dwa razy do roku zbierać, nie zmarnuje plonu przy zbiorze, — i można powiedzieć, że ziemia jego w dobrych jest rękach.

To tylko złe, że parcelacja odbywała się aż do upadku Austrii bez żadnego planu i porządku, i władze krajowe należycie się nią nie zajęły. Prowadzili ją przeważnie żydzi, handlując ziemią, jak towarem w sklepie. W samym powiecie tarnobrzeskim, można by naliczyć kilkadziesiąt żydów-handlarzy gruntem, którzy nadto mieli do spółki kilku faktorów, kupujących także na własną rękę drobniejsze grunta. Rozparcelowali oni wiele folwarków w powiecie i poza powiatem pomiędzy włościan z tarnobrzeskiego, od których przytem wykupywali własne ich gospodarstwa, ciągnąc z tego wszystkiego ogromne zyski i dobrze się bogacąc.

Obecnie w niepodległej Polsce konieczne jest dalsze przeprowadzenie parcelacji obszarów dworskich i poprawienie stosunków rolnych tak, ażeby nie było z jednej strony rozległych majątków ziemskich, a z drugiej karłowatych gospodarstw chłopskich, ale żeby powstały dobrze urządzone gospodarstwa, dające średnie utrzymanie gospodarzowi

Wielkie przemiany sprowadziło też wychodźstwo zarobkowe do Prus i innych krajów zagranicznych.

Było ono z tego względu dobre, że przez nie tysiące rąk znalazło pracę i zarobek, i pieniądze przez nie płynęły do kraju. Zasiadając w zarządzie Spółkowej Kasy Oszczędności i Pożyczek, miałem sposobność przyjrzeć się temu, ile to pieniędzy przychodziło z zagranicy. Oszczędności tej Kasy pochodziły przeważnie od wychodźców zarobkowych, i raty były spłacane głównie ich pieniędzmi; kto dług zaciągał, obiecywał go spłacić najczęściej nie z tego, co zbierze lub przychowa na gospodarstwie, ale z zarobku swego lub swoich dzieci zagranicą.

Od czasu, jak się rozwinęło wychodźstwo zarobkowe, podskoczyły znacznie w krótkim czasie płace najemników, ceny płodów rolnych i ceny ziemi⁷⁾; nastąpiła też wielka przemiana w urządzeniu domów, sprzętów, w odzieży, pożywieniu, obyczajach i zwyczajach na wsi. Tu obok stron dodatnich występowały bardzo często ujemne, o czym nieraz pisały gazety.

W dalszym ciągu podnieść należy, że do postępu i dobrobytu najwięcej może przyczyniła się oświata, tj. szkoły i wydawanie gazet i książek, z których ludność włościańska czerpała i czerpie naukę. Faktem jest, że który gospodarz wziął sobie jako tako oświatę do głowy, ten znacznie swoje gospodarstwo podniósł i wyszczególnia się na każdym kroku, a kto jeszcze starej metody się trzyma, ten lichą ma gospodarkę i nędzne życie prowadzi.

Więc gwałtem należy dalej szerzyć oświatę, żeby do każdego domu zajrzała, żeby gospodarz dowiadywał się o ulepszaniu w rolnictwie i u siebie je wprowadzał, żeby czytał stale, skoro tylko wolny jest od zajęć gospodarskich. W każdej wsi powinna być porządna szkoła, a budynek szkolny powinien

wybijać się ponad wszystkie inne, przygłuszyć sobą karczmę.

Dawniej ludzie z braku narzędzi ulepszonych byli zawsze, nawet wieczorem, zajęci ręczną pracą, dziś mają więcej czasu wolnego, więc czas ten powinni wypełniać oświatą. Każdego stać na to, ażeby sobie trzymał gazetkę tygodniową i kupił najpotrzebniejsze książki.

Na postęp i dobrobyt wpływały też zbawiennie różne towarzystwa, związki, spółki, jakoto: czytelnie, kółka rolnicze, kasy, organizacje polityczne i t. p.

Niemniej przyspieszyło postęp zmniejszenie się pijaństwa i większa trzeźwość między ludźmi, co w naszych stronach zaczęło się od wspomnianej już misji parafjalnej w r. 1869. Wogóle pierwsza ta misja zrobiła wielkie wrażenie w całej okolicy: odbyły się wówczas uroczyste procesje po parafji i msze św. połowe, zmniejszyło się znacznie pijaństwo, kradzieże i rozboje, słowem nastąpiła znaczna poprawa w złych obyczajach.

Następne wielkie misje odbyły się po 43 latach, tj. w r. 1912, i znowu widoczne były owoce ponich, bo karczmy i szynki znacznie opustoszały, ludzie z jarmarków wracali przeważnie trzeźwi, tylko żydzi wyrzekali na kiepski handel z tego powodu. Więc pragnąć należy, ażeby podobne misje odbywały się częściej, w mniejszych odstępach czasu, np. co 10 lat.

Wreszcie, mus po prostu ludzi doganiał do lepszego gospodarowania, to ludzi przybywało, a gospodarstwa malały, wszyscy zaś żyć musieli. Dziś gospodarz na czterech czy pięciu morgach gruntu musi tak pracować i gospodarzyć, aby

się mógł z rodziną wyżywić, okryć, budynki w porządku utrzymać, podatki zapłacić, dzieciom dać odpowiednią naukę. Przytem wie, ile ten grunt kosztuje, bo przeważnie każdy coś pola dokupił i dobrze przepłacił, więc nie może pozwolić, aby leżało odłogiem, i musi dobrze pracować i mieć dobry rachunek w głowie.

Obecnie nawet takiego, który gospodarstwo niedbale prowadzi, palcem wskazują i za nic go mają, choćby nawet grunt jego wart był kilkadziesiąt tysięcy: — mówią, że „szkoda, iż ta święta ziemia w rękach jego się marnuje“. A z drugiej strony, jeżeli jest we wsi gospodarz mający 8 lub 10 morgów gruntu, a gospodarstwo porządnie prowadzi, to go nazywają bogaczem i wysoko cenią i to nie z tego, że ma te morgi, ale że widzą u niego budynki porządne, bydło ładne, dzieci dobrze okryte i wychowane.

Te i inne przyczyny popchnęły włościan na drogę postępu, i choć dziś każdy na mniejszym kawałku ziemi gospodarzy — bo gdzie wprzódy miał jeden, tam teraz siedzi kilku — jednak każdy ma więcej chleba i dostateczniejsze życie prowadzi⁸⁾.

1) Ziemianie uważali grunta włościańskie za dzierżawione odwiecznie od dworu wzamian za roboczną; stąd wyobrażali sobie, że każdej chwili mogą stosunek dzierżawny rozwiązać. Historycznie słusznem było to tylko częściowo; natomiast moralna i społeczna niesłuszność tego przekonania nie potrzebuje wielu wywodów: Włościanie przez wiele wieków uprawiając grunta dworskie i będąc jedynymi „żywicielami“ dworów zdobyli sobie prawo przynajmniej do tej części gruntów, które były w ich „dzierżawie“; społeczną horendalność stanu, w którym najliczniejsza i najpracowitsza warstwa ludności pozostaje bez własności, uznawały od wieku Oświecenia, w. XVIII, wszystkie (wszystkie, ale nie liczne) umysły światłe

w Polsce i poza Polską, należy bowiem pamiętać, że pańszczyzna nie była wyłącznie polskim wynalazkiem! (W Galicji lud otrzymał własność ziemi (przez zniesienie pańszczyzny) w r. 1848).

2) Księgi hipoteczne: spisy własności gruntowej.

3) Właściwie i dawniej, za pańszczyzny, włościanin rozporządzał testamentarnie swym gruntem „własnym“ i dzielił go pomiędzy rodzinę; było to jednak tylko obyczajem, a nie prawem; gdy w r. 1868 sejm galicyjski włościanom przyznał „prawo dzielenia“, to było to tylko uznaniem dawnego faktycznego stanu rzeczy.

4) W r. 1866.

5) Że jeszcze wiele pozostało do uczynienia, świadczy katastrofalna powódź w r. 1934.

6) „Narzędzia rolnicze, których chłop używał około 1850 roku, były takie same, jakie posiadali jego przodkowie w XIII wieku“. (Bujak, *Wieś galicyjska*, 65).

7) Emigracja zarobkowa stała się potężnym źródłem gospodarczego i oświatowego rozwoju wsi naszej w ostatnich dziesiątkach lat ub. w. — a także czynnikiem przewłaszczenia ziemi: „rezultatem [emigracji zarobkowej] jest podrożenie ziemi“, której znów skutkiem była „coraz szybciej postępująca parcelacja obszarów dworskich“. (Bujak, *Wieś galicyjska*, 81).

8) Należy jednak zastrzec, że optymizm Słomki, jest optymizmem człowieka w. XIX-go (do 1914), epoki niesłychanego w dziejach rozwoju techniki i przemysłu, niebywałego przyrostu ludności, ekspansji na nowe tereny, podniesienia się stopy życia; dziś jest ciśnień... I „pomoc własna“ (*self-help*), i cnoty „mieszczańskie“ niejednokrotnie najdzielniejszemu nawet człowiekowi, na nic się dziś nie zdadzą... Coraz gwałtowniej występuje postulat pomocy społecznej, przez lepszą organizację...

19. [O zmianie stroju. „Wy“ i „Pan“, 493].

Należy jeszcze zwrócić uwagę za zupełną odmianę w stroju na wsi. Nastąpiła ona najwięcej od tego czasu, jak się rozpoczęło wychodźstwo zarobkowe, — wychodźcy bowiem, wracając do kraju,

przywozili różne ubrania modne, które się tu coraz bardziej upowszechniały, bo i ci, co z kraju nie wychodzili, poszli za modą, i tak te nowe ubiory coraz więcej nastawały i nad staremi brały górę.

Działo się to w znacznej mierze także dlatego, że niektóre części dawnego ubrania chłopskiego były mniej praktyczne, — np. biała kamizela czyli płótnianka ulegała bardzo łatwo poplamieniu.

Patrzyłem na to, ile to pracy kosztowało dawniej gospodynię, żeby taką kamizelę uprać, wypolewać¹⁾, wyźmiać, wysuszyć, umaglować, bo każda gospodyni starała się o to, żeby jej mąż, dzieci, sługi ubrały się czysto do kościoła i na wesela tak, ażeby drugie nie powiedziały, że jest niechlujna, próżniak, i nawet męża i domowników nie opierze. Tymczasem cała ta praca na krótko się zdała, wystarczyło bowiem przyklęknąć w kościele na nieczystej posadzce albo obetrzeć się koło wozu namazionego, a kamizela już była poplamiona i nie do użycia przy wyjściu z domu.

Praktyczniejsze okazały się brunatne sukmany, które nastąpiły po białych, podobnych do krakowskich. Taka sukmana z brunatnego sukna, dość ciepła, kosztowała 24 kor. austrj. A nadawała się wszędzie, zarówno do kościoła jak i do roboty. Gdy się zanieczyściła, wystarczyło ją kijem z kurzu wytrzeć i szczotką dobrze przeciągnąć, i znów była do użycia, a po kilku latach, gdy się z wierzchu włos wytarł, można ją było odwrócić na drugą stronę i jeszcze parę lat w niej chodzić. Była więc praktyczna i niedroga i dlatego obecnie więcej się jeszcze utrzymuje, niż kamizela.

Niejeden wreszcie zrzucił ubiór włościański z tej przyczyny, że narażał go na złe traktowanie

w urzędach, w podróży i tp., a gdy się przebrał z miejska, już było lepiej, i każdy mu powiedział „panie“.

Bo i teraz jeszcze według ubrania robi się różnicę między ludźmi i dzieli na panów i niepanów. Do tego, co ubrany po włościańsku, choćby to był poważny i światły gospodarz, mówi się zwyczajnie „wy“, a takiego, co ubrany z miejska, tytułuje się „pan“. Wprawdzie są tacy, którzy się nie gniewają, że się do nich tak lub owak mówi, — ale niejedni nie okazują tego po sobie, chociaż obraża się w duchu²⁾, a niektórzy wypraszają sobie poniżające traktowanie ich. Byłoby ważną rzeczą, żeby usunąć te różnice w odzywaniu się do ludzi. Mogłoby pozostać „wy“, jak jest na wsi powszechnie przyjęte, ale niech się mówi do wszystkich przez „wy“, niech nie będzie panów i niepanów, a to znacznie przyczyni się do tego, że zniknie u nas przedział głęboki między warstwami, a nastanie większa jedność i spójność w narodzie.

Zdaje się, że znikające dziś stroje wiejskie jeszcze odżyją i będą noszone, zwłaszcza jeżeli są praktyczne i ładne, — ale już nie jako strój „chłopski“, poniżający, — ale polski, narodowy, używany szczególnie na święta, uroczystości³⁾.

Ja sam przechowuję kamizielę do dziś dnia, jak najdroższą pamiątkę i ubieram się w nią na uroczystości dla zaszczytu, że jestem włościaninem⁴⁾, zwyczajnie zaś chodzę w sukmanie brunatnej, którą bardzo sobie chwale, a zresztą postępuję za ogólną modą i na codzień noszę krótkie ubranie, powszechnie dziś używane.

1) Prano układając bieliznę w beczce o dziurkowanym dnie i polewając ją ługiem, który się przesączał przez

pokłady bielizny; następnie suszono bieliznę na słońcu. Ten proceder nadawać jej miał piękną białość — ale trwał dłużej, niż obecne pranie w rękach i mydłem. (Sposób ten jeszcze stosowany gdzieniegdzie w Polsce wschodniej, np. na Polesiu).

²⁾ Napewno Słomka ma tu siebie na myśli. Ustęp bardzo godny uwagi ze strony czytelników miejskich! Por. notatkę w *Il. Kurj. Codz.* z 4. III. 1936: *Tylko odważni noszą strój ludowy*: „Chciałabym zwrócić uwagę, iż nie należy zagranicą tylko propagować piękno naszego stroju ludowego, ale raczej należałoby zacząć od pielęgnowania go i poszanowania w Polsce. Musimy uświadomić jak najszerzej warstwy iż zarzucenie stroju ludowego jest grzechem wobec tradycyj i naszej teraźniejszości. Dziwnem jest stanowisko mieszczańskiej półinteligencji, uważającej każdego ubranego w strój ludowy, za kogoś niższego. Z własnego doświadczenia wiem, iż tylko osoba odważna może występować w Polsce w stroju ludowym. Oto fakty: Dwukrotnie prowadziłam wycieczkę Ślązaków do Zakopanego. Przybrałam się w piękny strój śląski, o którego utrzymanie walczę i w swoim środowisku pracuję nad utrzymaniem tego regionalnego akcentu. Dnia 8 i 9 lutego na ulicach Zakopanego spotykałam wielu swoich znajomych. Niektórzy z nich nie raczyli mię nawet poznać, uważając, iż popełniłam pewną towarzyską niewłaściwość, jedynie indywidualiści, oraz osoby prawdziwie wykształcone witały się ze mną i chwaliły mój czyn. Na ulicy słyszałam wiele niemądrych docinków i pytań. „Czy to cyganie, czy też łowiczenie?“ Tak dalece zanikła wśród szerszego ogółu znajomość ludowych strojów. Strój ludowy, którym szcyci się kulturalna Anglja, Francja i Niemcy, u nas bywa pogardzany i ośmieszany przez pół-inteligentów, co nietylko nie przyczynia się do propagandy ludowego stroju wśród włościan, ale i też potwierdza fałszywą opinię, iż używanie stroju ludowego deklasuje towarzysko i społecznie obywateli. Akcja w sprawie utrzymania stroju ludowego wymaga poważnego wysiłku całego uświadomionego polskiego społeczeństwa. Fakty przytoczone należy jak najsurowiej potępić!“ (Władysława Patłowa ze Śląskich Brzezin).

³⁾ Słomka przewiduje trafnie przeżywany obecnie początek odrodzenia stroju ludowego, jako odświętłego.

4) Poczucie nie klasowe, ale stanowe: Klasowość stara się zniwelować społeczeństwo, tak psychicznie, ustrojowo, jak i w wyglądzie zewnętrznym; natomiast stanowość pragnie zróżniczkować społeczeństwo, ale połączyć je z powrotem węzłami solidarności i wzajemnego respektu. Naturalnie, nie wolno przeczać, że nowożytna stanowość, jaka np. u naszego pamiętnikarza objawia się w uczuciu „zaszczytu, że jest włościaninem“, nie byłaby możliwą bez uprzedniego działania idei demokratycznej: trzeba było wielu zwycięstw tej idei, ażeby chłop mógł przestać się wstydzić swego chłopstwa, przestać być wzgardzoną „duszą pańszczyźnianą“, (którą np. Jakób Bojko tak tępi).

II. FERDYNAND KURASZ.

Urodził się w r. 1871 w pow. tarnobrzeskim, jako jedno z siedmiorga dzieci wyrobnika wiejskiego, posiadającego ćwierć morgi (dożyło wieku dojrzałego dwoje). Ojciec jego, Jan, był półinteligentem, uczęszczał do szkół średnich w Tarnowie, był czynnym w powstaniu r. 1863 jako kurjer, za co 9 miesięcy odsiedział. Posiadał, jak świadczy Słomka, czego znał, wielkie zdolności, rozumiał język niemiecki, ruski, francuski, łaciński, nawet hebrajszczyzna nie była mu obcą. W młodości pisał wiersze, które jednak bez śladu przepadły. Syn Ferdynand skarży się na jego nałogowe pijaństwo. Matka umiała tylko czytać w książce modlitewnej. Nędza była taka, iż biedna matka kłamała przed dziećmi, że ziemniaki nie chcą ugotować się i gotowała, gotowała, aż zasną... Pomoc okazywali dziadkowie po ojcu i matce, gospodarze jedni i drudzy. Chłopiec miło wspomina zwłaszcza pobyt u jednego z dziadków, mieszkających nad Wisłą naprzeciw Sandomierza: siedząc nad rzeką, długo wpatrywał się w sandomierskie wzgórza z wieżycami kościołów i wsłu-

chiwał w gawędę dzwonów. Mimo biedy życie w domu rodzinnym było ożywione. Ojciec zostaje pisarzem gminnym w Dzikowie, pod wójtem Słomką, wciąż przychodzą interesanci, ale przychodzą ludzie także dlatego, że Jan Kuraś czytuje gazety i książki, ma w zapasie pełno anegdot, opowiadań, ciekawych wiadomości, chętnie też lubi opowiadać wycytane starszylacheckie opowieści i dykteryjki; własne życie też mu niemało wspomnień nastęcza. Pomiedzy gośćmi bywają flisacy, którzy opowiadają o swych wędrówkach, rozmaici figlarze i facecjo niści, a trafia się czasem i któryś z ostatnich wędrownych lirników. Niestety, nie było danem małemu Ferdynandowi długo wsłuchiwać się w ten gwar małego ale interesującego światka. Mając lat 7 głuchnie na całe życie, żyje odtąd „w grobowej samotności“. Teraz, nauczony już czytania przez ojca, zaczyna czytać jego książeczki. Gdy miał lat 10, ojciec za zarobkiem z całą rodziną przeniósł się do Królestwa. Nastają lata wędrówki za chlebem, przejazdów furą z okolicy w okolicę. W jakimś domu na strychu chłopiec znajduje stertę starych gazet, w których się rozczytuje. Od ojca dostaje w podarku książeczki Kazimierza Promyka. Ale nie wystarczy mu czytać, coś go prze do pisania. Naprzód spisuje pieśni patriotyczne, które spamiętał: *Boże Ojczy, Polak nie sługa* itp. Przepisuje też z książek co mu się podoba. Jako chłopiec 13- czy 14-letni dostaje zajęcie czyściciela kotłów w cukrowni. W zakątku czyszczonego kotła uczy swoich towarzyszy pracy, równych mu wiekiem — czytania. Miło wspomina na innej posiadzie, gdzie ojciec był leśnym, leśne wędrówki samotne. Wracają do Tarnobrzega, Kuraś idzie terminować do szewca; tam

trzyma się na uboczu od hulaszczego życia współczesnych, musi wywalczać sobie ich respekt. Wyzwala się na majstra, osiedla się we wsi Trześni i tam od domu do domu wędruje, obszywając po kolei całe rodziny. Wieczorami po robocie głuchy szewc czyta na głos, śpiewa, deklamuje a dookoła zgromadzona cała rodzina pracodawcy i sąsiedzi. W niedzielę czyta po cichu, dla siebie. Zbiera sobie powoli biblioteczkę. Na wieś dostaje się wtedy *Ogniem i mieczem*; wójt Piętak „tak przejął się tą powieścią, że od czytania jej nic go oderwać nie zdołało. Zmuszony do śniadania czy obiadu, jedząc czytał; przychodzili ludzie ze sprawami do wójta, a on czytał; spowodowany wyjść za próg domu, wracał zaraz i czytał, czytał, czytał, a przy Zagłobie tak się pocziwina śmiał i śmiał, jak gdyby w pachach go ktoś łaskotał, że od śmiechu tego twarz czerwoną formalnie miał splakaną. Tę to książkę od ks. Wikarego miałem; i ja u siebie — a że sława jej szybko się po wsi rozniosła, musiałem ją zaraz po przeczytaniu — nie pytając właściciela o pozwolenie — wypożyczyć jednemu z sąsiadów, ten zaś drugiemu, drugi trzeciemu i t.d. A kiedy mi ją po dłuższym czasie z powrotem odwieziono, tak już była rozwichrzona, że nie śmiejąc książki w takim stanie księdzu odnosić, musiałem ją na swój koszt dać na nowo oprawić“. Ale biblioteczka wyczerpała się, pieniędzy na nowe książki niema. a tu żądza czytania spokoju mu nie dawała; wtedy, ni mniej ni więcej, tylko pisze do Stanisława Tarnowskiego, (który już ojca jego wspomagał w r. 1863, w czasie uwięzienia) z prośbą o książki. Dostaje pakiet książek, później stale mu dosyłanych, i zaproszenie do Krakowa; wtedy, w r. 1896, zwiedza Kraków po raz

pierwszy, a w pałacu na Szlaku p. Tarnowska pokazuje mu pamiątki rodzinne, pośród których uderza go zwłaszcza pewien napis na szabli. W r. 1897 żeni się z biedną sierotą, która go obdarzy 5-orgiem dzieci. Tymczasem od szeregu już lat umieszcza w pismach ludowych wierszyki.

W r. 1905, staraniem Jana Słomki iun., T. S. L. w Tarnobrzegu wydaje zbiorek jego wierszy¹⁾. Zbiorek ten zwraca uwagę młodzieży akademickiej pracującej w T. S. L. we Lwowie, a jeden z tych młodych ludzi (H. Wierzyński) stale z Kurasiem koresponduje i popiera go. W r. 1906 ukazuje się w *Słowie Polskiem* odezwa o pomoc dla Kurasia; nazwisko to zaczyna być znane, nawiązują z nim korespondencję nie tylko inteligenci, lecz i chłopi. Raz przychodzi doń pielgrzym, włościanin z Samborskiego, który przechowuje egrzemplarz *Z pod chłopskiej strzechy*, jakby szkaplerz. Ułatwia mu otrzymanie posady pisarza w radzie pow. w Kołomyi rodzina Gruszeckich. Później otrzymuje podobneż zajęcie w radzie powiatowej w Tarnobrzegu. Ale w biurze czuje się bardzo źle, woli swój zawód rzemieślniczy, w którym ma poczucie swobody. Zawiazuje się komitet, mający na celu ufundowanie mu gospodarstwa; jakoś nienadzwyczajny, mimo dobrej woli wielu osób, jest skutek tych zabiegów, ale koniec końcem w r. 1912 K. dochodzi do domu własnego w Tarnobrzegu. Jeździ na uroczystości narodowe do Lwowa, Krakowa, na kongres Eucharystyczny do Wiednia, w r. 1914 zwiedza z J. Słomką iun. Warszawę, skąd wraca tuż przed wybuchem wojny. (Na tem kończy się pierwsza część pamiętnika; druga nie znalazła nakładcy). Potem oddaje swoje gospodarstwo synowi i zięciowi, umie-

ra mu ukochana córka. Kuraś pragnie przesiedlić się do Paszkówki, gdzie mieszka inny poeta ludowy, Jantek z Bugaja. Nie doczekał, umiera w grudniu r. 1929. Jantek z Bugaja tak opisuje swoje ostatnie z nim pożegnanie: „Była to jakaś tragiczna, przebolesna chwila. Pożegnawszy się zemną jak zwykle — ruszył Kuraś przed siebie ciężkim krokiem. Nagle zatrzymał się gwałtownie i począł patrzeć w moją stronę. Sądziłem, że ma mi coś powiedzieć i podszedłem ku niemu, a on ku mnie. Gdyśmy się zeszli okazało się, że ani on mnie, ani ja jemu, nie mamy nic do powiedzenia. Czuliśmy już tylko, że oto już pewno ostatnie nasze pożegnanie na tym padole... Objął mnie Kuraś za szyję i płacząc rzewnie, ucałował w czoło, czego nigdy nie czynił. Zanim mu się zdążyłem odwzajemnić, oderwał się odemnie i odszedł spiesźnie. Wróciłem i ja ku domowi, ale zaraz skręciłem do olszyny, skąd patrzałem za nim łzawym wzrokiem, póki nie zniknął w oddali“. Jantek dodaje: „Mówiło się jakiś czas o pomniku dla Kurasia, ale zdaje się, że już o wszystkim zapomniano, jak zwykle u nas... A przecież postać Ferdynanda Kurasia winna żyć w naszej pamięci, bo był to jeden z pierwszych, którzy ze skromną pieśnią chłopską poszli między swój lud, rozdierać mroki ciemnoty i budzić go do lepszego, wyższego życia“.

Pamiętnik Kurasia zawiera trochę gospodarczych rzeczy, ale przede wszystkim folklorystyczne i obyczajowe; także opisy życia proletarjackiego; te karty, w których opowiada o swych stosunkach z oświatowcami, przypominają najpiękniejsze momenty życia przedwojennej Galicji. Do pamiętnika (wydanego staraniem E. Zajączka, a do napisania

którego zachęcał go J. Słomka iun.) przedmowę dał Żeromski. Z żarliwym współczuciem, ale i z właściwą sobie przesadą mówi o biedzie tego życia: „Gdyby czarna ospa albo szkarlatyna jeła przemaszować o sobie i odsłaniać dzieje swego bytu, ukazywać drogi swego pochodzenia po niewiadomych szlakach rozwoju, doznalibyśmy tego wrażenia, co przy czytaniu pisma Ferdynanda Kurasia“. Coby Żeromski był powiedział, gdyby znał *Pamiętniki Bezrobotnych*, o których będzie mowa. Życie Kurasia, minione w ciągłych kłopotach i biedzie, w milczeniu głuchoty, nie było jednak bez powabów: życie w dzieciństwie polne i leśne, potem ciężkie, ale w kontaktach sympatji i uznania: „Ta serdeczna opieka ludzi dalekich, ale sercem bliskich, wsparła mnie nietylko materjalnie ale i moralnie, dodała mi sił w zmaganiu z garbatym losem“. Ale ma rację Żeromski, kiedy podnosi szlachetny spokój, z jakim Kuraś opowiada o wszystkich biedach swoich. Tak, ten prosty człowiek, o rysach bynajmniej nie wykwiutnych, jest jednostką nieprzeciętną, przez swój pęd do wiedzy i talent poetycki; ale zarazem jest reprezentatywnym chłopem polskim, skupiając w sobie lepsze a znamienne rysy naszej rasy chłopskiej: Spokój, wytrwałość, cierpliwość, gest nawskroś męski i poważny. Naprawdę imponującą postacią jest ten kaleka, samouk, biedaczysko, który się wyrwał ze swej proletarjackiej izolacji kulturalnej i ze swej „grobowej samotności“ przedarł się w życie umysłowe czynne i cywilizowane. Dlatego Kuraś, mimo, że jego temperament jest melancholijny, mimo, iż w jednym wierszu zapewnia: „kiedy tylko stanę nogą, wszędy to samo widzę dzieło złego“, zawiść, brak miłości bliźnie-

go, głupotę — to jednak w ostateczności jest optymistą: „Każdy najbiedniejszy nawet człowiek może, gdy chce, stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa i zyskać ogólny szacunek“.

Pamiętnik pisany stylem i językiem dojrzałym, prostokątnym, niekiedy lirycznym.

¹⁾ O wierszach Kurasia w t. II.

*

Ferdynand Kuraś. *Przez ciernie żywota. Przeżycia osobiste i wspomnienia od lat najmłodszych, aż po wybuch wielkiej wojny 1914 r.* Z przedmową Stefana Żeromskiego. Nakł. Księgarni A. Gmachowskiego. Częstochowa 1925, (Stron 160, z podobizną autora. Dedykowane Stanisławowi Wojciechowskiemu, Prezydentowi Rzpltej.

20. [Babka Agnieszka Kurasiowa, 20].

Na wyróżnienie zasługuje szczególnie babka moja Agnieszka ¹⁾). Była to niewiasta o wzniołych zaletach duszy, uczynna i miłosierna, jedna z tych o której Duch św. w Księdze przypowieści mówi: „Niewiastę mężną któż znajdzie? Daleko i od ostatecznych granic cena jej. Omylna wdzięczność i marna jest piękność, niewiasta bojąca się Boga, ta będzie chwalona“. Nikt nigdy nie usłyszał z ust jej przykrego słowa; nikt nigdy nie dostrzegł najlżejszego przebłysku gniewu na jej obliczu. Zawsze i dla każdego miała dobre słowo i słodycz twarzy. Nikt z ubogich nie wyszedł z domu jej z próżnymi rękami. Zbierając się do kościoła zaopatrywała się (zazwyczaj pokryjomu przed dziadkiem) w krom-

ki chleba, jabłka i gruszki, węzłki krup, jagieł, ziarna itp. rzeczy. Chleb i owoce rozdawała po drodze biednym dzieciom, które zawsze na jej spotkanie gromadnie na drogę wybiegały; przestąpiwszy zaś progi kościoła, szła prosto między ubogie, którym znów węzłki w ręce wtykała.

W owych czasach najemnicy otrzymywali za swą pracę u gospodarzy w czas przednówkowy wynagrodzenie przeważnie w naturze, które wynosiło na dniówkę 1 litr pszenicy czy innego ziarna — bez wiktu; w czasie zaś żniw płacono 25 „krajcarów“. Ten sposób wynagradzania najemników przyjęty był także u dziadka. Babka jednak wynagrodzenie takie uważała za niewystarczające, to też pokryjому przed dziadkiem donosiła najemnikom żywność w pole lub wprost do domów.

1) Zarówno rodzice ojca jak i matki byli wieśniakami, pierwsi mieli 6 mg. gruntu we Wielowsi, drudzy 3 mg. w Sobowie, wszyscy w pow. tarnobrzeskim. — Podobny nieco wizerunek dzielnej i dobrej matrony wiejskiej, mieliśmy już w babce J. Słomki.

21. [Dzwony sandomierskie, 22].

Aż do śmierci babki przebywałem w porze letniej najchętniej na Kępie w domu dziadków, gdzie też przebywał stale brat Jan, którego tam zajęciem było pasanie krów na pobliskim pastwisku. Czas mi upływał na uganianiu pośród pól i łąk, na swawoleniu z rówieśnikami, wśród wysokich szuwarów w wyschniętem miejscami dawnem łożysku Wisły i na płoszeniu błotnego ptactwa, którego tam wówczas znajdowały się niezliczone ilości.

Lubiłem bardzo te pola na Kępie, którym z pobliskiego wzgórza za Wisłą króluje starożytny San-

domierz z szczęsioma kościołami. Z wież tych kościołów każdorazowe bicie dzwonów dźwięcznem na drugą stronę Wisły płynęło echem. Był wówczas, ponoś na wieży katedry umieszczony, wielki zegar, odznaczający się donośnem a miłym dla ucha wydzwanianiem godzin, które na Kępie doskonale słyszeć się dało. W te dźwięki dzwonów sandomierskich, a szczególnie zegara rad się wsłuchiwałem. Już wówczas mimowiednie odczuwałem, że w dźwiękach tych przemawia do nas daleka, jakaś niepojęta, wielka nimbem świętości otoczona przeszłość. Nawet obecnie, jeśli kiedy stanę na tych polach i wzrok skieruję na sandomierskie, w blaskach słońca kąpiące się mury, a myśl cofnę w minione lata, zdaje mi się, że słyszę na jawie uroczyste głosy dzwonów i poważne bicie zegara.

Błogie chwile dziecięctwa mego skończyły się wraz ze śmiercią babki Agnieszki. A choć na Kępie został mi jeszcze dziadek, mało już kiedy tam zaglądałem. Brakło serca i ciepła.

Odtąd chowałem się w domu przy rodzicach w Sobowie, gdzie ojciec z małemi od czasu do czasu przerwami spełniał czynności pisarza gminnego i równocześnie nauczyciela w miejscowej szkółce ludowej.

22. [Utrata słuchu. Pożegnanie ze „światem głosów“, 46].

Podobało się przecież Panu Bogu odjąć mi słuch. Dotychczasowy więc świat głosów, którym tak krótko cieszyłem się, zaniemiał dla mnie zupełnie.

Zegnajcie mi zatem wszelkie głosy natury, któreście duszy mej przez krótkość pochołectwa mego pokrzepieniem były.

Żegnaj, świergocie przywiązanych do strzechy wioskowej wróblích gromadek i ty, lotnych ja-skółek szczebiocie u poddasza.

Żegnaj, cudowny hymnie szarego skowronka, zawieszonogo w wiosenne poranki nad budzącą się z letargu zimowego ziemią.

Żegnajcie, rzewne słowików trele, zamieniające w przybytek aniołów ciszę wonnych wieczorów wiosennych.

Żegnajcie, wy polnych świerszczów świerkania wśród tchnących aromatem pól w jasne, letnie dzionki i ty, czarowna żabich chórów kapelo, w przednocki majowe.

Żegnajcie, szmery wód i poszumy pól „wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem“.

Żegnajcie, kochane dźwięki serdecznych słów matki, ojca i braci.

Wdzięczna melodjo pastuszej ligawki, srebrzysty głosie dzwonka, krówek poryki, koników rzenia — żegnajcie, żegnajcie!

Nieubłagana ręka przeznaczenia odbiera mi was i zamyka w wyciosaną z głązów martwoty trumnę. I spuszcza tę trumnę w niezgłębiony jak wszechświat grób.

A na grobie tym zatyka aż po gwiazdy wysoki, a spadów łuku sklepienia niebieskiego ramionami swemi sięgający krzyż.

I daje mi wzamian na nieodłączną towarzyszkę życia, uroczystą, pełną niemego majestatu Ciszę, umarłych kochankę.

Żegnajcie, żegnajcie! ¹⁾

¹⁾ Jest to najpiękniejszy utwór Kurasia, w ostatnich wersetach sięgający monumentalności i grozy. Żeromski w przedmowie swej powiada: Kuraś „nie podnosi głosu

nigdy. Raz jedyne, gdy go poraził cios najokrutniejszy — utrata słuchu — wskutek nieszczęśliwej przygody uderzenia wrótnią w głowę, rozwiązuje się jego język dla pożegnania się ze światem szmerów, szelestu drzew, głosów przyrody, śpiewu ptaków. Wtedy dostrzegamy, jak głębokim jest poetą — — jest to wysokiej piękności hymnu o rozkoszy słuchu i jedyne pewnie w literaturze świata pożegnanie się z dźwiękiem¹⁾. Kuraś utracił słuch jako dziecko, mając lat 7, pamiętnik pisze jakieś czterdzieści parę lat później, więc „pożegnanie“ to nie jest, jakby ze słów Żeromskiego można wnioskować, bezpośrednio „rozwiązaniem się“ języka tuż po wypadku, ale utworem literackim, w którym składa swą tęsknotę za „światem głosów“.

23. [Nie przeceniać nauki książkowej, 53].

— — Proszę tylko nie zrozumieć mnie źle! ¹⁾ Do książek, do nauki, wogóle do pracy nad swym umysłem wykształceniem dążyć trzeba wszelkimi siłami, lecz jednocześnie nie zaniedbywać poznania także księgi wszechmądrości Bożej — ziemi, przyrody. Gdyż nic tak, jak częste obcowanie z przyrodą, nie ułatwia nam zdobycia wiedzy i zapewnienia sobie tak fizycznego jak i duchowego zdrowia, bez którego człowiek, choćby był jak Krezus bogatym, a jak Salomon mądrym, nigdy nie będzie w swym życiu prawdziwie szczęśliwym.

¹⁾ Poprzednio przestrzegaliśmy przed przemęczaniem dzieci nauką.

24. [Szkoła w kotłach, 58].

— — W kotłach¹⁾, szczególnie w buljerach²⁾ rozgotowana woda wytwarzała gruby, silnie do ścian przylegający, twardy jak kamień osad. Chcąc zatem kotły i popielniki oczyścić, zawsze jeden piec po-

zostawiano nieczynnym, wodę z kotłów spuszczano, poczem odszpuntowawszy otwory, ochładzano wnętrza kotłów. Wtedy dopiero zrzuciwszy z siebie ubranie i ściągnawszy bieliznę, tak w adamowym stroju, zaopatrzony w mały, wielkości zwykłego młotka oskard i olejną lampę, wraz z innymi dwoma chłopakami wciskałem się ciasnym otworem do buljera, gdzie skuleni i zgarbieni, gdyż wielkość średnicy usiąść swobodnie nie dozwalała, zawzięcie kuliśmy oskardami w otaczającą nas ciasnym swym pierścieniem żelazną beczkę, aż iskry sypały, a pył odbijanego osadu, parny, mulasty wyziew i czad kopcącej lampy przyprawiały nas o zawrót głowy.

Po należytem wykuciu kotłów zabieraliśmy się dopiero do usuwania popiołu ze znajdujących się pod kotłami próżni. Zaopatrzywszy się w małe drewniane łopatki, coś w rodzaju kijanki, jakich praczki na wsi używają, wciskaliśmy się najwyżej w czterech jeden po drugim do tych swego rodzaju katakumb, których wysokość leżeć zaledwie nam dozwalała. Do czynności tej nie rozbieraliśmy się prócz zdjęcia z nóg obuwia, chropawość bowiem muru na spodzie i po bokach, a nad nami żelazo lutowanego w metrowych odstępach kotła, groziły pokaleczeniem, a oprócz tego wszystkiego trudno stygnące, gorące mury popielników częstokroć tak parzyły, że tylko leżąc na grubej warstwie popiołu, można było w tych piekielnych norach z wielką biedą wytrzymać. Pracę mogliśmy wykonywać tylko czołgając się na brzuchu.

I pomimo takiej mordowni nie traciliśmy animuszu. Gdy nam gorącość pieca i z pieczenie znanadto dokuczyło, czołgaliśmy się naprzód ku szybrovi, gdzie był dół, w którym swobodnie można

się było poruszać, a temperatura była znośniejsza. Tu już nikt podpatrzyć nas nie mógł. Wydobywszy zatem zabrane z domu karty, wynagradzaliśmy sobie trudy graniem „w durnia“. Najczęściej jednak urządzaliśmy w jamie takiej — szkołę, w której ja zajmowałem poczesne stanowisko bakałarza... Usadowiwszy się odpowiednio przed oczyma towarzyszków kreśliłem na cienkiej, równej warstwie popiołu pojedyncze litery alfabetu, poczem sylaby, później zaś wyrazy, które przygodni uczniowie moi uczyli się rozeznawać, odczytywać, a wkońcu pisywać — naturalnie gwoździem lub palcem na warstwie popiołu. To znów opowiadałem rówieśnikom różne, z książek wyczytane historie, którym się oni z prawdziwym skupieniem ducha przysłuchiwali. Nie raz tej oryginalnej szkole oddawaliśmy się z takim przejęciem, że aniśmy się spostrzegli, jak szybko czas upływał — dopiero nadzorca nasz, który, mówiąc nawiasem, do naszego pieca nigdy się nie wczułgał — główną zaś czynność swą sprawował przy doglądaniu temperatury pary, — zauważywszy, że zadługo nie pokazujemy się, podnosił nieznacznie szyber... Wtedy gwałtowny ciąg powietrza momentalnie gasił nam kaganki i zasypywał nas tumanem popiołu. Zaczem razem zrywaliśmy się, a zamykając oczy i zatykając dłonią nos i usta, czołgaliśmy się na wierzch, gdzie otrzepawszy z siebie popiół, szliśmy, wyglądający jak nieboskie stworzenia do domu, przedstawiając swem zamorusaniem ciekawe widowisko. Trzymając z konieczności podczas pracy w popiele usta zamknięte, oddychaliśmy jedynie nosem, pod którym ciepły oddech kropląc się, przyczyniał się do łatwiejszego osiadania kopciu z lampy i kurzu, to też przechodnie

pokpiwali z nas, mówiąc, że „czarna krew“ z nosa nam cieknie.

Przyszedłszy do domu i spożywszy na prędce skromną, jak zawsze wieczerzę, klękałem do pacierza, poczem rozebrawszy się, bezwładnie niby kloc upadałem na pościel i zaraz zasypiałem, by znów o czwartej do dnia wstawać i ruszać do fabryki do dalszej pracy.

¹⁾ W cukrowni w Zakrzowie; Kuraś nie ma wtedy jeszcze 15 lat.

²⁾ Rodzaj kotła.

25. [Drewniane krzyże, 67].

Na skraju należących wówczas do fabryki pól, gdzieśmy zazwyczaj w każde lato pracowali, tuż przy samej drodze do Majdanu prowadzącej, po prawej stronie, w miejscu, gdzie bierze swój początek przerywny te pola zadrzewiony wądół, zainteresowały mię dwa małe drewniane krzyżyki, na podłużnym kopczyku postawione. Na krzyżykach tych prócz wyciętej liczby 1863 żadnego napisu nie było. Ponieważ podobne krzyżyki i gdzieindziej spotykałem, zaciekawiony zapytałem raz Kostka — który, jak i jego rodzice, prawosławną wyznawał wiarę¹⁾ — coby te liczby oznaczały, na co tenże krótko odpowiedział: „Od powstania“.

— Od powstania... a co to znaczy powstanie?

— „Wojna“.

— Wojna? a z kim?

— „Ze zbójami, których tu wtedy było dużo“.

— Ze zbójami? — wypytyuję coraz bardziej tą niezwykłą opowieścią zaciekawiony.

— „Tak, ze zbójami. Polaki były zbóje“.

— Polaki zbóje! — acha, myślę sobie, przeci-
ciem cię złapał!

Później dowiedziałem się skądinąd tyle tylko,
że krzyże owe postawiono ku pamiętce tych, którzy
w walce z Moskalami o wolność Polski na tem
miejscu polegli.

Jakkolwiek cała zasłyszana o owych krzyżach
historja była wówczas dla mnie niewyraźna, mgli-
sta, przecież w mem sercu zbudził się odrazu jakiś
pietyzm dla tych kurhanów. Ludzie idąc drogą mi-
jali te krzyżyki obojętnie, tak jak gdyby żadnego
znaku tu nie było. Ja jednakże, kiedy się tylko ku
owej mogiłce zbliżałem, oczy mimowolnie ku niej
zwracałem i głowę odkrywałem. Pewnego ranka
po nocy burzliwej, mając kurhanek ten mijać, za-
uważyłem ze smutkiem, że jeden z krzyżyków le-
żał złamany. Następnego dnia, idąc tą samą drogą,
ujrzałem ku wielkiej swej radości na miejscu zła-
manego stojący nowiutki krzyżyk, a na nim cyfra
1863. — Chwała Bogu — pomyślałem — bija
jeszcze serca życzliwe dla tych poległych.

¹⁾ Pewno z unitów, nawróconych przymusem na prawo-
sławie.

26. [Burza nad frymarką, 102].

Na dzień 29 czerwca, zdaje się 1890 r., w któ-
rym to dniu przypada uroczystość śś. apostołów
Piotra i Pawła, dziedzic dotychczasowy zapowie-
dział wydanie dla miejscowej ludności uczy po-
żegnalnej, która odbyć się miała po południu we
dworze¹⁾. Z drugimi pociągnąłem tam i ja, prostą
ciekawością wiedziony.

Dzień był cichy, słoneczny; czystego horyzontu

nie przyćmiewała najmniejsza chmurka. Na dworskim dziedzińcu zgromadzona ludność czeka już dobrą godzinę, a zapowiedzianej uczty nie widać, ani też dziedzic nie pokazuje się. Nakoniec na twarzach zgromadzonej ludności objawiać się poczyną niepokój; na niebie ukazują się chmury, a wkrótce rozlegają się przeciągłe grzmoty. Zerwał się wicher, a z czarnych, krwawymi błyskawicami przerywanych chmur, lunęła ulewa. Wycie wichru, grzmoty i huk gromów, niemilknący trzask łamanych drzew, szum gwałtownie wezbranej, opodal dworu płynącej Wisły, której brudne, spienione fale zdawało się że dosięgną stojącego na wzniesieniu dworku i splukną (*sic*) go, — wszystko to razem czyniło taką potężną grozę, że wszyscy zebrani, poukrywani po różnych zabudowaniach dworskich, pochyliwszy głowy bili się w piersi, modląc się: „Boże, bądź miłościw“. Tak więc sama nawet przyroda głośnym bólem zapłakała na tę ohydną frymarkę.

W kilka dni później po wyprowadzeniu się raz na zawsze Horocha z Wrzaw przechodziłem frontem podwórzem opodal samych ścian dworku. Podwórze zamienione już było w jeden wielki śmietnik, na którym poniewierały się całe stosy rozmaitych potarganych szpargałów. Schyliwszy się, podniosłem parę luźnie rozrzuconych świstków. Były to listy. Na jednym świstku, zaopatrzonym nagłówkiem „Kochany Kalciu“ wyczytałem między wierszami te wyrazy: „...o gdyby każda matka dochowała się takiego syna, jakim mnie Bóg w dobroci niepojęty nagroził“... Jak zatem z tytułu i treści tych kilku, możliwych jeszcze do odczytania słów łatwo było odgadnąć, był to list matki Kaliksta Horocha²⁾, do niego pisany, a które to listy on

jako relikwje przechowywał, snąc nie przeczuwając, jakiego wkońcu doczekają się losu...

¹⁾ Tadeusz H., dziedzic wsi Dąbrowa Wrzaska, którą sprzedał żydom; popełnił później samobójstwo. Zdarzenie opisane tu, znalazło wyraz w jednym z wierszy Kurasia.

²⁾ Poprzedni dziedzic, stryj Tadeusza.

27. [Wędrowny szewc uczy poezji, 114].

Podczas zajęcia przy warsztacie w poszczególnych domach¹⁾, w przerwach dnia, a zwykle wieczorami, kiedy domownicy w izbie zgromadzeni byli, opowiadałem im różne historyjki i anegdoty, najczęściej z roczników *Dzwonka i Chaty* wycytane, i poza tem deklamowałem poważne treścią wiersze, jakich sporą wiązanekę na pamięć umiałem. Kobiety szczególnie były zachwycone. — —

¹⁾ Osiedlił się we wsi Trześni, skąd wędrował po okolicznych wsiach, „od chałupy do chałupy“, obuwając po kolei rodzinę za rodziną: „W butach mojej roboty paradowali i gospodarz majątny i chałupnik chudobny, i dziewczyna, córka posażna i sierotka biedna, i pan organista, i dziadziś dzwonnik, wreszcie ksiądz probosz i pan rządca we dworze“...

28. [Kuraś podejrzanym „gazeciarzem“, 128].

— — Zaraz po podjęciu pożyczki ujawniło się, jak podejrzrywany byłem o marnowanie pieniędzy. Oto wspomniany ks. Ciechanowicz¹⁾, kapłan cieszący się pełnią zaufania swych parafjan i do mnie osobście sympatją się odnoszący, przywołał do siebie moją żonę²⁾ i upomniął ją, by pilnowała, żebym ksiązek nie kupował. Podejrzenie zresztą niestuszne,

bo książki otrzymywałem bezpłatnie od hr. Stanisława Tarnowskiego; prenumerowałem tylko dwa tygodniki³⁾, kosztem ośmiu koron rocznie, zaco wielu sąsiadów nazywało mnie — pogardliwem niby, w ich przekonaniu — mianem „gazeciarza“, a na które to pokpinkie rozmaitych duchowych matolek nie miałem najmniejszej potrzeby odpowiadać. Głębsze natomiast zastanowienie wywołać musiał następujący charakterystyczny szczegół: Oto jeden z rodziny żony, chłop niezwykle uczciwy, ale z ograniczonym poglądem na świat i sprawy, naród nasz bliżej obchodzące, wstąpiwszy do mnie pewnego wczesnego poniedziałkowego ranka i zobaczywszy na stole porozkładane książki, nad którymi dnia poprzedniego do późna w nocy pochylony siedziałem, odezwał się do przygodnego znajomego, książki te palcem wskazując: „To wszystko łyżki żuru nie warte“. — —

¹⁾ Proboszcz we Wielowśi.

²⁾ Tymczasem w r. 1897, już się autor ożenił, z „ubogą dziewczyną, sierotą po obojgu rodzicach“ i osiedlił się we Wielowśi. (Zawsze ta sama okolica rodzinna, we widłach Sanu i Wisły, w pow. tarnobrzeskim, w b. zaborze austrj.).

³⁾ „Tylko dwa tygodniki“... W iluż domach inteligentkich „tylko dwa“ perjodyki abonuje się?...

III. FRANCISZEK MAGRYŚ.

Należy on do pokolenia Słomki, urodz. w r. 1846 w Handzlówce, pow. łańcucki (b. zab. austrj.). Syn małorolnego tkacza, sam tkacz z zawodu, szkoły żadnej, nawet elementarnej nie kończył, czytać umie

tyle, ile go matka nauczyła, sam uczy się pisać, sam, w dojrzałym już wieku, zagnany potrzebą odkrywa tajemnice rachunku cyframi arabskimi. Czyta książki, lubi historję polską, pisemka, książki rolnicze, korzysta z nich, wprowadza lepszą gospodarkę. Korzysta nawet (co w czasach wcześniejszych, pańszczyźnianych, byłoby psychicznie wykluczone!) z przykłądu lepszej gospodarki dworskiej. Małe jakieś, nieznaczne reformy, ale ważne: jakieś praktyczne użycie gnojówki, żeby się nie marnowała. Jako jedyny piśmienny w gminie, wybrany w r. 1874 sekretarzem gminnym, zwalcza, sam abstynent, — stary zakorzeniony zwyczaj odbywania narad w karczmie przy wódce. W walce z pijaństwem nie ustępuje ani na chwilę. A były w tej okolicy po drodze do Łańcuta cztery karczmy na siedm kilometrów drogi; kto oparł się pokusie picia w pierwszej lub drugiej, ten uległ przy trzeciej lub czwartej: Walka z pijaństwem na drodze administracyjnej nie była łatwą, starania rady gminnej Handzlówki pod wodzą jej sekretarza o zniesienie szynków, przy oporze władz (zależnych od pędzących gorzałkę właścicieli dóbr), nie odnoszą skutku. Sławna galicyjska propinacja!... W r. 1889 przybywa do Handzlówki jako wikary X. Krakowski, który przy pomocy Magrysia zaczyna agitację za szkołą (prywatną, w której sam będzie uczył). Ale jeszcze w tym roku, pod koniec już wieku, szkoła wydaje się chłopom luksusem. Na radzie gminnej głosy: „Mój ojciec, ani ja czytać i pisać nie umiemy i żyjemy...“. W końcu jednak postępowcy wzięli górę, szkółkę jakoś tanim kosztem urządzono i ksiądz uczył dzieci 4 lata, potem przyszła szkoła publiczna. Ze szkółki tej wyszło kilku późniejszych

działaczy ludowych i gminnych. Idą z tej wsi rozmaite inicjatywy, których pisarz gminny Magryś był zawsze *magna pars*, lub conajmniej prawą ręką troskliwego proboszcza X-a K.: budowa nowej drogi, dom ludowy, kółko rolnicze, kasa Raiffeisena, sklep kółka rolniczego, budowa kościoła i plebanji, spółka mleczarska, kółko gospodarskie dla kobiet, walka z nieuczciwym wójtem. Magryś również, podszepnął w r. 1898 B. Żardeckiemu, sekr. rady powiatowej w Łańcucie, myśl szkoły gospodarczej dla kobiet, podjętą następnie przez X. Tyczyńskiego z Albigowej, gdzie też ją założono i gdzie pod wytrawnem kierownictwem rozwinęła się bardzo pomyślnie. W r. 1890 organizuje Magryś udział swej gminy w parcelacji obszaru dworskiego. Magryś epizodycznie bierze udział w polityce, agitując w r. 1898 za Stojałowskim¹⁾, do którego jednak wraz z innymi rozczarował się. Uprawia też publicystykę; zestawiona przez wydawcę biblijografja jego artykułów i wierszy (publicystyka rymowana) liczy 111 pozycji (1889.—1918) więc przeciętnie na rok blisko 4 pozycje. Ale były lata, w których nic nie pisał i takie, w których jest więcej pozycji; trzeba to uważać za działalność pisarską dość obfitą, zważywszy rozliczne zatrudnienia autora, publiczne i gospodarskie, a także kłopoty i strapienia domowe (warjowała mu przez całe niemal życie żona, a potem po jej śmierci i córka). Część artykułów wydawca przytacza; pisane są bez żadnej manieri, ściśle rzeczowo. Ciekawy np. jest artykuł z r. 1903, w którym M. zwalcza obojętność chłopską na samorząd powiatowy, w innych wysuwa zdrowe uwagi o asekuracji od ognia, walczy z karczmami, popularyzuje metody gospodarcze

i t. p.²). Wieś uznała zasługi swego sędziwego już przodownika, w r. 1925 umieszczając jego portret w sali Kółka rolniczego; niebawem na gruncie przezeń ofiarowanym, otwierają ogród dla dzieci im. Fran. Magrysia. W otwarciu, które jest uroczystością na jego cześć, uczestniczą najwybitniejsi ludzie w powiecie z ordynatem łańcuckim włącznie. Niestety, bliskie lata niosą niepokój do wsi, w zapale bojowym zniszczono park, teatr ludowy, z domu ludowego wyrzucono portret autora pamiętnika, niedawno tam umieszczony... Trochę przykrym dysonansem wieńczą się dzieje tej wsi w nowej Polsce... Autor jednak jest pełen optymizmu. Na ostatniej karcie wspomnień, staruszek stwierdzając te wielkie zmiany na lepsze, jakie się dokonały w czasie jego życia i spoglądając na swój długi, dobrze spędzony żywot, wyraża przeświadczenie, że każdy, nawet w najgorszych warunkach urodzony, „może wyrobić w sobie charakter i silną wolę, poznać swój cel prawdziwy i wtedy dopiero stać się naprawdę człowiekiem — jeśli tylko zechce pracować, opierając na wyssanych z mlekiem matki zasadach moralności i wiary w Boga“. Ten morał nie jest zaiste frazesem w ustach człowieka, co własnym dobrym uporem (i z pomocą tych czynników społecznych, co o chłopie myślały i szerzyły oświatę), sprawił dużo dobrego. Magryś umiera w r. 1934.

Porównany z pamiętnikiem Słomki, pamiętnik Magrysia wypada co do ilości informacji ubożej, też indywidualność Słomki jest bogatsza, cała jego postawa (żeby porównać podobizny) bardziej „rasowa“ niżli Magrysia. Ale bardziej wzrusza Magryś, człowiek tak biedny i skłopotany. W osobie jego, jeśli wspomnimy, że się urodził akurat w tym roku

1846, dzieckiem pańszczyźnianych rodziców — jest coś symbolicznego: Może jednak ten wiek XIX nie był tak całkiem „głupi“, jakby chcieli niektórzy?...

1) Objąsnienie o X. Stojałowskim w t. II, w rozdz. o J. Bojce.

2) Próbné publicystyki Magrysia w tomie II.

Franciszek Magryś: *Żywot chłopca działacza*, opracował dr. Stefan Inglot, z przedmową prof. dr. Franciszka Bujaka. Lwów 1932. T. I. *Biblioteki dziejów i kultury wsi*, stron 236.

29. [Dzieciństwo. Przednówki, 7].

— — musiałem spać z bratem i siostrą na jednym tapczanie za piecem. Za tym piecem był cały mój świat w zimie, musiałem tam siedzieć przez cały dzień. Kiedy dorwałem się noża, strugałem szczypy, służące do świecenia wieczorami, za co nieraz dostawałem od ojczyrna bicie długim, półtorałokciowym kijem, służącym do tkactwa. Bywało, że starszy brat pomagał zimą robić sągi i zwoził je saniami do domu. Często udało mi się wyrwać z domu bosó, jedynie w koszuli długiej, gdyż do dziesiątego roku życia dzieciom nie dawano spodni ani butów, kiedy brat zbliżał się, wskakiwałem na sanki i jechałem z nim do domu. Choć nieraz zmarzłem dobrze, a także otrzymałem bicie od ojczyrna, zanim wyostałem się z powrotem na piec, była to dla mnie wielka radość. W lecie było mi o wiele lepiej, mogłem swobodnie biegać, byłem nie zrobił jakiej szkody, gdyż czekało mnie bicie, które także zbierałem, gdy szedłem bawić się do innych chłopców. Tak doszedłem do 7 lat, a brat Jaś miał wtedy

lat 12. Bratu było lepiej niż mnie, ponieważ pomagał ojcu przy pracy tkackiej a ja byłem darmożjadem. Siostra pomagała matce przy szyciu i haftowaniu rańtuchów¹⁾, któremi zaodziewały się kobiety idąc do kościoła, więc także lepiej jej się powodziło niż mnie i ojczym łaskawszem na nią patrzył okiem. Szczęściem dbała o mnie matka i choć ukradkiem dała mi zjeść nieraz, gdy byłem głodny. Chodziłem w tym celu za matką do obory, bo ojczym zajęty w izbie tkaniem płótna nie mógł zobaczyć, co robiłem.

Nic dziwnego, że ojczym gniewał się, gdy dostawałem jedzenie bez jego wiedzy, gdyż czasy były ciężkie, a o chleb było trudno. Były to owe czasy pańszczyźniane, kiedy 50-morgowym gospodarzom brakowało często chleba na przednowku i musieli go kupować²⁾. U nas zaś, choć skromne było jedzenie, chleba nigdy nie brakowało, bo ojczym tkactwem nań zapracowywał. Do tego chleb był żytni, gdy tymczasem u kmieci często cieszono się, skoro nie brakło chleba owsianego, do którego dodawano w żarnach, jak wszędzie, zmielone żyto stokłosne z domieszką wyki. Mówiono, że taki chleb był sytny i czeladź kmieca mniej go zjadała. Radość była wielka, gdy ojciec zwłaszcza w poście kupił czasem bobu, który jedliśmy z barszczem owsianym.

¹⁾ Rańtuch był to duży zawój na głowę, noszony przez kobiety mężatki, zwłaszcza starsze, w dnie świąteczne, w porze letniej. Sporządzony był z płótna, rodzimego wyrobu i wysyty w rozmaite wzory czerwonymi nićmi.

²⁾ Por. u Bujaka, (*Wieś galicyjska*, 69): „...co trochę powtarzały się, to lżejsze, to cięższe przednowki. Przednowek czyli niedostatek na wiosnę przed nowymi zbiorami

był przed kilkunastu jeszcze laty [tj. pod koniec w. XIX] dosyć pospolitem zjawiskiem. W wielu okolicach pojawiał się on co rok i był uważany za chroniczną chorobę ekonomiczną u ludu. Na wiosnę pożywienie włościanina, nawet zamożnego, było znacznie mniej obfite niż w jesieni, jeszcze przed 20—30 laty. Dopiero koleje i udoskonalona organizacja handlowa zapewniły dowóz zboża z dalszych stron — — (70) Przyczyną przednowków była lekkomyślność i nieprzezorność ludności. Chłop nasz nie wychowany ekonomicznie, nie przewidywał potrzeb odleglejszych, ale przyzwyczał się żyć z nowego tak, że nawet w roku urodzajnym musiał biedować na wiosnę. Tę ogromną przepaść między tem, co było „z nowego“, a tem co było „przed nowem“ czyli na przednowku uważał za naturalną i konieczną. Z nowego jadł i pił, sprawiał chrzciny i wesela, na przednowku szedł do żyda, do bogatego chłopu lub dworu, zaciągał lichwiarskie długi, sprzedawał swą pracę i mienie po bajecznie niskich cenach. Trwało to do dziewiątego dziesięciolecia. Obecnie przednowek dotyka tylko tych, których dotknąć musi a i ci są na to najczęściej przygotowani. — — Każdy gospodarz dobrze sobie uświadamia w jesieni, ile mu na cały rok potrzeba zboża dla siebie i paszy dla bydła. — — Biedniejszych bronią od przednowku zarobki miejscowe i emigracja zarobkowa“ — — (Ten rys marnotrawstwa przy obfitości zapasów, braku oszczędności, za czem idzie chroniczne głodowanie pomiędzy krótkimi okresami najadania się, stwierdzają podróżnicy u wszystkich niemal ludów pierwotnych).

30. [Pierwsza nauka, 19].

Uczyła nas matka czytania, bo pisać nie umiała. Zresztą wówczas taka była metoda nauczania, że najpierw uczono czytać sylabizmem. Stosownie do wskazań elementarza, tzw. groszówki, przeszedłem najpierw wielkie abecadło, potem małe, a skoro nauczyłem się pojedynczych liter, przyszła kolej na zgłoski. Zkolei nauczyłem się zgłoskami modlitw porannych, przed jedzeniem i po jedzeniu, litanji Loretańskiej, modlitwy o imieniu Jezus, modlitwy

do św. Barbary o szczęśliwą śmierć, a wkońcu kołendy dla małych dzieci. Już na Wielkanoc siostra moja Kasia poszła z książką do kościoła, ja zaś miałem jeszcze prowadzić naukę czytania najbliższej zimy, gdyż na wiosnę, w lecie i jesieni miałem paść bydło. — —

Ojciec pozwalał uczyć się nam, tem bardziej, że sam umiał czytać, a gdy nieraz nie mogłem pojąć pierwszych lekcji, dostawałem od niego bicie.

31. [Przy warstacie tkackim].

— — już nie siedziałem za piecem, lecz ojczym wziął mnie do pomocy przy robotach tkackich¹⁾, tem bardziej że starszego brata wziął już za warsztat i kazał wyrabiać płótno. Matka zgodziła się na to, choć był jeszcze za młody do tej ciężkiej pracy, zgodziła się, gdyż w przeciwnym razie ojczym byłby go wysłał na służbę, a matka nie chciała, by na służbę odszedł, lecz by uczył się rzemiosła. Na początek dali mu robić grube płótno, a ponieważ nie mógł dostać do podnóżków warsztatu, nadbili mu na nich klocki. Ciężka to była praca i niezdrowa, gdyż trzeba było wdychiwać pył, wydobywający się z konopi, trzeba było mieć w ruchu przez cały dzień ręce i nogi, podczas gdy tułów pozostawał nieruchomy. Brat, nie mając dostatecznych sił do takiej pracy, zaczął chudnąć i kaszlać. Matka martwiła się z tego powodu i płakała, a ratowała go mlekiem prosto od krowy, podając mu je ukradkiem, by ojczym nie widział. Moja praca pomocnika przy dwóch warsztatach była również ciężka.

¹⁾ Miał 8 lat. Starszy miał wtedy lat 15.

32. [Ciekawość do książek, 13].

Gdy miałem chwilę wolną od pracy, brałem się do czytania. Obecnie czytanie szło mi już lepiej i z tą chwilą wzbudziła się u mnie ciekawość do książek. Gdzieś mógł je wydostać, tom je brał i czytał¹⁾, co czytałem również z nastaniem wiosny, gdy wypadło mi znowu kolejnym porządkiem rzeczy paść bydło w polu. Oprócz czytania w chwilach, gdy bydło pokładło się spać na pastwisku, znalazłem sobie drugie zajęcie, do którego zabrałem się z wielką ochotą. Rznąłem mianowicie krzyże i różne inne figury na drzewach leśnych, a szczególnie w lesie pańskim. Skoro spostrzegł to leśny, ścigał mnie, by ukarać za te szkody, lecz ja, będąc zwinny, uciekałem przed nim, wywracając po drodze koziółki i śmiejąc się, że leśny dopędzić mnie nie mógł. Początkowo leśny gniewał się na mnie, z czasem jednak, skoro poznał, że nie głupi, i że umię²⁾ czytać, pożyczał nam do domu książki do czytania, które miał u siebie lub które dostawał od ks. dziekana Marceliego Boguckiego, proboszcza w Albigowej. Czytaliśmy wtedy przez niego od ks. Boguckiego pożyczone Pismo św. w przekładzie ks. Wujka. Leśny był człowiekiem światłym, umiał sam dobrze czytać i czytał wiele; na weselach i na pogrzebach mówił mowy. Przytem dla chłopów był względny i nie donosił panu, gdy poszli do lasu po drzewo na łuczywo tzw. szczypy lub gdy paśli w lesie pańskim bydło. Mówił nieraz: „za pańszczyzny lud napracował się dla panów za darmo, niech teraz choć tyle panu weźmie“³⁾. Nazywał się ten leśny Tomasz Sobek, a był dziadem pośła Jana Sobka.

1) Rys znamieny dla wszystkich pisarzy ludowych: już w dzieciństwie rwali się do czytania.

²⁾ Niepoprawnie, zamiast: umiem.

³⁾ Uczucie wspólności lasów i pastwisk pochodzi z czasów rodowego władania ziemią we wczesnym średniowieczu, a przechowało się u ludu naszego w epoce pańszczyźnianej, bo i wtedy lasy i pastwiska dworu służyły całej wsi pańszczyźnianej jako całości gospodarczej.

33. [Mądra matka, 34].

Matka nasza była pobożna i w te różne zabobony nie wiele wierzyła, a mówiła: „Będzie wszystko, jak Bóg da“¹⁾). Mleko u nas było dobre, można było z niego zawsze masło zrobić, a chleba nigdy nam nietylko nie brakło, ale mieliśmy lepszy chleb niż niejeden z kmieci. Nie brakowało nam bowiem roboty tkackiej, owszem mieliśmy jej zawsze więcej, niż mogliśmy podołać. Kto zatem przyniósł ładniejsze żyto jako zapłatę za robotę, temuśmy wcześniej płótno wyrobili, a kto jeszcze przyniósł nadto bochenek chleba, był pewien, że czekać nie będzie. Matka biednego zawsze nakarmiła, a niejednokrotnie przenocowała. Ludzie dziwili się, skąd u nas zawsze był dostatek, mimo, żeśmy gruntu nie mieli. Cała tajemnica naszego powodzenia leżała w tem, żeśmy dobrze znali swoje rzemiosło, pracowaliśmy od rana do nocy i nie piliśmy wódki.

¹⁾ Por. u Borowego, ust. o zabobonach, w tomie II.

34. [Pijaństwo pańszczyźniane, 34].

Rzopili się chłopci po pańszczyźnie w większym stopniu, niż za pańszczyzny. W czasach pańszczyźnianych chłop nie mógł tak wiele pić, bo i karczem nie było tyle i panu zależało na tem, by chłop nie rozpijał się, gdyż w takim stanie nie mógł mu do-

brze i na czas odrobić pańszczyzny i zapłacić czynszu. Kiedy lud poczuł się wolnym, nie mając czem czasu wolnego zapełnić, szedł do karczmy pić początkowo z radości, że został obdarzony wolnością, a później szedł już pić nałogowo¹⁾). Karczem pan w tych czasach nastawiał więcej, by dochodami z nich opłacić robotnika, którego obecnie do pracy folwarcznej trzeba było najać. Niektórzy chłopci prawie z karczmy nie wychodzili, a ich żony nosiły im tam jeść. Zapełniała się zwłaszcza karczma w niedzielę. Po nabożeństwie wszyscy do niej udawali się i siedzieli tam do niesporów, a czestokroć i podczas niesporów w karczmie przebywali. Każde wesole musiało się zacząć w karczmie, do której zdążano bezpośrednio po ślubie.

Na większych weselach wypijano po 50 garncy wódki, tzn. blisko 200 litrów, na mniejszych od 20—30 garncy. Przy drodze od naszej wsi aż do najbliższego miasteczka Łańcuta, stały cztery karczmy, czyli przeciętnie jedna karczma wypadała na trzy kilometry. Każdy, idący do miasta, do karczmy wstępował, tak, że powstało przysłowie: „Kto karczmę minie, ten nogę wywinie“.

¹⁾ Por. u Słomki, ust. 12.

35. [Samoucy, 38].

— — wystrzegaliśmy się z bratem wódki, a zamiast chodzić do karczmy i czas tracić, woleliśmy czytać książki w wolnych od pracy chwilach. Zresztą zobaczyliśmy wnet, że nauczyć się sztuki pisania byłoby dla tkaczy bardzo pożyteczne. Przynosili do nas ludzie przędzę w wielkiej ilości, tak, że trudno było zapamiętać bez oznaczenia jej, do kogo nale-

zała. Zaś najlepszem oznaczeniem byłoby przyczepienie do poszczególnych zwojów przędzy nazwiska jej właściciela. Zabraliśmy się tedy do nauki pisania, ale sprawa nastroczała wiele kłopotów. Szkoły nie było, a w całej wsi pisać umiał tylko stary organista, który wtedy był jeszcze pisarzem gminnym, a po nim dopiero został pisarzem żyd-karczmarz. Trudno też nam było o przybory do pisania i nie wiedzieliśmy, jak je zdobyć. Przypadek nam pomógł. W wielkim poście przybył do nas organista, obchodzący wieś w celu zapisywania do wielkonocej spowiedzi i on sam poradził, jak własnym przemysłem można zrobić atrament i jak z gęsiego pióra można zrobić dobre pióro do pisania. We wsi gęsi nikt nie chował z wyjątkiem plebanji i dworu, gdzieśmy nie mieli dostępu, więc początkowo zrobiliśmy pióro z trzciny, a dopiero, gdy nasza krewna, która u żydów służyła, przyniosła nam skrzydło gęsi, mogliśmy narobić piór poddostatkiem. Pióra te jednak nie chciały pisać. Czekaliśmy, aż znowu rychło przyjdzie do nas organista, by zapytać się go, jakie ulepszenia należy jeszcze wprowadzić. Pokazało się, żeśmy zapomnieli rozciąć pióro na końcu. Gdyśmy to zrobili, pióro dobrze pisało. Jako wzór do kreślenia liter służył nam druk, i dlatego najpierw nauczyliśmy się pisać alfabet drukowany. Dopiero, gdy w sąsiedztwie mieszkający wójt wzywał nas często do odczytywania mu różnych pism rządowych, od niego braliśmy je i według takiego wzoru nauczyliśmy się alfabetu pisanego. Wójt już wtedy miał z nas wielką pomoc, tem więcej, że do organisty miał daleko, a my mieszkaliśmy w sąsiedztwie.

Wykształceniem swem przodowaliśmy wśród młodzieży wiejskiej.

W sąsiedztwie mieszkający wójt widząc, że nam tak dobrze nauka idzie, że umiemy już czytać i pisać, przysłał do nas swego syna, byśmy go czytać nauczyl.

36. [Nie przymuszać dzieci, 41].

— — młodość oprócz nauki potrzebuje jeszcze zabawy. Jeżeli dziecko do nauki samo rwie się, szczęście to dla rodziców wielkie, gdy się uczyć nie chce, trzeba spróbować kijem napędzić je do pracy, lecz gdy to nie pomoże, nie trzeba dalej przymuszać je, by się uczyło, lecz wynaleźć mu zajęcie, które odpowiadać mu będzie.

37. [Książki, wiersze, 48].

Pasąc konie, czytałem książki, skoro udało mi się wypożyczyć je u kogokolwiek, kreśliłem wiersze, to znów robiłem łańcuszki do fajek z żółtego drutu, a gdy za nie zarobił cośkolwiek, kupowałem książki. Ujmowanie mych myśli w formie wierszy sprawiało mi zawsze wielką przyjemność. W wieku starszym coraz częściej pisywałem okolicznościowe wiersze, które już to odczytywałem na różnych zebraniach we wsi, już to drukowałem w pismach ludowych.

38. [Abstynencja, 54].

Był zwyczaj, że, skoro przyszła niedziela lub jakiegokolwiek święto, wszyscy robotnicy szli do karczmy pić wódkę, składając się uprzednio na nią gromadnie. Ja odrazu wymówiłem się od tego picia, choć krzywo się na mnie patrzyli, a gdy oni pili,

udałem się w dalsze strony i kupiłem sobie chleb na cały tydzień taniej, niż był na miejscu. O suchym chlebie pracowałem cały czas i zarobiłem na oddanie długu.

39. [Uczy się lepszej gospodarki. Czasopisma, 56].

— — Doszedłem własną pracą do dwóch morgów gruntu. Grunt był bardzo lichesy. Nikt tam nigdy nawozu nie woził. Ja na rolnictwie znałem się i praktycznie, dzięki służbie u kmiecia i teoretycznie trochę, bo czytałem czasopisma ludowe, gdzie często artykuły rolnicze pomieszczano. Nie bez znaczenia była tu także oddawna obserwowana przezemnie postępową gospodarką rolną, prowadzoną we dworze przez Prusaków, którzy około roku 1855 kupili Handzlówkę od Sobolewskich. Z czasopism w początkach czytałem najwięcej *Nowiny* i *Chatę*. Oba pisma dobrze redagowane, zawierały dużo ciekawych artykułów, poświęconych różnym sprawom. W myśl zasady łączenia rzeczy przyjemnych z pożytecznymi znaleźć tam można było artykuły z zakresu historii kraju ojczystego i sąsiednich krajów, jak też z zakresu bieżących wydarzeń politycznych, następnie biografje znakomitych ludzi, powiastki, legendy, przysłowia, wiersze i pieśni, wiadomości z nauk przyrodniczych, bardzo cenne rady gospodarskie i rolnicze, listy pisane, także przez włościan, do redakcji i odpowiedzi na nie, wkońcu różne aktualne, ważniejsze zdarzenia.

40. [Przoduje w uprawie roli, 57]

Uczyłem się z tych czasopism, jak rolę uprawiać, jak szanować i konserwować nawóz, jak za-

kładać i utrzymać sad. Mając swój grunt, wycytane nauki wprowadzałem w życie. Ponieważ miałem grunt wyjałowiały, jak to mówią u nas „szczerą glinę“, postanowiłem go znawozić. Trzeba było wystarać się o nawóz. Od jednej krowy i cielęcia tyle znowu nawozu za rok nie mogłem zrobić, ile mi było potrzeba, więc spróbowałem zrobić nawóz sztucznie. W miejscu, gdzie najwięcej gnojówki ściekało z obory, wykopałem dół, by ją tam zbierać, a gleba u nas nieprzepuszczalna, więc w tym dole gnojówka utrzymała się. Wyprosiłem u brata żony, by mi pozwolił grabić liście w jego lesie. Te liście użyłem jako ściółkę pod bydło. Gnoj zbierałem co tydzień i układałem warstwami na gnojowni. Ponieważ i tak byłoby mało tego gnoju, zbierałem ziemię i kładłem ją na gnojownię, tzn. na warstwę gnoju kładłem warstwę ziemi, a na to lałem gnojówkę. W ten sposób zebrałem nawozu tyle, że na jeden mórg mógł wystarczyć. Zaprosiłem braci mojej żony, by mi wywieźli w pole. Skoro zobaczyli, że ziemię na wóz nakładam, rozgniewali się i chcieli odjechać, mówiąc, że wstyd im wozić przez wieś tego rodzaju gnoj. Dopiero musiałem im dać wódki i tłumaczyć, że ja sam próbuję, co na takim gnoju zrodzi się, by się zgodzili wywieźć go. Pokazało się, że miałem tyle nawozu, ile mógł normalnie wywieźć kmieć mający 4 konie i 5 krów. Przyszło do orki. Znowu miałem trochę kłopotu, bo mi pole zaorano w szerokie zagony, bo we wsi orano tylko tzw. czworaczki. Uprosiłem zaledwie, by mi zorano w zagony ośmioskibowe. Jako tkacz siał nie umiałem, na służbie siał się¹⁾ nie nauczyłem, bo tam siał zawsze sam gospodarz, więc musiałem prosić o to sąsiada. On oczywiście zasiał tak, jak

był przyzwyczajony siać na zagonach czteroskibowych. Skoro po tygodniu wyszedłem w pole, zobaczyłem, że na jednej stronie zagonu zboże zeszło, na drugiej wcale go nie było. Wziąłem tedy ze sobą trochę żyta i wieczorem, by nikt nie widział, posiałem je w miejscach niezasianych, następnie grabiami zruszyłem ziemię i nakryłem ziarno. Czas był dobry, więc żyto zeszło, a zczasem zrównało się z zasianem wcześniej. Rezultat był taki, że na tym lichym gruncie, gdzie nigdy nie siano zboża, urodziło się żyto tak ładne, jakiego nie było w całej wsi. Skoro zobaczyli to sąsiedzi, zaczęli dopytywać się, w jaki to sposób doszedłem do tak ładnego zbioru. Chętnie ich o tem pouczyłem i tak dałem początek we wsi postępowej gospodarce rolnej.

1) Błędny szyk wyrazów, powinno być: na służbie nie nauczyłem się siać lub t. p., a nie „siać się“.

41. [Początek pracy społecznej, 64].

— — Od czasu objęcia przezemnie urzędu pisarza zaczęła się nowa era w mem życiu. Nie biorąc dotąd udziału w sprawach gminy, zostałem naraz urzędnikiem, przez ręce którego przechodziły wszystkie sprawy gminne. Wszedłem w życie społeczne wsi z tem przykazaniem, wynikającym już z mego wyboru, by pijaństwo z gminy wyrzucić. Za moje funkcje miałem dostawać rocznie 8 zł. reńskich. — —

42. [Odkrycie arytmetyki, 64].

Miałem trudności ze zliczaniem podatków, choć umiałem pisać i stawiać cyfry, nikt nie uczył mnie dodawać i odejmować, dzielić i mnożyć. Sam wpad-

łem na to, że najpierw dodaje się jednostki, potem dziesiątki, następnie setki i sam nauczyłem się odejmowania, lecz mnożenia i dzielenia nauczyłem się dopiero wtedy, gdy do wsi przyjechał komisarz ze starostwa na sekwestracje za niezapłacone podatki. Nic mu nie mówiąc, przyglądałem się, jak rachuje i jak stawia cyfry, a gdy odjechał, wziąłem się jeszcze raz do liczenia i stwierdziłem, że popełnił pomyłkę na niekorzyść gminy na 25 zł. reńskich. Pozliczałem wszelkiego rodzaju podatki i odwiozłem je do Łańcuta.

43. [Szkoła dla dziewcząt, 84].

— — powiedziałem mu: „Panie pośle, jest już we wsi zmiana na lepsze, mamy kółko rolnicze, gdzie my chłopcy możemy nauczyć się wiele, ale nasze kobiety nadal są ciemne, a im bodaj więcej potrzeba nauki niż nam, bo jako matki dzieci dobrze wychowywać winny i również winny być dobrymi gospodyniami. Kobiety nasze powinny znać się na higijenie, na przyrządzaniu potraw, chowie bydła, trzody i na ogrodnictwie“¹⁾.

¹⁾ W r. 1898 w Łańcucie odbyła się uroczystość w setną rocznicę urodzin Mickiewicza, Magryś wygłosił swój wiersz; po uroczystości, poseł z Łańcuta do parlamentu, Bolesław Zardecki, sekretarz rady powiatowej, rozmawiał z M. o sprawach społecznych. „Na wiosnę najbliższego roku, szkoła już była, w Albigowej pod Łańcutem, a pierwszą jej kierowniczką była Marja Gostkowska. Później z pomocą znanego z zasług proboszcza w Albigowej, ks. Antoniego Tyczyńskiego, szkoła rozwinęła się bardzo, zbudowano jej własny piętrowy dom, dano obszerny grunt i szkoła utrzymywana przez samorząd krajowy i powiatowy, gromadziła dziesiątki dziewcząt z całej Galicji“. (Magryś, *ibid.*; por. w Przedmowie, o p. M. Gostkowskiej).

44. [Bilans życia, 122].

Kończę następującą uwagą: Do skreślenia mego żywota nie uprawnia mnie ani nauka, ani bogactwo lub wyjątkowa zasługa. — Przeżywszy 83 lat, widzę wielkie zmiany na świecie. Zarówno w naszym kraju, w powiecie, jak i w mej wsi rodzinnej, nieustający postęp kultury te zmiany wprowadził. Urodziwszy się w małej podkarpackiej wiosce, w biednej chałupie, nie mogłem mieć pretensji do osób mnie otaczających, by nauczyli mnie wedle sił moich przyczynić się z czasem do jej rozwoju. Najwięcej zawdzięczam mej matce, która mnie wychowała religijnie, która dała mi początki nauki czytania. Zdobylem dzięki temu skarb drogocenny, zapinocą którego mogłem zapoznać się z postępem kultury i jej stosunku do mnie i stanu wsi rodzinnej. Przyszedłem do przekonania, że obowiązkiem moim jest nieustannie pracować nad sobą, by móc korzystnie pracować dla pożytku mej wsi rodzinnej, w której zauważyłem duże niedomagania. Ciemnota i pijaństwo były ich przyczyną, uważałem tedy za obowiązek swój dążyć do ich wyłączenia. I nie sądzę nigdy, bym działał coś nadzwyczajnego, czego by inny nie mógł działać. Owszem każdy człowiek, nawet w najgorszych warunkach urodzony, może stać się pożytecznym otaczającemu go społeczeństwu, jeżeli tylko zechce nad sobą pracować, a nie wyzbędzie głębokich zasad moralności i wiary w Boga, jakie wyssał już z mlekiem matki, wtedy może wyrobić w sobie charakter i silną wolę, może poznać swój cel właściwy i wtedy dopiero staje się naprawdę człowiekiem¹⁾.

¹⁾ Zakończenie pamiętnika. I tu, jak u Słomki i Kurasia, głęboki optymizm człowieka nieprzeciętnego, który własną

energją, dyscypliną moralną i ciężką pracą wybił się na czoło swej gromady. I tu jednak należy zauważyć, że sprzyjała temu awansowi społecznemu, lub raczej kulturalnemu, epoka, epoka, która zniosła niewolę, a sfery oświecone, „starszych braci“, zbliżyła do ludu, przed ludem otworzyła życie polityczne i zrzeszeniowe, słowem epoka ideałów demokratycznych i narodowych.

IV. PAMIĘTNIKARZE KONKURSU POZNAŃSKIEGO.

W grudniu roku 1921 Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu, pod kierunkiem prof. Znanieckiego, ogłosił „konkurs na najlepszy życiorys pracownika, napisany przez niego samego“ (nagrody 100.000 i 50.000 marek, za nienagrodzone zwrot kosztów od 2000—6000 mk). W konkursie mogli brać udział wszyscy zarabiający na życie pracą fizyczną. Wymaganem było przynajmniej 600 stron pisma wielkich ćwiartek papieru. Program opisu życia podano szczegółowy, nie wyłączając „historij miłosnych i życia małżeńskiego“ (notuję to, bo to tłumaczy bezwarunkową szczerść jednego ze znanych laureatów konkursu); dozwoloną była anonimowość, czas pisania pozostawiony był 1-o miesięczny. Nadesłano 149 autobiografij (45 z był. zaboru rosyj., 25 z b. zab. austrj., 79 z b. zab. niem.) — ten stosunek tłumaczy się tem, że we Wielkopolsce ten konkurs był najlepiej rozgłoszony. Na podstawie 30 z pośród nadesłanych na konkurs, została napisana książka o „awansie społecznym robotnika“, która podaje dość znaczną ilość cytat, dających się zorjentować w formie i najciekawszych ustępach treści pamiętników. Badacz obyczajowości ludowej znajdzie w tych cytatach niejedną rzecz ciekawą dla

siebie, trochę i etnograf oraz badacz świadomości narodowej, klasowej i stosunków gospodarczych.

Dr. Józef Chałasiński: *Drogi awansu społecznego robotnika*. Studium oparte na autobiografiach robotników. Poznań 1931. Prace Polskiego Instytutu Socjologicznego.

45. [Szczęśliwa rodzina, 150].

(Z pamiętnika nr. 21)

Byłem i jestem w tem szczęśliwem położeniu, że żonę mam dobrą, gospodarną, nierozrzutną, żadnych napojów alkoholowych do ust nie weźmie, woli się napić czystej wody, aniżeli wydać ciężko zapracowany grosz na rzeczy, bez których można się obyć, bez których można bez uszczerbku dla zdrowia żyć i pracować; mając taką dobrą żonę, więc też kieliszek u mnie niema miejsca. — — Porządek w domu wzorowy, wszystko czyste, wszystko na czas zrobione, gdy ide od pracy, to żona mi z domu wyndzie naprzeciw, z dzieckiem na ręce, lub też je prowadzi za rączkę, zdaleka już, choćbym był czasem w pracy czemś rozgniewany, swoim do mnie przywiązaniem, swoim wesołem usposobieniem i swoim pełnem miłości spojrzeniem, rozprasza w ty chwili moje chmurne czoło i czyni mi to życie znów szczęśliwszem i wesołem¹⁾.

¹⁾ Rzadki, pośród wielu ponurych obrazów u najnowszych pamiętnikarzy ludowych, taki sielankowy obrazek.

V. WŁADYSŁAW BERKAN.

Ur. w r. 1859 na Pomorzu, syn biednego szewca, ponoś ze zubożałej szlachty, jest robotnikiem krawieckim w Berlinie, dzięki energii i pracowitości dochodzi do wybitnego i samodzielnego w swoim zawodzie stanowiska jako właściciel zakładu krawieckiego o międzynarodowej renomie, pracuje narodo-wo i społecznie, wchodzi w stosunki towarzyskie z wielu znanymi osobistościami, zdobywa sobie szeroki posłuch i respekt, po wyswobodzeniu Polski wraca do kraju i osiada w Poznaniu. Zachęcony konkursem na życiorys własny robotnika, rozpisany przez Instytut Socjologiczny w Poznaniu, bierze w nim udział, acz nie bez niejakich skrupułów. Praca jego wprawdzie nagrody nie otrzymuje, zostaje jednak odznaczona „zaszczytną wzmianką poza konkursem“. Jest to książka diametralnie odmiennego typu niż pamiętnik Wojciechowskiego¹⁾, nic z prymitywu, rzecz prawdziwie dojrzała. Ale też i między autorami jest różnica bardzo znaczna, już nawet w ich socjalnym przydziale: tamten, potomek wiejskiego proletariatu, sam robotnik zdolny, „majster do wszystkiego“, ale niekwalifikowany, nad poziom proletariacki nie wzniósł się nigdy, z kulturą polską w jej dojrzałych objawach nie stykał się, wykształcenie swe czerpał raczej z brukowej literatury niemieckiej; Berkan jest synem rzemieślnika dość oświeconego, już jako młodzieniec ma kontakty z Polakami oświeconymi, przez jakiś czas przebywa w Warszawie, rychło wchodzi w warstwę dostatniego mieszczaństwa. Całą zresztą głęboką różnicę intelektu i wyrobienia moralnego, oceni sam czytelnik wyjątków niżej podanych. Berkan jest człowiekiem z ludu zwycięskim, typowy *selfmademan*, nawskróś świadomy swych

celów, zdyscyplinowany, odważny i pełen poczucia godności osobistej i narodowej, niezmiernie rozsądny, prawy w swej pracy miłą zaś ozdobą tej osobistości jest ciętość i humor. Pamiętnik jego pisany jest polszczyzną prawie zawsze poprawną, żywo, bezpretensjonalnie i rzeczowo, ma dobrą i przejrzystą kompozycję. Zawiera wiele faktów ciekawych dla badacza wychodźstwa polskiego w Niemczech, ale głównie dla osób pragnących oddać się pracy kierowniczej w rzemiośle. Jest to książka wychowawczo wzorowa, godna jaknajszerszego rozpowszechnienia, zwłaszcza wśród ambitnej i oświeconej młodzieży robotniczej; piśmiennictwo nasze uzyskuje w niej jakby jeden z tych życiorysów, których tyle ze świata anglosaskiego zebrał ongiś w swych słynnych książkach²⁾ Samuel Smiles: rodzaj „podręcznika energji“.

¹⁾ O którym będzie mowa w c. d.

²⁾ *Pomoc własna i Charakter*, (przetłumaczone na jęz. polski).

Władysław Berkan: *Życiorys własny*, z przedmową Dr. Florjana Znanickiego. Poznań 1925. Skład główny w Księgarni Fischera i Majewskiego (Materiały Instytutu Socjologicznego w Poznaniu, t. I, str. 363).

46. [Wychowanie dzieci, 127].

Jeśli nam już wypadło pozostać na obczyźnie i tam własne gniazdo założyć, to było w konsekwencji naszym zadaniem, by z mieszkania zrobić fortecę, niedostępną otaczającym ją obcym wpływom. Urządziliśmy się tak, że w naszym mieszkaniu nie było żadnego obcego przedmiotu. Wszystko, co było, było nasze, swojskie. Nawet gazety obcej, choć-

by miejscowej, nie mieliśmy żadnej, pomimo, że brałem silny udział w życiu naszym społecznem i politycznym, a jednak dawałem sobie z polityką radę. Za to abonowałem do 15 polskich gazet i utrzymywałem w domu polską bibliotekę, pomiędzy niemi gazetki i książki dla dzieci.

Dzieci dał nam Pan Bóg czworo, z których najmłodsza córeczka w zaraniu życia umarła, a pozostały dwie córki i syn. Dla nich trzeba było stworzyć czystą polską atmosferę, w której się wychowywać miały, aby się czuły, jak w Polsce, i nabierały siły odpornej wobec zewnętrznych wpływów. Przed urządzeniem bowiem własnego domu patrzałem na obczyźnie przez kilka lat na to, jak stosunki były silniejsze od woli i chęci naszych rodaków, którym nieomal wszyscy ulegali, zwłaszcza, gdy chodziło o dzieci. Widziałem, że tylko kilku polskim rodzinom udało się dzieci w ich pierwszych latach po polsku wychowywać (dorastających lub dorosłych dzieci polskich jeszcze wtedy w Berlinie nie było), badałem, na czem to polegało i starałem się popełnionych błędów przez innych, unikać.

Zależało nam na tem, aby dzieci uchronić od obcych wpływów nie tylko do czasu posyłania ich do szkoły, lecz tembardziej wtedy, gdy zaczęły chodzić do szkoły i z konieczności więcej poza naszym domem się znajdowały. Były więc tak opancerzone domowym wpływem, że wpływy szkoły i ulicy po nich się osunąć musiały. Trzeba było wytworzyć sobie osobny sposób wychowywania dzieci na obczyźnie, więcej odporny niż w kraju, tam, gdzie powietrze i otoczenie są polskie.

Widzieliśmy z żoną dalej, że choć niektórym rodzicom udało się rzeczywiście utrzymać dzieci

w polskości, lecz tylko dopóty, dopóki nie zaczęły one próbować własnych skrzydeł i wtedy niestety stosunki przeciągały je na swoją stronę. Z tego mieliśmy naukę, i zastanawialiśmy się, co robić, aby i wtedy nasz wpływ był silniejszy od wpływu otoczenia, względnie one same były tak pewne, żeby im już nic nie zaszkodziło.

Tu silnie podkreślić muszę, że w nasze dzieci nie wszczepialiśmy nigdy nienawiści do innych narodowości, również do otaczającej nas, nawet wtedy, gdy już rozumieć mogły nasz stosunek do niej i dowiedziały się, jakie krzywdy nam wyrządzono. Uczyliśmy je, że tak dobrze, jak nas Pan Bóg stworzył Polakami, innych stworzył też tem, czem są, więc nie można ich za to nienawidzić, a tembardziej prześladować. A jeżeli silniejsze narody uciskają słabsze, to błędzą i prędzej czy później to się na nich zemścić musi.

Uczyliśmy nasze dzieci różnicy pomiędzy narodowościami, że obcą tylko szanować wypada, a swoją nakazuje nam Pan Bóg nadto kochać i wszystko to, oo się z nią wiąże. Opieraliśmy to na nauce religji naszego Kościoła, w której zawiera się nakaz miłości ojczyzny i która nakazuje ojczyznę swoją miłować nietylko w jej doli, ale tembardziej w niedoli. Dom nasz staraliśmy się utrzymać nietylko czysto polskim, lecz zarazem niemniej katolickim, co jedno drugiemu bynajmniej nie przeszkadza, lecz nawzajem uzupełnia się. Zrozumieć nie mogę, że są jeszcze tacy, którzy jedno lub drugie naprzód wysuwają, jakoby jedno od drugiego lepszem było. Narodowość z religją powinny iść zawsze w parze w całym naszym życiu i działaniu i pierwszą na podstawie drugiej ugruntować.

Uczyliśmy je dalej poszanowania wszystkich sta-

nów, bez względu na to czem kto jest. To też udał się chłopcu dobry dowcip. Słyszał on raz, jak rozmawialiśmy o pewnej pannie, która na zabawie nie chciała z szewcem tańczyć. Tego nie mógł pojąć, zwłaszcza, że widział w sklepie obuwia, ile¹⁾ tam ludzi buty sprzedawało. I spytał: „Czemu to panny nie chcą z szewcami tańczyć, przecież oni tyle pieniędzy za buty dostają? Albo taki p. Gulcz, znany rodak w kolonji berlińskiej, zajmujący się urządzeniem teatrów amatorskich, to też szewc, a jak on umie teatr odgrywać, że mógłby być dyrektorem teatru.“

Gdy powyższe zasady, nie mając jeszcze dzieci, objawiałem w kołach znajomych i na zebraniach, powiedziano mi: „Poczekaj, gdy tylko będziesz miał dzieci, to wtedy zmienisz swoje zdanie i ani się spostrzeżesz, jak to samo inaczej się ułoży“. Tych zapowiedzi wcale się nie obawialiśmy, gdyż byliśmy pewni swego.

Nasz sposób wychowania dzieci polegał najprzód na porozumieniu się z żoną, jak go należy przestrzegać i jak się nim podzielić. Ja z powodu obarczenia pracą zawodową nie mogłem się tak dzieciom oddawać, aby je ciągle mieć na oku, służyłem tylko planem wychowania, spostrzeżeniami i wskazówkami. Za to żona, jako matka, była wykonawczynią umówionych przez nas wspólnie sposobów i strzegła dzieci pomimo innych zajęć domowych przez cały dzień. Ja sam, gdy tylko chwilkę czasu miałem, dorywczo jej w tem pomagałem, zwłaszcza, że mieszkanie było zawsze przy magazynie, co mi ułatwiało komunikowanie się z rodziną.

Już jako kawaler abonowałem sobie *Przyjaciela Dzieci* z Warszawy, którego nietylko z zain-

teresowaniem czytałem, ale składałem w roczniki i przechowywałem. Czemu to już wtedy robiłem, nie umiem dziś zdać sobie z tego sprawy, ale te roczniki nam się później dla naszych dzieci przydały. Przyznaję się, że jeszcze dzisiaj lubię czytać książeczki przeznaczone dla dzieci²⁾.

Nad kołyską — przepraszam, nad wózkiem³⁾ — śpiewano niemowlętom nasze pieśni, a gdy mówić zaczynały, uczyła je żona naszego pacierza. Następnie przywoziłem z Poznania książeczki z obrazkami i bajeczkami, któreśmy im objaśniali. Lubię sam śpiewać i znając dużo pieśni kościelnych i narodowych, często wyręczałem żonę w uczeniu tychże. Uczyliśmy je stopniowo w stosunku do ich rozwijającego się umysłu. O uszy dzieci obijała się już od zarania ich młodości tylko polska mowa. Im powinno się zdawać, że rodzice jakby innego języka nie znali. Służąca była zawsze Polka, o jaką w Berlinie nie trudno. Czuwaliśmy zawsze nad dziećmi już ze względów ogólnie wychowawczych i nigdy nie pozostały bez naszej opieki.

Postanowiliśmy sobie tedy, że dopóki dzieci tak dalece nie dorosną, by bez obawy na obcej opiece je pozostawić można, dopóty my się wspólnego opuszczania domu wyrzekamy. Większą dla nas przyjemnością niż osobista zabawa była pewność, że dzieciom nic złego się nie stanie.

Po skończonym piątym roku uczyliśmy dzieci nie tylko z odpowiednich książeczek z obrazkami, lecz już powoli na elementarzu polskim, aby po polsku coś umiały zanim do szkoły pójdą. Tak kierując wychowaniem, nie nauczyły się mówić po niemiecku przed pójściem do szkoły, prócz tego, co im się na ulicy o uszy obijało, aleśmy mimo to obawy o niemiecką naukę nie mieli — —

[Mimo to] już po dwóch miesiącach najstarsza córeczka była pierwszą w klasie.

Syn, nie mogąc z powodu niedomagania nogi na razie chodzić do szkoły, brał obowiązkowe prywatne lekcje i tak był przysposobiony, że od razu przyjęto go do tz. seksty. Zatem nasz system okazał się zupełnie dobrym — —

Naszym dzieciom wolno było odzywać się do nas, rodziców, nawet w obecności obcych tylko w ojczystym języku, choć już później niemiecki dobrze znały i dopiero, gdy dorosły, mogły w potrzebie brać udział w rozmowie z Niemcami. Przy zadaniach szkolnych przestrzegaly dzieci same, aby jedno drugiego tylko po polsku pytało o wyjaśnienie jakiegoś przedmiotu.

Mówiono mi także z naszej strony, że nauczyciele żądają, by dla wprawy dzieci w języku niemieckim rodzice do nich w tymże języku się odzywali. Radziłem wtedy odpowiedzieć takim pedagogom, że oni są na to, a rodzice powinni dbać tylko o to, żeby dzieci ojczystego języka dobrze się nauczyły.

Syn chodził do szkoły średniej nie katolickiej, gdyż katolickich takich szkół w Berlinie niema.

Razu pewnego wykladał w niej ordynarjusz jego klasy o „Ostmarken“⁴⁾, rozwodząc się swobodnie z punktu widzenia szowinistyczno-niemieckiego. Naraz orjentuje się i pyta: „Czy B. jest obecnym“? (*Ist der Berkan da?*) Syn wstaje i powiada, że tak. W tej chwili przestaje mówić na ten temat i zaczął o czem innem. Wiedział bowiem dobrze, że synowi ten temat nie był obcy z innego punktu widzenia i stronnicze wykładanie w jego obecności go stropiło. Stało się to w jednej z wyższych klas.

To stopniowe uczenie dzieci urządzaliśmy tak, że np. pisma Sienkiewicza mogły dopiero czytać, mając już wyżej 18 lat. Chodziło nam bardzo o to, aby nie zawcześnie dostawały do ręki książki takie, któreby nie odpowiadały ich rozwojowi umysłowemu. Dzieci powinny pozostać dziećmi⁵⁾ i nie wcześniej dowiadywać się o rzeczach niestosownych dla ich wieku. Na to będzie czas później.

¹⁾ Niepoprawnie, zam: ilu.

²⁾ Miły rys pewnej naiwności u autora, tak zresztą nawsrót rozsądnego.

³⁾ Zarcik, świadczący o wcale wytrawnej świadomości pisarskiej.

⁴⁾ *Ostmark*: Marchja Wschodnia — tak Niemcy nazwali sobie naszą Wielkopolskę i Pomorze.

⁵⁾ Mądre zdanie!

47. [Krawiec utrzymuje klientów, 60].

Nietylko udzielało się kredytu na ubranie młodej, lecz przychodzili czasem i po gotówkę. Z tem to już było trudniej, bo rzadko kogo uwzględniałem, choćby dlatego, że sam jej łaknąłem. Ale zdarzało się, że nie mogłem odmówić, zwłaszcza gdy widziałem konieczną potrzebę. Nawet kilku z nich całkowicie utrzymywałem przez kilka lat, płacąc im regularnie miesięcznie wystarczające kwoty, aby im dopomóc do ukończenia studjów. Były one skromne, ale i otrzymujący byli również skromni i wydziwić się nie mogłem, jak im to mogło wystarczyć. Wszyscy ci swoje zobowiązania u mnie uregulowali, doszedłszy do groszy, ja zaś byłem zadowolony, że im do ukończenia studjów pomogłem.

48. [Poszanowanie czasu, 114].

Ile czasu potrzebują ludzie różnych narodowości do załatwienia interesów, to mogłem także u siebie obserwować. Amerykanie i ludzie z Europy zach. potrzebowali na zamówienie ubrania lub nawet więcej garderoby parę minut, na co Niemcy poświęcali przeciętnie pół godziny, Polacy najmniej godzinę (jednak nie wszyscy, gdyż byli i tacy, co się już do szybszego załatwiania przyzwyczaili), a Rosjanie parę godzin. Słusznie mówił mi pewien fabrykant z Łodzi, bywalec po świecie, że co Anglik w minucie załatwi, to Pers cały dzień na to potrzebuje. Ludzie szanujący czas, powiedzieli od razu, co chcą i ja już potem wiedziałem, co im do wyboru pokazać, podczas gdy drudzy często dopiero orjentowali się i nieraz chcieliby w pierw cały skład widzieć, a gdy wreszcie towar wybrali, to wtedy następował targ o cenę. Jakaż to różnica w ocenie i poszanowaniu czasu! Dopiero, gdy już jakiś czas ubierali się u mnie, to wtedy przyzwyczaili się do szybszego załatwiania.

Czasami wypadło dowcipem nadrabiać, aby do szybszej decyzji doprowadzić. Pewnego razu mąż z żoną (z Królestwa) nudzili mnie długo przy wyborze ubrania, wreszcie zdecydowawszy się na jakiś materiał, zaczęła żona targować się o cenę, co już zwykle potem one robią, choćby dla własnego zadowolenia, że coś utargowały. Usłyszawszy cenę powiada: „Ale też pan jest drogi“ — na co zrobiłem uwagę: „To mi moja żona codzień mówi“. Ten dowcip tak podziałał, że już dalej nie targowała się.

49. [Sprawność pracy, 87].

Stosunek mój do odbiorców wytworzył się nader przyjemny, gdyż prócz wzajemnych interesów, wychodził daleko poza te ramy. Uczuwałem to na każdym kroku z powodu traktowania mnie nie tylko jako swego dostawcę odzieży. Kiedy pewnego razu jadąc do miasta, do którego sprosilem obywateli z okolicy, ze znużenia zasnąłem w pociągu i miasto to przejechałem, budząc się dopiero przed następną stacją, to oni, wiedząc o tem, że nigdy nie zawodzę, przeczuli, iż musiało się coś stać. I gdy potem z tej stacji furmanką do miasta przyjechałem, to wszyscy jeszcze czekali na mnie, będąc pewni, że jednak się zjawię, a ponieważ najbliższym pociągiem chciałem odjechać, więc szybko ze mną się sprawili. Widziałem, że takie ustępstwa nie dla każdego robili. Jeżeli czasem kogo odwiedzałem, to w potrzebie byłem przyjęty o każdej porze dnia, czy zbyt rano, lub późno wieczorem.

(88) Do sprawności potrzebne jest odpowiednie urządzenie w przedsiębiorstwie, jak i wprawni pracownicy. Często trzeba było przejeżdżającym przez Berlin w przeciągu jednej doby ubranie wykonać. Przedtem sam nie wierzyłem, że do takiej sprawności doprowadzić można.

50. [Stosunek do robotników, 118].

Wyszedłszy z kół rzemieślniczo-robotniczych, starałem się później jako pracodawca z byłymi kolegami przyjacielski stosunek zachować i nie dawałem im nigdy uczuć, że pomiędzy nami jako ludźmi istnieje jaka różnica: czuli, że oceniam każdego tylko według osobistej wartości. Oni spełniali swo-

je obowiązki w stosunku do mnie jako współpracownicy, a ja dbałem o zatrudnienie ich i zarobek, by z rodziną nietylko porządnie wyżyć mogli, lecz żeby jeszcze coś na czarną godzinę odłożyli. Wykonywałem kontrolę, ile każdy z nich w tygodniu lub miesiącu zarobił, a gdy podług mego zdania wypadł zarobek u którego za mały, to w tej chwili zarządziłem naprawę.

Pracę wykonywano z małym wyjątkiem akordowo i zależało na możliwie równomiernym podziale pracy pomiędzy robotnikami. Starając się, by z mego powodu czasu nie marnowali, prowadziłem spis oddanej im roboty i uważałem na czas wykonania tejże, jak i na sprawność robotnika. Zanim jedną pracę skończył, druga była już dla niego przygotowaną, którą mu w dom przez posłańca dostarczono lub on po nią w potrzebie przysyłał. Nadmienić mi wypada, że tylko kilku robotników zatrudniałem w swoim warsztacie, tyłu, ilu mi do ręki w nagłych wypadkach było potrzeba, reszta pracowała u siebie w domu.

Robotnicy byli wyćwiczeni i sprawni, na ich punktualności mogłem prawie zawsze polegać, gdy było tego potrzeba. Skrewił czasem który, to mu się po przyjacielsku zwróciło uwagę na to, co więcej skutkowało niż wymyślanie.

Podczas sezonu pozadomowi robotnicy rzadko się u mnie pokazywali, chyba gdy ich w razie potrzeby do siebie wzywałem. Oni tylko pracowali, a wykończoną robotę przynosiły do magazynu ich żony (byli nieomal wszyscy żonaci) lub dzieci. One też tygodniowe zarobki odbierały. Żony chętnie to robiły, uważając to jako pomoc w zarobkowaniu mężowi, no i rade były, gdy mąż domu nie opu-

szczał przez cały tydzień. Za to w niedzielę według berlińskiego zwyczaju cała rodzina razem wychodziła, szczególnie latem.

Zachęcałem robotników do oszczędności i przy wypłacie zarobków już niektóre z ich żon pozostawiały u mnie chętnie zbyte kwoty, które następnie do naszej spółki oszczędnościowej, „Skar-bony“, odnosiłem. Perswadowałem im, że powinni oszczędzać choćby ze względu na starość, a 'gdy któremu nadarzy się sposobność założenia własnego warsztatu w Berlinie lub kraju, to tembardziej pieniądze się przydadzą. Boć oszczędność jest za-chętą do samodzielności, a temsamem do lepszego bytu.

To zachęcanie do oszczędności osiągało skutek, gdyż niektórzy po kilkanaście tysięcy marek, a nawet więcej oszczędzili, co na normalne przedwojenne stosunki było dużo. Skoro tylko który zaczął oszczędzać, tembardziej dostawał ochotę [sic] do dalszej oszczędności. Miałem kilku robotników, którzy już w starszych latach byli, gdy zaczęli u mnie pracować i dopiero wtedy do oszczędzania się brali. Miałem zadowolenie, widząc, choć powoli wzmagający się, względny dobrobyt u moich pracowników.

Więcej jak połowa z nich nasi rodacy. W własnym warsztacie zatrudniałem tylko samych Polaków już ze względu na utrzymanie w moim domu swojskiej atmosfery, zaś pozadomowi dzielili się głównie na dwie narodowości: polską i niemiecką, a oprócz nich było i paru zagranicznych.

Pomiędzy robotnikami nie robiłem żadnej różnicy ze względu na narodowość, gdyż dla mnie był każdy z nich w pierwszym rzędzie współpra-

cownikiem i każdego też traktowałem według jego sprawności. Tak samo ich przekonania polityczne nic mnie nie obchodziły, o ile spełniali wobec mnie swój obowiązek i nie uprawiali agitacji w obrębie mego przedsiębiorstwa na rzecz swoich partyj. Zdarzało się wprawdzie, że w moim warsztacie objawiali czasem radykalne poglądy społeczno-polityczne, wtedy im z ogólnego bezpartyjnego stanowiska sprawę wytłomaczyłem i zwykle taki, gdy u mnie dłuższy czas pracował, zmieniał swoje zapatrywania. Czyniłem to nie jako pracodawca, lecz ze stanowiska społecznego.

Pomiędzy sobą robotnicy zgadzali się i różnice narodowościowe lub przekonania polityczne nie przeszkadzały im wcale w ich koleżeńskim życiu, co mnie samemu się podobało, gdyż uważam, że pomiędzy robotnikami, szczególnie jednego przedsiębiorstwa, w sprawach zasadniczych powinna zгода panować, wtedy i przedsiębiorstwo na tem zyskuje.

Stosunek robotników do mnie uwydatniał się dodatnio na każdym kroku, a szczególnie stwierdziłem to podczas strejków, których parę przeżyłem. Jeżeli w Berlinie krawcy strejkowali, to dla solidarności u mnie musieli przestać pracować. Byłbym mógł z nimi od razu się ułożyć, bośmy się dobrze rozumieli, ale również chciałem być solidarnym wobec swoich kolegów, no i mogłem sobie w technicznej pracy trochę pofolgować, a za to zając się dłużnikami i wpływy pieniędzy obracać na spłacanie rachunków, zamiast na robociznę. Wogóle żaden strajk na moje przedsiębiorstwo ujemnie nie wpłynął, miałem nawet z nich korzyści.

Gdy wreszcie strajk się kończył i dochodziło

do ugody pomiędzy obiema organizacjami, i gdy obustronne komisje wyznaczały wysokość zarobków dla każdej kategorii przedsiębiorstw, to ja jedyny z całego Berlina sam ze swoimi robotnikami się ułożyłem, na co obie komisje oświadczyły: „*Da können wir nichts gegenmachen*“! (że takiej ugodzie nie mogą się sprzeciwić).

Podczas jednego z tych strajków, który trwał sześć tygodni zawezwano mnie wraz z komisją moich robotników w celu ugody. Myśmy poszli, aleśmy już naprzód sobie powiedzieli, że sami się ugodzimy. Robotnicy wybrali do tej komisji czterech swoich kolegów i to przypadkowo okazałych co do objętości ciała. Kiedy przyszło do pertraktacji, wskazując na nich, powiedziałem: „Proszę spojrzeć na moich robotników i na mnie (w stosunku do nich, wyglądałem jak suchotnik) i sprawiedliwie osądzić, komu z nas źle się powodzi“! Na to wszyscy się rozśmiali i obie komisje jednogłośnie powiedziały, że mamy robić, co nam się podoba. Na tem się strajk u mnie skończył, robotnicy poszli do domu i zaczęli na nowo pracować.

Zaszła przy tej sposobności mała scena, która także świadczy o moim stosunku do robotników. Zanim kolej przed komisjami pracodawców i pracobiorców na nas przyszła, czekałem razem z moimi robotnikami w ogrodzie przy szklance piwa. Koledzy moi, widząc mnie wspólnie z nimi siedzącego, a nie znając ich, wzięli ich również za naszych kolegów i stosownie do nich się odnosili. Nas to bawiło, a im, gdy się przekonali, że to moi robotnicy, było nieprzyjemnie.

Zarząd organizacji robotników uznał raz za potrzebne przysłać do mnie podczas strajku swego

przedstawiciela, który miał ze mną w imieniu robotników pertraktować. Tego pana pouczyłem, że moi robotnicy są wszyscy pełnoletni i opiekunów z zewnątrz nie potrzebują, bo ze mną dadzą sobie sami radę. Przytem wskazałem mu grzecznie drzwi. Uznał to i wyszedł, a ich komisja odnosiła się potem do mnie z pewnym szacunkiem.

Nieuświadomionych i nierozsądnych współpracowników nie lubiłem, wolałem takich, którzy wiedzą, co chcą, bo z nimi prędzej do ładu się dochodziło. Przy przyjmowaniu nowych mi nieznanych robotników nie pytałem, czy wogóle naszego fachu się uczyli, byle umieli. Zresztą był w całym Berlinie zwyczaj nie pytania o dowód złożenia egzaminu w danem rzemiośle, nawet wtedy, gdy już obowiązek składania tychże istniał. Mnie także klienci przy dawaniu zleceń nie pytali, czy egzamin na mistrza zdałem. Toć zaraz przy pierwszej robocie wykazało się, co kto umie¹⁾.

Gdyśmy jeździli na wycieczki towarzystw naszych w okolice Berlina, ja z zasady z rodziną używałem biletów III klasy, podczas gdy tego lub owego z robotników spotykałem czasem z biletem II-giej klasy, co mnie wcale nie raziło, bo dla czegożby nie miał z jakiegobądź względu na tę drobnostkę sobie pozwolić.

Poza obrębem mego przedsiębiorstwa spotykałem się z moimi współpracownikami przy pracy w towarzystwach naszych. Tam stosunek nasz tak się ułożył, że nikt nie zmiarkował, w jakim jesteśmy do siebie w życiu codziennem. Zdarzało się, że posłaniec mój (woźny) przewodniczył na zebraniu i mnie głosu udzielał, co uważam za zupełnie w porządku. Nazajutrz przy naszej zwykłej

pracy on swój obowiązek woźnego dalej sumiennie spełniał. Gdy ja przewodniczyłem, udzielałem jemu głosu, a ewent. różnica naszych zdań również nie wpłynęła na nasz wzajemny stosunek w przedsiębiorstwie.

Pewnego razu pojechałem z córką na zlot naszych śpiewaczych drużyn i jak to zwykle bywało, już przy wchodzie do ogrodu trzeba było ze znajomymi się witać i parę słów zamienić, tymczasem córka weszła do ogrodu, aby poszukać miejsca do siedzenia. Ponieważ było już pełno ludzi w ogrodzie i wszystkie krzesła były zajęte, więc gdy spostrzegł córkę mój woźny, nietylko o krzesło dla niej się postarał, lecz już zdążył jej wody selterskiej zafundować, zanim nadszedłem. Pogniewałby się na mnie, gdybym ten wydatek chciał mu zwrócić.

Zdarzyło się raz, że dwóch moich robotników było na zlocie sokolskim w Krakowie i stamtąd urządzili sobie wycieczkę do Zakopanego, gdzie akurat bawiłem na wypoczynku. Spotkaliśmy się tam i spędziliśmy razem miłą chwilę przy szklance piwa na werandzie „Morskiego Oka“. Gdy to moi współlokatorzy z willi spostrzegli i dowiedzieli się o naszym stosunku, nie mogli pojąć tej zażyłości, i że robotnik berliński ma na to, by do Zakopanego mógł przyjechać na własny koszt.

Tak pojmowaliśmy demokratyzm na obczyźnie, wzajemnie się szanując.

To też zmiany pomiędzy robotnikami w mojem przedsiębiorstwie były rzadkie i tylko z jego wzrostem wzrastała ich liczba. Niektórzy długie lata pracowali u mnie, postarzelisi i ich dzieci tymczasem podrosły. Kilku z nich pracowało prawie od

samego początku mego przedsiębiorstwa i przeszli do mego brata, gdy został moim następcą.

Z okazji zdania magazynu bratu, na wspólnym pożegnalmym wieczorku, ich przywiązanie tembardziej się ujawniło, co wyrazili w serdecznych, szczerych słowach i w stosownym, pięknym upominku. Ich rodziny podzielały te same zdania. Nic dziwnego, tyle lat wspólnie pracowaliśmy, było nam dobrze razem i z zadowoleniem na wyniki naszej pracy spoglądaliśmy. Ja starałem się aby im u mnie dobrze się powodziło, a oni mego dorobku z pracy nie zazdrościli, przeciwnie życzyli mi go. W ten sposób wyrodził się między nami patryarchalny stosunek w nowszem pojęciu. Gdy teraz w kraju się spotykamy, bo pewna część ich także wróciła, to przypominamy sobie jako starzy przyjaciele naszą współpracę na obczyźnie.

O naszym stosunku niech świadczy jeszcze następujący fakt: Swego czasu pracował u mnie w warsztacie młody Warszawianin, dosyć inteligentny, ale zagorzały zwolennik teorii socjalistycznej. Wreszcie po jakimś czasie oświadczył mi, że jednak nie może pogodzić swych poglądów z atmosferą panującą u mnie i dlatego odchodzi. Wyjechał do Paryża, skąd po dłuższym pobycie wrócił do Warszawy, a następnie dostał się do Moskwy, gdzie założył później własny warsztat. Tam zastała go wojna, no i bolszewicy. Udało mu się narazie z tego piekła wydostać i wrócił do Warszawy. Mając w Poznaniu jakiś interes do załatwienia i dowiedziawszy się, że teraz tu mieszkam, odszukał mnie i był uradowany, żeśmy po tylu latach się spotkali. A co najlepsze! Oświadczył mi, że bolszewicy go do reszty z jego socjalistycznych

przekonań wyleczyli, gdyż dosyć na skutki tych teorii napatrział się i sam na sobie je odczuł. Mnie zaś dziękował za dawane mu swego czasu rady.

¹⁾ Wobec panującej obecnie przesadnej reglementacji, przy której wszystkie zawody i nawet przygodne zajęcia obwarowywane są egzaminami, godny uwagi jest ten rozsądny liberalizm Berkana.

51.[Patryjotyzm, 126].

Przedsiębiorstwo moje było tak urządzone, że choć nie było żadnych zewnętrznych oznak polskich, to atmosfera wewnątrz była czysto polska i zdaje mi się że byłem pierwszy z Polaków w Berlinie, co na to się zdobył. Personel był cały polski, naturalnie w słowie i piśmie musiał znać również język niemiecki. Książkowość i komunikowanie się między sobą były tylko polskie. Tę atmosferę musiał każdy zauważyć i nie spostrzegłem, żeby to kogo z obcych raziło. Naturalnie, że z tem nie afiszowałem się, gdyż uważałem to także za zbyteczne.

Władze również wiedziały, kto jestem, i jaki dom prowadzę. Często mnie poczta zapytywała o adresy, takich, których uważano za Polaków, jeżeli przesyłki były niedokładnie adresowane i w książce adresowej ich znaleźć nie mogła... Zdarzyło się nawet, że pytano mnie o adres „Ostmarkenvereinu“⁽¹⁾, bo otrzymali telegram z niedokładnym adresem i odnośny urzędnik sądził w swojej naiwności, iż to musi być chyba polski „Verein“, jeśli ma dodatek „Ostmarken“, boć wszystko, co ze wschodu do Berlina przychodzi, to może być tylko polskie. Naturalnie, że im ten adres wskazałem, bo

jakby na ironję główny sekretarz „Ostmarkenvereinu“ mieszkał w domu znajomego mi rodaka.

Wspomnieć muszę o pewnym wyjątku z reguły. Jak wyżej wspomniałem, w przedsiębiorstwie mojem zatrudniałem tylko rodaków. Otóż pewnego razu potrzeba mi było chłopca do posyłek, a że o takiego Polaka jeszcze wtedy było trudno, przyjąłem Niemca. Gdy mi zwrócono uwagę, dlaczego to obcego zatrudniam, odpowiedziałem: „Dość długo służyliśmy Niemcom, niechże oni nam teraz uczynają służyć!“

Czynności społeczne załatwiała się po części także z pomocą współpracowników biurowych, przez co sami się do tej roboty zaprawiali. Również podobają mi się, jeżeli który z nich w wolnym czasie poza obrębem biura tej czynności z własnej woli się oddawał.

1) Związek Marchji Wschodniej, mający na celu szeregienie niemczyzny w Wielkopolsce, założony w r. 1894.

52. [Cięte odpowiedzi, 90].

Stosunkowo wielu artystów i literatów ubierało się u mnie, zwłaszcza pierwszych, mając jako artyści dobry gust w ubieraniu się. Ubierali się poeci, powieściopisarze, muzycy, kompozytorzy, śpiewacy, artyści dramatyczni, malarze, rzeźbiarze itd., którzy nietylko gust w ubieraniu się posiadali, ale ze względu na ich¹⁾ zawód zmuszeni byli dobrze się ubierać. Nie tylko tacy co zabłąkali się do Berlina, lecz było wielu, co się tam kształcili, lub mieli stanowiska i stale zamieszkiwali.

Ale czy płacili? To inna rzecz. Tu przypomina mi się zdanie pewnego inżyniera z Warszawy, który powiedział: „My Polacy, mamy wiele gustu, ale mało pieniędzy. Co jedno z drugim niebardzo się zgadza, i dlatego nie starczy nam pieniędzy, by gust zaspokoić“.

Zamiast płacić, opisywali mnie, a nawet opiewali, przez co także do literatury się dostałem. Jeden z nich, jakiś Niemiec, obiecał o mnie napisać powieść, ale do tego czasu jeszcze jakoś nie zdążył.

Jakiś z naszych śpiewaków, bawiących częściej w Berlinie, pisał mi z humorem: „Chcę u pana zamówić ubranie, 20 mk wpłacę gotówką, a resztę odśpiewam“. Na co mu tak odpowiedziałem: „Interesu tego zrobić nie mogę, bo już mam kwartet takich, co mają odśpiewać, a kwintetów nie lubię“. Ten dowcip mu się tak spodobał, że go po całej Europie obnosił. I rzeczywiście, mam jeszcze paru takich dłużników, którzy mają odśpiewać, lecz już niestety „głos“ stracili.

[91]. Pewien literat miał w pewnej miejscowości odczyt na temat „O meta - człowieku“²⁾). Nawet inteligentni słuchacze nie mogli zrozumieć, co gadał, z powodu czego znana powieściopisarka pytała jakiegoś profesora: „Panie profesorze, co ten prelegent chciał powiedzieć przez swego „meta - człowieka“, bo ja go nic nie rozumiałam“. Odpowiada jej: „A ja go także nie rozumiałem, ale „meta - człowiek“ to ma być taki, w którym są dwie natury, dwie siły, dwie wole itd., czyli, że człowiek składa się z dwóch części, z pozytywnej i negatywnej“. „Jednak nie rozumiem“, ta pani wtrąca. Przysłuchując się tej rozmowie, wpadam z uwagą: „Ja bo tak go rozumiem:

Jeżeli ktoś ma płacić rachunek, to ta strona pozytywna mu radzi, żeby zapłacił, bo to należy się zrobić, przychodzi ale strona negatywna i dowodzi, żeby nie płacił i ona zwycięża“. Zrozumieli odrazu.

[146]. Jeden z członków „Towarzystwa młodzieży w Berlinie“, niezrównoważony jeszcze, ale inteligentny i ocytany, tylko, że nie przebierał w teni, co czytał, więc to go wykolejało — zapomniał się w dyskusji, wyrażając się według utartego frazesu, że „przyszłość tylko do młodych należy“ itd. na co mu również pytaniem odpowiedziałem: „czy po 10 latach nie będzie więcej umiał, niż teraz?“

[147]. Gdy mi powiedziano, że na jakimś zebraniu w mojej nieobecności mnie obmawiano, to słowami Sokratesa ze spokojem odpowiedziałem, że „mogli mnie i obić, jeśli mnie tam nie było“. Na takim pojmovaniu zwykle dobrze wychodziłem. Gdyby człowiek publicznie działający, miał się lada osobistym zarzutem zrażać, toby nie mógł nic zrobić.

1) Powinno być: s w ó j zawód.

2) Pewno Stanisław Przybyszewski.

53. [Rzemieślnik uczy godności narodowej inteligentów, 149]

Na jednym z takich zebrań¹⁾ zajmowaliśmy się bardzo ważną sprawą: Czy na zaproszenie, względnie rozporządzenie cesarza, godzi się wziąć udział w poświęceniu nowozbudowanego cesarskiego zamku²⁾. Przedstawił tę sprawę jeden ze znanych adwo-

katów, tak „po swojemu“. Z jego przemówienia można było wyczuć, że będzie lepiej, gdy na zamek pójdziemy. Następne przemówienia innych, szczególnie ziemian, były już wyraźniejsze i radzili ci panowie, żeby cesarza nieobecnością naszą nie gniewać, bo mogą być z tego dla nas nieprzyjemne skutki. Wywłaszczenie, które wprowadzie wstrzymano, ale które wisiało nad nami, jak miecz Damoklesa, mogło być odrazu zastosowane wobec nas, jak również nowe ustawy i rozporządzenia antypolskie możemy przez to spowodować. Zanosilo się więc na tem zebraniu na to, że może się znaleźć większość za wzięciem udziału.

Pierwszy stanowczo oświadczyłem, że nie wolno nam, niżej godności naszej, pójść na zamek, i dowodziłem, że przed następstwami nie potrzebujemy mieć obawy, skoro nasz obowiązek zawsze i wszędzie spełniamy. Twierdziłem dalej, że myśmy się najwięcej sami wywłaszczali wtedy, gdy jeszcze Komisji kolonizacyjnej nie było, zaś podczas istnienia tejże, gdyśmy wskutek odebranych ciągów i zorientowania się z naszej strony wzięli się do gospodarstwa, tośmy nietylko, jak statystyka wykazuje, straty powetowali, ale nawet jest jeszcze jakiś dorobek, co dowodzi, że utrzymanie naszego stanu posiadania ziemi nie od Komisji kolonizacyjnej, ale od nas samych zależy³). A jeżeli kto z nas chce koniecznie na zamek iść, tego gwałtem wstrzymać nie możemy, lecz nie wolno mu reprezentować naszego społeczeństwa, gdyż ono tego nie chce. Być może, że jaki królewski szambelan lub jaki inny dostojnik dostanie nakaz wzięcia udziału, to już jest rzeczą jego sumienia, czy ma pójść lub też nie pójść na zamek. Ja gdybym w tem położeniu był, to wolałbym prędzej przed

progiem tego zamku nogę złamać, niż go przestąpić. To poskutkowało tak, że już nie było mowy o oficjalnem wzięciu udziału. Moje wywody poparł przewodniczący tego zebrania, dodając, że stryj jego wolał swego czasu szambelaństwo złożyć, niż pójść na cesarski obiad.

1) Na zebraniu „Związku Narodowego“ w Poznaniu.

2) Zamek cesarski w Poznaniu rozpoczęto budować w r. 1903, aby, jak minister mówił w Sejmie pr. „ukazać jaknajwidoczniej wszystkim tym, co marzą o zmartwychwstaniu Królestwa Polskiego, iż orzeł pruski zatrzymuje dla siebie na wieki kraje, złączone nieodłącznie z Niemcami“. Zdarzenie, opisywane przez Berkana miało miejsce, w r. 1910, gdy część Polaków w Poznańskim, w nadziei, że uchwalona w r. 1908 ustawa o wywłaszczeniu nie znajdzie zastosowania, skłaniała się do polityki oportunistu wobec Prus; w tym np. roku głosowano w Sejmie pruskim za podwyższeniem dotacji Wilhelmowi II.

3) Niestety, historia nie potwierdza ówczesnego optymizmu Berkana. Prof. Sobieski (*Dzieje Polski*, III, 93) powiada: „Warunki walki były nierówne. Te cztery miliony Polaków w walce z 60 milionami Niemców nie mogły długo wytrzymać i sprostać sile niemieckiej, gdy potężny imperializm niemiecki zwałił się w r. 1900 na Polaków poznańskich i z całych sił przycisnął kolanami. Podczas gdy pierwiej [od r. 1890 do 1900] górę myśmy brali, to od r. 1900 zmienia się postać zapasów. Zaczynamy ulegać, słańać się, opadać — — — W walce o ziemię zaczęliśmy ponosić klęski — — —“ Ludność niemiecka w Poznańskim wzrasta silniej niż polska, po 1908 Polacy pod zab. pruskim ponoszą klęski wyborcze, kolonizacja niemiecka znacznie przybiera na sile, trafiają się między nami częściej sprzedawczyki. Ocaleniem okazała się Wielka Wojna, która przyszła na czas, zwycięstwo Francji i sprzymierzonych w r. 1918.

VI. JAKÓB WOJCIECHOWSKI.

Jakób Wojciechowski, urodz. w r. 1884 we wsi Nowiec, powiatu szremskiego, prowincji poznań-

skiej, jako syn parobka u bogatego chłopa. Rodzeństwa miał kilkoro, sam był najstarszy. Bieda była, aż piszczalo. W r. 1891 idzie do szkoły (niemieckiej). Mając lat 15 jedzie za pracą do Niemiec; tam pracuje po rozmaitych fabrykach, kopalniach węgla, koksowniach, fabrykach chemicznych, jest też służącym przy karuzeli. Strony rodzinne odwiedza czasem, ale rzadko. Żeni się na obczyźnie z dziewczyną z kraju, robotnicą. Wojna przychodzi, Wojciechowski jako rezerwista idzie w szeregi najezdniczych do nieszczęśliwej Belgji; ogląda gwałty i morderstwa, jakie się tam dzieją. Raniony w głowę, W. kończy swoją wojnę z Belgami. Pracuje znowu jako górnik, potem jako motorowy w tramwaju w Magdeburgu. Stamtąd odwiedza swych krewnych w Polsce¹): W Zbąszyniu „to zem sie już czuł tak jak na własny ziemi, polską mowę zem słyszał i polskiego żołnierza“. Gdy w Polsce idzie do jakiegoś biura, ażeby się dowiedzieć o warunkach obywatelstwa polskiego, zostaje zbesztany przez p. urzędnika za to, że się oparł o stół. „Ale ja to zem już hałasowania dość nauczony...“. W r. 1920 przesyła przez żonę do kraju pieniądze. W r. 1921 pewnego razu wyczytuje w abonowanym *Dzienniku Berlińskim* konkurs Instytutu Socjologicznego w Poznaniu. „Gdyzem przysed od pracy dnia mocno zimnego i [przeczytał ogłoszenie] aby i klasa robotnicza też nadesłała swoje życiorysy, izem też czytał dali i zobaczył czy to jest może głupota (zem sobie we swem duchu pomyślał) i zem dali poraz drugi sobie te waronki przeczytał. Potem zem sie namyślał, czy to jest można sie takom ciężką i ważną rzecz na swoje ramiona podjąć i tak mi to moje sumienie nie dało spokoju izem posed napowrót

do pracy“. Jedni mu odradzają, inni radzą mu pisać. Ale on powiada sobie „że tyle dyscypliny musimy mieć w naszej kolonji magdeburski“. Zebrał wszystkie dokumenty, papiery i „zem sobie to jesce raz rozważył i mówił: teraz to już mogę zacząć pisać. I zem sobie na wozie zawdy myślał, czy to zacząć, czy nie, bo tak lekko mi nie będzie, bo jazem nie jest zaden uczony, aby mógł tak ładnie wszystko z kupy rozciągnąć, ale sobie zem mówił, niech się stanie co chce, ja zacznę“. Napisał, posłał, dostał pierwszą nagrodę.

Zachęcony otrzymaną nagrodą, przenosi się w roku 1925, po 25 latach tułaczki po Niemczech, do Polski, osiedla się w miasteczku Barcinie w Poznaniańskim, gdzie pracuje jako maszynista we wapienniku. Po paru latach rozpoczyna się jego karjera literacka. W r. 1930 wychodzi książka, na którą uwagę opinji zwraca Boy-Żeleński. Wojciechowski zaczyna być sławny, ale to mu przynosi dość nieprzyjemności²⁾. Życiorys jest czytany także w środowisku robotniczem i mało-mieszczańskim, gdzie budzi zgorszenie swoimi dokładnymi opisami przygód seksualnych autora. Nieporozumienie polegało na tem, że Wojciechowski pisał książkę nadającą się „tylko dla dorosłych“ i to dla badaczy życia społecznego, a dość niezdrowy rozgłos dookoła tej książki zaniósł ją aż w sfery naiwne i tam wywołał reakcję, zasadniczo zdrową. Ma więc W. trochę kłopotu ze swoją szczerością i sławą. Przeżywa jakiś kryzys duchowy, widocznie głębokie wyczerpanie psychiczne po wyczynie umysłowym tak dużym, po przeżyciach tak niespodziewanych: „moje życie na druzde duchowny to już było nieomal umarłe dla mnie — — tak byłem zadowolony, jakby mi cokolwiek

brakowało — —“. Tymczasem opiekuje się nim Boy-Żeleński, zaprasza go do Warszawy, odwiedza go w Barcinie, zachęca do dalszego pisarstwa i w r. 1933 wydaje w swej *Bibliotece Boya* zbiór jego opowiadań pt. *Raz kiedyś a obecnie*. W r. 1936 W. otrzymuje (współ z Aleksandrem Świętochowskim, Aleksandrem Brücknerem, Janem Gwalbertem Pawlikowskim i innymi) złoty wawrzyn Polskiej Akademji Literatury.

Życiorys własny Jakóba Wojciechowskiego jest książką bardzo ciekawą — zarówno ze względu na treść jak i na formę. Jest niezmiernie obfita w fakty, dojmujące i zajmujące. Widzimy tu w całej nagiej prawdzie, bez żadnych obsłonek podane życie od spodu, życie okropnie biedne, nastraszone, brutalne i często bezlitosne, ale napięte hartem i wytrwałością, rozświetlane jasnymi rysami wysokiej moralności. Żywot komorników poznańskich z końcem ub. wieku, doła i niedoła obieżyświatów i wogóle emigracji robotniczej w Niemczech, służba w wojsku pruskiem, potem wojna, fermenty polskości, powrót do Polski prostego człowieka, zgóry i niechętnie traktowanego przez rodaków biurokratów, to wszystko, obserwowane przez umysł prymitywny wprawdzie, ale bystry i chłonny, czyni z opowieści Wojciechowskiego istną kopalnię wiadomości dla socjologa, folklorysty, nawet polityka i historyka, żeby tylko wskazać na fakty świadczące o germanizatorskiej wśród emigracji polskiej działalności księży centrowców. Ważną dla niego stroną wspomnień jest — jak już wspomniałem — życie płciowe, traktowane przezeń w relacjach ściśle rzeczowych. Nie ulega wątpliwości, że uwaga jego jest wybitnie nastawiona w tę stronę — i to właśnie

zyskało mu tyle famy w jednych szeregach, a niechęci w innych — i zniekształciło jego sylwetę. Niemniej jednak — jak właśnie wybór nasz dowodnie okazuje — ma on także i inne serdeczne zainteresowania — co znowuż nie przeszkodzi stwierdzić, że książki jego wcale się nie nadają jako lektura popularna.

Wojciechowski ma pamięć zaiste fenomenalną; choćby się jakiś procent jego prawdy policzyło na rachunek jego fantazji, to jednak i tak przyznać mu musimy wyśmienity organ pamięci. On pamięta każdą kwotę groszową, którą dostał jako chłopiec, rozkłady jazdy na tyłu linjach kolejowych, którymi jeździł — i te cyfry przytacza z całą powagą; powiedziałbym, im dalej w głąb przeszłości, tem lepiej pamięta. Jest to nie nasza inteligencka pamięć do zapominania, pamięć hierarchizująca, aż do zupełnego wyłączenia konkretności i zostawiająca tylko sam abstrakcyjny sens wydarzeń — ale pamięć typowo prostacza, obiektywny film, przechowujący długo i posłusznie niemal wszystko, co się przesunęło przez pole świadomości — a przesunęło się wiele, tych właśnie konkretnych zdarzeń i mikrozdarów, które opowiadaniu podścielają plastyczne tło. Dziwna rzecz: słuchać takich głądzeń prostaczych to nudno; ale jak się to czyta, to zaczyna to bawić: ta masa, ta istna lawina konkretnych szczegółów, przez tę właśnie masowość swoją daje w końcu smak żywej rzeczywistości — i tem porusza. Treści Wojciechowskiego są podane na surowo, pozbawione stylizacji, nie przesączone przez filtr jakichkolwiek uprzedzeń i konwencji. Píše poprostu, co widział, co pamięta, poruszając się chronologicznie od rzeczy do rzeczy, bez wyboru.

Przy całej prostaczej rozwlekłości narratorem jest tęgim. Znajduje określenia jędrne, poprzez trudności wysłowienia przebija się z prostoduszną werwą. Ta prymitywność języka, konkretność faktów, surowa nagość treści, jest decydującym momentem owego wrażenia świeżości, które pamiętnik Wojciechowskiego, pierwszy w tym rodzaju drukiem ogłoszony, u czytelników inteligenckich wywołał.

Z tej naiwnej, z gruba ciosanej a szorstkiej opowieści, wyłania się osobistość autora napewno sympatyczna. Jest to tak zwany, w krakowskiej gwiazdze, „morus“, ale i „dobry chłop“. Trochę nadpsuty po przedmieściach wielkemiejskich, — jest naturą nawskróś zdrową, wyrażającą sympatyczne rysy naszej rasy ludowej: zuchowaty, trochę filut, ale o dobrem w gruncie sercu, wytrwały, pracowity, oszczędny, mimo, że się umie i na szeroki gest zdobyć, sprytny i spostrzegawczy, podatny do uprawy cywilizacyjnej, konserwatywny raczej niż na demagogję wrażliwy, bezwzględnie patriotyczny, religijny nie głęboko, ale serdecznie. Przez ową dezynwolturę seksualną odchyła się od naszego typu ludowego, bo nasz człowiek z ludu, choć często gęsto jurny, jest prawie zawsze wstydlivy. Odchylenie to jest raczej wynikiem przypadkowych okoliczności. Z drugiej strony przez swoją wymowność, żywe usposobienie, łatwość reagowania, odchyła się raczej w stronę polskiej rasy szlacheckiej. To też porównywano jego pamiętnik z pamiętnikiem Paska³⁾; sądzę jednak, że Imć Pan Pasek odskoczył od Wojciechowskiego o całą długość humanistycznej szkoły średniej, którą ten szlachecki gawędziarz i awanturnik miał za sobą.

Ustawimy więc Wojciechowskiego, co do „po-

ziomu rasowego“ na stopniu przeciętnym wyższym — ale na przeciętnym niższym poziomie kulturalnym — robotnika polskiego, a w każdym razie poniżej takiegoż poziomu polskiego pisarza ludowego. Wojciechowski przebywał znaczną część życia za granicą, bez styczności jakiegokolwiek z polską inteligencją. Należał wprawdzie do stowarzyszeń polskich, ale i tam niezbyt, zdaje się pilnie do nich uczęszczał we wolne niedziele... Najobfitszą część jego lektur stanowiła brukowa „hygieniczna“ literatura niemiecka. Dość, że kiedy porównamy jego język, styl, stopień wyrobienia umysłowego — z temiż jakościami u przeważnej części naszych pamiętnikarzy, to musimy mu dać gorszą notę. Język jego nie jest właściwie już gwarą, ale obraca się w „żargon“, zepsutą mowę przedmieścia. Częste są nieuporządkowane gramatycznie zdania. Ale przede wszystkim znać umysłowość prymitywną niezorganizowaną, która nie nauczyła się ani abstrahować, ani selekcjonować wrażenia i wyobrażenia na ważne, mniej ważne i nieważne. Przyznać jednak należy, że w jego zbiorze nowel znać pod jednym, drugim i trzecim względem, dość znaczne już wyrobienie. W chwili obecnej ma Wojciechowski zaledwo przekroczoną pięćdziesiątkę i ciekawem jest jak pójdzie dalszy jego rozwój?...

1) Po r. 1918.

2) Por. (*Il. Kurj. Codz.* 27 stycznia 1935): „Do władz prokuratorskich wpłynęło doniesienie przeciw Jakóbowi Wojciechowskiemu, autorowi *Zywota własnego robotnika*, o pornografię... Autorem doniesienia jest p. Wincenty Basiński, który w książce tej dopatrył się obrazy

moralności! Prokuratura przesłuchała w tej sprawie kilku zainteresowanych — —“.

³⁾ „Jest to niewątpliwie bardzo wybitny talent samorodny, artystycznym charakterem swoim przypominający Jana Chryzostoma Paska“. (K. Czachowski, *Obraz współczesnej literatury polskiej*, III, 604).

* * *

Jakób Wojciechowski. *Życiorys własny robotnika*, odznaczony pierwszą nagrodą na konkursie PIS w 1923 r. Z przedmową Stefana Szumana, prof. Uniw. Jagiell. Przygotowywał do druku Dr. Józef Chałasiński. Poznań 1930. Jan Jachowski Księgarnia Uniwersytecka. Materjały Polskiego Instytutu Socjologicznego (stron XIX + 443, z podobizną autora).

54. [Lata dzieciinne. Sierota Wojtuś, 8].

I my też się żywili po większy części ziemniakami i trochę oleju albo twarogu rozmieszanego, który my nazywali gzikem, w dnie postne to my się wszyscy jednym śledziem podzielili i na święta Wielkanocne to my się najbardzi cieszyli, bo tam zawdy było trochę lepi. I mój ojciec to pracował u tego Piaseckiego¹⁾, jego wynagrodzenie to tak było liche, że my po ludzku żyć nie mogli. Matka chodziła po drzewo aż na rosocińskie i wianiała tele na plecach, co my nie potrzebowali żadnego kupić. I przypomina mi się, jak mi matka jagodów przyniesła z lasu i to my się też dzielili z moim młodszym bratem. I tak samo był mój ojciec zmuszony na wieczór wyjść z miechem i przynieść ziemiaków i jeszcze co innego²⁾. Chodziłem w spodniach jednych całe lato, obuwia to zem latem nie uznał, jeno na bosaka latał i już od urodzenia byłem tak niešťęśliwy i gdyzemsie gdziekolwiek pokazał, to

zem został dziadoską torbą mianowany lub dziadow-
skom wychowłęgom, więc mi mój ojciec zakazał,
abym się z temi innemi dziećmi do kupy bawioł.
A najgorsi byli chlebowawcy i ich dzieci, u któ-
rych mój ojciec pracował. To zem nie śmiał się
z nikim bawić jeno z jednym Wojtkiem sierotom,
który był na łaskę do ludzi wzięty. I zdazyło się to
też zimom, że mój kolega Wojtek to nieraz przy-
sed do nas i chciał kawałek chleba, bo jego pan
łaskawy mu też jeść nie chciał dość razy dać.
I razu jednego to go jego pan łaskawy wygnał
z domu, że ma on sobie iść i służby szukać, to
przysed do nas i tam został przez noc, najad
się z nami i na drugi dzień posed sobie nazad
i mówił, że służby nie może znaleźć. Była to sie-
rota, co nie miała matki ani ojca, bo to był syn nie-
prawego łoża, a matka mu wnet umarła.

I razu jednego to był wygnany z izby i posed
na aleje, tam stała wiśnia wypróchniała. I zewlek
swoją surducik i owinił swoje nogi w niego i tam
w ty spróchniały wiśni był znaleziony umarznięty.
I to się też wnet na naszy wiosce roznieśli, że
Wojtek, któremu mówili znajdek, umarł i jazem też
tam posed patrzeć, gdzie mój kolega umarł, bo to
chłopiec co miał na wiosne do szkoły zacząć chodzić.
I przez kilka godzin to przysed zandarm i go wzieni
na wóz od gnoju i go ze sobom wzieni do Dolska.
I po kilku dniach przysed zandarm i też u nas był,
ale my mu nic nie mogli powiedzieć, bo ojciec
ani matka po niemiecku nie umiała, a co ten sołtys
mu tłumaczył, to my nie rozumieli, ale moja matka
mówiła, że kruk krukowi oka nie wydobie. I tak
wszystko ucichło.

1) Chłop bogaty, 120-morgowy gospodarz.

2) Kradł.

55. [Pobożne westchnienia nędzarki, 10].

— — I też mi się przypomina, gdy też moja matka szła na wieczór do kopca po ziemniaki, to zawdy się przezegnała i mówiła: Boże dopomóż mi, abyzem naprózno tam nie posła i zawdy też miała szczęście, ze licho kiedy prózno do domu przysła¹⁾. I też mi się spomina, gdy Jaśnie Wielemożny Pan Parczewski z Nowca przysłał zandarma, aby przyszed szukać ziemniaków u tych biedosów, ale u nas to nie znalaz nic, bo te pare ziemniaków to my zjedli, a te co my w sklepie mieli te nam musiały wystarczyć.

¹⁾ [!] Byłoby pruderją gorszyć się z tych westchnień pobożnych nędzarzy!...

56. [Syn parobka chce uczyć się..., 11].

Juz też nadesed ten czas co i ja zem się cieszył, ze nadyjdzie ze pójde do szkoły, to zem też juz nieraz posed z moim bratem aż na drugom wioske, aby zobaczyć szkołę, i też zem nie móg ani tego czasu doczekać. I już przyleciały ptaki, zacynały kwiaty rosnać na łąkach pana Parczewskiego i też ten bocian nazad powrócił¹⁾. I matka mówiła, ze najprzód się nam koza okoci, potem przydzie święconka i potem dopiro po Wielkanocy do szkoły zacne chodzić i ja już zem tego czasu też nie móg doczekać. I już się nam koza okociła, ptaki i bociony przyleciały, święta Wielkanocne nadesły i już zem miał do szkoły wnet zaczoneć chodzić. I razu jednego to przysed też mój ojciec od pracy i mówi do matki: Wiesz ty Jagna, co Piasecki mówił, ze my jesse

latoś naszego Kuby nie mamy do szkoły posyłać. I ja tożem usłyszał tożem zaczon płakać i mówiłem, ze sam ućkne i pójde z Kosmałskiego Fronckiem. I dali moi matce powiadał, ze tego małego samego w doma nie idzie zostawić, i ty mozes znowu do pracy chodźć, jak zeszłego roku. I on ci chce dać po 30 fenigów dziennie, jak zeszłego roku. I matka to na to sie nie chciała ugodzić i zaczyna na ojca łajać i mówiła, ze my są takimi wołami, ze sie musimy kazdemu prosić, aby nam list napisał i tak samo naszym dzieciom ma iść, zeby sie prosili, zeby im ktokolwiek list napisał, Kuba pójdzie do szkoły i sie na tem skończy. I to też mój ojciec swemu pracodawcy opowiedział, ze sie ze swom zonom nie móg w ty sprawie ujednać i synek ma do szkoły chodźć. I już po obiedzie to przysed ten pracodawca do moi matki, tak moi matce głowe zabalamucił, ze matka sie dała na to namówić. I mówił, ze matka moze iść po połedniu do pracy i zarobi na tydzień dziewięć trojoków, a gdy mnie do szkoły pośle to będzie miała tyle straty, tak, ze sie i matka dała namówić.

[12] I już przez kilka dni po Świętach wielkanocnych to już zem miał być na rozkaz mego ojca pracodawcy przedstawiony leda dzień przed lekarza. I jednego razu to rozkazał też memu ojcu ten jego chlebowdawca, ze ma iść ze mnom do lekarza do Dolska i to już mnie moja matka ładnie umyła od stopy do głowy, bo oni byli tego zdania, ze ja sie musze przed tym lekarzem do naga rozewlec. I na drugi dzień tożem już rychło wstał, tak ze my już mieli być o pół do dziesiąty w Dolsku u tego tam zamieszkałego lekarza. I mój ojciec to mnie

wzion za rękę i tam do tego lekarza zaprowadził. Ale my cokolwiek tam za rychło zasli, tak ze my jesce musieli chwilkę poczekać i po małym zaczykaniu to już ten lekarz tam miał godzine lekarskom. I gdyzem sie tam dostał i widziałem takom ładnom kanape, i takie ładne krzesła, to mnie też to bardzo dziwiło. I tam stał ładny, wielki stół i przy nim siedzieli panie i panowie i sli za kolejkom do lekarza i tam sie też na tym stole znajdowało wiele książek, co w nie ludzie patrzeli, aby im sie nie dłużyło aż na nich kolejka będzie. I gdy my na kolejke przysli to sie mego ojca ten lekarz spytał, co braknie temu chłopcu, a mój ojciec mu to swoje zdanie powiedział i ten lekarz to sie najprzód na mojom zszyte warge popatrzał i potem mi sie spytał, czy mnie nogi nie bolą, a jazem mówił, ze nie. I potem ten lekarz zaczon na mego ojca łajac, ze ażzem dostał strachu (myślałem, ze on mi mego ojca tam pobije) i kazoł mnie do szkoły posłać i spytał sie ojca kto mnom rządzi, czy Piasecki, czy on. I gdy my byli z tą sprawą załatwieni, to posed mój ojciec do gościńca i tam sobie kazał nalać kieliszek wódki i mnie dał 10 fenigów, aby iść dwie gryzki kupić. Potem mi też mój ojciec pokazał to wielkie jezioro, ten kościół parachwialny, ten kościół Świętego Ducha i po tem my sli napowrót do naszego domu. I mojemu ojcu to ta rzecz sie nie podobala, ze mnie ma do szkoły posłać.

[13] I po obiedzie znowu posed ojciec do pracy i na wieczór to sie znowu z matkom umawiali i ja tozem sie też zawdy koło moi matki uwijał i zem sie też cieszył, ze pójde do szkoły. I po kolacji to też do nas przysed nasz sąsiad Kosmalski i gdy mu to

mój ojciec opowiedział, co mu ten lekarz powiedział, to ten sąsiad też na mego ojca powiad, że ten lekarz ma słuszne racyją i dobrze, że kaze dzieci do szkoły posyłać i też już sie tam długa mowa rozwiązała. I tymczasem kazał ojciec matce jednego dobrać i to pół na pół i jak przegryzła, to sobie po jednym wypili. I też ojciec kazał zawołać sąsiadkę, bo ona też sobie chętnie jednego wypioła. I to tak szło: „Na zdrowie sąsiedzie“, a on odpowiedział: „Pijcie z Bogiem“, potem on pił do moi matki, a ona to znowu mu odpowiadała: „Pijcie z Panem Jezusinkiem“ i tak sło aż kawał we wieczór. I potem to też sobie usiedli na ławkach i sie tam uzalali i przysli do tego rozomu, że Piasecki to niechce sobie inny kobiety najać, jeno aby ta moja matka u niego pracowała, bo ona o wiele tani pracowała, jak inna najęta by mu pracowała²⁾. I tak cały wieczór jeno sie o ty szkole i ty pracy mondrowali. I kiedy ta flaszka sie próżna zrobiła, to mówił jeden do drugiego dobranoc i sie pokładli spać, ale mój ojciec to sie tez nie mógł usatkwować, ze swego pracodawcy nie mógł zadowolnić, ale matka mówi: Lepi uśnij i śpij, nie będzies też jedno i to samo nawracał. I ja tymczasem zem usnoł.

[14] A przez kilka dni to przysed do nas mego ojca chlebodawca i mówił, ze on te dni pojedzie do Śremu i on mnie da przedstawić przed lekarza powiatowego, ten dolski lekarz to jest jesce młody i nie ma zadnego obeznania, to zobaczycie, ze gdy ja go ze sobom wezme do Śremu, to już na darmo tam nie pojade i zganił też mego ojca, ze jest tak jak baba, ze sie dał od lekarza wyhałasować. I moja

matka to mu kazała miejsce zająć i potem sie też tam zaczyni mondrować. I ta ława to też zawdy była czysta, bo matka ją piaskiem i wiechciem szorowała, to sie nikt nie potrzebował bojąc, ze sobie spodnie pobrudzi. I tam na to tez wsed nasz sąsiad Kosmański i oni to sie też oboje zaczyni umawiać tak mocno, ze jazem dostał strachu i myślałem, ze sie oboje będóm do bicia garnąć. Ten sąsiad Kosmański mówił, ze kto cokolwiek juz co ma, to by tego co nic niema w łydze wody utopił i po dłuższem spieraniu to sobie wyszed. Piasecki dał mojej matce instrukcyję, ze ma mnie już rano o czwarty mieć na pogotowiu i on tu po mnie przyjedzie i ze sobóm mnie weźmie do Śremu. I to już mnie matka od stopy do głowy wymyła. I ja tezzem sie udał w płacz, ze nie mam iść do szkoły, ale mnie matka ustatkowała, ze ten lekarz też mi kaze iść do szkoły tak samo, jak ten z Dolska. I po umyciu dałem dobranoc ojcu i matce i zem sie układ.

[14] I gdy my też tam zajachali, to jazem został w sieni, mego ojca pracodawca tam posed do tego lekarza i po mały chwilce mnie kazał zawołać. I ten lekarz to sie mnie nie pytał nic, jak ten w Dolsku, jeno sie na mnie popatrzal i mi te warge zszytą oglądnoł i sie ta cała wizyta skończyła. I potem napisał poświadczenie, a ja sam nic nie wiedziałem, bo ja od tego lekarza ani jednego słowa zem nie słyszał. I ja zem też myślał, ze ten lekarz jest zły, ze nic do mnie nie mówił. I tam miał tak ładnie w tych swoich pokojach, ze mnie sie zdało, ze ja tam też wcale nie mam przystępu do tego domu.

[15] I ten wóz to stanął koło naszego pomieszczenia i mój brat młodszy to też już czekał na gryzke, ze mu ją przywieze i moja matka już też na mnie czekała. I gdy ten wóz stanął to mówi Piasecki: Babe gdzie posłać, to nic nie wskóra, a ja zem mu powiedział, o co chodzi to zaraz poświadczy nie napisał i go latoś do szkoły nie potrzebujecie posyłać³⁾ i to świadectwo to już zem sam do pana nauczyciela zaniós. A mnie to sie też płacz zebrał, ze do szkoły nie będę chodził i ze wołem zostanie. I potem mnie sie matka pytała, czy też zem dostał gryzke, a ja mówię, ze nie i mi też zadny nie kupioł. Ale moja matka mówi ze zem ją sam po drodze zjad i nic nie chciałem bratu przynieść, ale jazem też mówił, ze zem zadny nie dostał i na tem sie skończyło.

I to sie też nasi sąsiedzi dziwiły, ze te lekarze niejednako sądzą i sie ze mnie też śmiały, ze bucze i ze zem taki wielki jest i ze sie jescce do szkoły nachodze. I po mały chwili to też do nas przysła nasa właścicielka domu, zona mego ojca chlebo dawcy i też sie przed matką pochwaloła, ze jej mąż to tyle dokonol, ze mnie ze szkoły jescce na ten rok zwolnioł. I widziała, ze jazem był też upłakany i sie ze mnie śmiała. I sie pyta też matki o co ja bucze, a matka mówi, ze chce iść koniecznie do szkoły, a ona mówi, ze zem jest głupi i tak długo bucze i robiła ze mnom też głupote, a jazem jescce bardzi płakał. I jazem sie nie dał ze sie wyśmiewać i zem ją kopnął. I ona też zaraz na moje matke powstała, ze mnie tak dobrze wychowała, tozem też dostał bicie za to od mojej matki, ze sie na starszych ludzi ciepie: czy ja nie wiem, ze sie

starszym ludziom ma ustąpić. I tożem też znowu dostał wielkie bicie od matki i jesce nie dosyć tego, tożem też dostał bicie na wieczór od ojca, bo mego ojca pracodawcy zona to też memu ojcu na mnie naskarzyła, to też ojciec swoim paskiem, na którym spodnie nosił, tak mnie zbił, że aż sie ludzie za mnom upominali. I moja matka to też jest taka, drugi raz inna, i gdy mnie ojciec paskiem pobiół tak, że zem miał posinione ciało, to sie też kilka razy o mnie umawiała z ojcem, bo zem był tak zbity, że zem sie kilka dni nie móg na drugom strone przewrócić. I było mi mówione, gdy jesce raz o szkole będe spominał, to znowu takom samom rznętkę dostane.

I już ten czas nadesed, to sli po raz pierwszy moje równiaki do szkoły, to zem sie też udał w koncik i sie napłakał, bo zem przed moimi rodzicami nie śmiał nic mówić, bo zem sie też bardzo bojał, aby zadny rznętki znowu nie dostał. I to mi tak było mocno zakazane, zem nigdy o szkole nie śmiał wspominać i tak zem pomału zapomniał, że mi sie należało chodzić do szkoły¹⁾.

1) Tutaj wpada w autentyczny tok ludowej opowieści.

2) Każdy parobek folwarczny zobowiązywał się poryłać do roboty 1 lub 2 robotników pieszych za umówioną stosunkowo niską płacę dzienną; gdy żona lub dzieci nie były do tej pracy sposobne, musiał parobek najmować obcych robotników.

3) Udawał, że tego jego starania są w ich własnym interesie!

4) Te perypetje biednego chłopca są najlepszą ilustracją tego, coby się działo bez przymusu szkolnego, którego do dziś dnia nie mogą niektórzy zacofańcy darować „głupiemu w. XX-mu“, obłudnie zapewniając, że i bez przymusa warstwy ubogie uczyłyby swoje dzieci...

57. [Śmierć chlebowdawcy. „Wszystko wybaczyć...“, 17].

Po niejakiu czasie to też zachorował mego ojca chlebowdawca tak ciężko, że już zaraz zrobili wielkie krzyki. Mój ojciec zaraz musiał zaprzęgać konie i do Śremu po lekarza jechać, bo tego z Dolska to ten Piasecki nie chciał, bo to jeszcze młody lekarz był i podług jego zdania to nie tak wyrozumiały, jak ten śremski. I gdy ten lekarz do niego przybył, to uznał zapalenie płuc. I to już przez kilka dni to mu się ta choroba tak zwiększała, że i nawet mu po księdza do Dolska posłali. I też mi się jeszcze przypomina, kiedy my się tam poschodzili, gdy ten ksiądz tam do niego przyjechał z Panem Jezusem, tam my poklękali i mówili pacierz, żeby wyzdrowiał. I ja to też się nie chciałem za niego modlić, bożem mówiłem do matki, że on jest winien, że ja do szkoły nie idę, ale moja matka to nam kazała za niego Boga prosić, aby wyzdrowiał. I raz to też przysłała ta jego żona do nas, aby my się modlili, aby on wyzdrowiał i to nam matka nakazała. I my to koło naszej spizorki poklękali i mówili różaniec za matką. I gdy nasz ojciec od pracy przyszedł, to mówił, że już z Piaseckim bardzo lichy stoi, to on pewno umrze. I już na przyszłą noc to musiał mój ojciec po lekarza jechać i ten lekarz to też mu nie mógł dopomóc. I tego samego dnia to jeszcze przejechał po raz drugi do niego ksiądz z Olejem Świętym i tam my się za niego znowu modlili, aby mu dał Pan Bóg dłużej żyć, ale ty naszej modlitwy to Pan Bóg nie wysłuchał i po małej chwili to oddał ducha w ręce Panu Bogu. I to nam nasza matka mówiła, że to mu musimy wszystko wybaczyć, bo my to mu są winni tego, aby jego dusza

szła do nieba, bo gdy my mu tego nie odpuścimy, to nie będzie zbawiony¹⁾). I ja też zem sie matki spytał, czy to Pan Bóg wie, ze my sie tutaj modlemy i tak za niego Boga prosimy. Tak, matka odwiadała, Pan Jezusinek to wszystko widzi i słyszy. I na wieczór po kolacji to my posli do łózka. Jazem spał z bratem do kupy, a ojciec z matką i dwa łózka my zawdy jeno mieli.

1) Można w tem się dopatrzeć, jeśli kto zechce „pańszczyźnianej duszy“; ale można też — i to będzie chyba bliższem prawdy — ujrzyć tu głębszą szlachetność i chrześcijańską powagę wiary u tej prostej kobiety.

58. [Śmierć Marynki, 53].

Już w Matkę Boską Gromniczną to nam sie też wielki smutek wydarzył, kilka dni przedtem to mi moja siostra Marynka zachorowała. I też matka posłała mnie po starom Szymosiową, aby ona do nas przysła, bo Marynka zachorowała. I gdy ona do nas przysła to położyła poduszke na stole i ją zmiezyła zeli miary nie zgubiła, ale ona mówi, ze nie i mówi, ze połamana też nie jest i to zaraz też kazali węgielków upalić i nalać wody w kieliszek, zeli ona przeroku nie dostała¹⁾). I gdy my te ceremonije zrobili to też te węgielki nie chciały płynąć, to było uznane, ze nie ma przeroku. I mnie to też matka posłała do Dolska, aby przynieść ulepku, zeby jej sie na piersiach zrobiło lekci, ale i to nie pomogło. I też zaczyna mnie posyłać do gospodarzy, aby który matke zawióz z tą małom siostróm do lekarza, ale oni to sie bali do Dolska jachać bo był wielki śnieg, to by im konie sie w śnieg potopiły. I kiedy ty próśby my nie dostali wypełniony, to matka wzina

te małą siostrę, owinęła w chustę wielką i my ją zanieśli do lekarza. I ten lekarz to też jej zapisał kropli, ale już matka zaraz szła z tą siostrą do domu, a ja zem jesce w aptece czekał na te medycyny. I kiedy zem przysed to my też jej zaraz tych medycynów dali, ale ona nie rada to brała do gęby. I ta mała siostra to też jesce przed swoją śmiercią zażądała, aby jej kupić gryzke i to mi matka kazała iść do Dolska, aby jej te gryzke kupić. I ja zem też to wypełnił, ale kiedy zem z tą gryzkom przysed, to ją jeno do sie wziena i przycisła, ale jej jeść nie mogła, jeno ją ścisła. I już rano w święto Matki Boski Gromniczny, to już matka wyszła z łóżka i zaczęła płakać, ze jej już córka umarła, i posła sie spytać która godzina do Karczyńskiego, aby u zameldowania mogła godzinę śmierci podać u burmistrza. I już sie tam sąsiedzi poschodzili i po chwili to sobie posli. I już rano to my posli do Dolska i kupilimy tej mały trumne, i na trumne to matka sobie pożyczła talara od ciotki. Był to tego dnia też bardzo wielki mróz i śnieg. I na drugi dzień to poszła moja matka do proboszcza naszymu parafiji kunowski, który sie nazywał Matuszewski, i mu to zmarłe dziecko zameldowała. I kiedy mu sie uzalała, ze ni ma pieniędzy to jej powiedział: Jak nie masz tyle, co od pogrzebu mozes zapłacić, to sobie je pod łóżkiem pochowaj. I te matki prośby nic nie znaczyły, to przysła z wielkim płaczem do dom i mówiła, ze ksiądz nie chce córki pochować. I sie też naschodziło ludzi, ale nikt moi matce nie mógł dopomóc, winc zem został przez matke posłany do Dolska, aby ta nasza ciotka nam jesce dwie marki pożyczła. I ta ciotka posła do jednego pana co u niego prała i jego poprosiła

i powiedziała mu, o co chodzi i on naszy ciotce te dwie marki pożyczył. I gdy zem przysed z temi pieniędzmi to na drugi dzień matka temu proboszczowi je zaniesła. I na smętarz to nieśli moją siostrę chłopcy, a kiedy my z niom do kruchty poszli, to ksiądz odmówił swoje modlitwy i pokropił i potem była zaniesiona na smętarz i została pochowana na kunowskim smętarzu. Tak my naszą siostrę pozbyli...

1) „Czy nie została urzeczona“.

59. [Pierwsza spowiedź, 64].

I jak już zem pisał ze zem już był do spowiedzi święty przyjęty, to też zem po raz pierwszy tam był i tak zem sie też do święty spowiedzi przyszykował, jak my byli nauczeni. I kiedy ten dzień nadesed tozem też do ty święty spowiedzi sie przyszykował. I kiedy zem i ja był na kolejke, tozem uklęknął przed konfesjonalem i zaczon sie spowiadać najprzód powszechnom spowiedziom i potem kiedy zem ukończył, to już mi sie też nasz ksiądz zaczon wy-pytywać zeli zem nic nie zapomniał i potem mi sie pytał czyzem nic nikomu nie wzion. I jazem sie zapaluł tak, ze pot na mnie występował i to zem mu powiadał, ze zem nie miał za co zeszytów kupić i zem jaja kazał sprzedać. I to on na mnie łajał i potem mi sie też pytał, zeli zem też na księdza nic nie mówił. Ja mówie, tak, ze na nieboszczyka to zem mówił łakomic, bo nam nie chciał przez pieniądze dziecka pochować. I potem mi dał swoją nauke, aby tego więcy nie robić, i ze te krzywde mam powrócić, bo mi te grzechy nie będą prędy

odpuszczone, aż ta krzywda nie będzie oddana. Zrozumiałeś? Tak, zem temu księdzu odpowiedział. I potem mi nadał pokute i mi dał rozgrzeszenie. I zem po ukończeniu modlitwy po spowiedzi sed do domu. Taka była moja pierwsza spowiedź...

I potem zem znowu bydło pasał jak do tego czasu i był posłuszny tak jak zawdy moim gospodarzom. A na drugi dzień tozem posed łajać na mojom matke, że teraz mam to wszystko oddać, co zem do tego czasu nakrad, bo mi nie będóm moje grzechy odpuszczone a moja matka to mówi: Żeś jest głupi, zeby ja to miała wszystko oddać, co ja zem na plecach do domu przyniesła, to jużby musieli wozami odwozić i tego z nas nikt nie jest w stanie, aby te krzywde mógł oddać i jak na drugi raz pójdiesz do spowiedzi to ci to samo będzie gadał i to taki głupi musis nie być i sobie do głowy nie brać, przecież Pan Bóg wie, ze my są jeno na pana zmuszeni robić, a kto panu robi, to musi z pana żyć. I tak, mnie pozbyła, więc zem też sobie posed do domu i mówiłem sobie, ze już gospodarzowi o tych jajach nie powiem, bo onby mnie uznał za niewiernego i mnie też o to chodziło, ze bym sie też zahańbił. I tak zem sie też kilka dni z temi myślami poniewierał i też długo nie trwało to zem też zapomniał i miałem spokój, tak ze mnie te kradzione jaja już więcy nie trapiły.

60. [Lektury, 167].

— — A po kilka dniach to się też ta pani zmarłego derektora tam wyprowadzała i te niepotrzebne rzeczy to też sprzedawała. To ja zem za jedną marke kupił 15 książek rozmaitych, ale były wszystkie niemieckie.

I tam też między niemi była jedna książka pod tytułem: „Szczęście w miłości to jest największem szczęściem na ziemi“... Inna to znowu była tytułowana: „Miłość i małżeństwo przez¹⁾ dzieci“ zaś jesce inne książki rozmaitego nauczania. I to zawdy wieczorami to zem sie jeno w tych książkach kochał, bo to dla mnie to było coś nowego...²⁾).

1) Tj. bez dzieci.

2) Lektury tego typu będą przez W. szczególnie ulubione i nadadzą silne piętno jego umysłowości.

61. [Czysto polskie kazanie, 240].

I w niedziele to zem też posed do kościoła i to kazanie to tak przezemnie przeszło jak prąd elektryczny, bo zem przez taki długi czas dopiero po raz pierwszy czysto polskie kazanie słyszał od 'tego czasu, jak zem jeno ojczyzne opuścił. I też zem tam posed do Spowiedzi święty i Komonji święty w naszej ojczysty parachfiji.

62. [Domowe porządki, 240].

I też juz długo nie trwało, to matka zaczyna z łóżka wstajać. I to ja zem też im sobie kazał pokazać te książke ze Spółki Ludowy¹⁾, ale i tam bardzo lichy wyglądało i to zem zaczon na nich łajać, ze przecież raz mają przyść do rozumu. I osobliwie na ojca zem łajał, ze on będzie coraz starszy, ze sie ma bardzi do kupy brać.

1) Brali w sklepie na kredyt.

63. [Zalecanki, 271].

A kiedy zem był raz na zabawie z tą moją kochanką Anną, to my byli aż za miastem. I to zem

też jej w dobrości mówił, kiedy my sli z ty zabawy do dom: Powiedz mi ty Anna szczeze, czy ty nie masz miłości do męski osoby, czy też ześ jest niezdolna do miłości. A ona to mi odpowiada, ze sie najprzód trzeba ozynić, a potem miłować. A ja mówie: Wiesz ty Anna, ja dziś po raz ostatni tu z tobą rozmawiam, ale ze ty taki fałszywy charakter masz, to zem też sobie nie myślał, jak ześ raz do chłopaka jest niezdolna, to też nie śmies zadnego za nare¹⁾ mieć, i zyce ci wiele szczęścia i zostań zdrowa. I tak zem sie z nią z kupy rozstał... Ale jej to już też sie tak mowa zatrzymała, ze już mi na to nic nie odpowiedziała. I przysed zem do domu i sie spokojnie położył do łóżka.

¹⁾ Nare: prawdopodobnie z niem. Narr: głupiec, błazen.

64. [A my to jak te cygany..., 300].

A po obiedzie to my byli wyprowadzeni na miasto¹⁾, najprzód do pomnika Wilhelma I., potem do pomnika Bismarka i zaś koło kosiary pułku 66 piechoty, dali kanonierów ciężkich Nr. 4, zaś kanonierów lekkich Nr. 4, zaś trenów Nr. 4 i pionierów też Nr. 4. Potem nam było pokazane więzienie wojskowe, zaś dali te fortyce, cytadela i te miesca, gdzie nasze inne kompanje przebywały. Zaś my stanyli koło jednego pomnika wojennego, na którym stał kanonier koło swojej kanony i miał dębową gałązkę w ręce, a na kamieniu to były te słowa napisane „Treu auf's Neue“²⁾. I potem my byli prowadzeni przez ten wielki most królewski, który sed przez te wode Elbe³⁾. I tak my też sie pomału dostali napowrót. I to ja zem też sobie tak nieraz te głowe nabił, kiedy inne narody to mają

pomniki i Bóg już wie, jaką kulturę, a my to tak jak cygany, jeno się na czyje musimy przypatrywać...

1) Służy w wojsku pruskim.

2) Na nowo wierny [?].

3) Łaba.

65. [Spotkanie z ojcem, 340].

A też już nam ojciec napisał, że pracuje na tycegielni, co ja te lata tam pracowałem. I my go tam zaprosiliśmy, aby do nas przyjechał, ale to nam odmówił, więc my go też poprosiliśmy, aby do Strausberg tam przyjechał, to my tam przyjademy. I to my też uczyniliśmy i tam do ojca zajachaliśmy. I tam skoro zem ojca zobaczyłem, to mi też zaraz łzy w oczach stanęły. I tam my się z nim przywitaliśmy i też zem mu przedstawiłem moją żonę i córkę, aby się też przekonał, że jest nie Niemka, jak mi tam było pisane, że Jakób się z Niemką ożenił. I też ojcu kazałem z córką po polsku gadać, aby się przekonał, że ją matka po polsku nauczyła.

66. [Ksiądz patryjota, 340].

A też już latem to my dostaliśmy tam polskiego księdza do naszego kościoła parafialnego i ja i żona to my też tam mieli tę sposobność, że my tam byli u spowiedzi. A ten ksiądz to tam też w niedzielę polskie kazanie dla rodaków powiedział w czystym duchu polsko-narodowym i tak to nasze tułackie życie spominał. I ta mowa narodowa to tak każdego zruszyła, że każdemu Polakowi łzy się z oczu kulały. I tam też ładne pozdrowienie z ojczyzny nam przyniósł i mówił: Zachowujcie swego du-

cha polskiego, bo też przydzie godzina, że nasze polskie pacierze i nasze modlitwy będą do nieba o pomstę i że nas wysłucha Królowa Korony Polski. I przy każdym pacierzu to mówcie: Królowo Korony Polski, módl się za nami. Ta myśl tego kazania to mi tak do głowy weszła, że zem sie też kilka miesięcy z temi myślami poniewierał. I też mówie do zony: Ten ksiądz to tak nam dał zrozumieć w ty myśli tego kazania, jakby my sie jeszcze mieli Polski doczekać. Ale jeno raz przez lato my mogli polskie kazanie słyszeć...

67. [Propaganda ateizmu, 349].

A raz to też przysed do nas jeden wysoki pan w ładnem ubraniu. Zadzwoił do nas, moja córka mu zaraz poleciała drzwi otworzyć i już sie dała mowa cudza usłyszeć. I już ja zem wysed do sieni i ten pan mówi: Pozwolicie, aby zem dali wstąpił... A ja mówie „prosze ładnie“ i już zem go do kuchni zaprosił, bo my jeno kuchnie nagrzywali. I kazałem mu na kanapie usiąść. I kiedy to uczynił, to mówi: Podług waszego nazwiska to zeście są ze wschodu. Tak, zem mu odpowiedział. I już on też nam zazon sie wypytować, czy my są katoliki. I już zaraz też sie wielka dybata między nami rozwiązała. I on taki był wykształcony, że umiał swojemi przykładami na każde słowo sie też zdomóc. I tak też zazon nam opowiadać, że wiara to jest najpierwsza broń dla kapitalistów, aby ten biedny naród sie jeno religji uczył i głupim pozostał — — —

— — — Ale też tam mi zostawił małą kartkę, która zawierała 10 pytań, co my chcemy a co nie. Więc to szóste to tu napisze, które brzmiało jak następuje: ..., „Von einer Gottheit wissen wir

nichts und lehnen darum jeden bestimmten Gottesglauben ab, besonders verwerfen wir den Wunderglauben, der mit der Gesetzmässigkeit der Natur im Widerspruch steht“¹⁾). I kiedy mi to szóste przykazanie przeczytał, ze o Bogu nic nie wie i mi je chciał wyłożyć, to ja otwar drzwi i mówie: Prosze pana, ja już tego mam dosyć. I ten pan to sie nie upierał, jeno sobie przez podziękowania wysed. I ta walka trwała wnet trzy godziny. A tych swoich przykazań, których jest dziesięć, to zapomniał ze sobą wziąć i mi ich sobie ze stołu nie wzion, więc zem je prawie między mojemu papierami znajd, to też ta walka mi sie spomniała...

1) „O Bóstwie nie wiemy nic i dlatego odrzucamy wszelką wiarę w Boga. W szczególności zaś odrzucamy wiarę w cuda, która jest sprzeczną z zasadą prawidłowości przyrody“.

68. [W Belgji z Prusakami, 357].

— — — to mówie do mego sumienia: Teraz to trzeba też wejrzeć, co tam za zdrajce są. I kiedy zem te drzwi otwar, to zaraz zem najprzód przy drzwiach widział księdza katolickiego siedzieć i koło niego z jakich czterech pochyłych staruszków i wielka masa niewiastów ze swojemi maluskiem i większemi dziećmi. I te maluskie dzieci to już gdy mnie tam zobaczyły, to już im ten strach móg jeden zaraz z tych białych twarżów odczytać. A ja mówie „dobry wieczór“. I to mi ten ksiądz odpowiedział. I zaś mówie, ze ma tym dzieciom powiedzieć, ze mają ode mnie strachu nie mieć, ja im nic nie zrobię, i ja zem też musiał takie dziecko w doma zostawić. I to już im ten ksiądz powiedział. I ja zem też zaczon z tym księdzem rozmawiać. I już sie też ci ludzie troche

ośmielili, to mówili do tego księdza, aby mi powiedział, żeby im wody przynieść. A ja to zem wsed do drugi izby i mówie do tych tam śpiących żołnierzy, ze ma jeden na chwilke sie tu postawić, ja musze iść na dół, bo to było na pierwszy etaży. I kiedy ten Niemiec to uczynił, to ja zem posed na dół i dwa wiadra wody napompował. To za ledwie zem z tą wodą tam wsed, to jeno sietak tym małuśkim dzieciom te ręce trzęsły na te troche wody, więc zem kilka wiadrów ty wody tam zaniós niż zem wszystkich tą wodą nasycił. I temu duchownemu to zem też powiedział, ze ja zem też jest katolik, więc my sie z tym duchownym tam rozmawiali. A te małe dzieci to kiedy sie ty wody napiły, to sie pokładły na matki łonie i posnyły tak smacznie.

[357] nasz komendant bataljonu to strzelał do ludzi cywilnych, jakogo na boku widział, bo to on ich miał za Franktierów¹⁾, a czy kogo trafił to nie wiem, bo my byli w biegu. — — —

[358] A kiedy sie tu i tam kulka dała słyszeć, to już nasz komendant bataljonu rozkazał, aby tych obywateli ty wioski wszystkich zbić i to rozkazał dwóm atalerystom ich bić. I on sam wzion drążka od grochu i bił ich przez wyjątku. Byli to jeno starce same. I potem jak temi drążkami tych obywateli zbili, to potem rozkazał, ze i ten ksiądz ma też być bity. I mówił: Du Hund verdamte, du sollst auch was abkriegen²⁾. I ten ksiądz, kiedy już był przez przytomności, to sie nachylił, a ten, co tam stał na wasze z nazwiskiem Bethe, pochodził on też tu od Magdeburga gdzieś, to zaraz strzelał do

tego księdza i go zabił na miejscu i powiedział, że ten ksiądz mu chciał broń z ręki wziąć. I na tem się skończyło. I zaraz ten komendant bataljonu rozkazał tym obywatelom ty wioski i to ciało musieli włożyć na taczke od gnoju i go zawieźć na smętarz i też dwóch zakomenderował, co go tam mieli zagrzebać. A te Niemcy to raz byli na tych księży zawzięci. A ja jako katolik to zem musiał na takie co patrzeć.

[362] I potem my się cofli do jedny wioski Buthe i tam nasza korporala miała dać dwóch chłopów na wache³⁾ i to szczęście mnie spotkało. I już tam my też na te wache posli. Była to mała izba, w jedny były kobiety i dzieci a w drugi chłopcy. I już kiedy my te wache odebrali, to już ja zem stał zaraz pierwszy nomer i już tego zem nie móg znieść, że ten naród w tym smrodzie tak się tam męczył. I kiedy zem był zminięty, to zem posed na naszą izbe i mówie do tego unteroficera, że już tyle ludzkiego czucia musimy mieć i tym ludziom świeżego powietrza użyzyć. I ten unteroficer z nazwiskiem Hermann dał się namówić i mówi do mnie: Ja pójde do wsi, a ty Jakób weź tymczasem te wache. I tak się stało, zaledwie ten unteroficer sobie posed, ja kazał okna otworzyć i tym ludziom z izby wyść i się koło ściany postawić, aby się też świeżego powietrza nałykali. Ale niestety już po mały chwili to się dał widzieć nasz komendant bataljonu i ten, co na wasze stał, to zobaczył. Już zaraz wgoniał tych ludzi do izby, ale to już to zobaczył nasz major i kiedy na tym koniu tam przyjechał, to zaraz zaczął hałasować na tego, co na ty wasze stał. Ja zem zaraz wysed i się śmiało zameldował jako

zastępca wachy. A on mi sie zaraz pyta, czy nie dostałem instrukcji, a ja mówię: Tak, ale ja tego nie mógł widzieć, że ten naród to już umglewa, więc zem im pozwolił na świeże powietrze wyjść. A pan major zaraz na mnie zaczon ryczeć jak zwierz jaki i mówi: Lassen sie die Hunde ferpesten⁴⁾ itd. — Jak wy sie nazywacie? — Wojciechowski, panie Major. — To ja już wszystko wiem. I już to zameldował i my dostali jeszcze 24 godziny wache karną.

1) Franktierów — (frank-tirerów), tj. „wolnych strzelców“.

2) Ty przeklęty psie, ty także musisz dostać.

3) Straż.

4) Daj tym psom pozdychać.

70. [„Polonia — żołnierz“, 365].

— — I też już na ostatni dzień rano to już my mieli wiadomość, że musimy iść dali, więc kiedy zem się z tą madamą i córką pożegnał, to one obie zaczęły płakać. I też zem dał ty mały córce kilka cukierków lodowych i jednego franka i mówię, że ma pamiętać, że tu był Polonja żołnierz. I tak zem te kwatere opuścił...

69. [Prof. Dr. Thime, 361].

A już nad brzegiem tego wspaniałego ogrodu to my też tak ośmiu żołnierzy belgijskich w klotke dostali, że już im nie było zadnego sposobu można, jeno sie poddać. I już rzucili te swoją broń i podnieśli ręce do góry, a nasz profesor doktor Thime mówi „Weg mit das Pack“¹⁾. A ja to usłyszał i mówię: Ale ludzie po ludzku sie musimy z nimi obchodzić, a już ten profesor dr. Thime mówi do mnie: Wy macie „Schnauze zu halten“²⁾ — i po-

wtórzył to jeszcze raz „Weg mit das Pack“. I już się na nich rzucili i jednych kolbami zabili, zaś drugich bagnetami przebili. I tak swego życia pozbyli nasi nieprzyjaciele, a mnie aż się niemiło zrobiło, jak zem to zobaczył.

1) Precz z tą bandą — lub coś podobnego.

2) Pysk trzymać.

71. [Śmierć córeczki, 374].

I tak zem się cieszył z tą moją córką aż do 20 sierpnia¹⁾, bo kiedy zem 20 sierpnia od pracy do domu przysed, to jeszcze mnie moja córka przypro-wadziła do dom jak zwyczajnie i my też swoją przechadzke zrobili. A przy kolacji to mówi moja córka: Tata mnie język boli. A ja zem się zaraz zabrał i ją do lekarza zaprowadził. On jej taką klapetką garło otwar, zaczyna zwracać i mówi: To nie jest nic źle. I napisał jej troche kropli. Zaś sąsiady zaraz kazali jej też kupić cytryne i dać wypić. A to dziewczę to takie wesołe było, tak sobie śpiwało na ten wieczór. I ja mówię, że ma tak dość nie śpiwać, bo to ci będzie ciężko, to zaczena płakać, że ja jej nie dam śpiwać. I już do północy to jeszcze spała, a po północy to już zaczyna narzekać, że ją tak plecy bołą, że ją brzuch boli. I my ją tak pocieszali, jak my jeno mogli. I już rano to zem nie sed do pracy, jeno zem w domu pozostał. A kiedy rano lekarz przysed, to już mówi, że już zadny nadzieji niema, bo ona ma słabość serca i już miała nogi zimne i paznokcie sine. A już po południu to mnie tak ładnie przy połnym rozumie przycisła do się i po mały chwili to ducha Panu Bogu oddała. A na smętarz to ją zaprowadził ksiądz. I dziewczęta ją

zanieśli najprzód do kościoła, potem na smętarz. I tam sło przeszło 20 ludzi za jej ciałem i koronów³⁾ to kilka na grobie jej położyli. I trumne to zem jej taką kupił, jak sobie ządała, a późni kamień z opasaniem ale z niemieckim napisem, bo polskiego nie było dozwolone kamieniarzowi drukować. Więc zem kazał napisać: Tu spoczywa nasza kochana, jedyna córeczka Marja Anna Wojciechowska urodzona 18 lutego 1910 r., zmarła 21 sierpnia 1915. Ten kamień z opasem coś kosztował 48 marek. I została pochowana na kościelnym smętarzu na Kirchenstrasse, bo sie do ty parachfji nalezeli. A zaś inne parachfje to chowały swoich ludzi na miastowym smętarzu.

A kiedy zem te córke pozbył, to mi nigdy nie mogła z myślić wyjść, jak ona do sie mnie wołała i mówi: Pódź tata, daj mi gęby — i mnie do sie całą swoją siłą przycisła. I to zem sobie nieraz pomyślał, ze cudze dzieci to zem miał tyle mocy uretować przed śmiercią, a swego nie. I po pogrzebie to też były te dziewczęta na kawę zaproszone i te sąsiady. I tak sie nasz żałobny dzień ukończył. Więc dłuższe czasy to zem chodził jak obłąkany, uzalić się przed kim nie miało znaczenia, bo mówili sobie: Zrobis inne i na tem sie skończyło ...⁴⁾.

1) Wojciechowski był ranny, a później przydzielony jako górnik do kopalni węgla w Westfalji, gdzie zamieszkała z nim żona z dzieckiem.

2) Było to w Magdeburgu.

3) Wieńców.

4) Jedno z miejsc, w których W. w rzeczowości swej zdobywa się mimowoli na jakąś monumentalną wprost prostotę...

72. [Polemika z Niemcami, 405].

— — raz to zem sie też dostał na zebranie centrowców¹⁾, bo ja jako rzymsko katolik miałem tam wstęp wolny, ale nie do cna wolny, bo my na pokrycie kosztów od sali coś małe wstępne zapłacili. I już tam był obecny nasz parachfijalny ksiądz i kilka innych mowców, był lekarz Doktor Stadtrat Mende i już po otwarciu tego zwołanego zebrania i po przemówieniu i obznajmieniu porządku dziennego, to dostał słowo lekarz Doktor Mende. I już przeszed przez te wersalskie układy, które Niemcom były włożone, zaś dali wyłożył nam to, że tyle ziemi jest od naszy Ojczyzny oderwano. Te i owe miasta zaś wspomniał, te setki braci i siostrów, co wschód musieli opuścić i zaś ten Górny Śląsk, co przez 700 lat jest krajem niemieckim itd. I ta mowa tak była mądrze wymyśluna, że juz zaden niemiecki narodowiec byłby nie w stanie cokolwiek powiedzieć²⁾. A kiedy ta mowa z wielkimi oklaskami była zakończona, to już dostał ten doktor St. M. podziękowanie za to i też aby my sie tele starali, co na drugi raz więcy katolików do miastowego parlamentu dostaniemy. I ten prezes wstawił te mowe do dyskusji, a już ten sam dr. Mende wstał i mówi, że by go bardzo cieszyło, aby sie też kto z przeciwny strony meldował. A ja już zem był namyślony i wydarłem karteczke z mego kalendara pisemnego, napisał swoje nazwisko wyraźnie tępym ołówkiem, zeby wnet te głoski móg palcami namacać i podałem na bine³⁾. I już prezes zadzwonił i mówi: Za pierwszego dyskusji mowce sie meldował pan W., ale tego mego nazwiska nie móg wycisnąć i już sie śmiech na sali zrobił, ale ja to to już był tego nauczony, to mnie wcale nie

ruszyło i zem z wielkim spokojem czekał, aż mi było słowo udzielone.

I kiedy było mówione „prosze“, to zem wszed na bine, wstawił oczy w słup⁴⁾ i zaczon mówić co następuje: Moje panie i panowie! Już nam tu ten szkaradny terror na wschodzie był przedstawiony i to życie tych setków Fluchtlinge⁵⁾, ale ono nie jest tak mocno szkaradne jak przed 20, 30, 40 i jeszcze więcej lat było. Ja to moge najlepi sądzić, bo i ja zem jest Flüchtling, ale nie z tych, co teraz wschód opuszczają, jeno co dawni wschód musieli opuszczać przez te kute układy, co pruski Landtag⁶⁾ ukuł na zniszczenie wschodu. Nam już jako dzieciom szkolnym nie było pozwolone Ojczy Nasz i Zdrowaś Marja w naszym ojczystym języku mówić, nic nam nie było życzone, ani my pozwoleństwa nie dostali, żeby my mogli lumpy⁷⁾ skupować. A kiedy mój ojciec chciał dla mnie gruntu kupić⁸⁾, to mu było powiedziane: My te ziemie na to odebrali, aby ją zniemczyć na korzyść kraju niemieckiego, a przez tych tu zamieszkałych sie ta ziemia nie zniemczy — i tak jak ja, tak tysiące innych było zmuszone iść głębi w kraj niemiecki. I jak my tu byli przywitani: Was thun die Polaken hier, was thun die Lohndrücker hier⁹⁾ — i w oczy nam byli wnet napluli. A z drugi strony to setki i tysiące protestantów jachało na wschód i tam przy pomocy rządu zostali dzisiaj wielkimi panami, a żeby tam dosyć ludzi dostać, to na każdym Klosettür¹⁰⁾ plakaty przybili: niemieckie gospodarze, kto chce ziemie kupić lub wydzierżawić, moze sie zgłosić do A. K. Posen Mühlenstrasse nr. 12, to tak brzmiało, jakby na wschodzie wcale ludzi nie było. Czy to jest nieprawda, moje panie i panowie? I wielka cisza sie

na sali zrobiła, żeby wnet mysz usłyszał, jakby po podłodze leciała. — I ci co teraz wschód opuszczają, ci mogą mówić: My mamy naszą ojczyznę na zachodzie, my mamy słupek o który się oprzeć możemy — ale kiedy ja był Fluchtlinge, to zem tego nie mógł mówić, a co teraz Polacy czynią, to się od Niemców nauczyli w tych 145 latach¹¹⁾. A zaś w drugi rzeczy że Górny Śląsk Polska dostała, to mnie jako rzymsko-katolika bardzo cieszy, bo Polska jest naród rzymsko-katolicki i będzie naszą świętą wiarę pielęgnować, a co robiły protestanty na wschodzie z naszą świętą wiarą katolicką? Kościoły nam odbierali i je na protestanckie przenieśli, księża katolickie były zmuszane, aby na Bismarcka majową wiarę¹²⁾ przestali i kryli się jako zbójce, po lesie pod strachem jeno chrztu udzielili, więc się nie mamy o co trapić, bo dawni o wiele gorzy było robione... I zem się fukłonił i mówię „dziękuję ładnie“...

A już powstało szemranie na sali i już się jeden nauczyciel zgłosił na odpowiedź mojej mowy.

1) Jesteśmy już w czasach powojennych, kiedy jeszcze Wojciechowski był tramwajarzem w Magdeburgu. Centrum: Katolickie stronnictwo w Niemczech.

2) W. podkreśla, że nawet nacjonalista nie byłby w duchu bardziej narodowym przemawiał, niż ten katolicki mówca.

3) Bine: trybuna.

4) [!] = podniósł oczy do góry.

5) Flüchtling: uciekinier.

6) Sejm. Mówi o wywłaszczeniu, o Komisji Kolonizacyjnej. Argument z ręcznie użyty.

7) Szmaty.

8) Grunty skupione przez Komisję Kolonizacyjną nie śmiały przejść z powrotem w ręce polskie. (Drzymała).

9) Co tu robią ci Polacy, ci obniżacze zarobków.

10) Drzwi od ustępu.

¹¹⁾ Polska otrzymała w Traktacie Wersalskim prawo wykupu przymusowego ziemi skupionej ongiś przez Komisję Kolonizacyjną, zasiedlonej przez tych Niemców, którzyby obywatelstwa polskiego nie uzyskali. Rząd polski wyrzekł się tego prawa w r. 1930.

¹²⁾ W maju r. 1873 Sejm pruski za poduszczeniem Bismarka wydał szereg ustaw zwróconych przeciw Kościołowi katolickiemu; o księżach, którzy poddali się tym ustawom, lud polski mówił. że „przeszli na majową wiarę“.

73. [Przemowa na zebraniu Tow. im. św. Jana, w Magdeburgu, 23. lipca 1922, 421].

— — A kiedy ja zem mu powinszował, to już te niewiasty mówiły do mnie, a wy Wojciechowski nic nie chcecie powiedzieć, a ja mówię: Jeszcze zem nie jest na kolejce — i już mnie prezes zawołał i było mi słowo dano. I kiedy ja sie postawił, to już mnie wszyscy znali i sie cisza na sali zrobiła, a ja mówię co następuje: Kochane Panie i Panowie! Bardzo mnie cieszy ze sie tak wiele tutaj naschodziło, kochanie naszy Ojczyzny jest tu widoczne. Kochane Panie i Panowie, smutne czasy nastały na Polske kiedy Tatary na nią sie rzuciły, a jeszcze smutniejsze kiedy przed 127 latami naszą kochaną Ojczyznę rozszarpali, a już tego samego dnia słońce westo za chmury i więcej nad Polską nie zaświeciło. I już powstał strach wielki na cały Naród polski i już sie zaczeni zgromadzać, bo ujrzeli, że są od Boga opuszczeni i kiedy sie zebrali i staneli koło wielkiego kamienia na którym Orzeł Biały Polski spoczywa, to tam postaneli i mówili: Tutaj stojemy, tutaj żyjemy i tu umieramy. A już jak błyskawica, jako morska trąba, jako pieron kiedy w pomieszkanie uderzy, zleciały sie trzy orły, był to zielony, żółty i czarny, i zaczynny głowe toczyć orłowi

białemu i już się zleciały katy ze trzech stron i zaczęli lud polski męczyć i kataić¹⁾, w kajdany wiązać i na Syberję odsyłać i trzy razy się bronić zaczęli, ale Bóg im pomoc nie chciał. I już było jedno hasło: Ratujcie się, kto się ratować może i już się dzieci zegnały ze swoją pochyłą matką i ze swoim ojcem, co już o kijoszku chodził i brunili swego zycia przed katami, którzy się na polski ziemi obiadli i już uciekali do Francji, Niemiec, Anglii, Holandji i nawet za morze się udali do Brazylii, Argentynji i Peru i nawet na wyspach się jako tułacze poobsiadali na Kubie, Bornei, Sumatrze, Jawie i Meksyku i tam chociaż byli oddaleni od ojczysty ziemi, ale wciąż marzyli oni z braćmi swoimi, a już w kościołach to się przezustannie modlili „Królowo Korony Polski módl się za nami“ — a już przy innych sposobnościach śpiewali „Doczekają nasze dzieci szczęścia i radości“, już nawet setki tysiące były pokryte tą cudzą ziemią, ale duch polski nigdy w nich nie zaginął. I już minyło sto lat i jeszcze więcej, a już w r. 1906 to przybył cesarz niemiecki Wiluś drugi do Gdańska, na wielkim koniu się postawił, a kiedy ci kaci polskiego Narodu przed nim pozdneli to im dał wielką pochwałę, że już wschód od Polski oczyścili i rzek: Mnie to bardzo cieszy, że taki czysty wschód mamy, a te pare Polaków co tu jeszcze mamy, ci jeno spoczywają na moi łasce, auf meine Gnade — a już się czuł jakby go cały świat zwojować nie mógł. I już, w r. 1914 kiedy ciemne chmury okryły Europe, to już Czarny Orzeł okrył swojemi skrzydłami całą Środkową Europe, już jednym skrzydłem zakrył Belgję, połowe Francji i już sięgał aby i Paryż okryć; zaś drugim skrzydłem

okrył Polskę i Wilno i już sięgał, aby i Petersburg okryć, ale tego Pan Bóg nie dopuścił i już zaczęły prumienia ogniowe jako wulkany zgóry i dołu bić i już upały pióra Orzłowi Niemieckiemu a kiedy się upały te pióra temu Orzłowi Niemieckiemu, to już zaczęło słońce po raz pierwszy świecić nad Polską Ziemią. A kiedy już te Polską Ziemię słońce trochę rozgrzało, to już jako mrówki z mrowiska na spozimku, zaczął naród polski wyglądować. I już kiedy się tam na swej własnej ziemi zbiegać zaczęli i się między nimi pokazał Mąż Wielki i tego męża zobaczyły Niemcy i już jako zdrajce, jako zbójnika okuli w kajdany i go tu do tego miasta przywieźli, we którym my się dzisiaj znajdujemy, do Magdeburga, i tam go wtrącili w głębokie mury, aby go zniszczyć i zamarnować²⁾). Ale to Pan Bóg tego nie dozwolił i już słońce rozgrzało Ziemię Polską, stały się cuda, mury magdeburskie się otwarły i już jak błyskawica stanął ten Mocny Chłop. A już kiedy na wieczór słońce weszło za chmury a promienia się czerwone pokazały, a już w nich się ukazał wielki obraz na niem Królowa Korony Polski i już ją ujrzeli wszyscy wierni swej Ojczyźnie, którzy się znajdowali na całej kuli ziemskiej. A już się dało słyszeć: Pod Płaszcz Korony Polski chcemy dążyć — i już się mężowie zegnali ze swojemi żonkami, ojcowie — z dziećmi swojemi, a młodzieńcy uściskali dłoń swej kochance i mówili: Zostań z Bogiem jedyna, bo mnie woła Ojczyzna — już lecieli przez góry i doliny, przez rzeki i morza, aby stanąć przed obrazem Korony Polski. I już jako pszczoły się rano ze swych ulów wyprowadzą, a kiedy się zanoszą na deszcz to się wszystkie udają do swego

ula do swei matki, i tak też nasze rodaki sie udali na miejsce im przeznaczone. I kiedy już sie do kupy dostali, to stanął ten Chłop Mocny, który sie wypełać mógł z kajdanów niemieckich i już zawołał wielkim głosem „dzieci kochane za Wiare i Ojczyznę“ i już sie rozlecieli z kupy i zaczęli kraj polski czyścić, a polska rzyka Wisła jem pomogła i już oczyścili Warszawę i Lwów, oczyścili Poznań i Bydgoszcz i Zbąszyń i sli dali, już oczyścili Górny Śląsk, ale nie zdołali ty cały Polski Ziemi oczyścić, bo już kilka mil za Katowicami musieli odpocząć, a na ostatku posli o Wilno, oczyścili z brudu a dzisiaj sie cieszą na Polski Ziemi. I tak jako mi jest znajomo i tutaj na ty sali niema ani jednego wiernego rodaka, aby swei owieczki nie ofiarował za Wiare i Ojczyznę, ale nie traćmy nadziei, bo i my otrzymamy naszą nagrodę, bo i nas zawoła ta Matka Korony Polski i będzie mówić: Pójdźcie tułacze, ja was okryje swoim płaszczem. I nie traćmy nadziei Kochani Zebrani, bo czy rychli czy późni i nam będzie ta spodobność dana, ze imy będziemy mogli śmieie swoje słowa narodowe wypowiedzieć, nie będzie nam nikt do ucha szeptał, aby sie troche wstrzymać w moi mowie jak sie to tutaj dzisiaj dzieje i przydzie dla nas ta godzina i ten czas, co i my sobie śmieli będziemy mogli nogą tupnąć i zaśpiewać „Pomalusku ze swojemi po ty naszym polski ziemi“ (...³). A dzisiaj Kochani Zgromadzeni obchodzimy trzydziestoletnią rocznicę naszego polskiego Towarzystwa Św. Jana tu w Magdeburgu. I to nasze Towarzystwo było gnębione, naszą bibliotekę nam niemiecka policyja naglądała, nielekko mieli te tułacze, którzy to Towarzystwo trzymali rękami i zębami, aby nie było nam zniszczone. A stoi tu koło mnie pan Pe-

laszek, który założył to Towarzystwo i dzisiaj sie tutaj między nami cieszy i Bóg mu dopomaga, ze przy takim dobrem zdrowiu, chociaż już taką wielką kupe lat ma za sobą, więc na ukrzycynie tego członka prosze z miesca powstać i chcemy razem wykrzyknąć „Niech zyją ci, którzy naszą kochaną Ojczyzne wybawili“, „Niech zyje nasza kochana Ojczyzna“, „Niech zyje cały Rząd Polski“, „Niech zyje Ojciec Święty“ — a już z miesca powstali ze mną razem wykrzykli trzy razy „Niech zyje“...

A już na rozkaz męża zaufania z Komitetu Narodowego Pana Drabętowicza my zaśpiewali pieśń „Boże coś Polskę wybawił“...

Była to mowa, którą zem sobie wymyślał przy pomocy Kalendarza - Katolika z r. 1921 i z książki „Wódz a żołnierz“... Była to książka drukowana pod tytułem „Rola“ Jana Burjana, Warszawa, Mazowiecka Nr. 11... Z tych dwóch książek zem te mowe wymyślił i tak zem naszych rodaków zadowolnił.

1) Katować.

2) Józef Piłsudski.

3) Podziwu godna jest naiwna a jędrna plastyka tej retoryki, częściowo całkiem samorodna (np. ten „Mocny chłop“), częściowo zaczerpnięta z literatury popularnej, patryjotycznej i religijnej, ale samodzielnie przez Wojciechowskiego przyswojona i zastosowana.

72. [Życzenia pamiętnikarza, 425].

Więc zem jest na końcu mojego zyciorysu... Azeby ten pis z Dziennika połno i mocno wypołnić, to też sobie i swoje zyczenia tutaj napisze. Mojem zyczeniem jest:

I. Aby te wszystkie szkoły sie o to starały, zeby

każdego obywatela polskiego nadetknąć duchem narodowym polskim, aby się to nie społniło, co sobie Niemcy zyczą, że już w krótkim czasie dostaną, to co im jest odebrano...

II. Aby podług możności się ta Polska o to starała, aby te nasze rodaki nie przechodzili tych szkółów i się dali na ulicach prześladować na ziemi niemieckiej...

III. Aby bronili swojej Ojczyzny, kiedy jest potrzeba i na jej uzdrowienie pracowali...

IV. Aby te wszystkie brudy, co są na Polskiej Ziemi były usunięte [sic].

V. Aby ci łapownicy, co się dają opłacić i na zdradę kraju pracują byli syrowo [sic] karani...

VI. Aby każde dziecko, czy biedne czy bogate, się uczyło tak w szkołach, aby sobie mogli sami list napisać i potrzebne sprawy wykonać...

VII. Życze sobie, żebym na Polskiej Ziemi, nie na niemieckiej umierał...

VIII. Życze sobie, aby te moje niespokojne noce i te moje domania najwięcej W. Panów Profesorów zadowolniły...

IX. I życzyłbym sobie się dowiedzieć, na jaki cel to pismo jest zaządane...

Teraz donoszę tym wszystkim W. Panom, co się będą mojem piśmem interesować, aby mi we wszystkim wybaczyli, bo to co było w mojej mocy, to z siebie wyłożyłem, aby te szkoły nowoodrodzoną spomóc w nasz Zmartwychwstały Ojczyźnie...

A rachunków żadnych nie dołączam, miałaby mnie jakakolwiek nagroda czekać i mi być pieniędzami wypłacana, to bym prosił ją tam w Poznaniu, Bank Przemysłowców, Tow. Akcyjne. Stary Rynek 73—74, na konto tam istniejące dla Ja-

kóba Wojciechowskiego z Magdeburga, Neutstadt, Rosenthalstrasse, Nr. 3, wypłacić.

*

Jakób Wojciechowski. *Raz kiedyś a obecnie*, wstępem poprzedził Boy-Żeleński. Warszawa, Biblioteka Boya 1933, str. XXVIII-|-218.

Zbiór ten, napisany za zachętą Boya-Żeleńskiego, po okresie depresji, w jaką autor popadł po napisaniu życiorysu („mój duch usnął“), okazuje go jako tęgiego gawędziarza, który przytem nie poprzestaje na samej narracji, ale chętnie snuje rozmaite refleksje np. na temat nieokielzanej rozwiązłości kobiet (z niemieckiego drobnomieszczaństwa i proletariatu), o smutnym stosunku społeczeństwa do bohaterów i i. W stylu dużo ironji, humoru, barwności, język w stosunku do języka życiorysu znacznie bardziej wyrobiony. (Pisownia korygowana przez Boya-Żeleńskiego).

73. [Po sześciu miesiącach znajomości z Marynką, 30] ¹⁾.

— — W środę spotykają się w cztery oczy.

Marynka: Już sześć miesięcy oboje do kupy chodzimy, w nieszczęście żeś ²⁾ mnie wprowadził. A kiedy myślisz zanieść na zapowiedzi?

Jakób: Jak się zrobi zimniej; teraz, widzisz, mamy ten śliczny las przed sobą, tę śliczną kwitnącą aleję, te śliczne rowy, co nam służą jak kanapa. Uszparujemy na świetle, bo nam księżyc każdego wieczora świeci.

Marynka: Czy chcesz być świadkiem dalszego mego nieszczęścia? Widzisz, co się ze mną robi. (Zaczyna płakać).

Jakób: A czemu buczysz, bądź spokojna, na sobotę poniesiem na zapowiedzi. Daj się od obiadu

zwolnić z pracy, przynieś swoją metrykę, przyjdź do mnie i pójdziem do księdza.

Marynka: A umiesz też cokolwiek katechizmu?

Jakób: Ty głupia, myślisz ty, żeś jest w Poznaniu, że jak nie będziesz umieć katechizmu, to cię nie będzie zapowiadał? Jak nie, to nie, to będziemy na knebel siedzieć.

Marynka: Dobranoc, bo już dziesiąta godzina bije, stróż będzie bramę zamykał. — — —

1) Z utworu pt. *Moje wesele czyli wesele Polaka na obczyźnie*.

2) Wojciechowski już po nadesłaniu Boyowi-Zeleńskiemu rękopisu, prosił wydawcę o wykreślenie tych wszystkich *żem*, od których roi się życiorys. „Niestety było już zapóźno, a zresztą to *żem* dodaje tutaj charakteru i bezpośredniości temu nieuczonemu a tak jędrnemu stylowi“ (B. Z.).

74. [Na stanie cywilnym, 34].

Urzędnik: Proszę zabrać miejsce, państwo młode w środku, świadkowie na boku, tak co wszyscy zrozumiecie, jak będę czytał. Więc uważać. Dziś zostało zawarte prawnie małżeństwo pomiędzy:

I. Jakób Dziewczynykochający, urodzony dnia 30 lutego 1901 roku w Siekonowie, syn robotnika wędrownego i jego żony¹⁾.

II. Marjanna Łapidusza, urodzona 1900 r. w Kochanowie, córka bednarza i jego żony.

Świadek I kładzie podpis, następnie świadek II. Urzędnik podaje ręki młodemu państwu. Die geschlossene Ehe ist reskrechtlich²⁾.

1) Z tych dat okazuje się że te „wspomnienia“ autora przeplatane są fantazją...

2) Małżeństwo zostało prawnie (rechts-kraftlich) zawarte.

75. [Mowa weselna, 36].

Kochane państwo! Byliśmy świadkami ślubu tej młodej pary. Raziła mnie¹⁾ ta długa mowa naszego proboszcza, którą on wygłosił dla tego nowego małżeństwa. Byli my świadkami, jak proboszcz oświadczył, że w czasie jego urzędowania jest to pierwsza parka, która się znalazła jak dwa obłąkane gołębie, które były spłoszone ze swoich gniazdów i błąkały się przez długie lata przez stałego zamieszkania.

Kochane państwo, sążeście świadkami, że nasze rodaki, które tak jak i my wszyscy byli wypuszczeni ze swej ziemi ojczystej i musieli szukać chleba poza granicami swej polskiej ziemi. A ta większa część naszych rodaków ginie dla naszej ojczyzny na wieczne czasy. Są my świadkami, że tutejsze dziewczyny poradzą one o wiele lepiej młodzieńca swoją miłością przez obawy ukontentować i taki Polak zapomina o polskości i bierze sobie dziewczynę innej narodowości²⁾.

A to dzisiaj mamy przed oczyma tego polskiego rodaka, który, jak mi jest wiadomo, był owinięty w prześcieradło innej narodowości, co z nas każdy uważał, że jest dla naszej polskości zgubiony. Ale stało się inaczej. Nie było takiej silnej osoby, aby go mogła zhipnotyzować³⁾, aby tak czynił jak ktoś sobie życzył. Ta sugestja była za słaba, aby udało się w niego wmówić to, co było przeciw jego woli. Widziemy to jego uszanowanie w pracy; ma on pracę o wiele lekciejszą od nas rodaków; strudna go który z jego przełożonych za naszego rodaka uważa, zamierzają oni go do swojej narodowości wciągnąć. Ale niestety ta telepatja, to przenoszenie myśli jeich na tego

naszego rodaka nie udała się; bronił on się, jak tylko mógł, aby nieutracić swej polskości.

Ta jego autosugestja, to wmówienie sam w siebie pokonał on i zwyciężył. Byłem świadkiem, jak on mówił: chociaż jestem urodzony w chatce z gliny pod słomianym dachem, która do dzisiaj stoi na polskiej ziemi, to mi jest miłsza od piętrowych kamienic saksońskich.

Dalej widzimy te jego telewizje, to znaczyć ma: widzenie na odległość. Miał on wzrok dobry, bo widzi naprzód, jak idzie naszym kolegom z naszej narodowości; chociaż on się przebierze w najlepsze ubranie, chociaż on się zrzeknie swej mowy ojczystej, chociaż zmieni swoją godność i będzie udawał, że nie zna swej mowy, którą go jego matka na swoim łonie nauczyła, ale w jego sercu ten zły robak zawdy go będzie gryzł. A kiedy się pogniewa ze swojemi⁴⁾, to mu zawdy będzie polskość zarzucana.

A teraz i ty, młoda małżonko, którażeś sobie pozwoliła zdjąć z głowy ten welon, który ci był wielką bojaźnią do dnia dzisiejszego, strzegłaś go wszystkimi sposobami swojemi. Ile godzin miłosnych musiałaś sobie odmówić! Niejednego szczęśliwego wieczora musiałaś się lękać, a dzisiaj cię to szczęście spotkało, że ustały te twoje strachy, ta obawa, i te lęki miłosne; a dzisiaj masz pewnego kochanka i stałego, który cię nigdy nie opuści, bo znam go dobrze od kilku lat. Ale i ty musisz zapomnieć o wszystkich innych, którzy ci jeszcze w myślach są. Byłem świadkiem, kiedyś mu się poraz pierwszy pokazała, utopiły się jego oczy w tobie i mówił: Ta będzie moją żoną, zeli zechce nią być. A ty, kochany młody małżonku, coś się

dopiero do nas wkupił, i tobie kładę na serce, żebyś pamiętał, żeś dostał swoją własną żonę. Wielka ulga ci się stała, nie potrzebujesz się z miłością kryć. Nie potrzebujesz czekać pod bramą, aż twoja kochanka bramy swego pana opuści; nie będziesz już chodzić z nią do lasu, nie będziesz sobie z nią szukał noclegu w polnej stodole, nie będziesz oglądał, aby ci nikt nie przeszkodził, wciąż będziecie sobie pewni.

Nie będziecie potrzebowali czekać aż was stróż wpuści albo wypuści; sami będziecie stróżami nad sobą i wszelakiej rozkoszy będziecie mogli użyć, tak jak jeno wam się będzie podobać i jak wam do gustu będzie przypadować.

A teraz, kilka słów do was, młodzianki. 10 lat tu już zamieszkuje, i widzę dzień po dniu to wasze ukrywanie się z tą miłością. Ilu tu jest pomiędzy wami, cobyście już dawno nie potrzebowali się po krzakach kryć i innych niewidzialnych kątków szukać. Wiele już z was żyją, jak mężowie ze żonami, a jeszcze nie znaleźliście tyle odwagi, abyście poszli za śladem tego młodego małżonka, brak wam tylko otuchy i śmiałości. Sami musicie przyznać, kochani młodzieńce, jak was kochają te młode panny. Ale wy tego nie zrozumiecie, i nie możecie się połapać, gdzie ta miłość prowadzi. A jak wiele z was swoje szczęście depce nogami: zamiast się zabawić we dwoje ze serdecznej miłości, to niejedyn idzie do knajpy i tam traci swój ciężki zarobek, swoją urodę i nawet swoją kochankę, która mu się słusznie przysługuje. Więc, z dniem dzisiejszym zaczynajcie inne życie, i odrzućcie od się nałóg pijaństwa i bądźcie zawdy trzeźwymi i wesołymi, i kochajcie swoje kochanki, tak jak to młode państwo dzisiaj.

A teraz na uszanowanie wykrzykniemy: „Niech żyje nasza dusza polska w każdym polskim ciele. Niech żyje młode Państwo. Trzy razy niech żyje“⁵⁾).

1) Raziła mię: w sensie „uderzyła mię“.

2) Był to wyjątkowy wypadek w tej okolicy, że się Polak ożenił z rodaczką, „przeważnie brali sobie młodzieńce żony“ z tamtejszych „stałych mieszkańców“.

3) W tem, jak i w innych jeszcze miejscach tej mowy ciekawe próbki naiwnego przyswajania sobie terminów „inteligentkich“, zaczerpniętych z lektury, i popisywania się nimi (snobizm stylistyczny).

4) Z Niemcami.

5) „Drużba składa w imieniu całego wesela podziękowanie za tak długą i treściwą mowę. Obecni chwytają za szklanki i mówią: Na zdrowie twoje w gardło moje“.
(Przyp. J. Wojciechowskiego).

76. [Żarty i śpiewki weselne, 39].

Kapela gra walca, wszystko się bierze do tańca.

Kaśka się użala, że jej Janek tak niezgrabnie tańczy i na trzewik jej nadepnął.

Franka: Mój Walek, to tańczy dobrze, jeno mnie zanadto do się przyciska, aż dość razy dechu nie mogę dostać.

Julka: Mój Ignac tańczy bardzo dobrze, jeno bardzo ciężko, trzeba go zanadto pociągać.

Jagna: Mój Stachu ten tańczy dobrze, ale sobie zanadto dodaje.

Gospodarz: Musisz mu się nie dziwić, jest raz żołnierzem.

Magda: Mój Marcin, to się obraca lekko, jak ołowiany ptaszek. Ale rada z nim tańczy.

Antosia: Mój Bartek, to zapewno tańczy najlepiej; chodzi jak wiatr, jak mnie przyciśnie, to go wcale nie czuję.

Gospodyni: Żeby cię jeno dobrze przycisnął, tobyś go poczuła.

Kapela gra Białą Polkę, każda idzie po swego do tańca.

Janek jako pierwszy družba: Aby nasze plezewskie obyczaje nie zagięły, to rozpoczniemy śpiew: najprzód ja z Kaśką, a tak za każdym kawałkiem tanecznym następane parki, a na ostatku, jak w naszych stronach, najprzód ja z Kaśką rozpocznę.

Janek śpiew rozpoczyna: Pij koniku, pijże, dam ci taterczanki, bo pojedziesz ze mną do tej Ostrowianki. A gdy tam zajadę, przy niej się układę. Serce moje daj mi buzi, bo ja cię odjadę. (Powtarza się).

Kaśka: A gdy mnie odjedziesz, nie będę płakała, przyjdzie inszy, będzie milszy, to go będę miała.

Fruncka i Walek, tempo wiwata.

Walek: Franciszko moja, napój mi konia.

Fruncka: Nie napoję, nie napoję, ja ci nie twoja żona.

Walek: Chociaż nie żona, ale kochanka, napój mi napój, mego kasztanka. Kasztanek pije i nogą bije, cofnij się dziwczę [sic], bo cię zabije.

Fruncka: Choć mnie zabije, to mnie nie szkoda, pójdzie po świecie moja uroda.

Walek: A twoja uroda po świecie chodzi, niejednego chłopca za sobą wodzi. (Mówi). Tak jest wprawdzie, bo ta twoja uroda mnie już dosyć uwiodła.

Fruncka: Czy ja do cię chodzę, czy ty do mnie?

Muzyka gra reilendra, wszystko leci do tańca. — — —

VII. ALOJZY BONCZEK.

Ur. w r. 1865 na Śląsku Cieszyńskim w Suchej Górnej, syn robotnika w cukrowni, uczęszczał do 2-klasowej szkoły polskiej, gdzie miał dobrego nauczyciela; we wieku lat 13-stu idzie do kopalni, tam poznaje wyzysk, jakiego się dopuszczano na robotnikach. Gdy ma lat 17, przemęczony pracą zapada na ciężką i długą chorobę, zostaje też osierocony przez ojca, doznaje nędzy. We wieku lat 20-stu zostaje powołany do czteroletniej służby wojskowej przy artylerji, którą opuszcza jako podoficer; służbę odbywa w Galicji, co też wpłynęło na jego spolszczenie się. Wraca na Śląsk do kopalni, i tu w latach od 1892 podlega wpływom socjalizmu polskiego (PPS), zapisuje się do stowarzyszeń robotniczych, bierze czynny udział w organizacji wybuchających wtedy strajków po kopalniach, wysuwa się na czoło robotników swej kopalni; bierze żywy udział w ruchu spółdzielczym, walczy długie lata z jakimiś nieuczciwymi kierownikami spółdzielni, pisuje do gazetek robotniczych, zostaje nawet redaktorem jednej z nich, jest sekretarzem związku zawodowego, zapoznaje się doskonale z ustawodawstwem pracy, wydaje dla robotników odpowiedni podręcznik, bierze energiczny udział w samorządzie gminnym w Stonawie na Śląsku Zaolziańskim, gdzie się na stałe osiedla. Po upadku Austrii bierze czynny udział w pracach Polskiej Rady Narodowej w Cieszynie jako prezes wydziału opieki społecznej, potem jest urzędnikiem konsulatu polskiego w Mor. Ostrawie, skąd otrzymuje chlubne zaświadczenie swej humanitarnej i patrijotycznej działalności. Wreszcie wybrany zostaje do Senatu w Pradze Czeskiej. Pamiętnik swój pisze,

ażeby dać przyczynek do historii życia robotniczego na Śląsku. I niewątpliwie każdy badacz historii PPS, także badacz spółdzielczości do niego z korzyścią zaglądnie. Polszczyzna autora dość słaba. Całość sprawia wrażenie uczciwe, wiele dał faktów, styl rzeczowy, nie silący się na żaden patos ni sentymentalizm ¹⁾).

¹⁾ Niektóre inne prace tegoż autora: *Podręcznik o ubezpieczeniu od wypadków* 1915, *Historja budowy kościoła w Stonawie*, *Demokracja a klerykałizm* 1912, *Przyczynek do historii rozwoju górnictwa i ruchu górniczego na Śląsku* 1911.

*

Pamiętnik, napisał Alojzy Bonczek, zawiera przygody z życia, młodości (Biograf) rozwoju i współpracy w zakresie publiczno-społecznym na Śląsku Cieszyńskim w czasie 1865—1920 roku. Stonawa 1930. Nakładem Stowarzyszenia spożywczego dla robotników i rolników w Stonawie. Czcionkami Ludowej Drukarni we Frysztacie.

77. [Dobry nauczyciel, 2].

Jedno bardzo ważne zadanie charakteryzujące naukę dobrej szkoły, wprowadził nauczyciel Gawlas, nauczając wykładami i kwalifikowaniem dzieci według zdolności naukowej, z wykluczeniem jakiegokolwiek czynnego karania ucznia. Nauka tego genialnego pedagoga na uczniach uczęszczających do szkoły, nie mogła utracić swoich korzystnych wpływów. Ażeby zapobiec utraceniu wychowania szkolnego po opuszczeniu ławy szkolnej, zaprowadził P. Gawlas zwyczaj, że każdy kto opuści szkołę, utrzymywać będzie ze szkołą kontakt przez wypożyczanie z biblioteki książek do czytania. Wymiana książek odbywała się raz w miesiącu i to w dniu

oznaczonym na wymianę, przyczem każdy w krótkim streszczeniu podawał treść przeczytanej książki. Ten, który wypożyczał książki aż do czasu, kiedy mógł się żenić, otrzymał od p. Gawlasa przed ślubem całe ubranie bezpłatnie. Oczywiście, że takie zarządzenie nie pozostało bez dobrych, dla szkoły i nauki następstw.

78. [Do szkoły proletarjackiej, 4].

— — Pamiętam, jaką wielką radość sprawił mi dzień 1 października 1878 r. gdy wędrowałem w towarzystwie starszego górnik Kleczki, w południe na pierwszą górniczą szychtę, na szyb zwany „Handwerk“ obecnie „Gabrjela“. Po formalnościach zapisowych — w małym pokoju, koło starego szybu — które przeprowadzał sztygar Kulhanek, udaliśmy się do szybu. Cała załoga na jedną zmianę liczyła niecałe 120 ludzi, wraz z chłopcami. Potrzebne do kopalni lampki posiadali starsi górnicy, chłopcy, szczególnie nowicjusze nie otrzymali lampki. Rozdzielono nas po jednemu pomiędzy starszych i ustawiono w długi ogonek skierowany do wejścia na drabiny szybowe. Złazenie na drabiny do szybu dla nowicjusów było prawdziwym męczeństwem. Starszy górnik Kleczka, którego opiece oddała mnie matka, wlaźł na drabinę najprzód, aby mnie prowadzić i ośmielać, mając wprawę w złazeniu i raz dwa znalazł się na niższem powałku, czekając na mnie, zanim ja zejść w to miejsce. Za mną laźł również starszy górnik, chociaż ostrożnie, jednak każdej chwili swoim obuwiem i ciężarem kaleczył mi palce u rąk. Nareszcie po dłuższej męczarni, naliczywszy 36 drabin znaleźliśmy się w podszybiu. Byłem w kopalni. Poprosiłem mo-

jego opiekuna, aby obświecił moje palce u rąk, gdzie z prawie wszystkich sączyła się krew. Pocieszał mnie, że na przyzwyczajenie nie szkodzi, zaś wyłazenie na wierzch pójdzie już lepiej, a następnie i wdół coraz lepiej. Poszliśmy kilkadziesiąt kroków od szybu do miejsca, skąd rozchodziły się podziemne chodniki, zczekaliśmy na dozorcę, który miał przydzielić pracę. Po jakiej półgodzinie, zjechali windą dozorczy udając się na wyżej przeznaczone miejsce. Gdy nadeszli dozorczy, pozdrowiliśmy ich gremjalnie górniczym pozdrowieniem „Glück-auf“, poczem nas oświecono lampką i oceniono nasze mięśnie i zdolność do pracy. Dozorca Babilon — który także był chórmistrzem przy modlitwie w zapisowni, powiada do mnie „ty synek ze Suchej, otyły z cukru, pojedziesz do Wilhelma wyciągać taczki z upadu, czekaj ja ciebie tam zaprowadzę“. W podobny sposób dano jeszcze reszcie czterema nowicjuszom pracę, i rozeszliśmy się, każdy na przeznaczone miejsce. Babilon zaprowadził mnie do pokładu „Wilhelm“ 75—80 cm wysokiego, gdzie kopacze Rygiel i Potycz przebijali w upad tzw. pochylnię, już jakie 120 sążni w głębini, skąd tacznik Przeczek Bernard odwoził na taczkach węgiel i wodę. Przeczek przyjął mnie od dozorczy Babilona w opiekę, jako tak zwanego „Vorrajtra“. Tym sposobem stałem się nareszcie górnikiem i uczniem szkoły proletarjackiej.

Była to prawdziwa tego rodzaju szkoła. Chłopak trzynastoletni zaprzężony do ciężkiej pracy fizycznej, znajduje miejsce w środowisku, gdzie zamiast poważnych słów, słyszy złorzeczenia i przekleństwa; zamiast słów uznania za pracę, krzyki i bydlęce wyzwiska, jakimi obsypywali wówczas

dozorcy i urzędnicy ciężko pracujących górników. Górnictwo w latach do 90-ciu przeszłego stulecia, istniało w tych najprymitywniejszych warunkach pod każdym względem. Opisać je potrafi tylko ten, który doświadczałnie sam je przeżył. —

[7] — — Praca w kopalni wtenczas nie była żadnemi prawnemi przepisami ograniczona. Wprawdzie każda kopalnia zasadniczo miała wyznaczony czas pracy tj. początek i koniec zmiany (szychty). Lecz to było tylko na papierze, znowu w praktyce postępowano inaczej. Na szybie, gdzie pracowałem, miał obowiązywać porządek ośmiogodzinnej pracy i to na trzy zmiany. Lecz skutkiem nieporządku i przymusu dla chłopców (taczowników), wykonanie wyznaczonej pracy w każdej zmianie, długość szychty była nieograniczoną. Dla każdego z osobna, zamiast 8 godzin wynosiła 12—16 godzin na dobę. Na innych kopalniach w karwińskim pracowano 12 godzin.

Przeciążony nadmierną ciężką pracą w kopalni, wżyty w ciemnotę, z braku środków do życia, źle odżywiany, pomimo nadzwyczaj silnie zbudowanego ciała, popadałem często w długo trwającą chorobę. Mając niespełna 17 lat w roku 1882, po długiej chorobie zmarł ojciec¹⁾, pozostawiwszy dla mnie w spadku staranie się o rodzinę bez środków do życia, obarczoną długami powstałemi wskutek długoletniej choroby ojca. Długoletnia choroba ojca, niezdolność do pracy, bez jakiegokolwiek ubezpieczenia i pomocy, nędzne i rozpaczliwe życie rodzinne, a szczególnie uciążliwa praca poza domem matki, obudzało w młodzieńczem mojem organizmie raz poraz oburzenie na istniejące porządki, tak w ko-

palni jakoteż w społeczeństwie poza kopalnią. W tych warunkach w pół rozpaczliwych, mijały tygodnie w pracy, zaś niedziela przeważnie na całodzienną modlitwie w kościele. Wprawdzie w tych czasach nie brakowało różnych zabaw i hulanek, jednakowoż niepodobnych dzisiejszym, lecz udział i korzystanie ze zabaw, taksamo połączone było z wydatkami, na które brakowało gotówki. Zarobek miesięczny już dorosłego młodzieńca wynosił 8—12 zł. reńskich. Powaga odziedziczona po ojcu skłaniała mnie do jaknajwiększej oszczędności. Z temi urozmaiczeniami przeżywałem do roku 1885, wieku 20-letniego. Był to okres do kształcenia i uzupełnienia nauki jaką otrzymałem jako chłopiec w szkole elementarnej. Wiek 20-ty szczególnie u mężczyzny, jest przeważnie granicą nauki teoretycznej, jako wstępu do praktycznych działań.

1) Błędna składnia zdania; ma być: gdy miałem 17 lat itd.

79. [Wojsko szkołą proletariusza, 11].

Okres czasu czteroletniego pobytu w wojsku, to dla proletariusza, rwiącego się do uświadomienia i zdobycia potrzebnej nauki jest trzecią, w tem wypadku wyższą szkołą. Szkoła elementarna, z rzędu szkoła pierwsza, druga to ciężka praca i doświadczenia w młodocianych latach, trzecia nauka to rygor wojskowy, jako szkoła uzupełniająca dla młodego człowieka. Przypadkowo powołano mnie do artylerji polowej garnizonującej w Galicji. Po skończeniu ćwiczeń początkowych wysłano mnie do szkoły podoficerów. Jak wiadomo, że językiem urzędowym w wojsku był język niemiecki, szczególnie w artylerji jako oddziale

technicznym gdzie posługiwano się wyłącznie językiem niemieckim. Z okazji tej byłem zmuszony uczyć się języka niemieckiego. Zarazem czteroletni przymusowy pobyt w Galicji pomiędzy Polakami dał sposobność poznania nie tylko obyczajów i kultury rodaków, lecz dla Ślązaka pozbycia się w mowie naleciałości obcych języków i nauczenia się polskiej mowy. Poza innymi jeszcze teoretycznymi korzyściami naukowymi jakie dała mi szkoła podoficerska, nauczenia się dwóch języków, uważam wojskowy okres czasu za korzystny. W nastroju spokojniejszego życia, odciążony od pracy, mijał w wojsku rok za rokiem. Nadszedł rok 1889 gdy opuściłem koszary wojskowe w Stanisławowie, udając się z powrotem do swojej rodziny, do ciężkiej pracy w kopalni.

80. [Trudności ruchu spółdzielczego, 63].

Spółki spożywcze zakładało się z hasłem: tani towar, kredyt i zwrot członkom czystego zysku (płacenie dywidendy).

Te trzy hasła tworzyły w masach podatny materiał agitacyjny, lecz niebezpieczny dla samego istnienia spółek spożywczych.

Wypłacanie nadwyżki, osiągniętej ze sprzedaży towarów, jest odbieranie spółkom soków życiowych, gdyż założone są bez pieniędzy, bez soków do życia potrzebnych. Jeżeli zważymy teraz jeszcze tę okoliczność, że fiskus rządowy z każdej wypłaconej sumy jako dywidendy bierze 10%, zrozumiemy, do czego to doprowadzi. Zabrana przez członków dywidenda uniemożliwiła postawienie spółki na stanowisku zdrowem, dostarczanie tanich towarów

i udzielanie kredytu członkom, a jeżeli pomimo tego się to działo, to dzięki cudzemu kapitałowi, którego oprocentowanie obarcza spółki wydatkami niepotrzebnymi.

81. [Każdy może iść wyżej, 101].

Po przeczytaniu „Pamiętnika“ zastanów się Szanowny Czytelniku nad dwiema ważnemi kwestjami.

Po pierwsze, widzisz obraz tego przed sobą, jak ciężko było zbudować klasie pracującej swoją własną samoobronę, wiele na to czasu było potrzeba, cierpliwości, i ile ofiar to kosztowało, jaki to grzech popełniają wszyscy ci, którzy lekkomyślnie stawiają przeszkody rozwojowi, niszczą zarazem dorobek dziesiątek lat mozolnej i pełnej poświęcenia pracy.

Po drugie, szemat ujęty w „Pamiętniku“ zadaje kłam twierdzeniom, że człowiek bez stosownego wykształcenia, nieinteligent obok wykonywania pracy fizycznej, nieposiada zdolności do pracy idealnej, umysłowej. Człowiekowi jest już wrodzona natura taka, która nigdy go nie zaspokaja i ciągle pcha wyżej i wyżej, a tym sposobem wytwarzają się naturaliści¹⁾ i samoucy, którzy tak samo są zdolni do wykonywania oprócz pracy fizycznej pracę ideową i duchową. Lud pracujący ma największy w tem interes, aby z własnego środowiska, jak najwięcej osób takich wyszło.

Cześć pracy!

¹⁾ Badacze natury.

VIII. WACŁAW KORAL.

Urodzony w r. 1876 w Warszawie, syn szewca, wychowuje się w tradycji patriotycznej. Uczęszcza

do szkoły ewangelickiej (polskiej), ale bardzo po katolicku wychowany przez matkę; mając lat kilkanaście idzie do drukarni, potem pracuje jako drukarz w Berlinie, tam zapoznaje się z socjalistami polskimi, wraca, bierze bardzo czynny udział w zawodowym ruchu drukarskim, który wtedy ledwo się poczynał (ostatnie dziesięciolecie XIX w.), a także w partji socjalistycznej „Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy“. Za udział w niej skazany na trzy lata Syberji, dostaje się do Wierchojańska, za kołem podbiegunowem północnem; po przeszło rocznym pobycie ucieka, wraca do Warszawy, potem do Krakowa, skąd znowu do Warszawy. Żeni się, doczekuje wojny, w czasie której znowuż przez Niemców aresztowany za energiczny opór przeciwko wyzyskowi drukarzy przez władze wojskowe. Po odbudowaniu państwa zapisuje się do Polskiej Partji Socjalistycznej. Mimo, że jako dawny „es-dek“ raczej sympatyzuje z komunistami, w r. 1920 wstępuje na ochotnika do wojska. Pamiętnik doprowadzony do roku 1933 zawiera dosyć dużo ciekawych szczegółów historycznych, między niemi np. o zawieszeniu czerwonego sztandaru na zamku warszawskim w r. 1918. Pisany rzeczowo i bezpretensjonalnie, ukazuje człowieka niepodległego i uczciwego, mimo skrajnych swych idei rozsądnego i umiarkowanego, któremu — nawet odeń gruntownie się różniąc ideowo — okaże się szacunek.

*

Wacław Koral. *Przez partje, związki, więzienia i Sybir (1898—1928). Wspomnienia drukarza*

z działalności w ruchu socjalistycznym i zawodowym. Warszawa 1933. Skład główny: Zaw. Zw. Druk. i Pokr. Zaw. w Polsce. Oddział Warszawa.

82. [Warszawskie dzieci, 3].

Urodziłem się na Powiślu — z ojca Stanisława i matki Małgorzaty (z domu Kuroń) — 24 września 1876 roku. Mieszkańcem Powiśla jestem już od trzech pokoleń: na Solcu osiadł mój dziadek w 1815 roku, przyszedłszy z niewoli moskiewskiej; tu urodził się i mieszkał mój ojciec; na Solcu też urodziłem się i ja tu się wychowałem. Ulica Solec i okoliczne — między Tamką i Łazienkami — były to ulice fabryczne i proletarjackie, zamieszkałe przeważnie przez robotników i rzemieślników, z okolicznych fabryk, których w czasie mej młodości było tu mnóstwo, jak Lilpop, Rudzkiego, gazownia, tartaki, fabryki asfaltu, fabryki mydeł, grzebieniowe itp. Życie tego proletariatu było podobne do życia mej rodziny; a więc jego radości i smutki gorąco odczuwałem. — — — — —

Ojciec mój rzemieślnik - chałupnik (szewc) wstawał do pracy o świcie, a kończył o 10-ej lub 11-ej wieczorem; do pomocy miał czeladnika lub terminatora. Praca matki z tego powodu nie była lżejszą — cały dzień krzątała się przy gospodarstwie, przy wychowaniu i obszywaniu swych dzieci, a wiadomo jaka to ciężka praca, jeżeli nas było kilkoro, a do tego dołączała się często troska, czy tylko na wszystko wystarczy pieniędzy. Trudne jest życie robotnika, ale zawsze trudniejsze jego żony, chcącej dom utrzymać w czystości i porządku.

Pierwszych wskazówek przy nauce czytania i pisania udzielał mi ojciec około 9-go roku życia.

— — — — Czytałem przeważnie głośno, wyraźnie, do czego zachęcali mnie rodzice, gdyż siedząc przy pracy chętnie słuchali. Często snuli opowiadania ze swej młodości, a szczególnie z powstania 1863 r., co im się najbardziej utrwaliło w pamięci.

Pewnej niedzieli, gdy czytałem o wojnach napoleońskich, ojciec wydobyl z komody jakieś poczerńiałe papiery; był to „stan służby“ wojskowej ojca swego¹⁾ Antoniego, żołnierza napoleońskiego, i zaczął o nim opowiadanie.

— Dziad twój — ciągnął opowiadanie ojciec — urodził się w augustowskim i w młodych latach zaciągnął się do wojska, do 3-go pułku legji nadwiślańskiej i razem z Napoleonem przewędrował całą Europę, odbył bowiem kampanję 1808—1809 r. w Hiszpanji, był pod Saragossą, Fostożą, Walencją i w innych miejscowościach, dwa razy był ranny; raz w nogę, drugi raz w ramię. W 1812 r. poszedł pod Moskwę. Był pod Smoleńskiem, Możajskiem, Kaługą, Borysowem; w rejteradzie pod Borysowem dostał się do niewoli i przebywał w niej do kwietnia 1814 r. Przy odwrocie głód panował taki, że konie od bryk ze złotem żołnierze zjedli, a złoto zostawili na gościńcu. Dziadek gdzieś pod Smoleńskiem zakopał w lesie ćwiartkę złota. A Moskale gnali i gnali... Służył jeszcze za Mikołaja I-go 25 lat i dosłużył się stopnia sierżanta.

W czasie powstania — opowiadał innym razem ojciec mój — byłem w terminie na Nowym Świecie²⁾, więc czynnego udziału w niem nie brałem. Widziałem zaś jak po rzuceniu bomby pod hrabiego Berga³⁾, Moskale z pałacu hr. Zamoyskiego wyrzucili okna-

mi wszystkie meble, ułożyli je na stosie około pomnika Kopernika i podpalili.

Gdy tylko byliśmy na Powązkach ojciec prowadził mię do miejsca zalanego asfaltem i wskazując na nie cicho szeptał: „Tu leżą pięciu poległych“⁴⁾.

Najwięcej jednak o powstaniu 63 roku słyszałem od dalekiego kuzyna naszego Władysława Stypułkowskiego, biorącego w nim czynny udział, za co przebył na Syberji 20 lat. Umiał on interesująco opowiadać, przyczem śpiewał i deklamował wszystkie patryjotyczne, zakazane wówczas utwory, więc miewał zawsze licznych słuchaczy. Wysokiego wzrostu, z krótko przyszyżonym wąsem, w czarnym, z szerokiem rondem kapeluszu, oraz z nieodłączną laską „antypką“, sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie; wszędzie mile był widziany i zapraszany; nazywaliśmy go z tego powodu — „stryjem całego świata“. Opowiadań jego słuchałem zawsze z wielką uwagą. Towarzyszył mu nieodłącznie przyjaciel jego Jan Wiśniewski (pseud. „Bocian“), także biorący udział w powstaniu przy przewożeniu broni. Opowiadania ich wzbudzały we mnie nienawiść do carskich rządów, żandarmów, policji i szpicli.

Wzrastałem w atmosferze patryjotyzmu i religijności, szczególnie matka moja była kobietą religijną i bardzo się cieszyła, gdy nauczyłem się ministrantury i służyłem do mszy w kościele PP. Wizytek.

1) Niepoprawnie, ma być: jego ojca.

2) Ulica w Warszawie.

3) Namiestnik Król. Polskiego.

4) Manifestacja patryjotyczna 27. lutego 1861, w której poległo 5 osób. Pamiętny był uroczysty ich pogrzeb.

83. [„Bibuła“, 9].

Z literaturą socjalistyczną zapoznałem się około roku 1893; przynosili ją do ojca mego ów „stryj całego świata“ — Władysław Stypułkowski i Jan Wiśniewski, obaj grzebieniarze, pracujący w fabryce grzebieni przy ulicy Przemysłowej. Ci starzy patryjoci, uczestnicy powstania 63 roku, jako robotnicy, wprzęgnięci w jarzmo kapitalizmu, musieli stać się socjalistami. Byli oni więcej patryjotami niż socjalistami, lecz innymi wówczas być nie mogli, gdyż ewolucja pojęć przechodzi dopiero z pokolenia na pokolenie, spowodowana warunkami bytu. Kolportowali oni z zamiłowaniem i poświęceniem nielegalną literaturę, tak patryjotyczną, jak i socjalistyczną. Były to czasy, gdy nielegalna „bibuła“ uważana była za relikwje i ze czcią przechodziła przez setki rąk; czasem tak była zużyta, iż ledwie można ją było odczytać: z jednakowem zainteresowaniem czytano ją zawsze, nie zważając na to czy wyszła ona przed miesiącem czy przed rokiem.

84. [Życie w komunie, 77].

Życie komunalne ma swoje dobre strony, jeżeli dobiórą się ludzie prawi, uczciwi i szczerzy. Jeżeli zaś do komuny dostaną się jednostki egoistyczne, samolubne lub nieuczciwe, spekulujące na dobroci innych, to wtedy dochodzi do nieporozumień i kłótni. Niektórzy towarzysze pod rozmaitemi pozorami wykręcali się od obowiązków, nałożonych przez „komunę“¹⁾. Jedni — nie chcieli płacić należnego procentu od posiadanej gotówki, tłumacząc się posiadaniem pieniędzy na „cel specjalny“, tzn. na kosztą ucieczki; inni znów udawali chorych, aby

tym sposobem uzyskać lepsze pożywienie, tj. biały chleb, mleko i kotlety. Dostatecznie było, jeżeli kto z towarzyszy zameldował, iż „jest chory“, a wierzono mu; nikt nie sprawdzał, nie indagował. Przecież chcieliśmy świat ulepszyć, przebudować, a zatem musieliśmy wszystkim wierzyć na „słowo“; tymczasem spotykaliśmy się często z symulacją lub złą wolą.

¹⁾ We więzieniach syberyjskich, więźniowie polityczni mieli pewien samorząd: wybierali sobie „starostę“, który komunikował się z władzami, a sami tworzyli gminy rządzące się zasadą wspólnoty (wolno im było otrzymywać pomoc z zewnątrz, zachowywać przy sobie tak pieniądze jak prowianty, ubrania i bieliznę itd.).

85. [Robotnik warszawski w roku 1920, 243].

Dnia 6 sierpnia na Radzie Niepodległościowo-Socjalistycznej Delegatów Robotniczych omawiana była sprawa obrony Polski przed najazdem wojsk sowieckich. Wszyscy mówcy zgadzali się na jedno — „trzeba bronić się przed obcym najazdem i przemocą“. Przemawiał także jeden komunizujący delegat, lecz nie udało mu się przekonać zebranych i zepsuć wytworzonego nastroju. Odczytana odezwa komunistyczna, grożąca wszystkim partjom krwawym odwetem za niepodporządkowanie się rozporządzeniom komunistów, wzburzyła robotników przeciw komunistom:

— Jeszcze władzy nie mają, a już grożą terorem, a co będzie, gdy przyjdą — mówili między sobą robotnicy.

Na wiecu w Alejach 3-go Maja w dniu 3-go sierpnia pośród uczestników wytworzył się nastrój, że trzeba wziąć udział w obronie kraju przed na-

jazdem. Na wiecu tym przemawiał także tow. Daszyński, dowodząc, że „obowiązkiem każdego robotnika jest bronić granic swego kraju, aby w nim później urządzić się tak, jak proletarjatowi będzie wygodnie“...

Uważając rozumowanie tow. Daszyńskiego za słuszne, po porozumieniu się z żoną, zapisałem się do I-go pułku Obrony Warszawy stawiając na niewiadomą kartę los swej rodziny, też żony i dzieci. Miałem wtedy lat 43 i żadnym mobilizacjom już nie podlegałem, szedłem więc z własnej nieprzymuszonej woli, w poczuciu spełnienia obowiązku wobec Państwa, a jednocześnie myślałem, iż klasa pracująca, wzięwszy udział w obronie kraju, zajmie należne jej stanowisko w rządzie, stanie się czynnikiem decydującym w dalszym kształtowaniu się ustroju Polski. Bo choć chciałbym, aby zmiana ustroju odbywała się drogą pokojową — drogą demokratyczną — to jednak lepiej jest, jeżeli proletarjat ma siłę w ręku, to napewno będzie miał i prawo.

Zapisało się do tego pułku około 2.000 robotników w Warszawie. 10 sierpnia w lokalu OKR. PPS. (Jerozolimska 6) wraz z innymi robotnikami powędrowaliśmy do Pruszkowa, gdzie pułk ten się organizował. Koszarowaliśmy na terenie fabryki porcelany i fajansu w opuszczonym przez właściciela pałacyku; nocowaliśmy wprost na podłodze, na słomie, którą rano podgarniano pod ścianę. Ćwicziliśmy się pierwsze dni w swoich ubraniach, a później otrzymaliśmy niebieskie drelichowe spodnie i szare kurtki oraz na przykrycie głowy „pierogi“. Pożywienie było niezłe, gdyż gotowali je wykwalifikowani kucharze, których sporo było w pułku. Zapłać do wojaczki był taki, iż w pierwszych dniach

nikt „na ochotnika“ nie chciał iść do kancelarji, mimo kilkakrotnych wezwań oficera. Lecz przecież i administracja także w pułku musiała być, więc oficerowie aż sami musieli naznaczać kandydatów na te czynności. Mnie właśnie spotkał los pisarza, 2-giej kompanji, I-go baonu. Szczęśliwi byli ci, co się od tej czynności wykręcali, gdyż praca pisarzy z powodu zaprowadzania ksiązek od gruntu trwała po kilkanaście godzin dziennie, a frontowy żołnierz po odbyciu ćwiczeń był wolny. Lecz „rozkaz“ — jest zasadą w wojsku. — — —

IX. PAMIĘTNIKI BEZROBOTNYCH.

Pod koniec r. 1931 było w Polsce zarejestrowanych około 310.000 bezrobotnych¹⁾. W grudniu tegoż roku warszawski Instytut Gospodarstwa Społecznego, pracujący pod kierunkiem Ludwika Krzywickiego, ogłasza konkurs na „Pamiętnik Bezrobotnego“ — z terminem krótkim, bo do 15 stycznia 1932 roku²⁾. Wszystkie więc prace, które napłynęły, były pisane szybko, poniekąd „na kolanie“, i dają zdjęcie chwili na przełomie lat 1931 i 1932. Gdy jednak pamiętnikarze opisywali często całe swoje życie, to pamiętniki te stanowią niezmiernie cenny przyczynek do „historji naturalnej“ życia proletarjackiego wogóle.

Na konkurs nadesłano 774 pamiętników — z których wybrano i wydano 57. Ilość głosów niewielka, ale kompensuje ją ich jakość. Zabrali głos (a z tych niektórzy się do książki dostali) — ci, którzy czytali gazety (coprawda niektórzy przypadkiem się o konkursie dowiedzieli, jeden z gazety, w którą był owinięty chleb w sklepiku kupiony), ci,

którym chciało się pisać (niejednokrotnie pokonując wiele trudności i przeszkód), ci, którzy umieli czynić obserwacje i z obserwacji tych zdawać sprawę; pamiętnikarzy tych należy więc umieścić pomiędzy najinteligentniejszymi z robotników, conajmniej z pośród tych, którzy ulegli bezrobociu. Ale uległo mu wielu robotników zawodowców. Obraz jest więc o tyle jednostronny, że nie maluje nam głuchej i ciemnej masy proletarjackiej, znajdującej się poniżej warstw robotniczych najbardziej oświeconych. Ale są niektóre pamiętniki, stylem swoim i językiem świadczące, że i robotnicy bardzo mało oświeceni wzięli udział w konkursie i dotarli do książki. (Robotników niekwalifikowanych była $\frac{1}{5}$ między uczestnikami konkursu). Natomiast wszystkie te 774 pamiętników, posłużyły Instytutowi G. S. do poprzedzającego księgę badania statystycznego, dającego dokładny obraz zjawiska bezrobocia, z czego pokrótce zda się tu sprawę.

Przedewszystkiem więc zaznaczyć należy, że wśród tych 774 odpowiedzi na ankietę, 102 pochodzi od pracowników umysłowych, przyczem na jaw wyszły ciekawe, ale i niezmiernie smutne koleje zajęć np.:

Oficer — gajowy — budowniczy — rysownik —
stróż — szofer — werkmistrz,
albo

buchalter — zamiatacz ulic — tragarz — kroczy — sprzedawca okrężny.

Okazuje się, że ofiarą redukcji padają w pierwszym rzędzie robotnicy powyżej lat 30; „nie jest to rzecz przypadkowa“, redukcja jest „swego rodzaju selekcją, odchodzą zużyci i z powodu lat mniej wydajni — przedsiębiorca ich usuwa tak samo, jak się wyrzuca wyciśniętą cytrynę“ (str. XXIV).

Pomiędzy tymi 774 było dzieciątych 437, razem dzieci 1262, ponadto stokilkadziesiąt osób jeszcze kogoś miało na utrzymaniu. Przeważna część osób jest bezrobotnymi od roku do trzech lat. Ale wiele osób pozostaje bez pracy dłużej, aż do 10 lat.

Kobiet wzięło udział w konkursie 36. Co do wieku to przeważna ilość osób jest pomiędzy 20 a 40 rokiem życia; ale byli i chłopcy i dziewczęta poniżej 20 lat i wielu starszych ponad lat 40. Głównego kontygentu pamiętnikarzy dostarczyły, jak łatwo się domyśleć, Warszawa, Łódź, Lwów, Kraków, Zagłębie Dąbrowskie i Śląsk Katowicki, Zagłębie naftowe, następnie Poznań, Wilno, Lublin, Pomorze, wojew. Krakowskie, wojew. Lwowskie. W pamiętnikach w książce (tj. w *Pam. Bezrob.*) umieszczonych, zabierają głos tylko Polacy i chrześcijanie rzymsko-katolickiego wyznania.

Pierwsze i kardynalne pytanie, jakie się pamiętnikom takim stawia, jest: z czego żyją ci ludzie bez pracy? Najważniejszym źródłem ich utrzymania się są zajęcia przygodne. Widzieliśmy już *cursus laborum* jakiegoś nieszczęśliwego oficera i jakiegoś straszliwie zdegradowanego urzędnika handlowego; oto jeszcze niektóre inne: kaflarz — fabrykant tytoniu — posługacz w restauracji — przy kolei — u piekarza — posługacz publiczny; inny: kaflarz — garniarz — gazeciarz — kucharz — ogrodnik — bileter itp. Ale to są jeszcze jakieś określone zajęcia; przeważnie zaś mamy tu zarobki całkiem dorywcze, jak np. zrobienie klucza, wstawienie szyby, naprawa dzwonka, fotografowanie, rozdawanie reklam, sprzątnięcie śniegu, sprzedaż uliczna kwiatów, ciastek, pieczywa, przyborów do pisania, wyrób i sprzedaż galanterji i zabawek i tych wszystkich nikomu niepotrzebnych

rzeczy, z którymi na każdym rogu ulicy nastęrczają się niecierpliwym przechodniom biedni ludzie, byleby tylko nie żebrać, byleby nie kraść... Nie przychodzi im ten handel uliczny łatwo, bo trzeba mieć jakiś „kapitał zakładowy“, bo trzeba jakiś materiał zakupić i trzeba sprzedawać tak tanio, aby znaleźć nabywców pomiędzy spieszącymi się do swoich spraw ludźmi na ulicy; ponadto potrzebne są licencje na tę sprzedaż uliczną, w braku ich trzeba się kryć przed policjantem, jest się narażonym na konfiskatę towaru. Dodajmy, że kupiectwo regularne zwalcza tych swoich przygodnych tanich konkurentów z ulicy, domaga się represji na nich, usuwania ich z ruchliwszych ulic miasta; podobnie jak rzemiosło regularne zaniepokojone jest wzrastającą coraz bardziej i setek tysięcy głów już dochodzącą armją „partaczy“, którzy nie wykupują świadectw przemysłowych, nie opłacają podatków, a konkurują z rzemieślnikami wyszkolonymi. Trudno dziwić się zawodom zorganizowanym, że narzekają na konkurencję tych kupców i rzemieślników przygodnych — ale trzeba pamiętniki bezrobotnych przeczytać, aby zdać sobie sprawę, że jakiegokolwiek w tym względzie szykany administracyjne, mogą tylko, jeśli bezskutecznymi nie pozostaną, podnieść cyfrę zrozpaczonych — przestępców lub samobójców...

Kobiety są w danych warunkach w położeniu lepszym, łatwiej im znaleźć jakąś obsługę, pranie, łatanie, szycie.

Drugim z rzędu źródłem utrzymania bezrobotnych jest pomoc rozmaitych instytucyj (nie licząc tu zasiłku rządowego). Tu występują w pamiętnikach liczne obrazy trudności związanych z otrzymaniem zasiłku, pogardliwego i wyniosłego traktowa-

nia ze strony funkcjonariuszów instytucji filantropijnych; dołącza się jeszcze uczucie wstydu, iż się korzysta z miłosierdzia publicznego; poczesne też miejsce zajmują opisy beznadziejnego wystawiania w ogonkach.

Dalej, wymienić należy pomoc rodziny i osób obcych. Nieraz więc rodzina zabiera do siebie żonę bezrobotnego z dziećmi, lub zaprasza na obiady, obdarowuje datkami pieniężnymi, podarkami, udziela pożyczek. Niestety, w miarę jak bieda ogólna postępuje, to i pomoc taka się urywa, biedni krewni stają się ciężarem nieznośnym, przychodzi do nieporozumień i zatargów. Pomagają i obcy, sąsiedzi, znajomi. Ale życzliwość obcych, niezawsze dość przewidująca, niezawsze dość delikatna, aby biedny uniknął upokorzenia. Z tem wszystkiem trzeba stwierdzić, że byłoby jeszcze o wiele gorzej, gdyby nie to, że w warstwie ubogiej jest wielu ludzi na biedę ludzką litościwych. Nieraz sklepikarze (nie tylko i nie właśnie chrześcijańscy...) z kredytem cały rok czekają, czekają i gospodarze z czynszem. Ale i ta cierpliwość się wyczerpuje.

Przychodzi zastawiać, co się da i wyprzedawać się; ale cóż ci ludzie mają na sprzedaż? Idą więc: zegarek, jakieś lustro skromne, obrączka ślubna, sprzęty, książki, jeżeli są, zostają nagie ściany i brudne legowisko. Raz wraca mąż do domu i widzi młodą swą żonę, która ładne włosy miała; w chusteczce silnie przylegającej do głowy: „spod chusteczki nie wystawał żaden loczek; targany złem przeczuciem, bez wahania zerwałem z głowy okrycie i osłupiałem; włosy obcięte przy skórze“, sprzedane perukarzowi...

Kiedy te wszystkie pomoce się wyczerpią, przed głodującym człowiekiem, który kiedyś, niedawno,

był człowiekiem pracy, staje jeden ratunek: żebrania. Nie wszyscy do niej zdolni. Są tacy, którzy wolą przestępstwo; są tacy, którzy wolą samobójstwo; ale są i tacy, którzy od samobójstwa względami moralnymi odparci, muszą zawrócić na drogę próśb i błagań, włóczęgostwa po kraju. Ci, którzy samobójstwo popełnili, pamiętnika nie przystali; ale kilkudziesięciu pamiętnikarzy zwierza się ze zamiarów samobójczych, kilku ze zamachów. W takich warunkach gromadzi się w duszy wściekłość z trudem dławiona, która się naprzód objawia np. wobec zwierząt.

W nędzy tej rodzina rozpada się; w głodzie i chłodzie, w rozpacz, w gniewie na cały świat, rodzina wadzi się pomiędzy sobą, przychodzi do kłótni i bójek o byle co; „nastąpiła w rodzinie jakaś straszna głuchota“, skarży się 19 letni chłopak. Żona jakaś skarży się, że zbrzydła i obrzydła mężowi, rodzice znieśliby własne cierpienie, ale do szału rozpacz doprowadza ich widok głodujących dzieci.

W głodzie i próżniactwie, w niepewności ciągłej, rozstroju nerwowym, niektórzy szukają pociechy najnędzniejszej i najtańszej, w nałogu seksualnym, który ich w tem głębszą pograża depresję... Kobiety stają się łatwym łupem pokusy do prostytucji — albo łupem szantażu przełożonych, od których zależy redukcja lub zatrzymanie przy pracy. I wreszcie, tylko licha pruderja mogłaby się gorszyć, że w tych okolicznościach sposoby neo-maltuzjańskie szerzą się szeroko...

Nie sam jednak fizyczny głód rozkłada duszę bezrobotnych nędzarzy; ponad wszystko wybija się w ich zwierzeniach skarga na samoż bezrobocie, na przymusową bezczynność, którą — jeśli nie masa —

to w każdym razie ci najlepsi z pośród niej — odczuwają jako coś hańbiącego. I nie same cielesne niedole gnębią ambitnych między nędzarzami: Wstyd, że jest się głodnym; i że przez ten nieustępliwy głód człowiek zamienia się w zwierzę, zajęte tylko swem ciałem cierpiącym; odraza do samego siebie; obawa, ażeby odraza nie budzić u innych; wstyd, że się jest zależnym od łaski ludzkiej; i oburzenie na tych, co miłosierdzie czynią z gestem pychy; wielkie zdziwienie, że, choć praca jest jedynym warunkiem utrzymania się przy życiu, człowiek tej pracy nie znajduje; wielkie zdziwienie, że po latach uczciwej działalności jest się oto odpadkiem społeczeństwa, wygnaniem z życia: jeden wielki głos brzmi przez tę czarną księgę:

Nie chcemy łaski, chcemy pracy!

Niejednen z tych ludzi walczył dla Polski — (na 774 — 121 żołnierzy polskich, w tem 62 ochotników — procenty niezmiernie wyższe od tychże samych procentów w całości społeczeństwa polskiego!) i dzisiaj dziwi się strasznie, że ta wywalczona Polska pozostawiła go w takim położeniu, stawiała go wobec takich kontrastów społecznych, jak nędza jednych, używanie nad miarę godziwą — drugich. Wielu więc zastanawia się gorliwie nad taką poprawą ustroju, aby zjawisko bezrobocia okazało się niemożliwem³⁾.

I najgłębszym podziwem przejmuje czytelnika postawa duchowa wielu z tych ludzi: raczej cierpliwa i wyczekująca niż nienawistna. Że myśl o rewolucji społecznej krąży po tych duszach, któżby się dziwił temu, ale podziwiać należy, że jeszcze tak jej mało! Raczej ku mądrym w narodzie, ku przodownikom społeczeństwa, ku inteligencji zwracają się resztkami nadziei.

Też i religijność stwierdzimy u wielu z nich niezachwianą; owszem jest wiele gorzkości, ale raczej pod adresem obojętnych kapłanów i małodusznych pobożnych skierowanej, niż pod adresem Chrystusa i Boga.

Jest ta księga książką głęboko budującą; są tam strony, gdzie jesteśmy wobec najbardziej samotnego i najbardziej nieznanego, najcichszego i najprawdziwszego bohaterstwa ludzkiego, bohaterstwa honoru i cierpliwości.

Konkurs na „Pamiętnik Bezrobotnego“ był dla tych ludzi wyzwalającą sposobnością do wyjścia z tej samotności na dzień społecznym, wypowiedzenia się i uwolnienia się od straszliwego wewnętrznego ucisku. Wielu pisało dlatego, że spodziewało się jakiejś pomocy, jakiejś okazji do wyjścia z matni; wielu dlatego, żeby zwrócić uwagę społeczeństwa na los bezrobotnych.

Znajduje się w wypowiedziach tych prostych ludzi nadspodziewanie często wysoki poziom nie tylko moralny, nie tylko umysłowego, lecz i językowego wyrobienia, a nieraz nawet przejawy samorodnego artyzmu — jeżeli przez artyzm będziemy rozumieli zdolność nadawania w wypowiedzi zdarzeniom i rzeczom, nieraz bardzo codziennym, spowszechniałym, pozornie nieważnym i błahym — nowego, niespodziewanego i wzruszającego znaczenia. Ten poziom literacki niejednego z nadesłanych pamiętników byłby był, jak stwierdzono w przedmowie, wzbudził w Komitecie I. G. S. obawę, czy są to utwory autentyczne robotnicze, gdyby nie to, że forma ich zewnętrzna, kaliczki i ortografia tych pism stwierdzała dowodnie, że są to utwory ludzi niewykształconych. Naturalnie spotkamy się

także i z niepoprawnościami językowymi i banałami stylistycznymi, zaczerpniętymi z lektury.

Ale po tem stylistycznym zastrzeżeniu, należy powiedzieć jedno: że tę księgę, z treści bezdennie smutną i wstrząsającą — czyta się zarazem, jako rewelację radosną ze względu na jej formę, ze względu na te możliwości nietylko moralne, lecz i umysłowe szarego „człowieka z ulicy“, jakie nam ona objawiła. Raz po raz spotykamy się z ludźmi z najlepszego towarzystwa i, jakby bryły samorodnego złota, odnajdujemy ustępy o głębokiem nawskrós dojrzałem pięknie, o którym możemy mówić bez żadnej życzliwej przesady, widocznie pisane przez ludzi silnego talentu, o których przypadkiem dowiadujemy się, którzy sami o sobie nic nie wiedzą.

1) Tu należy wyjaśnić, kto jest „bezrobotnym“ w sensie naukowym, a kto w sensie ustawowym. Otóż nauka społeczna za bezrobotnego uważa człowieka zdolnego do pracy, który bez swojej winy pracy znaleźć nie może, a zwłaszcza takiej pracy, jaka odpowiada jego przygotowaniu zawodowemu i jaka wynagradzana jest tak, ażeby mógł utrzymać się na poziomie życia powszechnie przyjętym w jego zawodzie w danej okolicy. (local standart, conditions du travail, du salaire, notamment conformes aux usages dans son métier et sa région, według definicji ułożonych na Kongresie polityki społecznej w Pradze w roku 1924). Natomiast według ustawy polskiej „o zabezpieczeniu na wypadek bezrobocia“ z 18 lipca 1924 r. i według noweli do niej z 25 marca 1929, bezrobotnym, któremu przysługuje zasiłek z Funduszu Bezrobocia jest robotnik wszelkich zakładów pracy, nawet najmniejszych (z pewnymi wyjątkami), we wieku od lat 16 począwszy, bez różnicy płci, który co najmniej 26 tygodni pracował (robotnicy sezonowi, od 6—8 miesięcy), a znalazł się bez swej winy bez pracy (na skutek redukcji lub likwidacji przedsiębiorstwa); zasiłek wypłacany jest przez

13 tygodni, w kwocie 30⁰/₀ zasadniczej wysokości zarobku, wraz z ewentualnym dodatkiem rodzinnym od 5—20⁰/₀. Wobec tego jasnym jest, że tylko pewna część osób, które uległy bezrobociu, i to przez czas krótki, zasiłek z F. B. pobierają; między naszymi pamiętnikarzami na 556 osób, które udzieliły wiadomości, skąd mają środki do życia, zaledwie 46 (tj. 8⁰/₀) wspomina o tej pomocy. (str. XXXIII).

²) Z nagrodami: jedna 250 zł, jedna 100 zł, 10 po 25 zł, ponadto po 5 zł za każdą stronicę wydrukowaną.

³) W przedmowie do *Pamiętników Bezrobotnych* zaznaczono, że, im pamiętnikarze prostsi, tam częściej winę swego nieszczęśliwego położenia przypisują poszczególnym osobom. Tymczasem bezrobocie jest klęską żywiołową, która się wydaje być nieodłączną od liberalnego czyli bezplanowego ustroju gospodarczego. Bezrobocie współczesne przypisuje się szeregowi przyczyn: duży przyrost ludności, który się stwierdza już we wieku XVIII, ale 'bardzo znaczny we wieku XIX, kiedy podniosła się liczba mieszkańców podwójnie, a w niektórych krajach, np. u nas w Kongresówce nawet poczwórnje. Zarazem wyrósł dobrobyt szerokich warstw, ale cóż z tego, kiedy równocześnie występują perjodyczne kryzysy przemysłowe, na skutek powstawania wielkich zakładów przemysłowych, które konkurują niszcząco z warsztatami mniejszymi — tak, że zanim nastąpi wyrównanie pomiędzy rozpowszechnieniem się nowej potrzeby konsumcyjnej i zwiększeniem produkcji dla jej zaspokojenia — zwiększenie więc ilości robotników zajętych produkcyjnie — pewna ilość robotników jest zawsze niepotrzebna. Chociaż potrzeby szerokiego ogółu wzrosły znacznie w epoce produkcji wielkoprzemysłowej — to jednak rozdział bogactwa społecznego nie jest taki, ażeby i konsumcja szerokich mas odpowiednio wzrastała. Z drugiej zaś strony niezorganizowane życie gospodarcze sprawia, że gromadzą się zapasy towarów, które leżą, bo nie mogą być zużyte w danych warunkach przez konsumcję szerokich mas. Jest więc nadprodukcja — stąd zastój i bezrobocie. — Dalej, udoskonalenia techniczne wyrzucają wielu robotników z fabryk. Po wojnie, do przyczyn „normalnego“ bezrobocia i chronicznego, choć utajonego raczej, kryzysu przedwojennego, przyłączyły się nowe. I tak kontynenty pozaeuropejskie uniezależniły się

w znacznym stopniu od Europy — stąd przez wojnę wybie-
dzona Europa, jeszcze więcej zubożała i szerokie masy nie
mają na to, żeby wiele zakupywać — co z kolei znowuż
zwiększa zastój; dalej, taki wielki rynek jak Rosja, niemal
usunął się od konsumpcji wytworów europejskich; a wreszcie
mechanizacja wytwórczości w dalszym ciągu olbrzymio wzro-
sła. Dodać należy rozmaite utrudnienia emigracyjne. To są
przyczyny powszechnie europejskie. W r. 1931 (tym, kiedy
konkurs na nasz pamiętnik był rozpisany) w Niemczech było
4,358.000, we Francji 55.000, we Włoszech 670.000, w An-
glii 2,014.000 bezrobotnych. U nas w Polsce przyłączyły
się specjalne jeszcze powody: wojna przeszła przez znaczną
część naszych terytorjów. Wiele warsztatów pracy zostało
zniszczonych — wiele z pośród nich umyślnie — przez woj-
ska zaborcze. Niemcy zajmowali urządzenia w fabrykach
łódzkich i niszczyli kopalnie, Rosjanie, ustępując w roku
1915, zabrali ze sobą maszyny i obrabiarki. Odbudowa war-
sztatów pracy szła z wielu względów powoli, robotnik psy-
chicznie rozprószony, fizycznie wycieńczony. Dodać też należy,
że poszczególne zabory nie były jeszcze przystosowane do
siebie gospodarczo, żyjąc do niedawna w obrębie obcych
organizmów gospodarczych. (Por. Dr. Zofja Daszyńska - Go-
lińska *Polityka społeczna*, Warszawa 1933, str. 400—436).
Dodajmy tu z przedmowy do *Pamiętników*, że na 472 pa-
miętnikarzy, którzy podali wiadomość o swym zawodzie, 74^o/_o
(tj. 377) straciło utrzymanie przez likwidację zakładów,
zastój lub racjonalizację. — Wreszcie zauważyć należy, że
liczbę 312.000 osób zarejestrowanych jako bezrobotnych, trze-
ba powiększyć o członków rodzin (547 osób, które podały
wiadomości o liczbie członków rodziny, mianych na utrzyma-
niu, utrzymuje około 1900 osób); więc tych 312.000 bez-
robotnych z r. 1931, (dziś w r. 1936, mamy 450.000) możemy
śmiało powiększyć o 1,000.000, które razem z nimi głó-
dują; ale ile osób dało się zarejestrować? Ilu jest takich,
co są półbezrobotni (w styczniu 1936 — 154.000) i takich
co się wstydzą korzystać z pomocy instytucyj społecznych
i filantropji — tu przedewszystkiem należy wymienić bied-
ną inteligencję! Przyjmując tu tę samą liczbę co po-
przednio, już otrzymamy najmniej półtrzecia miliona osób
pozostających w nędzy. Do tego trzeba jeszcze dodać masy
chłopskie. Tak, że bez przesady, może nawet zbyt skromnie

licząc, liczbę głodujących możemy podnieść do 8.000.000 — czyli na 4 mieszkańców Rzplitej przynajmniej jeden jest stale i dosłownie głodny.

*

Pamiętniki Bezrobotnych, nr. 1—57 (Warszawa 1933, Instytut Gospodarstwa Społecznego. Z przedmową L. Krzywickiego, str. XXXVIII + 604).

86. [Nie wachać zakazanych przysmaków, 17].

(*Pam. nr. 2., cieśla zamieszkały w Warszawie*).

Idę zmęczony i znużony, ostatnim wysiłkiem woli staram się podnieść resztki energii, gdyż po całodziennem szarpaniu nerwów, osłabiony doszczętnie, nogi się płaczą, w czole dziwna gorączka, pod piersiami uporczywy ból, coraz mocniej zaciska, staram się o tem nie pamiętać, lecz napróżno, głodowa kanalja nieubłagana ani na chwilę nie ustępuje, czuję coraz bardziej, jak okręca moje biedne i puste jelita na jakiś sękaty kij i zdaje się, że za chwilę wydrze je z pod piersi do rynsztoka na pożarcie psom.

Przechodzę Nowym Światem, gdzie tyle wystaw, przepelnionych najrozmaitszemi potrawami i tyle barów i restauracji, w których siedzą tacy sami ludzie jak ja, którzy posiadają podarowane im przez Boga dwie ręce, dwie nogi, dwoje oczu i także same zęby i język, którym w tej chwili wprowadzają do przełyku jakieś mile woniejące apetytem, a bardziej budzące we mnie głód i drapiące po moich biednych, ciągle wężących nozdrzach, potrawy. A język obraca się kurczowo w próżni i coraz większą ilość wypompowyywa ślin, jak gdyby chciał zemścić się nad uporczywym głodem i chciał tą śliną go zatopić, lecz napróżno, bo głód pełza po pustych

jelitach w miarę napływu ślin i podłaził coraz bardziej pod piersi, a pazury jego stawały się coraz boleśniejsze, wreszcie chwycił tak mocno i tak wysoko, że zdawało się, iż potwornym łbem zatrzymuje biedne serce i tu nagłe odrętwienie karku, i pleców, w oczach niebieskie kółeczka, a w ustach twardo i sucho. Stałem, oparłszy się o poręcz okna wystawowego i tak przez chwilę: a potem weszłem do bramy, aby poprosić wielce możnego w tej chwili pana dozorcę o szkankę wody do napicia, który w tej chwili siedział w bramie na starym wytartym fotelu z wyciągniętymi nogami na całą długość. Gdym poprosił o szkankę wody tonem dość podnieconym, ów pan powiedział, że wodę sprzedają na ulicy, wreszcie po długich perswazjach otrzymałem upragnioną szkankę wody, której połowę wypilem, a drugą połowę natrzepałem sobie na kark na tyle, aby się w ten sposób choć trochę orzeźwić i dalej na drugą połowę podróży.

Teraz mnie już nauczyło podłe doświadczenie, że nie należy wywąchywać zakazanych przysmaków, bo za to nietylko karze prawo ludzkie, ale i prawo boskie. Bo gdym zaczął wywąchywać zapach z cudzej strawy, to Bóg mnie dotkliwie ukarał bo odebrał mi siłę i przytomność...

I dopiero dobry pan dozorca dopomógł, udzielając ze swej łaski szkankę zimnej wody, która w tej chwili stanowiła po czternastu godzinach tułania się po mieście jedyny posiłek, za pomocą którego mam przebyć sześć kilometrów drogi.— — —

87. [Poníženie, 21].

Wiesz co, kochany przyjacielu, ta żebranina, na którą się jutro wybieramy¹⁾, nie jest ona

bardzo do smaku, bo wyobraź sobie, jak to ta sprawa wygląda: człowiek młody i pełen sił nie może pracować, tylko musi żebrać, to coś wstrętne, to ubliżające godności człowieka XX w. — — —

— — — Tego dnia położyłem się wcześniej niż zwykle, lecz długo nie mogłem usnąć, niepokojony przez podłą myśl, jak przez natrętną muchę: bezustannie brzęczała mi do ucha — widzisz, staczasz się coraz niżej, zrównasz się z pospółstwem, staniesz obok ludzi, którzy nie mają serca, ani szlachetnej duszy, którzy posługują się instynktem, jak każde przeciętne stworzenie. Myśl przewodnią opierają na potwornej pożądliwości wszystkiego, co ich oczy zdołają ogarnąć, a z jamy ustnej wionie potworna zgnilizna, pomieszana z alkoholem, i tak w tej przykrej wyobraźni zasnąłem, obudziwszy się o północy.

¹⁾ Otrzymuje wiadomość, że „już można wyrabiać karty zasiłkowe“.

88. [W kolejce, 27].

— — — Kłębowisko ludzkie bezustannie przybierało na siłach, aż wreszcie zamknięto bramę, co dopełniło obrazu o iście piekielnym wyglądzie. I tak płynęły godziny za godzinami, wchodziliśmy z kolejki do kolejki, które stały na miejscu jak do ziemi przyrośnięte, nie ruszając się z miejsca, aż wreszcie i we mnie nastąpiła przemiana i zamiast serca i duszy zaczęła się odzywać bydlęca chciwość i tępota i teraz pchałem się wprost z zamkniętymi oczami, niczem nie różniąc się od reszty głodomorów. Bo chociaż popychany i poszturgiwany, dopiąłem swego celu, otrzymując upragnioną paczkę

kwitów, z którymi naprawdę nie wiem co mam robić¹⁾).

¹⁾ Żałuję, że nie mogę dać całego przejmującego kilku-stronicowego opisu kolejki i przeżyć w kolejce.

89. [Filozofowanie w kolejce, 24].

— — — Zacząłem rozmyślać o rzeczach, które nigdy mi do głowy nie przychodziły. W tej dziedzinie byłem bardzo mało świadomy i nie znałem dokładnie człowieka skupionego w wielkiej gromadzie. I nie mogło mi się pomieścić w mojej robotniczej głowie, która od dziewiątego roku (życia była bezustannie wypełniona myślą o pracy i ciągle o pracy i zaledwie drobna część mojego mózgu została oświetlona zapomocą dobrych książek. A teraz po zobaczeniu tak przykrych scen, jakie miałem sposobność dziś zobaczyć¹⁾), przyszło mi nie wiem skąd, jakieś dziwne filozoficzne rozumowanie, że Chrystus był tak wielkiego serca, pełnego boskiej miłości dla ludzi, a ci ludzie nie mają go wcale, ani dla siebie, ani dla tego, co umarł dla nich na krzyżu, i dziś gotowi są wszystko zburzyć, wszystko zniszczyć i przejść nad wszystkim jak burza, która sieje zniszczenie i pożogę, a w końcu zdolni będą sami siebie wymordować. Ta cała filozofja zdawała się być coraz bardziej interesującą, a zarazem coraz bardziej trudniejszą do rozwiązania. W końcu doszedłem do przekonania, że to trąbienie po całym świecie, że ludzkość doszła do wysokiego poziomu kulturalnego jest zwykłą bujdą. Bo ludzi trzeba prowadzić tak, jak się prowadzi inne zwierzęta, jeżeli się chce aby one gdzieś były i coś robiły. Sami zaś potrafią tylko zniszczyć i wreszcie

powiedziałem sobie: — widocznie, że tak musi być i zaprzestałem myśleć.

1) Widział brutalne sceny ścisku i poskramianie tłumu przez policję.

90. [Kamienica i tłum, 23].

— — — Kamienica, pod której murami stała ta bezduszna i bezsercowa masa, była na wszystko obojętną, wytrzeszczając swe wielozębne zaropiałe ślepie. Lecz bez westchnienia i bez jęku, tak jak tłum, cisnący się całą swoją siłą na nieszczęśliwe i bezradne kobiety, nie odczuwający żadnych boleści ani jęków, tak ta czerwona brutalna bestja, zaropiałemi ślepiami, zdawało się, że nie czuje tego ogromnego parcia na jej kałdun, choć niemo ale bardzo spokojnie słuchała. — —

91. [Książę Niezłomny, 55].

(Pam. nr. 3, pracownik mający się wszelkich robót, zamieszkały w Warszawie).

— — — Byłem u znajomych¹⁾. Człowiek bez skrupułów. Zarabia. Jeżeli zarabianiem nazywa się oszukiwanie bliźnich w bezczelny sposób. Wyśmiewa się ze wszystkich, którzy mają mu to za złe... Trafiłem w czasie obiadu. Zapraszają mnie do stołu. Robią to w ten sposób, jakby mi wyrządzali nadzwyczajną łaskę. Dziękuję, właśnie za pół godziny muszę być w domu na obiedzie. Skłamałem. Siedzę i przeglądam gazetę. Nic nie widzę. Czuję zapach zupy, cielęciny smażonej, kompotu z jabłek. Udaję zaczytanego. Nieznacznie łykam ślinę. Jeszcze nie wyjdę. Właśnie posiedzę, niech nie pomyślą, że

jestem głodny. Oczy mi mgła zasłania. Wstanę.
Jest mi źle. — — —

[59] Pełno przechodniów na ulicach²⁾, wszyscy weseli, roześmiani, dużo pijanych. Widzę, we wnęce muru, na Nowym Świecie stoi żebrak w łachmanach, boso, trzyma czapkę w wyciągniętej ręce — prosi. Pomóżcie państwo głodnemu, nie odmawiaj swjej pomocy, jestem głodny. Jakaś litościwa ręka rzuca mu monetę do czapki. Tak. Głodny jest, prosi i coś otrzymuje. Dają mu miedziaki, od czasu do czasu błysnie i nikłowa moneta. Staję chwilę, obserwuję żebraka. Ach, jaki ja jestem głodny! Na obiad jadłem kartoflankę, teraz już daleko za północ, a ja jeszcze nic w ustach nie miałem. Dziwnie się zgarbiłem, to głód tak garbi, upokarza człowieka, głód go zmusza do wszystkiego, do bohaterstwa i do przestępstwa. Prostuję się, piersi naprzód, głowę do góry. Niech nikt nie wie, że jestem głodny, niech chociaż pozory będą zachowane, boć przecież nie mogę zginąć! Gdy żołnierz polegnie na wojnie, gdzieby nie legł: w ataku, czy w ucieczce, zawsze będzie uznany za bohatera! A człowiek walczący z życiem, gdy ulegnie głodowi i skona, wówczas powiedzą: źle pokierował swoim życiem i marnie skończył.

¹⁾ Inteligent, prawdopodobnie b. uczeń szkoły średniej, pochodzący z Rosji, przyjechał po rewolucji bolszewickiej, z matką, bratem i siostrą. Od dziesięciu lat jest kolejno zamiataczem, tragarzem, krojczym, buchalterem, sprzedawcą, szewcem, potem kierownikiem sklepu z obuwiem, zapisuje się do Szkoły Nauk Politycznych, zdaje egzaminy, tymczasem sklep idzie coraz gorzej, szef bierze spółnika z kapitałem, który przyjmuje kierownictwo sklepu, znowu jest sprzedawcą ulicznym żyletek, czekolady, potem chwilowo posłańcem w ma-

gistracie, znowu wraca do sprzedawstwa ulicznego „pudełek szczęścia“, wstydzi się tej pracy, źle mu idzie, jest akwizytorem ogłoszeń, pomaga fotografowi, naprawia dzwonki, sprzedaje na ulicy aparaty do cerowania skarpetek, ale wciąż głoduje... Tego dnia, do którego się cytata odnosi, od rana błądzi po mieście, tylko o szklance kawy. Jest piękna niedziela zimowa.

2) Wieczór Sylwestrowy.

92. [Myśli w kolejce, 89].

Nieraz stojąc w ogonku, zastanawiałem się nad współczesną sytuacją na świecie. Gazety np. donoszą, że jest kilkadziesiąt milionów bezrobotnych. Tak piszą gazety, a napewno ich jest 100 milionów na całym świecie. 100 milionów ludzi nie mających nic do stracenia, i którzy są świadomi tego, że dlatego nie mają środków do życia, iż inni zgromadzili ich za dużo. Sądząc z tego, dzisiaj na świecie stosunki społeczne najbardziej dojrzały do wywołania wszechświatowej socjalistycznej rewolucji. I zda się, że te olbrzymie masy głodnych ludzi czekają tylko na jakiegoś śmiałego podpalacza, któryby cisnął na świat zgniłego ustroju płonąca żagiew buntu. Czas już najwyższy podłożyć dynamit pod spróchniałą budowę świata kapitalistycznego. My — stumiljonowa armia bezrobotnych — czekamy. My — legjon ofiar wyzysku, który jest gotów walczyć na śmierć i życie z kapitałem i jego pachołkami, którzy oto wyrzucili nas wynędzniałych na bruki miast. Czas najwyższy, aby po całym globie ziemskim rozbrzmiał potężny zew, wzywający proletariata do walki klasowej¹⁾.

1) Autor antologii nie podziela nadziei nieszczęśliwego, że rewolucja komunistyczna będzie ocaleniem przed nędzą.

93. [Czy chrześcijaństwo uratuje, 90].

— — — trzeba być głupim jak stołowe nogi i mieć zakuty łeb, aby dzisiaj wierzyć, że ze strony religii może nadejść wyzwolenie klasy robotniczej. Owszem — chrześcijaństwo w swoim początku miało tendencje socjalne, ale dzisiaj stało się instytucją najbardziej zacofaną, będącą na usługach burżuazji — — — 1).

1) Myli się, gdyż dziś myśl chrześcijańska, w szczególności katolicka, walczy z nieuporządkowanym ustrojem gospodarczym, podkreśla więcej sprawiedliwość niż miłosierdzie. Ale trudno, żeby nasz pamiętnikarz o tem wiedział. Społeczna propaganda chrześcijańsko-socjalna jest za słaba, a nadewszystko nie zdołano wytworzyć zrozumiałej dla masy, pożądanej wizji nowego ustroju. To co się mówi o „korporatywizmie“ jest zbyt teoretyczne!...

94. [Komedja ludzkiej sprawiedliwości, 95].

— — — rozpromienione twarze [kobiet], aż nadto wyraźnie mówiły o tem, co w ich sercach wyrabiała wiosna.

Wszystko to było głupstwem; ja byłem głodny.

Byłem głodny, chociaż wokoło mnie pełno było żywności. Wystarczyło przecież wyciągnąć rękę przez drzwi sklepu, a już człeku mogłeś zatknąć próżnię bolesną wyjącego o pokarm żołądka. Lecz nie mogłeś tego uczynić, setki policjantów pilnowało tego jądła, którzy każdej chwili gotowi byli rzucić się na nędznika konającego z głodu, który odważył się bezczelnie wyciągnąć łapę swoją po chleb. Gdzież znajdziesz sprawiedliwość? Prawo świeckie powiada: cudza własność jest świętą. Zaś w dekalogu, danym ludziom przez Jehowę na Górze

Synaj, stoi jak wół: Nie kradnij (choćbyś zdychał z głodu) ¹⁾.

Widziałem raz głodnego, który ukradł salceson. Było to w hali na Pradze. Porwał on ze straganu ten salceson i począł uciekać, pożerając go w biegu. Przekupki, przechodnie, policjant — wszystko hurmem rzuciło się za biedakiem. Dopędzili! Lecz głodomór już był zdążył zżreć pół salcesonu. Rzucono się jak na wściekłego psa. Poszkodowana przekupka omal nie wydrapała oczu. Policjant zaciągnął do komisariatu. Słyszałem później, że dostał podobno dwa miesiące więzienia.

O komedjo ludzkiej sprawiedliwości!

¹⁾ I tu myli się: Św. Tomasz z Akwinu, którego nauka jest dla katolicyzmu podstawową, powiada, że głodny — i wogóle nędzarz — jeśli ukradnie coś, co mu jest niezbędnie potrzebne, by żyć, nie popełnia żadnej kradzieży, bo bierze tylko to, co mu się należy: dobra gospodarcze należą do wszystkich i są tylko w prywatnem „użytkowaniu“.

95. [Z myśli i śmierć, 115].

(*Pam. nr. 8, robotnik niewykwalifikowany, zamieszkały w Warszawie*).

Teraz rozpoczął się dla mnie najstraszniejszy okres. Tak mi wszystko i wszyscy zbrzydli, że gotów jestem każdego rozszarpać na sztuki. Obudziło się we mnie zwierzę. Zwierzę bezsilne nawet fizycznie. Osłabienie tak przycisnęło mnie do poduszki, że z trudnością tylko mogę się z niej podźwignąć. Obok tego zabite są we mnie wszystkie dążności, wszelkie porywy i zapał. Nawet ciężko jest mi mówić. Jestem kłodą drzewa, jestem kawałkiem mięsa. Pozatem napewno jestem chory. Choroba serca. Czuję często, jakby jakiś diablo ostry

pilnik piłował mi serce i rwał je na strzępy. Tak boli! I ręce też mam wilgotne i słabe, oddech krótki i nierówny. Nie wiem jak taki stan nazywa się naukowo, w którym człowiek sam zaspakaja rozszałałe zmysły.

Dlaczego dawniej tego nie było? Bo nie było tej jednostajności, tej bezgranicznej, strasznej bezczynności, bo pulsowało we mnie inne życie. Bezczynność jest nietylko upadkiem materjalnym, ale także (może nawet w większej mierze) upadkiem moralnym.

Niema już dla mnie terażniejszości, ani przyszłości; są tylko moje zmysły i śmierć¹⁾.

1) Cały ten pamiętnik zasługiwałby na przedruk.

96. [Mógłbym się uczyć, 124].

(*Pam. nr. 9, pt. „Uspotecznienie myśli“, robotnik w przemyśle spożywczym, zamieszkały w Warszawie*).

Mógłbym się uczyć, odbudowałbym mój dawny stary świat myśli, — wywołałbym uśmiech na twarzy rodziców — radość życia. Jabym żył. Ale to wszystko jest iluzją. To są marzenia ściętej głowy. Życie jest twarde, bezlistosne — ludzie są źli. Potrafili oddzielić wszystko, odseparować jedno od drugiego. — — —

97. [Wielkie pytanie, 221].

— — — Jakie to straszne! dlaczego tak jest! Pytam się Was wszystkich, którzy będziecie to czytali — odpowiedźcie mi, czy dlatego, że może obniżyła się wartość człowieka? Czy może go kto wziął w posiadanie? Kto? O ile ludzie — to jacyś

potężni, ale przecież muszą ci ludzie wiedzieć o tem, że sami godzą w podwaliny swej potęgi i — uczciwości... Nie mogę dalej pisać — czuję, że gdybym dalej pisał tobym oszalał...

98. [Do inicjatorów konkursu na pamiętnik bezrobotnego, 125].

Chciałbym jeszcze zobaczyć tych Panów i Panie z Instytutu, tych ludzi, u których powstała inicjatywa przedstawienia losu robotnika bezrobotnego, uścisnąć im rękę i powiedzieć: niech praca Wasza podjęta na tem polu wypływa z serca, aby nie stała się zwykłą robotą, czemś przemijającym. —

99. [Dlaczego? Bezrobocie demoralizuje, 175].

(Pam. nr. 17, malarz, zamieszkały w Łodzi).

— — — I pocóż wydawać pieniądze na wykłady higieny, jeśli to wszystko aż tak niewspółmierne z rzeczywistością? Czyż już wszystkie suteryny czysto, porządnie wybielono? Dlaczego chodzę po mieście, gdy tyle jeszcze zrobić potrzeba; wchodzę do mieszkań brudnych i odrapanych, wołających o higienę. Dlaczego tyle tysięcy rodzin nie może sobie pozwolić na potrzebę wybielenia mieszkania? Dlaczego im nie umożliwią [tego] geniusze tworzący higienę? Gdzież są teraz ci wszyscy, którzy zamęczali najradośniejsze dni życia obkuwaniem rozbiórów logicznych i gramatycznych?¹⁾ Dlaczego nie nauczono mnie dawać sobie radę, gdy będę w takiej sytuacji jak obecna?

¹⁾ POCO inteligencka kultura, jeśli tak bezradna?!...

Dlaczego nie mogę zastąpić ojca — dotychczasowego żywiciela? Jestem zdrow i chcę pracować, a oto denegeruje i wyniszcza mnie ze wszystkich żywotnych sił fikcyjna pomoc — zapomoga. Któremu robotnikowi zapomoga zastąpiła zapracowane pieniądze? Człowiek w dzisiejszych warunkach tracąc pracę widzi bezczynne tygodnie zapomogi. Okres zapomogi wysysa z niego żywotność, rozprasza siłę, która, gdyby nie usypiająca zapomoga, skończyłaby z bezrobociem tak radykalnie, jak radykalne jest wyrzucanie trutniów ze zdrowego społeczeństwa pszczół. Oto urządzają zbiórki, „dzień kwiatka“, loterje itp. rzeczy na cele bezrobocia, a dlaczego prawo, które napisała i utrwaliła niby społeczność, nie wytoczy procesu przyczynie bezrobocia, dlaczego nie wyszuka tejże przyczyny i nie oskarży jej, dla czego nie zniweczy jej aktem wyroku, jak to ma miejsce z człowiekiem, który zabrał to co potrzebował?

100. [Wszystko naopak, 177].

Staję się czemś zbytecznem we własnej rodzinie. Mam lat 19 i jasno określłam swą rolę darmozjada. Uszczupłam bądźco bądź pokarmy młodszym braciom — — — [Ojciec] na mnie budował przyszłość. — — — Nie zarabiam, nie dopomagam, wszystko poszło naopak — i ojciec załamał się. Wytworzyła się straszna głuchota w spółyżyciu rodzinnem. Niema o czem mówić, wszystko stało się błażem, niepotrzebnem, jedyną wartość ma to, co daje pracę. — — —

101. [„Milczący wieczór rodziny“, 178].

Praca jest mi potrzebna nierównie więcej od powietrza, którem oddycham. Nie mogę tak stać

i czekać aż mi dadzą. To mnie wykrzywia, odbarwia, niszczy. We wnętrzu wciska się coś obcego, rzeczy stają w mroźnym, złowrogiem oświetleniu, tak rozpaczliwie beznadziejnym, jak milczący wieczór rodziny, do której wdarło się bezrobocie.

102. [Kwas solny, 196].

(Pam. nr. 19, robotnik włókienniczy zamieszkały w Łodzi).

Już na nic nie reaguję. Znikąd żadnego ratunku. Rodzina żony biedna, sama z trudem walczy z ogólną nędzą. Jest mi coraz gorzej. Jestem na wszystko zrezygnowany. Co dalej? Wisi nademną złowrogie pytanie. Żadnej pracy, żadnej zapomogi. Namysliłem się.

Było to 11 grudnia 1930 r. Miałem w kieszeni 2 zł. Otrzymałem je od jednego ze szwagrów. Wstałem do knajpy. Wódki... Wypiłem wódki. Jakoś raźniej pójdzie. Idę ulicami miasta. Miasto wre swem codziennym życiem. Przechodnie mijają mnie pospiesznie. Potrącają. Ja na nic nie zwracam uwagi. Jedna myśl krąży mi po głowie. Umrzeć... Bo nie mam już siły do dalszej walki o życie. Żal mi mej żony. No, ale ona da sobie radę. Boże, poco mam jej być ciężarem, być na jej utrzymaniu. Mam w kieszeni butelkę kwasu solnego. Butelka 100 gramowa. Może to za mało, ale to jest kwas solny. Przychodzę pod dom, w którym mieszkam. Pragnę zobaczyć mą żonę... Może jej niema w domu. Lepiej nie wejść do mieszkania. Na widok żony opuściłaby mnie odwaga. Och, jak się chce żyć, a życie takie okrutne. Żegnaj żono... Boże, przebacz mi...¹⁾

¹⁾ Został odratowany, przebywał kilka tygodni w szpitalu.

103. [Bóg się rodzi, moc truchleje..., 200].

Dziś 24 grudzień. Wieczór wigilijny. Dziewięć złotych kapitału, w sklepie 18 zł 45 gr. długu. W mieszkaniu u mnie cisza. Nikt mnie nie odwiedza, bo wiedzą, że u mnie bieda. Po co, na co? Siedzę wraz z żoną i rozmyślamy oboje, nie odzywamy się do siebie. Dziś w wielu, bardzo wielu domach radość, wesele, przy zapalanej choince serca się radują... Winszują sobie ludzie, w wigilijny wieczór przy opłatku, szczęścia, zdrowia i dobrobytu. I ja się łamię opłatkiem, otrzymanym od sąsiadki, z mą żoną. Padają ciche, smutne słowa. — Mężu, tylko wytrzymać. Prośmy Jezusa, dziś narodzonego o pracę, szczęście i zdrowie. Mężu, ja zawsze przy tobie, czy w złej czy dobrej chwili. Zobaczysz, przetrzymamy. Da Bóg, że będzie nam lepiej. Ja nic nie mówię. Nie mogę. Łkanie ciśnie mi się do gardła, łzy mam w oczach. Płacę... I płacze moja żona. Za ścianą u sąsiadów słysząc śpiew kolendy.

„Bóg się rodzi, moc truchleje...“.

— — — My biedni parjasi, dziś w wieczór wigilijny prosimy Boga Narodzonego o lepsze Jutro, o trochę serca i Miłość Bliźniego. I mamy nadzieję, czekamy cierpliwie, poddając się Jego woli. Bo na kimże mamy polegać dziś w wieczór święty, w wieczór wigilijny. Chryste narodzony, dopomóż.

104. [Być kółkiem zębatem..., 201].

25 grudnia. Dzień Bożego Narodzenia. Rano wyglądam przez okno. Na dworze pochmurno i dżdżysto. Smutno, bardzo smutno, nie tylko na Bożym świecie, ale i na duszy. Piszę pamiętnik. Padają litery, słowa spowiedzi mej duszy i jest w tym

pamiętniku mój ból, moja skarga. — — — Nie pragnę bogactw, ani chcę się wywyższać. Pragnę pozostać pożyteczny społeczeństwu. Jedną z tych milionowych cegiełek, z których jest budowany fundament pod gmach Wielkiej i Niepodległej mej Ojczyzny. Chcę być jednym z tych kółek zębatych, co to ich jest miliony w wielkiej maszynie Ojczyźnie. — — — Chciałbym być pożytecznym. Dziś jestem bezczynnym pasożytem. Jestem jak biedne niemowlę odsadzone od piersi matki swojej i zdanej na łaskę nieznaną i nieprzezwyciężoną siłą. Piszę... — — — Ciemność w mej duszy i w koło mnie. Chcę przebić się przez nią do światła do szczęścia, lecz nie mam siły ku temu. Wiem, że jestem za słaby, za maluczki. Gdyby mi kto podał rękę i pomógł się wydzwignąć z tego chaosu, z tej walki i przeprowadził lub wskazał lepszą drogę ku jutru. Ale któż to uczyni? Najbliżsi moi, moja rodzina, sama jest sobą zajęta. Ludzie dziś rozpychają się, tłoczą, idąc na oślep po ciałach swoich rywali do wytkniętego przez siebie celu. Byłe bliżej, byłe jak najprędzej. — — —

105. [Na Nowy Rok (1932), 204].

Dziś życzą sobie syci, odziani i szczęśliwi dosiego roku i wiwatują na jego cześć „kochajmy się“. A nam biednym, cichym, potulnym nędzarzom, siedzącym w tym dniu radosnym w swych izbach nieopalonych, odrapanych, któż powie „Wesołego Nowego Roku“? — — — Nikt... Bo nikt do nas nie przyjdzie, nie pocieszy, bo o nas zapomnieli. Zapomnieli, żeby sobie nie psuć wesołego nastroju w Nowy Rok. My jednak biedni parjasi w dniu tym nie zapominamy o niczem i o nikim...

Nawet o głodzie...

106. [Tchórz, 214].

(Pam. nr. 21, robotnik włókienniczy zam. w Łodzi).

Okazało się jednakże, że krok mój był bardzo ryzykowny¹⁾ i gdybym pozostawał w uporze — w tydzień po tem znaleziono by mnie zmarzniętego w rynsztoku, albo umarłbym z głodu. A kto wie, czy [nie] zamieniłbym się w „wyrzutka społeczeństwa“, odpowiedzialność za którego wzięłoby społeczeństwo. Muszę się przyznać, że stchórzyłem. Byłem tchórzem niezdolnym w życiu, do samodzielnego życia, nawet niezdolnym do kradzieży bułki... Nawet do wyciągnięcia ręki po jałmużnę.

¹⁾ Wychodzi z domu rodziców z powodu częstych kłótni z ojcem — („niema tygodnia, żeby nie było pickła o pieniądze“).

107. [Po ukończeniu szkoły, 218].

Wszyscy moi rówieśnicy, zdolni do pracy, lecz dlatego, że chodzili do szkoły, dziś są jeszcze dziećmi, zaś społeczeństwo wyparło się ich; społeczeństwo nie chce o nich wiedzieć, nie chce wiedzieć, że to są bezrobotni, że to jest „kwiat“ przyszłego pokolenia (społeczeństwa). Społeczeństwo widzi w nich takich samych sztubaków, takich samych „smarkaczy“, jakimi byli przed 5—7 laty.

[217] — — — Jesteśmy młodzi... Jest nas tysiące. Bo tysiące kończy szkoły powszechne, średnie i zawodowe. Zaledwie śmieszny odsetek dostaje zajęcie, na jakie oburza się prostak, a cóż ma powiedzieć ten, którego nauczono myśleć innemi kategorjami, w którego wpojono zasadę inteligenta (jeśli chodził do szkoły średniej lub zawodowej)?

O! bo tych ludzi żaden urząd nie zarejestruje jako bezrobotnych! — — —

108. [Po powrocie z wojska, 218].

Poborowi wychodzący z wojska nie mają pracy, pomimo iż do wojska szli prosto z pracy.

109. [„Nie umie robić“, 241].

(*Pam. nr. 23, tkacz, zamieszkały w Łodzi*).

— — — gdyby która odważyła się zbyt pro-
testować, majster po prostu przestanie jej repero-
wać krosna.

A oto taki charakterystyczny obrazek: Pracowa-
ła sobie 17-letnia sierotka w wielkiej firmie i choć
mocno zbiedzona, jednakże o pięknych, lśniących czar-
nych włosach — — —. Pracowała spokojnie dopóty,
dopóki pan majster, 60-letni starzec, nie zauważył jej
piękności. Odtąd ustawicznie ją nachodził, w końcu
kategorycznie powiedział, że od dziś nie reperuje
jej krosna. Pracowała jeszcze parę tygodni. Ciągłe
się jej przytrząskiwały czółenka, wrywając kaźdo-
razowo moc nici. Płakała, rwała sobie włosy, w koń-
cu kierownik wypędził ją, ponieważ „przestała umieć
robić“. Na nic się nie zdały wszelkie wyjaśnienia.
Jednakowo zawsze brzmiała odpowiedź: „Nie umie
robić“. Nastąpiły prośby, płacze, padanie do nóg.
Nic nie pomogło. Nie chciała — więc nie umie robić.
Poszła na bruk. Nie miała w Łodzi rodziny, więc
o kiju żebraczym powędrowała do Poznania do
ciotki.

Która dziś się nie zgodzi? Najcnotliwszą wi-
dmo nędzy i bruku zmusi.

Fabryki podczas kryzysu stają się gniazdami występku. Głód, nędza, widmo redukcji jest matką rozpusty.

110. [Oryginalny bagaż, 244].

Drugiego dnia po południu szedłem już co chwila pokładając się w silnych boleściach i mdłościach. Chciałem żygać i nie mogłem, bo i cóż miałem wyżygać, chyba żołądek, który dla mnie nie był niczem więcej jak żywiołowym ogniem w skręta-
tach, a brzuch stekiem niespokojnych węży. A ja ten oryginalny bagaż węży i ognia, dany mi tak hojną ręką przez wieśniaków¹⁾, niosłem z iście prometejską pogardą w duszy do Łodzi, do tej Łodzi, która jest tak ogołocona, że nawet pomyj w rynsztokach podmiejskich niema, a, co pamiętam za dobrych czasów, jeziorem stały na pół ulicy i chodnika przez całe miesiące.

¹⁾ Nadaremno szukał pracy po wsi, dwa dni nie miał nic w ustach.

111. [Człowiek i pies, 245].

— — — Słońce lało rozpalone do białości deszczem¹⁾ promienie. Ziemia popękana, podobna była do wypalonego żużla, a w powietrzu parno jak w kotle, tak, że nie wiem, czy z nadmiernej gorączki, czy z opętańczego głodu oddychanie sprawiało mi szalony ból w piersiach, mimo, iż jaknajmniej starałem się oddychać, lecz to wszystko nie pomagało; przeciwnie, zatrzuwało organizm, powodując wymioty. Miałem wrażenie, że żołądek wyskoczy, ale że był mocno osadzony, wolał żygać krwią.

Popackany cały krwią i błotem, nie dbałem wtedy o elegancję, wlokłem się niemal na czterech, gdy w oddali ujrzałem parę zagonów pięknej brukwi. Nie zważając już na żadne bóle, z wielką radością, jakbym ujrzał Królestwo Niebieskie, pobiegłem do niej, nie pytając, czy ktoś pozwoli jej urwać, czy też nie, schwyciłem za najpiękniejszą i dalej ją zębami odzierać ze skóry, gdy wtem z poza żyta odezwał się głos: Huzia dziada, Burek... Ledwie się zdążył obejrzeć, a już moja łydka zdawała egzamin ze swej twardości w psiej paszczy. Grzmotnąłem brukwią w psa. Lekki cios rozsrożył jeszcze gorzej psa i z tem większą wściekłością wpijał kły w me ciało.

— Człowieku! — wydarł mi się z pod serca głos, a był widać tak potężny i przejmujący, że pies zaskomlał, jakby kopnięty przez widmo...²⁾

1) Tj. „lało promienie jak deszcz“.

2) Tu koniec pamiętnika. Uważam ten ustęp nietylko za jeden z bardzo wstrząsających treścią, lecz i formalnie (artystycznie) wprost potężny. Ten niesamowity jałowy krajobraz, ten niezmiernie przekonujący opis cierpienia fizycznego, wreszcie, o samorodnym i oryginalnym, niezwykłym talencie pisarskim świadczące zakończenie, pełne symboliki głębokiej i dolegliwej...

112. [Twarze dzieci, 254].

(*Pamiętnik nr. 24, przedziałnik, zamieszkały w Ozorkowie*).

W początkach naszej nędzy dzieci płakały, gdy chciały jeść. Płacząc włóczyły się po izbie i potraçały się wzajemnie, co wywoływało jeszcze większy płacz i rozdrażnienie. Matka biła je na oślep, po ciemku — bo rzadko wieczorem światło rozja-

śniało naszą wielką lodownię — chcąc je ukarać. Ale gdy płakały coraz to głośniej, zapłakała sama. Siadła na kamieniach obejmowała je, dzieci przytuliły się do niej i wszystkie czworo płakali rzewnie i długo.

Później już nie płakały. Zrobiły się posępne, milczące. Twarze ich jakgdyby z marmuru wykute, oczy rozwarte, w których ciągle maluje się przestrach. Wiele smutku, bardzo wiele można wyczytać w oczach tych dzieci, gdzie dawno, dawno nie gościł na ich twarzach uśmiech, gdzie wszelka radość znikła, wygnana przez głód i bezrobocie.

Oto są dzieci nasze, dzieci bezrobotnych rodziców.

113. [Kraj mój wytrwa, 255].

Tak, cierpię, cierpię z rodziną bardzo! Ale nietylko cierpię ja, cierpią inni, cierpi kraj! A ja, to częśćka całości — kraju. Ja cierpię? Tak. Ale cierpią inni. Cierpi kraj! I ja cierpię, za innych i za kraj. Kraj mój wytrwa, przewycięży, poprawi się w kraju — tem samem i poprawi się i mnie — bo jestem częścią całości.

Tymczasem cierpię, cierpią inni, cierpi kraj. Bo życie nie zna litości ani wyjątków — zna ono tylko ciągły swój bieg.

114. [Łatwo wkroczyć na drogę
hańby..., 278].

(Pam. nr. 27, robotnica niewykwalifikowana zamieszkała w Częstochowie).

Ja ze swej strony, choć pragnę bardzo matce dopomóc pieniądze, lecz w żaden sposób nie

mogę, kilka razy byłam za przyjęciem do pracy w fabryce gdzie dawniej pracowałam, lecz ani sobie mówić nie dano o przyjęciu, gdyż jeszcze wciąż redukują, tak trudno jest o pracę, a jednak był taki majster z tej fabryki, co miał w przeciagu tygodnia mnie wskierować do pracy, lecz żądał takiej zapłaty, jaką uczciwa panienska dać nie może. Znałam też paru mężczyzn, którzy chcieli mi ofiarować znaczną pomoc pieniężną, lecz wzamian żądali, abym ja sobą oddawała, lecz ja wolałam nędznie chodzić ubrana, nędznie jeść, aby tylko w drogę hańby nie wkroczyć, bo łatwo wstąpić w złą drogę ale zawrócić z niej nie łatwo...

115. [Małżeństwo, 264].

(*Pam. nr. 25, żona rytownika, zamieszkała w Kaliszu*).

Z męża pozostaje cień, który się stale błąka po ulicy, aby nie patrzeć na żywego trupa, to jest na mnie, która jestem szara jak ziemia, czy też popiół i na tej szarzyźnie coraz to większe, nie wiadomo skąd, plamy świecące żółte, no i do kompletu oczy (mówią że czarne, lecz nie są czarne), czarne, duże, nie smutne, lecz wprost zdziwiałe, które robią wrażenie napewno obłąkanej, do której nie tylko znajomi nie mogą przywyknąć, lecz własny mąż przed niemi ucieka. I błądzi gdzieś! Błądzi po ulicach zgłodniały, zziębnięty, bo można śmiało rzec, że stąpa boso. — — —

116. [Noc czarna, 116].

(*Pam. nr. 26, pracownica, zamieszkała w Radomiu*).

— — Pan M. przyszedł, a ja w krótkich słowach odmalowałam naszą nędzę, widziałam, że nie słuchał,

raczej wpatrywał się we mnie, lecz odpowiedzi nie dał. I zaczęła się męka czekania i chodzenia po odpowiedź. Nie baczyłam na mróz i w pantofelkach, płaszczyku wiatrem podszytym biegłam po upragnione: tak. Napróżno, stanowisko bogdanki otrzymałabym mogła, pracy niestety nie.

— — — a jednak mieć muszę [odwagę] by patrzeć na przesmutne oczy mamusi, zasnute łzami, słuchać krzyków gospodarza, że nas wyrzuci, bo jesteśmy za rok winni za mieszkanie. I wtedy znów wybiegam, lecę teraz, by patrzeć jak wystrojone damy jadą na bale, wszak to karnawał, nie wszystkich dosięgły szpony nędzy, lecz zazdrość mną nie owłada, choć jestem ładną, choć gdyby mnie ubrać, mogłabym być bardzo ładną, losu nie przeklinam, choć sercem owładła noc czarna, najstraszniejsza z nocy, gdy nędzy wtóruje głos tych co nie wierzą. Ja jednak, choć ten los okrutny wyprowadził mnie z murów gimnazjum — — — wierzę niezachwianie, że i nam zaświeci promienne słońce i wysuszy łzy niedoli wszystkich bezrobotnych. — —

117. [Zaprawa na wronach, 294].

(*Pam. nr. 29, tkacz w Zawierciu, lat 34, kawaler*).

Specjalnie lubię chodzić na młode wrony. Stare znają mnie do tego stopnia, iż na mój widok w lesie kraczą jak opętane. Biję kijem w drzewo, na którym są gniazda, a gdy młode się odezwą, wyłażę po nich. Siedzą w gnieździe, jak w klubie dyrektorzy lub ziemianie, miny zucho-wate, łeb goły, tylko czaszka świeci, kark pofałdowany, nos orli. Znać rasę i stary ród, brzuch okrągły, nalany tłuszczem — frak i garnitur za-

wsze ciemny — na nogach lakiery lub boks. Nigdy ich nie zrzucam, jak to czynią wiejskie chłopcy — lecz ostrożnie znoszę na ziemię, kładę na grzbiet i patykiem naciskam po brzuchu, gdy zaczną wrzeszczeć, to stare latają jak zwarjowane — o mało co nie dotykają mojej głowy. Gdy już ledwo zipnie — ściskam palcami za szyję, parę klapnięć powiekami i gotowa — biorę drugą. Zwracam się raz do towarzysza mych wypraw z pytaniem, czego my te ptaki tak męczymy. Odpowiada mi, że istnieje prawo: „Człowiek krzywdzony z przyjemnością drugiemu krzywdę wyrządza“. Po chwili dodaje: „A może zaprawiamy się do wymierzenia sprawiedliwości“. — — —

118. [Data do wpisania, 301].

Boże Narodzenie.

Radość, słońce, wszystko pobieżało do Betleem.

Nad okolicą całą chmury ciężkie, ołowiane, deszcz pada¹⁾. Spędzam czas w domu i myślę. Jeżeli wytrzymam cudem do marca lub kwietnia otrzymam pracę na publicznych na trzy dni po sześć godzin. Zarobek mój wyniesie 12 zł. na tydzień. Po 20 tygodniach zwolnienie, gdyż wyrobę na zasiłek. Jak zapłacę zaległe mieszkanie, węgiel, pokryję bieżące wydatki, do tego buty i jesioraka — matka też w kaloszach chodzi — choć nic nie mówi, ale widzę, trzewików niema. Siostra? Zamykam oczy. Cyfry zaczynają przybierać formę liter dużych, czarnych, zaczynam ich sylabizować:

Wyrokiem Sądu Doraźnego został skazany...

Wyrok wykonano dnia... o godz... Datę swej

śmierci muszę wpisać sam. Ciężko, bo ciężko, lecz trudno, jeśli to przeznaczenie²⁾.

1) Słońce czy deszcz? Słońce prawdopodobnie w wyobraźni, wedle tej kolędy: „W dzień B. Narodzenia, radość wszelkiego stworzenia“ — w rzeczywistości niepogoda.

2) Nie wiemy, co dalej było, czy tę datę wpisał?... Jeśli nie on, to są i inni między zbrodniarzami — choć nie wszyscy! — których bezradziejna bieda pchnęła do zbrodni; jednym z takich był niewątpliwie stracony w Krakowie Malisz, zbrodniarz niewyzuty z sumienia, nieszczęsny okaz wielkemiejskiej, półintelligenckiej, bezstanowej luki społecznej i nędzy.

119. [Upokarzające imię, 391].

(Pam. nr. 38, pracownik budowlany zamieszkały w Poznaniu).

Jak ciężkie i upokarzające jest noszenie imienia „bezrobotny“, niech posłuży tych kilka skarg, które tu przytoczę nieskłamanie. Wychodząc z domu opuszczam oczy jak zbrodniarz, wszędzie widząc się upośledzonym. Idąc ulicą wydaje mi się, że nie dorównyвам zwykłemu obywatelowi, że każdy wskazuje na mnie palcem, usuwam się instynktownie każdemu z drogi, patrząc ze łzami w oczach na tych szczęśliwych, którzy codziennie jeszcze mogą śpieszyć do pracy lub z niej wracać bez troski o chleb jutrzejszy.

Dawniejsi przyjaciele i znajomi z lepszych czasów nie okażą już mi tego co dawniej przywiązania, jakoś obojętniej podają dłoń przy spotkaniu, nie poczęstują już papierosem, a oczy ich jakby mówiły: „tyś nie wart tego, ty nie pracujesz“, a co gorsza nawet własna żona w domu dokucza, przypisując nędzę swoją memu jakoby niedołęstwu.

120. [Nie wódź nas na pokuszenie, 417].

(Pam. nr. 41, robotnik fabryczny zamieszkały w Tupadłach).

W rozmowach z kolegami dowiaduję się, że nietylko mnie spotkał taki los, są bowiem i tacy, na których brzemieniu ciąży odpowiedzialność utrzymania rodziny kilkakrotnie bardziej licznej, to też niejednokrotnie prowadzono rozmowy o kradzieży, aby uzyskać środki żywności i zaspokoić głód, w które wciągano mnie wprost, lecz silna wiara w Boga, którą zdołała matka zaszczyć w mem sercu, wstrzymuje mnie zawsze od takiego kroku. Myślę co prawda o kupnie garnituru lub ubrania, które podarte nie można już poddać reparaacji, pokusa nieprzepartą siłą pcha mnie w otchłań, walczę resztkami sił, aby odpędzić złe myśli i powtarzam słowa modlitwy... i nie wódź nas na pokuszenie... słowa, które kilkakrotnie dziennie muszę wznosić ku niebiosom. Czy z tego zarobku, z kradzieży mam zdobyć potrzebne ubiory?... nie, nigdy nie zniżę się do tego stopnia, moja wiara w Boga uchroni mnie od tego. Z powodu tego, że jestem obdartym, spieszę już tylko rychło rano do kościoła, by później całą niedzielę przesiedzieć często o głodzie gdzieś w ogrodzie. Z dawnych dobrych dni pozostały tylko wspomnienia, na myśl o tych spływają mi nieraz gorzkie łzy. Nic jednak nie rokuje na zmianę na lepsze. Sterany głodem i udręką, którą doznaję niekiedy przez ludzi, wychodzę z mego mieszkania (ze stodoły) by opuścić na kilka dni okolicę... Ostatecznie zdecydowałem się użebrać potrzebny kawałek chleba.

Jak srodze zostałem tym krokiem doświadczony, nie zdołam tego opisać, drugie, nie chcę otwierać ran, jednak wspomnę tyle — nie zaznałbym tyle go-ryczy z tego kawałka chleba, gdybym go był ukradł.

12. [Dumanie o samobójstwie, 530].

(*Pam. nr. 52, zecer zamieszkały we Lwowie*).

Myślom, które nurtują w mojej głowie nie mogę się opędzić¹⁾. Zastanawiam się nad sposobami zdobycia pracy, lecz sposobu wyjścia z tego błędnego koła nie widzę. Coraz czarniejsze myśli przychodzą mi do głowy. Słyszac lub czytając o różnych samobójstwach, popełnionych z powodu braku środków do życia lub o dobrowolnej śmierci całych rodzin z tego samego powodu, prze-myśliwałem już kilkakrotnie o tem, lecz myśl tę odrzucałem zawsze ze wstrętem. Nie popełniłbym nigdy samobójstwa, by nie pozostawić żonie i dzieciom miana żony czy córek samobójcy. Tembardziej nie może mi się ostać w głowie, bym miał namawiać żonę czy córki do popełnienia dobrowolnego, wspólnego samobójstwa. A już stanowczo odrzucam myśl, bym miał popełnić ohydny mord na mojej żonie i córkach, a potem popełnić samobójstwo. Wychodzę z tego założenia, że osobiście nie mam prawa rozporządzalności swoim życiem, a tembardziej nie mam go do rozporządzania życiem żony czy córek. Przysięgliśmy sobie miłość do śmierci w każdej sytuacji życiowej, ale o prawie rozporządzalności jednego życiem drugiego w przysiędze naszej nie było mowy, tembardziej nie mam prawa rozporządzania życiem moich córek, istot niewinnych, a tak mię i żonę kochających i serdecznie

przez nas kochanych. Nawet jako ojciec nie mogę sobie rościć takiego prawa, bo nie jestem barbarzyńcą. Przeciwnie, jako ojciec odczuwam doskonale mój obowiązek ojcowski chronienia zdrowia i życia moich córek na każdym kroku i z tego powodu nie chcę o żadnej formie śmierci mojej, żony i córek myśleć, która miałaby być dziełem moich rąk.

1) Pracował w drukarni Ossolineum, żonaty, ma kilka córek, które posyłał do szkoły prywatnej płacąc za nie 100 zł. miesięcznie. Próbował rozmaitych robót, np. ładowania piasku; z powodu bezrobocia w drukarstwie nie ma nadziei powrotu do pracy, w której wiele lat spędził.

122. [Wstyd ojca, 539].

Córka moja najstarsza zasiada w maju do matury seminarjalnej. Może po jej zdaniu przecież otrzyma posadę, a wtedy byłoby nam lepiej. Wierzę, że chętnie pomagałaby, a zwłaszcza swoim młodszym siostrom.

Wstyd mię ogarnia na samą myśl, że ja pozostając w zdrowiu i pełni sił do życia, już oglądam się na pomoc mojego dziecka. Ale cóż robić? Może do tego nie przyjdzie. Może przecież dostanę jeszcze pracę i zarobek i nie będę zmuszony aż do takiego poniżenia mojej godności osobistej, jako mąż i ojciec.

123. [Honor robotniczy, 540].

— — — mój honor robotniczy nie pozwolił mi, bym miał ubocznymi drogami dążyć do usunięcia z pracy innego kolegi, dlatego tylko, bym ja pracował. — — — Wolę już cierpieć głód i nie-

dostatek z żoną i córkami, niż dopuścić się tak niehonorowego czynu. Nie mógłbym spokojnie przełknąć kawałka chleba, tembardziej, że wiem po sobie co znaczy być bez pracy! Zdawałoby mi się, że wskutek takiego czynu (gdybym się go dopuścił), łzy żony mojego kolegi i jego dzieci byłyby gorszem dla mnie nieszczęściem, jak to w jakim się sam znajduję. — — — Nie mógłbym się nigdy śmiało popatrzeć w oczy, nietylko kolegi pozbawionego przezemnie pracy, ale nawet obcemu człowiekowi, bo ciągle myślałbym że dany człowiek wie o moim niehonorowym postępku.

124. [„Trzeba umieć kraść“, 560].

(*Pamiętnik nr. 55, cieśla zamieszkały we Lwowie*).

Co zrobić? Gdzie pójść?¹⁾ — — — Nigdzie! Ulice zamiatać? Jest tam dość dużo, aż za dużo, tych swoich. Pakunki odnosić? Nie trzeba — brzmi odpowiedź! Do zbolałej głowy cisną się pytania — co zrobić? Kraść? Ho, ho, trzeba po pierwsze umieć kraść, po drugie mieć odpowiednie warunki, znajomości, narzędzia i... stosunki. Razu jednego byłbym popełnił kradzież [banknotów z wystawy kantoru], cóż kiedy nie miałem potrzebnego narzędzia. — — —

¹⁾ Lat 31, żonaty, dzieci, próbował wszelkich zajęć przygodnych, podawał wapno, zmiatał śnieg, zrzucał węgiel z wagonów, był pomocnikiem stolarza, murarzem, itd.

125. [Dzieci głodne, 566].

W ciągu tych ciężkich dni zapoznałem się z głodem. Sam głód nie przedstawia nic strasznego, gdyż każdy chyba zna te objawy. Gdyż każdy, choćby najbogatszy miał chyba w życiu jakiś przy-

padek, w którym się przygłodował. No i cóż, przyszedł, czy przyjechał do domu i w tej chwili głód zaspokoił. Lecz w tym wypadku zachodzą dwie rzeczy, nie mające przykrzejszych, sobie równych. Pierwsza: nie można patrzeć spokojnie, bez obawy ataku szału, jak dzieci są głodne. Nie zdają one sobie sprawy, co się dzieje z nimi, mażą się, marudzą, wreszcie zaczynają prosić, to chleba, to kawy, trzeba im wtedy zacisnąwszy zęby obiecać, dużo obiecać i starać się, ażeby poszły spać.

126. [Czekolada, 566].

Druga świadomość, że nie można tego głodu zaspokoić, i wówczas ma się wrażenie dzika osaczonego w knieji, gdzie się zwróci — nigdzie ratunku. Wygląda to tembardziej ironicznie, że naokół jest pełno żywności. Z poza wystaw sklepowych widnieją stosy kiełbas, pieczywa, cukrów, a w powietrzu unoszą się zapachy wybuchające z różnych jadłodajni itd.

I dziwna rzecz. — Gdy w żołądku jest cza próżnia, a w oczach migają żółte i czerwone platy, a nogi jakby zwiotczałe uginają się, wtedy odczuwam dziwną, nieodpartą żądzę czekolady. Zeschły szorstki język odczuwa jej smak i cały organizm wprost krzyczy głośnem burczeniem kiszek: Czekolady! czekolady! Doprawdy, szyby wystaw cukierni z całemi stosami czekolad, mają dotychczas dziwne szczęście, gdyż nieraz przychodziła mi myśl: runąć całym tułowiem w głąb wystawy, wbić się zębami w misterny stos czekolad i żreć, żreć, pochłaniać kawałami... a potem niech mnie powieszają nawet. — — —

127. [Pochwała łopaty, 600].

(*Pam. nr. 57, pracownik rafinerji nafty, zam. w Wygodzie*).

Pokochałem¹⁾ tę robotę mnie przeznaczoną, zgłębiłem gruntownie tajniki kunsztu łopaciarskiego i sztukę błota z kadzi. Wywijam łopatą, jak ongiś mistrze bronią obosieczną. Z szumem wylatuje ponad głową gruda za grudą miękkiego błota i pada na ziemię z trzaskiem, rozpryskując się na wszystkie strony. Gdyby pewne było, że wkrótce fabryka znów nie stanie, to by mi do tego błota i szczęścia zdaje się niczego już nie brakowało. To już jest wszystko. Przecież to właściwie jest już to, co nazywamy życiem, to takie już powołanie. Więcej szczebli w mojej drabince niema. Jedynym zwrotem, czy niespodzianką może być chyba koniec.

Jestem ustabilizowany, to grunt. Z łopatą się już pewnie nie rozstanę, chyba starą zamienię na nową. To jest bardzo pożyteczny instrument. Żadna technika go nie wyruguje. Przecież tylko ona mi da ostatnią, bezinteresowną przysługę²⁾.

1) Lat 27, szkoła powszechna, monter egzaminowany, służba w W. P.; po powrocie z wojska pracy nie znalazł. Wkońcu jednak otrzymał robotę za 45 zł. miesięcznie. Jest łamistrajkim: „Warjaty zrozumcie, że na jednego wyrzuconego jest dziesięciu pod bramą nowych“.

2) Koniec pamiętnika. Znowuż ustęp głęboko piękny w swej skupionej melancholji i ironji, w swej wprost klasycznej prostocie wystowienia.

*

W związku z *Pamiętnikami Bezrobotnych* por. List wyrzutek społeczeństwa w Dodatku do t. I.

X. PAMIĘTNIKI CHŁOPÓW.

Zachęcony obfitym i pożywnym plonem konkursu na pamiętniki bezrobotnych, Instytut Gospodarstwa Społecznego ogłosił we wrześniu roku 1933 konkurs na „Pamiętnik Chłopa“. Odezwa została umieszczona w szeregu pism ludowych i dzienników¹⁾. Nadesłano pamiętników 498, z tych I. G. S. wybrał 51 i ogłosił w księdze o 714 stronach, która wyszła w roku 1935.

Pisali starzy i młodzi od lat 15 do 80, ale głównie we wieku między 30 a 50 rokiem życia, kobiet tylko niewiele, bo zaledwie 17. Z ciekawej analizy statystycznej, wykonanej w przedmowie do Pamiętników, okazuje się że „pamiętnikarze odznaczają się większą aktywnością niż przeciętny chłop polski. Przedstawiają mianowicie większe, niż pośród całości włościanstwa polskiego, odsetki tych, którzy odkupili sobie ziemię, którzy ruszali się za granicę kraju dla zarobku, którzy na ochotnika wstąpili do armji polskiej: odsetek tężyzny wśród pamiętnikarzy jest wyższy niż w społeczeństwie polkiem, szczególnie zaś wśród ludności wiejskiej“ (str. XL). Pomędzy tymi 498 jest dwóch analfabetów, którzy dyktowali swym synom — oraz jeden student politechniki; niewielka ilość dotarła do szkoły średniej lub zawodowej; najwięcej, bo 68% z pośród tych, którzy podali bliższe dane o wykształceniu, (tj. z pośród 256) poprzestało na szkole elementarnej (w b. zaborze rosyjskim — rosyjskiej, w b. zaborze pruskim — niemieckiej), ale było i 55 takich, którzy do żadnej wogóle szkoły nie uczęszczali. Ci, często dumni z tego, że choć „nie uczyli ich pisać w szkole, ale cepami w stodole“, zdołali się nauczyć czytać

i pisać. Do pisania pamiętników wzięli się raczej lepiej uposażeni w ziemię.

Rozmieszczenie miejsc zamieszkania pamiętnikarzy na mapie Rzeczypospolitej wykazuje, że najwyższy udział w konkursie wzięło wojew. krakowskie, zwłaszcza powiaty: łańcucki, mielecki, limanowski, wadowicki, potem wojew. lubelskie z pow. hrubieszowskim, puławskim, siedleckim, województwo kieleckie z pow. opatowskim, słonimskim, miechowskim, wojew. łódzkie z pow. radomszczańskim, sieradzkim, łęczyckim, konińskim, mniej żywy udział wzięły Wielkopolska, Pomorze i oba Śląski, Cieszyński i Katowicki — a także ziemie wschodnie: choć np. ze Suwalskiego nadesłano 8 pamiętników — ale zato z całego Wołynia także tylko 8. Ludność małoruska wcale nie wzięła udziału w konkursie. Natomiast ludność polska pochodzenia białoruskiego z Wileńszczyzny, nawet prawosławna, jest reprezentowana w pamiętnikach, przyczem, jak czytelnik zauważy, są tam osiągi doskonałego wyrażania się po polsku. (Najlepszy dowód, że mamy czysto polskich, co do kultury i świadomości, prawosławnych chłopów, i że nie polszczenie ale ruszczenie Wileńszczyzny jest robotą sztuczną, i przeciwną naturalnemu rozwojowi stosunków).

Co do treści i formy pamiętników chłopskich, to możemy mówić tylko o tych, które zostały wydane. Ponad wszystko wybija się narzekanie — częstokroć z rozpaczą graniczące, na „kryzys“, który się na wsi szczególnie dał we znaki, na skutek tego, że ceny produktów rolnych od roku 1929 zaczęły silnie opadać, podczas gdy ceny produktów przemysłowych pozostały na tym samym poziomie, o ile się nie podniosły²). Należy zaś podnieść, że

dało się to o wiele silniej we znaki rolnikom właśnie bardziej energicznym, typom przodowniczym. Ci bowiem w okresie pomyślnej dla rolnictwa konjunktury, pierwsi wzięli się do inwestycji rolnych, do parcelacji — i chętnie a łatwo zadłużali się; przy zmienionych warunkach te długi zaciążyły nad nimi fatalnie. Ody zaś pamiętnikarze nasi, jak wiemy już, naogół właśnie do energiczniejszych włościan należą, „kryzys“ oni szczególnie musieli odczuć najdolegliwiej. Odczuwają go bardzo dolegliwie także i dlatego, że są to ludzie, którzy czytają chętnie, i teraz brak im na książki i gazety, ludzie wreszcie częstokroć, którzy są społecznie troskliwi i martwią się nie tylko o siebie, lecz i o cały stan do którego należą, a nie jeden raz i o Rzeczpospolitą. Ten ponury nastrój, nastrój głodowania i beznadziejności wybija się ponad wszystko; i jest bardzo charakterystycznym, że większość pamiętnikarzy, przynajmniej tych, których pamiętniki czytamy w książce, nie poprzestaje na samem narzekaniu, ale stara się zrozumieć przyczyny gospodarcze obecnego stanu, stara się znaleźć sposoby wyjścia: te projekty wahają się między skrajnymi pomysłami socjalistycznymi a postulatem okiełzania lub zniesienia kartelów — (ten postulat jest najczęstszy). Dużo też narzekań polityczno-aktualnych. Wszelkie zwłaszcza objawy lekceważenia i obrażania godności osobistej wieśniaka ze strony władz państwowych — są notowane z głębokim rozgoryczeniem. Ogółem jednak odnosi się wrażenie, że poprawa jaka taka, poprawa stosunków ekonomicznych, także i poprawa samopoczucia obywatelsko-politycznego wystarczy, aby tego chłopca przodowniczego, który jest usposobiony raczej patriotycznie i kulturalno-konserwatywnie niż rewolu-

cyjnie, sprowadzić z powrotem do uczuć narodowych, ustalonych i wytrwałych.

Co do religijności, to wrażeniem dominującym z pamiętników jest raczej obojętność — obojętność, dziwna rzecz, częstsza, aniżeli ją widzieliśmy u bezrobotnych robotników. W ogólności „nastawienie ogólne“ tych włościan jest w porównaniu z tamtymi, robotnikami, raczej racjonalistyczne niż uczuciowe. Naturalnie wszystko to, co się mówi, mówi się z zastrzeżeniem „naogół“; tak więc, na tle ogólnej trzeźwości, poniekąd oschłości, która niełatwo daje się pokonać sugestjom „poetycznym“, rysują się tem wyraziściej te pamiętniki, w których wyrażają się, prócz wymienionych już uczuć depresji i troski, uczucia estetyczne (zamiłowanie do przyrody), altruistyczne, nieraz, u młodszych zwłaszcza, jakaś nerwowość, jakby egzaltacja jakaś: tragiczne ale nieuniknione zjawisko rozwojowe, zjawisko wzrostu, nie tylko indywidualnego, lecz i socjalno-kulturalnego: ludzie, którzy zaczerpnęli już z kultury warstw oświeconych, którzy w poszczególnych wypadkach, — słusznie, czy niesłusznie, ale którzy czują się uzdolnionymi i przez to uprawnionymi do wyższego typu życia — ci ludzie muszą bytować na niższym, mniej kulturalnym poziomie, niekiedy u samego dna społecznego, w warunkach służebnych, proletarjackich (bo i takich mamy między naszymi pamiętnikarzami), do tego jeszcze w biedzie ostatniej, do tego jeszcze niekiedy potrącani i poniewierani! Cóż dziwnego więc, że nad stylem zwierzeń ich panuje jakieś szydercze rozdrażnienie, jakaś, razem, zaciętość i melancholja, wynikające z poczucia wielkiej samotności. Gdyby wolno było użyć tu tego literackiego określenia, to powiedzielibyśmy,

że spotykamy się tu niekiedy z ludowym, samorodnym „byronizmem“.

Pamiętniki dają wiele przyczynków folklorystycznych, wiele wglądu w życie rodzinne (erotycznych aspektów niewiele), wiele wglądu w życie gminy, trochę przyczynków historyczno-politycznych i do życia uchodźstwa naszego, do życia oświatowego wsi, ale najwięcej do życia gospodarczego — przyczem niejeden z pamiętnikarzy posługuje się rachunkami dokładnymi, z zachowaniem zasad buchalterji.

Poziom formy językowej ma rozpiętość wielką. Są pamiętniki, które są wysoce rzeczowe co do treści, bez żadnych naiwności półinteligenckich i sentymentalnych, wysoce poprawne stylistycznie i językowo — pamiętniki zupełnie dojrzałych kulturalnie ludzi. Te są nie liczne, ale są. Liczniejsze są prymitywy gwarowe, ale prymitywy interesujące przez konkretność i jędrność wysłowienia, choć trafi się i arcyprymityw, bez żadnej organizacji toku opowiadania. Najliczniejsze są te, które przedstawiają t.ż. półinteligencki poziom wysłowienia się, kiedy znać już obeznanie się z literackimi chwytami wyrażania się, ale zarazem, często i gęsto, widzi się jeszcze nieudolność, czy to gramatyczną, w budowie zdania, czy to stylistyczną, czy leksykalną. Nierzadko trafią się ustępy pamiętników lub całe pamiętniki, które niezawodnie świadczą o talencie literackim, w jednym przynajmniej wypadku, zupełnie świadomym artystycznych celów.

Całość jest równie interesująca, jak *Pamiętniki Bezrobotnych*, które ukazały się pierwsze; pokazuje ile w szarym masywie chłopskim już teraz jest oświaty i kultury, ile myśli, ile tam indywi-

dualności nieprzeciętnych, ile ziarn złota w tej szarej rudzie.

(Przy czytaniu wyjątków należy mieć na uwadze, że wszystkie były pisane z końcem 1933 roku, że autorowie ich wszyscy mają tylko szkołę elementarną ukończoną, że pamiętniki zostały wydane po oczyszczeniu błędów ortograficznych, ale ze staraniem o zachowanie fonetyki gwarowej i interpunkcji).

¹⁾ Pierwsza nagroda wynosiła 100 zł., dwie następne po 50 zł., dalszych 8 po 25 zł.

²⁾ W roku 1929 krowa kosztowała 500 złotych, w r. 1934 za 250 zł. można było dostać dwie krowy. Nawóz sztuczny (superfosfat) od r. 1927 do 1934 zdrożał o 104^{0/0}, szpulka nici o 133^{0/0}, pług o 197^{0/0}, wszystko przeliczone na kg. zboża; ale więcej jeszcze zdrożała ziemia. (Por. J. Michałowski *Wieś nie ma pracy*, Warszawa 1935, Instytut Spraw Społecznych).

*

Pamiętniki Chłopów. Nr. 1—51. (Warszawa 1935. Instytut Gospodarstwa Społecznego z przedmową Ludwika Krzywickiego i studjum o pamiętnikarzach, str. XLII + 714).

128. [Co myśli o przyczynach kryzysu?, 15].

(*Pam. nr. 1, gospodarz ongi 30-morgowy, w powiecie błońskim, syn bogatego gospod., lat 37, 3 kl. rosyjskiej szkoły elementarnej*).

Przyczyną obecnego kryzysu według mojego zdania jest to, że nie mieliśmy od początku państwa polskiego normalnego pieniądza obrotowego i przechodziliśmy najrozmaitsze załamania, czy to wzwyż czy w dół, i na każdym takim załamaniu ucierpiała pewna warstwa społeczeństwa i jeżeli byśmy przechodzili jedno załamanie, to tylkoby

ucierpiała pewna część społeczeństwa, toby się nie dało nawet odczuć na ogóle, ale ponieważ przechodziliśmy cały szereg takich załamań i każde załamanie uderzyło w inną część społeczeństwa, przez to, choć nie jednocześnie, ale szybko jedno po drugim i ucierpiało całe społeczeństwo, a najgorzej ucierpiało rolnictwo, bo w rolnictwo właśnie było wystosowanych kilka uderzeń bardzo poważnych, bo w swoim czasie, kiedy rolnicy jeszcze stali możliwie, a zaczął się chwiać przemysł i fabrykanci, to ci ostatni ponieważ mają związki, zaczęli robić hałas i zaczęli interwenjować do rządu, rząd zaś przychyłając się do ich prośby porobił pewne zarządzenia, aby przyjść z pomocą przemysłowi, ulżył im w podatkach, a przycisnął śrubę podatkową na rolników. — — —

129. [Bieda wiejska, 12].

Dzięki temu, że żona moja potrafi robić płótno samodzielnie, a córki jej w tym pomagają, więc siejemy len i kobiety same go moczą, mędlą, przędą i wyrabiają płótno, wobec czego chociaż bielizny nam nie brak, gdyby było zaco owiec kupić to możnaby i wełniaki robić na ubrania i skóryby były na kozuchy, bo już hodowałem owce w swoim czasie i wiem co one są warte w gospodarstwie, ale choćby ze dwoje na nasienie niema zaco kupić tembardziej, że w tej okolicy ludzie nie chowają owiec i trzebaby po nie gdzieś jechać dalej. Ja zaś zimową porą poza młócką ręczną i innymi robotami co dziennymi robię okna inspektowe (bo choć na małą skalę, ale jeszcze prowadzę warzywnictwo), reperuję i uzupełniam wszelki sprzęt w gospodarstwie, bo mogę powiedzieć, że wszystko znam potrochu,

stolarstwo, ciesielstwo, ślusarstwo, kowalstwo, a dziś się nawet nauczyłem szewstwa i krawiectwa, więc roboty jest zawsze dosyć, tak, że mogę powiedzieć, zimą i latem pracuję szesnaście, ośmnaście godzin na dobę. Co do prac społecznych nie chcę się już dzisiaj niczemu udzielać, dostałem takiego zniechęcenia, że nawet aż się żyć nie chce, mimo jednak niechęci z mojej strony wybrano mnie w r. 1928 na prezesa Kasy Gminnej Pożyczkowo-Oszczędnościowej, gdzie pracowałem do wyjazdu do Warszawy, obecnie wybrano mnie do Rady Gromadzkiej i postawiono moją kondydaturę do Rady Gminnej i tu gorsza sprawa, bo nie wolno odmówić.

Co do obdłużenia mojego gospodarstwa to aż włosy dęba stają jak sobie pomyślę, bo już mam dosyć doświadczenia co to są długi, otóż w Państwowym Banku Rolnym winien jestem 5.400 zł., w Kasie Komunalnej w Grodzisku za drzewka 700 zł., a Kasie Gmin. 400 zł., a prywatnych około 800 zł. — — —

[13] — — — Wiele, wiele jest takich rodzin co chleb pieką tylko w żniwa zaraz z nowego, a później tylko na wielkie święta to jest cztery lub pięć razy na rok, a dziecku do szkoły zamiast kawałka chleba daje matka parę kartofli pieczonych, o cukrze to szkoda mówić, niektórzy to jeszcze sobie pozwolą na jakieś wielkie święto kupić choć ćwierć kilo, a większość jest takich, którzy zupełnie zapomnieli jaki to cukier ma smak, jednym słowem źle jest na wsi, bardzo źle. A już najgorzej to jest właśnie na parcelacjach i po scaleniu gruntów, bo nikt przecież nie przewidywał, że dojdzie do tego stopnia co doszło i każdy zaciągał różne pożyczki jaknajwiększy kawałek ziemi kupić i gdyby się nie zmieniło

tylko było dziś, tak, jak wtedy kiedy brał ziemię, to wszyscyby już byli bez długów, bo każdy się obliczał co może wytrzymać, a tak to jak jest, otóż w mojej okolicy jest około pięćdziesiąt gospodarstw z parcelacji z jednego majątku i prawie wszyscy znajdują się w takich warunkach, np. na dziesięć hektarów tj. ośmnaście morgów ziemi i na niej ma 20.000 zł. długu i nawet i połowy budynków niema jakie mu są potrzebne i ma jedną krowę, najwyżej dwie, a są tacy co i jednej nie mają. Są tacy co już sprzedali i nic im nie pozostało. — — —

130. [Lichwiarze chłopscy, 14].

— — — Są jednak i na wsi pewne wyjątki, którym się świetnie powodzi i w naszej okolicy jest parę takich pijawek, którzy na wyżej wymienionej biedzie porobili majątki, np. siedm lat temu taki pasorzyt miał 500 zł. gotówki i zaczął ją pożyczać na 5%, później na 4% i tak potrafił temi pieniędzmi obracać, że kupił sobie kilkanaście morgów ziemi i jeszcze mają kilkanaście tysięcy zł. gotówki na pożyczkach, pożyczyłem i ja od jednego z nich w swoim czasie 200 zł. i płaciłem po pięć od sta miesięcznie, to jak, powiedzmy, dziesiątego przeszedł miesiąc, jak mu zapłaciłem ostatni procent i ja mu nie odniosłem dziesięciu złotych, to na drugi dzień przychodzi syn owych państwa i woła, żeby mu dać dziesięć zł.; ja nie mam pieniędzy, więc go proszę, mój kochany przeproś rodziców, że ja nie mogę dziś oddać, ale się postaram i wkrótce odeślę, to on najzwyczajniej siada sobie na stołku i powiada, że matka mu powiedziała, żeby do domu bez pieniędzy nie przychodził tylko żeby siedział, aż ja mu oddam te dziesięć zł., no

i on będzie siedział, więc aby się pozbyć musiałem iść do sąsiadów pożyczyć dziesięć zł. i wyprawić go z domu, otóż tacy panowie mają dziś po kilkanaście spraw w Sądzie Rozjemczym i w dalszym ciągu kombinują jakby się dało ludzi wyzyskiwać, ale im się trochę urwało¹⁾).

¹⁾ Typ lichwiarza - chłopa daje J. Burek w swej *Drodze przez wieś*.

131. [Upadek organizacyj gospodarczych, 24].

(*Pamiętnik nr. 2, gospodarz czternastomorgowy w powiecie warszawskim*).

— — — wszelkie organizacje typu gospodarczego upadły zupełnie we wsi. Czego dowodem jest moja wieś P..., w której to organizacje gospodarcze, jak Kółka Rolnicze, placówka spółdzielcza, zupełnie upadły, bo nie mogły sprostać cenom rolniczym, bo propagowanie używania nawozów sztucznych, oraz wszelkiego rodzaju meljoracji i postępu w gospodarstwie przy jednoczesnym spadku rentowności w gospodarstwie, nie daje żadnego rezultatu, a co gorsza prowadzi przy tych warunkach jakie mamy dzisiaj do gorszej niewypłacalności, czego dowodem są spółki wodne, które po zmeljorowaniu gruntów swoich członków w r. 1928/29 stoją na schyłku bankructwa.

132. [Krajobraz wsi rodzinnej, 63].

(*Pamiętnik nr. 7, gospodarz niegdyś na dziesięciu morgach, obecnie na uszczuplonej osadzie w pow. łaskim*).

Urodziłem się we wsi Dąbrowa. Długa ta wieś, niebrzydka, a prościutka jakby strzelił. Kole

drogi co z górki z pod lasu wyłazi i ciągnie się do pastwisk stoją chałupy to spróchnięte, niby te przykucnięte babiny co siedzom pod kościołym na odpuście, to znów proste, gładziutkie wcale podobne do miejskich. Przy drodze rosnom wielkie gruchy od powstania i niejedna z nich pięć paminto pokoleń, i choć to płone, stoją od parady, a pożytku z nich tyle, że latym gdy słońce skwarczy spracowane ludziska mogą se pod gałynziami chłodu zażyć, bo przez gęste liście nie przedrze się ani jeden promyczek. Wśrodku, gdzie się krzyżują drogi pod lipami stoi krzyż bardzo stary i nikt ze wsi nie wie kto go stawiał, tylko mówią, że jest z najstarszej sosny z całego boru, a opowieści o nim tyle że księge by napisał. Teraz poprzeczka się już schyliła, krzyż mchem porósł i groby co pod nim leżą z ziemiom się zrównały. Leży w nich parę powstańców z 63 roku co ich kozaki nasiekli. Stare to groby, trawa na nich rośnie i dziewanna, a krzyżyki spróchniały schyliły się do ziemi. Glapa¹⁾ na nich sindzie czasem, zaskrzeczy i odleci w pole. W końcu wsi ciągną się łąki, torfisko i wielkie topiele. Koło wsi płynie rzeczka, a na niej pod borym stoi stary młyn. Dawni pański a teraz mieszka w nim stara Manicha co sie zna na chorobach. Dawno myliło się w nim, a teraz woda groble zerwała i nowy młyn postawili, a stary stoi, bo jest bezpański. Nikt go nie reperuje, to też pochylił się i ziobrami prześwituje, niby ta chudzina, co jej pies z litości gałgany targa i wiater je kołtuni²⁾.

¹⁾ Wrona.

²⁾ Byłoby bardzo ciekawem wiedzieć, czy ten pamiętnikarz czytał Reymonta? W każdym razie, mamy tu, jeśli nie całkiem samorodny, to prawdziwy i mocny talent literacki.

133. [Dawne czasy, 65].

Miałym wtedy lat 17. Ku jesieni się zabierało. Dnie były krótkie, ciemne, jakieś zaspane a takie smutne, że wlekły się bez końca niby te śli-
żnaki¹⁾. Chodziło się z konta w kont po błocie gnoju, koło kuni, krów, bo co było robić. Starzy śli do karczmy. Parobki też czynsto robiły muzykę. Biedniejsi rąbali drzewo na pynczki aby grosza przysposobić i przykupić do jedzenia, bo lichy się wtedy rodziło. Ludzie mniej w polu robili, bo drewnianym pługim spełali tylko, to też u niejednego bidą się pchała oknym i drzwiami. Ale ludzie jakoś nie narzykali. Każdy wiedział, że tak być musi i nie było się u kogo upominać. Podatki były małe. Ludzie się nie martwili wiele. Tyle wiedzieli, że w sobotę do karczmy iść trzeba, choćby i kaszy zanieść. O dzieci się nie martwili, bo ziemię mieli, i dzieci gdzie posadzić, a tyle wiedzieli, że chłop chłopym zawsze bydzie i gdzie im było o Polsce myśleć. Ponowie ją przehandlowali ruskim, gdzie się chłopu do tego pchać było. Pamientali starzy dawne czasy, kiedy chłop z pańszczyzny wracół z pełnymi cholewami krwi z pod nahajów, to też siedzieli cicho na wsi i gdzie im było myśleć o Polsce, co ją pany szykowały na gwałt. Takie to były czasy. Jedno było staranie żeby kawałek ziemi mieć, nojeść się co bóg do. Do kościoła iść w niedziele, bo święto od modlitwy, popłakać sobie jak proboszcz bardzo wykrzykiwali, zaorać plebańskie ugory jak za pokute naznaczyli. Ruskie byli od tego żeby rzondzili a ludzie orali, sieli i kormili się.

Rok miał lato, jesień, zime, wiosne, siało się, rosło, sprzątało się a zimom to łoli kołówrót prałoli, wygnoł czasem ojca z roli i synowi tak się myko

bo gorzałkę dobrze łyko, a matka tyż za tatom z przyśpiewką. I jo tu i ty tu i oba my wszyndzie a któż nom te kondziuleczke, kto nom tu oprzyndzie. Reszte co sie nie przepiło to sie sprzedało i ruble były.

Była tyż na wsi biedota, ale robote miał każdy. U bogatszych gospodarzy i świnie się zabiło, kaszy było dużo, kartofli tyż i chociaż nie było takich różnych jak dzisiaj, ludzie je jedli bo innych nie znali. W poście ksiądz pościć kazał ściśle, to tyż kobity foski serwatki nazlewały, a potym gotowały polewke kwaśnom ale ludziom smakowała, bo nie mieli sie do kogo skarżyć a zresztą lepszej w Polsce nie znali to tyż dziękowali bogu za to co mają, a krzyże przy drogach stawiali²⁾.

1) Znowu zdanie mocno Reymontowskie.

2) Doskonały zwięzły skrót dla wyrażenia monotonii i dobrodusznej bierności owych czasów.

134. [Wojsko i powrót z wojska, 70].

— — — Ale niedługo trwała ta uciecha. Do wojska mnie zabrali i musiałym wszystko zostawić. Jak mnie wtedy gniotło na wnętrzu gdym z chałupy wyjeżdżał. Tam mnie coś wiązało sznurami żelaznymi tak mocno, że i piekielny ogień nie stopiłby ich. Nie wiedziałym czy wrócę i zegnałym oczami chałupę, ziemie, wszystko. Żona płakała bardzo. Mnie tyż sie rozdzierało serce, ale nie mogłym się oprzeć, bo była to siła, moc postronka, co trzyma człowieka na życie. Przeklinałym całą mocą Rosję i byłem się tylko ucieszył, że kiedyś to minie. Bo nima siły, coby trwała wiecznie na świecie, bo choćby głowę tłukł o mur, to najprzód sie głowa potłucze, a potym kiedyś sie

mur przewali¹⁾, a co dopiero z ludzkim życiem żywym. Ojciec syna gniecie, będzie kiedyś gniół syn ojca, gdy go się dochowa²⁾. Siedym lat służyłem we wojsku. Dalekom był i dużom widział, ale tego nie pisze, bo księgebym napisał o tych latach, a o to się nikt teraz nie pyta. Tyle tylko powiem, że gdy wracał i pierwsze zobaczył chałupy, tom ożył i jedno pragnęłam, by spokojnie usnąć w swojej zagrodzie.

We wsi psy ino powitały szczekaniem. Zdaleka dopatrywałam się chałupy swojej i takim dążył przez pola. Światełka mrugały w ciemności, alem zdaleka rozpoznać nie mógł, które moje. Podszedłem bliżej, ciemno było w moi chacie. Zachybotało mi serce ze strachu i własny niemocy. Stuknąłem w drzwi, nikt mi nie otworzył. Pchnąłem drzwi z całej siły, aż się z zawias wyrwały, wbiegłem do mieszkania. Byli wszyscy. Żona zerwała się z łóżka, dzieci spały. Wszystkie mię opuściły siły, takim się zrobił słaby, że i ruszyć się nie mogłem z miejsca. Chłopaki chrapały na całe gardło. Całom noc nie spaliśmy wcale. Tyle było do opowiedania, tyle nowości. Ojciec ani matka nie żyli, żona była już inna jak sobie myślałam. Tydzień cały przeszedł, ninem się we wszystko włożył. Tak było inaczej na wsi. Starzy wymarli, chałupy sie troche poprzygarbiały, drzewa urosły, ino ziemia była taka sama swoja, że ją się tulić całą czarną chciało jak to rodzone dziecko, bo była w ni siła co nie odepchnie człowieka³⁾. Nadeszła wiosna. Ciepłuchny wiaterek muskał przytulnie. Wyglądała z pod śniegu ziemia martwa jeszcze. Słońce przygrzywało ciepłuchno i budził się żywot, co gdzieś spoczywał skryty⁴⁾. Ludzie wyłazili

z chałupy, przeciągali stężałe kości i chleptali powietrze po długim, kiśnięciu w chałupie. Kręcili się, wiosna się przeciągała, a nadażyć trzeba było, by wszystko siać, orać, prosić boga o urodzaj, bo w tym nasza uciecha. Robiłbym i ja na polu od rana do nocy, bo ziemia była zapuszczona. Cóż mi tam było. Robota była pociechą, bom siły miał dosyć, że i w noc mogłem nie spać.

1) Doskonały aforyzm!

2) Świetna, lapidarna rytmika tego zdania!

3) 4) Tu byłbym bardzo rad wiedzieć, czy to są jakieś reminiscencje literackie, choćby nieświadomione, czy wyrażenia się samorodne?

135. [Śmierć żony, 72].

We wsi było cicho¹⁾. Na drodze ani żywej duszy. Ludziska się pokryli myślą sobie. Zimno, to się i wychodzić nikomu nie chce po próżnicy. Przyszedłem do chałupy, otworzyłem drzwi izby, nie było w niej nikogo. Z ojcowej chałupy wyszła siostra przyrodnia, spytałem o żonę i chłopców. Już pochowano, powiada, chłopaki są u nas. Pociemniało mi w oczach. Czarne i szare kółka skakały przedymną. Oparłem się o futryne i wyc mi się chciało tak jak temu psu na zawiei. Wyszły chłopaki i tuliły się do mnie. Spytałem ich co mówiła matka jak umierała. Powiedziała, żeby się tata nigdy nie żenił i zaczęły płakać. Żal mi się ich zrobiło i mówię: cichocie dzieci, krzywdy wam nie zrobię. Ojciec jestem wasz, rodzony ojciec. Po południu poszedłem na smentarz. Żółte liście leżały na ziemi. Drewniane krzyże nasiąkły wodą. Pod płótem leżała kupa żółtego piasku, co to zrobiła miejsce człowiekowi, a sama leżała i czekała aż

się rozleci ludzka mocność, to znów się zrówna i trawom porośnie nazod.

¹⁾ Wraca z Prus, gdzie jeździł na zarobek, jako robotnik rolny.

136. [Tłuczenie kamieni, 85].

(*Pam. nr. 8, gospodarz na 3-morgowem gospodarstwie w pow. radomszczańskim*).

Na wiosnę, kiedy już łąki zakwitły kaczęciem, a zboża zakryły zielonością ziemię, poszedłem tłuc kamienie przy budowie szosy. Po wydaniu młotków — jedyne narzędzia pracy, usiadłem z wielu innymi przy długiej przyźmie kamieni i silnemi uderzeniami zamieniałem w gruzy granitowe głazy. Zaczęły się ciągnąć długie monotonne dni, jedne drugim podobne, rozpoczynające się o wschodzie, a kończące się mrokiem. Słońce witało mnie swym złotoblaskim uśmiechem wywijającego młotkiem, aż rozbryzgiwały na wsze strony potrzaskane skorupy kamieni, mające być fundamentem jednej ze ścieżek cywilizacji i szerokim gościńcem dla pędzących samochodów, wiozących sytych, dobrze ubranych i rozbawionych. Będąc kamieniarzem z łaski niebios, biłem młotkiem ile sił starczyło w moich dłoniach, aż wierzgało „kowadło“ z wybitą w niem kotliną, a unoszący się pył kamienny dymił, tamował oddech i żarł w oczy. Słońce prażyło całą potęgą swych mocy kosmicznych, aż migotało i trzęsło się wszystko w oczach jak falujące morze... Skóra na grzbiecie wzdęła się w pęcherze, obnażone ręce pokryły się łuską, a czasem nawet krew rzuciła się nosem. Pomimo wszystko trzeba było pracować i śpieszyć się, bo

nędzna płaca nie pozwalała na odpoczynek. Kiepskie wymagrodzenie za pracę najemników nie wystarczało kapitaliście, on jeszcze okradał więcej naiwnych na miarze¹⁾, co oczywiście nie przeszkadzało mu być inżynierem, rzetelnym obywatelem i uczciwym chrześcijaninem. A kiedy który z odważniejszych ośmielił się upomnieć o swoją krzywdę, to został zwymyślany od durniów, idjotów i buntowników i na tem skończyło się. Z roboty wyrzucić nie mogli, bo tłuczenie kamieni z powodu wielkości fizycznego wysiłku jest samym w sobie zawodem wolnym. Jeśli nie mogli pozbawić pracy to pozbawili chleba przez nieprzyjęcie w ciągu całego lata wykończonej roboty. Pretekst zawsze się tam znalazł jakiś, tak, że sprawiedliwości nie doszukał się nigdzie.

1) Przy odbiorze roboty.

137. [Ojczyzna proletarjuszów, 88].

Po skończeniu robót jechaliśmy wszyscy wygnańcy do domów i ojczyzny¹⁾. To ostatnie pojęcie nie wiązało nigdy zbyt mocno chodzących na saksy, gdyż nigdy nie słyszałem, aby który z nich tęsknił do kraju, jedynie może do stron rodzinnych, gdzie pozostawił swoich bliskich. Ojczyzną była dla nich praca. Tam gdzie mieli pracę i jakie takie środki bytowania, tam wszędzie była dla nich nieszczęśliwców ojczyzna. Obojętnem im było pod jaką długością lub szerokością globu znajdują się, byle tylko ulżyć swej doli, byle wydobyć się z piekła cierpień ojców i przodków swoich.

1) Był w Niemczech jako robotnik rolny.

138. [Na folwarku, 89].

Po pięciu godzinach snu trzeba było wstać i wlec się do pracy¹⁾. Człowiek był tak zarobiony, że nie było nawet czasu umyć się, a oczyścić twać. Chodziło się jak pomyleniec brudny, obdarłty i śmierdzący gnojem. Tak obrzydłe warunki pracy były jeszcze pogłębione przez używanie wstrętnych wyzwisk w rodzaju: ty k. . ., ty s. . ., których począwszy od dziedzica, a kończąc na „karbowym“, używali wszyscy spełniający wiernie wolę Pana i władcy. Lecz podłe urągowiska ze strony tych krwiopijców były niczem, im przypominały się dawne lata pańszczyzny, kiedy mogli dworusa bić, a on padał im do nóg, jak pies. Na własne oczy kiedyś widziałem, jak dziedziczka przyjechała na koniu do młócki zboża i biła robotnika po twarzy²⁾. Widziałem jak chłopu mignął złowrogi błysk w oczach i zgasł, gdyż sroga rzeczywistość wołała do jego rozumu, gdzie pójdiesz?, gdzie robotę dostaniesz?, czem wyżywisz żonę i dzieci?! I ten silny chłop, od którego uderzenia pięści, mogła pęknąć szczęka, opuścił pokornie oczy i czekał... aż pani dziedziczka ochłonie z gniewu. Bo gdzież pójdzie ten nieszczęśliwiec, czego się uczepli, jeśli wszędzie, jak Polska długa i szeroka, niema co robić. Nie pójdzie dziś do Niemiec, nie pójdzie do miasta, nie pozbawi się życia, bo je za bardzo kocha; kocha swe ubóstwo, brudne i obdarte dzieci i żyje nadzieją lepszego jutra.

¹⁾ We dworze, jako woźnica na folwarku.

²⁾ Szkoda, że nie znamy nazwiska tej pani i nie wiemy jakiego to typu byli ziemianie?

139. [„Na wiarę“, 90].

W pewnym czasie po śmierci matki — wprowadziłem do domu swego żonę, by we dwoje łatwiej można było ciągnąć ten rydwan życiowy. A że taką spółkę rodzinną trzeba koniecznie zawierać na plebanji i w kościele, wobec tego poszedłem i ja. Zaraz na wstępie ojciec duchowny kazał zapłacić sobie 10 zł. za tak zwane zapowiedzi. Po upływie trzech tygodni poszedłem zgodzić ślub. I o dziwo! ksiądz zażądał 60 zł. Zaproponowałem mu 20 zł. Nie chciał gadać. Mało tego, naurągał mi od parobasa, chama, bezbożnika, wolnomyśliciela itp. epitetów [*sic*, zam.: epitetami], poczem otworzył mi i kazał czempredzej wynosić się. Tego już znieść nie mogłem. Uniesiony najwyższym paroksyzmem gniewu, chwyciłem za najbliższej stojące krzesło — —

Na trzeci dzień zaraz po tem zdarzeniu wydalono mnie ze dwora bez podania jakichkolwiek powodów.

Z żoną „do ślubu“ już więcej nie poszedłem i żyjemy „na wiarę“, gospodarząc się na trzechmorgowym skrawku ziemi.

140. [Życie udałe, 137].

(*Pamiętnik nr. 2, muzyk, a zarazem gospodarz w powiecie radomszczańskim, lat 61*).

— — — poszedłem do pracy¹⁾, ale już nie za kowala, tylko za ślusarza i znów zacząłem się starać, żeby poznać ślusarstwo. Kupiłem zaraz książkę przewodnik ślusarski, abym mógł prędzej się poznać z konstrukcją maszyn i w krótkim czasie opanowałem maszyny, które były w warsztacie, tak że mogłem pracować na każdej maszynie to

jest na tokarni, heblarni, fryzmaszynie, sztosmaszynie itd. I teraz mnie mianuje jako starszego majster, żeby doglądać maszyn i obuczać innych. Lecz teraz byłem na koncercie orkiestry z Werku Miłowickiego, spodobała mi się bardzo i postanowiłem, że muszę w tej orkiestrze grać, bo mi się zdawało, że to oo ta orkiestra gra to i ja zagram. Więc poszedłem do kapelmistrza, że gram na kornecie powiedziałem mu i kazał mi przyjść na próbę, zaszedłem i dał mi taką rzecz, którą ja umiałem grać, więc mu się spodobałem i przyjął mnie do orkiestry i jednocześnie do pracy. Innego miejsca nie było tylko za kowala, niebardzo chętnie przyjąłem to kowalstwo, lecz cofać się nie wypadało. Teraz znów pracuję za kowala i gram w orkiestrze. W tym samym roku był konkurs orkiestr, na którym braliśmy udział i orkiestra, w której ja grałem wzięła pierwsze miejsce. Teraz mnie poznał kapelmistrz orkiestry kopalni Kazimierz i postanowił, że mnie musi dostać do swojej orkiestry, przysłał po mnie muzykanta, żebym przyszedł do niego. Poszedłem, on mi zaraz zaproponował żeby opuścić fabrykę, a przyjść na kopalnię, że jakie wynagrodzenie będę chciał to takie mi dadzą, więc się zgodziłem przyjść na kopalnię i za trzy dni już pracuję na kopalni, jako górnik przy budynku (czyli budowacz). Tu mam więcej swobody, wynagrodzenie dobre. Teraz postanowiłem muzyki się uczyć dalej, żebym mógł na wszystkich instrumentach grać. Poszedłem do składu i kupiłem skrzypce, poprosiłem kapelmistrza, żeby mi napisał gamę i teraz sam zaczynam grać, tylko mi idzie łatwiej, bo już na kornecie umie, dzielenie znam dobrze, teraz to tylko żeby skrzypce opanować. Kupiłem

szkołę i za dwa miesiące łatwiejsze rzeczy już mogę grać, a za rok to już grałem z orkiestrą. A teraz za oszczędzone pieniądze kupuję instrumenty muzyczne i nuty najśłynniejszych kompozytorów i gram na różnych instrumentach, to jest skrzypcach, wielonczeli, kontrabasie, kornecie, flecie, klarncie itd. i teraz już daję innym lekcje, dalej kupuję szkoły różnych autorów i koncerty wszechświatowych muzyków i ćwiczę wieczorami do najpóźniejszej godziny. Teraz zobowiązałem się orkiestrę uczyć zespół dętych instrumentów i lekcji prywatnych mam tyle, że mi czasu brakuje. Więc musiałem pracę na kopalni opuścić, a tylko się zająłem muzyką i powodzenie mam dobre i teraz zacząłem udzielać lekcji śpiewu dzieciom w szkole i znów postanowiłem się kształcić w śpiewie, kupiłem podręcznik śpiewu, drugą książkę przewodnik śpiewaka, nie tracąc czasu jednej minuty, tylko się uczę śpiewać i grać, dalej założyłem orkiestrę smyczkową, z którą po niedługim czasie miałem uznanie w całym Zagłębiu. Jeszcze mnie niepokoi, bo jeszcze nie umiem grać na fortepianie więc postanowiłem kupić fortepian lub pianino i nadarzyło mi się pianino, kupiłem i znów zadałem sobie wiele pracy zacząłem się nauczyć grać na pianinie, lecz jestem zadowolony, bo opanowałem grę fortepianową i mam trochę pojęcia o organie. I do samego wybuchu wojny europejskiej wyszkoliłem kilka orkiestr, z którymi występowałem na koncertach, na zabawach i teatrach. Orkiestry przezemnie wyszkolone miały uznanie i zajmowały pierwsze miejsca, ja zaś jako kapelmistrz ciesząc się dobrą opinią i powodzeniem. Lecz wojna wybuchła europejska i wszystko się skończyło. Przez dwadzieścia lat zajmo-

wałem się nauką, jak również i pisaniem nut, pisałem partytury na orkiestry dęte, smyczkowe, fortepian i organy. W swoim repertuarze miałem zgórą pięć tysięcy utworów, własnej kompozycji trzysta utworów. Teraz wojnę przewidziałem, że będzie parę lat, więc postanowiłem jechać do swojej rodzinnej wioski tylko już nie sam, a raczej z żoną i dziećmi²⁾.

[141]. Chorób żadnych nie przechodziłem, lekarstw żadnych ani jednej kropli w ustach nie miałem, trunków alkoholowych nie używam, tytoniu czyli papierosów od dzieciństwa nie palę, więc jednego grosza zapracowanego na te zbytki nie wydałem, ale zato mam instrumentów muzycznych kilkadziesiąt i nut wszechświatowych muzyków i w bibliotece książek różnych autorów. Odżywiam się pokarmami przeważnie nabiałowymi, mięsnych potraw używam rzadkością, wody zgórą czterdzieści lat ani kropli nie piłem, jak również żadnych zimnych napojów. Teraz co najważniejsze, do czego tylko w życiu zamierzyłem, to i zdążyłem, bo zawsze postanowiłem, że muszę to zdobyć, a nigdy nie wątpiłem, jak tylko przyszedłem do rozumu, to zawsze wierzyłem, że tylko przez pracę osiągnie szczęście ten, kto do tego szczęścia dąży, więc ja zdążyłem, jestem zadowolony, mam spokój sumienia, zdaje mi się, że posiadam wszystko to co chciałem i co mi jest potrzebne bo zawsze miałem na myśli, żeby mieć swój kawałek ziemi, bo jest najpewniejszy i żadyn mnie z niej nie wypędzi. Kończąc swą przeszłość życia dotychczasowego potwierdzam, że wszystko co posiadam zdobyłem przez pracę sumienną i wytrwałą³⁾.

1) Ojciec odumarł go wcześniej, matka po raz drugi wyszła za mąż; nie chcąc być na łasce ojczyma, opuścił dom jako 20-letni młodzieniec, był górnikiem w Dąbrowie, potem przenosi się do huty, gdzie pracuje jako kowal, ulega nieszczęśliwemu wypadkowi, po wyleczeniu się wraca do pracy.

2) Zakłada szkołę prywatną na wsi, za sprzedane instrumenty kupuje gospodarstwo 6½ morgowe, jako gospodarz umie urządzić się ekonomicznie, prowadzi ściśle rachunki, dochodzi do 18½ morgów ziemi, zresztą „bardzo lichej“.

3) Mamy do czynienia niezawodnie z jednostką niezwykle utalentowaną i człowiekiem niepospolitego charakteru. (Np. uciekając jako chłopiec z domu, dostał się do kasy ojczyma, w której leżało 230 rubli srebrnych. Wziął tylko jednego, aby mieć coś w kieszeni).

141. [Przy W. P. Marzenie o Polsce, 153].

(Pam. nr. 12, dawny obieżysas, obecnie gospodarz na 6. morgach w pow. łaskim).

Ja nie płakałem, jak to robią rekruci dziś, ja raczej śpiewałem, odjeżdżając na bój, szaron naszego pociągu cały był od końca do końca umajony zielenią i pieśni polskie unosiły się niby jaka prośba do Boga i jako okaz hartu ducha tej wielkiej polskości i wierności i tego młodego rycerstwa polskiego. Takiego ducha nie zobaczy Polska!! już tak prędko, jak wówczas był w całym narodzie polskim, bo ten naród, bo ten lud polski, myślał, że z tej krwi przelanej chłopca i robotnika i za te trudy i znoje¹), głód i chłód i te wszy co go tak mocno żarły, wyłoni się Polska ta prawdziwa i namacalna na każdym kroku dla wszystkich ojczyzna, [że] będzie ucieczką biednych i uciśnionych i prawdziwą matką dla polskich dzieci, że okryje je i przygarnie pod swoje skrzydła, że nie będzie

głodnych i uciśnionych w Polsce, bo tak było przepowiedziane²⁾ i to imieniem państwa i Rządu, imieniem deklaracji praw człowieka obywatela, imieniem Konstytucji Polskiej dla wszystkich obywateli równość i wolność. Ja zanim się doczekałem uniformy od państwa to zdarłem dwa ubrania cywilne, jedną parę kamazsy i parę butów i sześć par samej bieleziny, jedną czapkę i kapelusz i to niech się wam nie wydaje dziś śmiesznem szan. czytelnicy, że ja piszę o kapeluszu w wojsku, bo ja faktycznie wtenczas stałem na posterunku w kapeluszu i karabin na drucie, lub kawałku sznurka nosiłem i byłem naprawdę pośmiewiskiem, lecz ja na nic nie uważałem, a raczej byłem dumny z siebie, że jestem budowniczym Polski, że jutro każde będzie jakiś postęp ku lepszemu robić, taki był duch we mnie i w całym narodzie i ludzie polskim, bo wtenczas to duch narodu zwyciężał, on naprawdę wszędzie, gdzie tylko uderzył bo nie był zatruty, jak dziś, bo narodu duch zatruty to się nazywa bólów ból³⁾!! ja nie służyłem dla pensji ani orderów, żadnego nie mam, tylko parę ran dostałem od wojny i nabawiłem się wielkiego przeziębienia nóg, które po trzykrotnej operacji jeszcze mi chcieli odjąć, lecz na to się nie chciałem zgodzić, wybierałem raczej śmierć, niż zacząć odjąć obie nogi i nareszcie mi wygoili, skrzyżowałem Polskę od Karpat aż po Kijów i z powrotem. — — —

¹⁾ Aluzje do pieśni legionowej: „Naprzód drużyno strzelecka...“.

²⁾ W r. 1920.

³⁾ Z Krasińskiego.

142. [Powrót żołnierza z wojny, 154].

— — — największy pociąg miałem do kawalerji i w której to formacji dokończyłem wojny i pożegnałem swojego karego Eskimosa i wróciłem do cywila do żony i swej małej Andzi, która mnie ani już nie chciała przywitać ponieważ miała już bezmała cztery latka, a ojca nie znała swego bo był na wojnie, i jej także nie znał. Nareszcie się oswoiła i przyznała za ojca swego, ale na fotografje jeszcze spoglądała i mówiła, że tatuś na wojnie jest, miło mi było, że wojnę zakończył i wytrzymałem do końca i przy życiu jestem, a że zdrowie jest zrujnowane to już mniejsza o to, w cywilu się odprężnię to do zdrowia się przyjdzie, długo nie odpoczywałem, zaledwie trzy dni, poszłem się zameldować do oficera ewidencyjnego czyli P.K.U. a tu powiada oddaj ubranie państwowe, ja owszem lecz żądam swego ubrania cywilnego ale! o tem to niema tam mowy wcale tylko dawaj, ja się tłumaczę, że nie mam innego ponieważ zdarłem na wojnie co tylko miałem w domu, a teraz skąd ja wezmę przecież ani pracy nie mam ani pieniędzy na kupno ubrania, krzyczą na mnie jak warjaci, powiada mi jeszcze po rosyjsku w.....! a skazi! czto naszoł! Kartkę dostałem z prolongatą na trzy dni i wypychają mnie za drzwi i ani słowa więcej, poszłem więc szukać pracy bo i w domu niema za co żyć itd. Poszłem do Łodzi, znam ją przecież doskonale boć to moje gniazdo i strony rodzinne, wiem gdzie i co można znaleźć, lecz ja teraz nic jakoś znaleźć nie mogę, zacząłem od tych największych, aż do tych najmniejszych, obeszłem wszystkich Szajblerów, Konów, Grohmanów, i jaśnie tate Poznańskich Gajerów i wszystkich Szmulów i Srulów wiele ich tyl-

ko w Łodzi jest i dla mnie wojaka polskiego nigdzie nie było nic, wszędzie każdy Szajbler zapytuje mnie, gdzie ja byłem do tego czasu, ja na to, że byłem na wojnie, przecież pan ...mundur widzi, gdyż ja walczyłem za Polskę, proszę dowód itd., itd. to on mi każe pójść do komendanta Piłsudskiego, żeby mnie dał pracę itd. takie to miałem uwzględnienie, jako żołnierz i budowniczy Polski od naszych panów fabrykantów, więc poszłem znów po biurach pośrednictwa pracy i szukałem i prosiłem bodaj na wyjazd zagranicę, bo dla mnie przecież niema Polski, ani ojczyzny matki i żadnej opieki nademną niema ani prawa też żadnego nie mogę znaleźć, więc chodzę codzień na biuro i pytam o jakie tam zapotrzebowanie do pracy, nareszcie więc przyszło, ale do Francji na górników, ja więc bez namysłu jestem górnik, aby tylko jechać i pojechałem¹⁾.

¹⁾ Wee Francji zaoszczędził dosyć, po powrocie kupił sobie z parcelacji ziemię, na której się osiedlił.

143. [Maltuzjanizm. Życie wiejskie, 176].
(*Pamiętnik nr. 13, dawny obieżyświat, obecnie gospodarz w pow. radomszczańskim, syn gospodarza małorolnego, służył przy wojsku rosyjskiem*)¹⁾).

Młodsze pokolenie jakoś tam chociaż z tem nadmiernem rodzeniem dzieci daje radę, bo jak kobiecina zajdzie w poważny stan to jak ma dziesięć złotych, to ta znajdzie się taki co sztuczne poronienie za te 10 zł. zrobi, a ta co tych 10 zł. niema, to sobie sama brudnym palcem w macicy poskrobie, krew puści i poronienie wywoła, że ta

która z tego do ziemi pójdzie, to co to kogo obchodzi, chociaż tam mówią o jakisich Malhtusach co to zapobiegają ciężę, to przecie chłop tego nie kupi, bo go na to nie stać, za jeden raz 50 groszy dać, a ile by musiał na cały rok zapłacić, całą gospodarkę by stracił, chociaż tam ktoś mówi o poradniach żeby po osadach zakładać to chyba by była porada darmo, bo tu na sól niema, o poradzie i gadać niema co, jak by tam zrobili coby taki Mahltus kosztował 15 gr. toby i mniej kobit albo dziewczyn szło do ziemi. Ja tam nie wierzę żadnem obietnicom co to ziemię dają albo robotę w fabryce, bo ani ziemi ani roboty niema tyle, co jest biedy po wsiach, ograniczyć płodność, to następne pokolenie będzie miało i ziemię i robotę, tak jak dziś jest po sześcioro, ośmioro w każdej chałupie to co tu pomoże reforma rolna, ojciec bije swoją żonę, wyzywa ją od maciory, dzieci to samo o bele co katuje. Jedzenie trzy razy kartofle bez okrasy, wszy pełno, bo na mydło nie starcza, oberwane dzieci aż zgroza, kawałek chleba tylko na uroczystość jest, istna inkwizycja i niejeden mówi, że chłop dawniej nie był patryjotą i dziś nie jest, bo go bieda wrogo usposabia, czy on ma za swoją pracę wynadgródzenie, żyje niżej krytyki, jak na obiad zje kartoflanych klusek z mlekiem albo z kaszą jaglaną i to nie codzien boby mleka nie starczyło a ino na niedzielę, na jednym łóżku śpi po cztery osoby, twarz się myje raz na tydzień mydłem, bo nie starcza i taki mieszczuch mówi, że chłop to sprzeda to, co ma na zbyciu, jeszcze mu się zazdrości, a on żyje jak krówka w oborze, nie zna teatru, cyrku, kina, w mieszkaniu stoją tam dwa łóżka, stół, dwa krze-

sła i całe umeblowanie, dużo tu pomoże odczyt o gruźlicy albo higijenie jak każdy ledwo nogami przeplata, bo od takiego życia musi się zrobić leniwem i tak w koło.

1) Był kelnerem, robotnikiem w Niemczech, sklepikarzem, w końcu kupił sobie grunt i chciał na nim dom wybudować, grunt okazał się podmokły, wpadł w biedę, żona mu zwarjowała.

144. [Charakter chłopa, 201].

(Pam. nr. 15, bezrolny wyrobnik wiejski w pow. kaliskim, lat 23, syn krawca wiejskiego).

— — — chłop ma w swym charakterze cechy nadzwyczaj dodatnie. Pozwólcie mu tylko wyrobić się, ukształtować swój umysł, a rozwinie on w całej pełni swe wartości człowieka natury. Przyjrzyjcie mu się jak on od świtu do nocy zabiega. Rzućcie na te miljonowe masy spojrzenie, gdy o wiosnie lub słotną jesienią, kroczy przez pole uprawiając je w pocie czoła. Oceńcie tę mrówczą pracę i wydajcie sami opinię o tych, którzy ją wykonują.

Pod względem ekonomicznym chłop ma wysoką wartość. Rzadko się zdarza by był marnotrawnym. Kocha swój warsztat rolny a z ukochania tego wynika gorące oddanie się pracy w nim.

Gdybyście mogli wejść w umysł chłopa z jaką on poezją myśli o swem gospodarstwie. Z jakim rozmachem i zaciętością wykonuje swą pracę. A przecież z trudu tego wyrasta dobro państwa. Oszczędność u chłopów jest prawie ogólną. Spotykałem dużo takich, którzy żałują rozmienić pieniądze na jakieś mniej ważne potrzeby, chcąc je za-

oszczędzić. A przecież oszczędność i pracowitość to podstawy dobrobytu społeczeństwa. Moralnie też chłop nie jest tak złym, jak go malują.

W chłopie jest litość dla krzywdy, jest poczucie prawdy. I choć nieraz się zdaje, że chłop to rzeczywiście zły człowiek, to jednak nieprawda. Są w nim pierwiastki dobre, które choć przysypane warstwą złych nawyków przyswojonych przez upadającą przeszłość, — mogłyby zakwitnąć w całej pełni, gdyby tylko dano możność chłopu doskonalenia się.

145. [Gruźlica, 196].

Gruźlico¹⁾, ty straszna przyjaciółko szarych, nędznych chat ludu! Kiedy twe bezlitośne feudalne królowanie skończy się nad nimi?! Nam dosyć cierpień zadaje walka o chleb! Już w niej musimy się stać zwykłymi zwierzętami roboczemi i zatracić swe ludzkie wartości. A ty jeszcze przychodzisz do nas, do ludu z tą straszną chorobą! O życie!!

¹⁾ Trzej bracia autora zmarli na gruźlicę płuc, na gruźlicę też prawdopodobnie (kostną, ręki) ojciec.

146. [„Pisać, pisać!...“, 194].

Znowuż powtórzyła się ta sama historia¹⁾, ten sam ból i rozpacz, jaka była przy zgonie Jaśka. Sterany, zwichrzony tak długą męczarnią mój umysł szukał czegoś, co dało by mu trochę choć rozkoszy i szczęścia. Nie szukałem niczego nazewnątrz gdyż ludzie przestali mię interesować. Wszedłem w siebie, szukając czegoś twórczego, czem żyjąc mógłbym żyć. I... znalazłem!!!

Pisać, pisać, ozwało się coś we mnie! Przelewać na papier to co myślę, czem żyłem i żyję. I rzeczywiście zacząłem pisać wierszem i prozą racząc się szczęściem, jakie mi to dawało. Nie chodziło mi o sztukę, ani o sławę.

Pisałem bom znajdował w tem lekarstwo na moje stargane nerwy. — —²⁾).

¹⁾ Śmierć ojca.

²⁾ Cytata ta bodajże otwiera wgląd w przyczyny niemal żywiołowego pędu do pisania, obudzonego wśród masy ludowej, jaki stwierdzamy: zwiększone współcześnie trudności życia, wytwarzają stany neurasteniczne; gdy zaś równocześnie nastąpiły ogromne zmiany dziejowe i nastąpiły głębokie ideowe wstrząsy psychiczne, a równocześnie i oświata i czytelnictwo rozlały się szeroko — to wyrażanie się pismem, już ułatwione przez tę oświatę — staje się wyrazem palącej potrzeby uwolnienia się od tych napięć psychicznych, zarówno ideowej jak i neurastenicznej natury. Naturalnie, jednostki z natury już usposobione „literacko“, ulegają pierwszej tej potrzebie; ale zjawisko to, rozpatrywane jako zjawisko psycho-społeczne, ocenione być może jako zbiorowy wysięk masy proletarjackiej ku psychicznej kompensacji i uldze w utrudnionych warunkach życia.

147. [O poszanowanie godności człowieka, 245].

(*Pamiętnik nr. 17, wielomorgowy gospodarz w pow. radomszczańskim, lat 55*).

Opisując powyższe¹⁾ starałem uprzytomnić moje przejścia od najmłodszych lat, w pisaniu obecnie nie mam tej wprawy jak dawniej, bo z górą trzydzieści lat z piórem mało mam do czynienia, błędy jakie popełniam proszę mi wybaczyć, gdyż pisania w języku polskim nikt mnie nie uczył, a tembardziej gramatyki, to co umiem zdobyłem własnymi siłami przeto i kierunek moich zapatrywań

na ostatnie czasy może jest zboczony, albo może widzę wszystko w zbyt czarnych kolorach, lecz i to proszę mi wybaczyć, gdyż jestem sterany życiem nad moje siły, które zostały stargane przez różne koleje, jakie przechodziłem. A całe swoje życie, zdrowie i mienie obracałem w tym kierunku żeby przyczynić się do niepodległości Polski, żeby w tej Polsce wszystkim było dobrze, żeby wszyscy jednakowo byli szanowani i traktowani, to też to już nie jako obywatela, bo za takiego jak widać z ostatnich wyborów chłopą się nie poczytuje, ale najwięcej mnie boli, widząc brutalne lekceważenie człowieka. Bo zdaniem moim owo traktowanie, lżenie godności człowieczej, odbieranie głosu w gromadzie z którą każdy od niepamiętnych czasów zrósł się jak z religją, wyrządza większą szkodę państwu, niżby to mogło zrobić tysiące agitatorów komunistycznych.

¹⁾ Pamiętnikarz był członkiem Stronnictwa Wszechpolskiego, od 1907 do 1910 był na zesłaniu w Czelabińsku i Samarze, potem aż do r. 1926 piastował rozmaite urzędy, był wójtem, członkiem Sejmiku powiatowego itd.

148. [Wstępuje do Stronnictwa Ludowego, 352].

(Pam. nr. 25, gospodarz współwłaściciel na gospodarstwie jedenastomorgowem w pow. puławskim wojew. lubelskie, lat 28).

Od 1928 roku zacząłem się interesować sprawami samorządowemi, uczęszczam na zebrania gminne, stawiałem nieraz wnioski oraz poprawki, przez to zostałem znienawidzony przez miejscowych urzędników, że coś okropnego, i tak, w roku 1932 w grudniu na zebraniu gminnem budżetowem zgłosiłem wnioski o usunięciu jednego z pracowników,

który zachowywał się ordynarnie wobec interesantów, a którego w trzy miesiące zredukowano. A gdy w kwietniu bieżącego roku wybuchł w mojej wsi pożar, który spalił większe pół wsi, więc w związku z fajerkasą mieszkańców mojej wsi było więcej interesantów w gminie, wtedy wójt z pisarzami odsyła interesantów do mnie, że to jakoby ja miał zredukować pracownika i że niema kto spraw załatwić, pomimo, że ich zostało jeszcze siedmiu, Zwracam uwagę wójtowi listownie, że nie postępuje taktownie i upominam, żeby się to więcej nie powtórzyło, gdyby się zaś powtórzyło umiem zanieść skargę do Wydziału powiatowego. Wójt po otrzymaniu mojego listu zmieszał mnie z ziemią, sklął, ocholerował, nawymyślał mi od chamów, kazał żebym go w siedzenie całował, a nie skargi pisał do wydziału, słyszał to wszystko sołtys mojej wsi i mnie powtórzył. Wobec wszystkiego powyższego postanowiłem wstąpić do Stronnictwa Ludowego i być jego członkiem czynnym, wstąpiłem nie z namowy, nie z demagogji ale z własnego przekonania, że wieś musi być zorganizowana, bo tylko w silnej organizacji może być wsi lepiej, bo tylko w silnej organizacji wieś może usuwać takich ludzi co nas chamami nazywają, a sami nie wiedzą, że ten kto źle czyni i źle postępuje z ludźmi to choćby był nie wójtem ale nie wiem jakim genjuszem to chamem być musi. — — —

149. [Dlaczego pisze, 353].

(*Pam. nr. 26, współwłaściciel niepodzielnego gospodarstwa w pow. garwolińskim*).

Od dłuższego już czasu marzyłem o napisaniu jakiejś dłuższej rzeczy, osnutej na tle własnego

życia, własnej doli — niedoli. Spełnieniu marzenia przyszedł z pomocą Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, przez ogłoszenie konkursu na „Pamiętnik chłopa“. Przystępując do konkursu z opisem młodego jeszcze coprawda życia, zastrzegam się zgóry, że przystępuję do tego nie z myślą otrzymania konkursowej nagrody, nie z myślą wzbudzenia w kim współczucia nad swoim losem, ani nie z myślą otrzymania jakiejś filantropijnej pomocy. Celem mojego opisu jest to, aby on wraz z tysiącami, a może i milionami jemu podobnych, stał się obrazem dzisiejszego życia chłopa na wsi, aby stał się zwierciadłem, w którymby następne pokolenia — daj Boże żyjące już w pomyślniejszych warunkach! — widziały jasno dzisiejsze życie chłopa, tak jak my to życie z przed 100 lat widzimy w pamiętniku Kazimierza Deczyńskiego¹⁾.

¹⁾ Por. przyp. 4 na str. 5, T. I.

150. [Zabiera się do pisania wierszy, 375].

Pisząc jednego razu ze szkoły podoficerskiej „rymowany“ list do domu, „przyłapał“ mnie na tem porucznik i poznawszy moją zdolność „rymowania“ kazał mi napisać wiersz na przedstawienie urządzone przez szkołę. Zgodziłem się chętnie. Było to przed świętami Bożego Narodzenia i przed naszym wyjazdem na urlop świąteczny. Przez kilka dni nie chodziłem wcale ani na ćwiczenia, ani do żadnych robót porządkowych, których strasznie nie nawidziłem, ino sobie siedziałem w koszarach przy pisaniu wiersza. Rozumie się, że pisałem tylko wtedy, gdy wchodził któryś z przełożonych. Ostat-

niego wieczoru przed przedstawieniem wezwał mnie porucznik na kancelarję, gdzie przez kilka godzin przy częstowaniu się „oficerskimi cukierkami“ usuwaliśmy różne „braki“ wiersza. Największym jego brakiem było to, że każdy wiersz miał inną ilość sylab. Po zwróceniu mi przez porucznika uwagi, że każdy wiersz musi mieć jednakową ilość sylab, w każdym wierszu liczyłem sylaby i gdzie było ich za dużo skreślałem wyrazy, a gdzie za mało — dopisywałem. Po wygłoszeniu uzupełnionego i „wygładzonego“ wiersza zyskałem burzę oklasków, a także pewne względy, wyróżnienie i lepsze uważanie u przełożonych szkoły.

Osiągnięty sukces tego pierwszego wiersza po powrocie z wojska pchnął mnie do „wprawiania się“ w pisaniu wierszy. Nie dowierzając słuszności uwagi porucznika kilkakrotnie sprawdzałem różne drukowane wiersze, czy rzeczywiście każdy wiersz musi odpowiadać jeden drugiemu równą ilością sylab. Po dłuższych studjach doszedłem do przekonania, że „tak jest“! Nie odkryłem jednak narazie takiej tajemnicy jak „średniówka“ wiersza ¹⁾. Nie zwracałem też na nią najmniejszej uwagi. „Obowiązywała“ mnie tylko ilość sylab. Pisząc wiersz, pisałem go najprzód „na brudno“ i zwracałem najprzód uwagę na rym, a potem dopiero liczyłem sylaby i dopisywałem względnie skreślałem odpowiednie wyrazy, wyrównując ilość sylab.

¹⁾ Wiersze najczęściej dzielą się na dwie części (niekrotnie równe) przedzielone jakby pauzą, powstałą przez, określony co do miejsca, akcent gramatyczny przed tą pauzą np.:

Litwo, ojczyzna moja | ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić | ten tylko się dowie itd.

W pierwszej części tego rodzaju wierszy jest zawsze 7, w drugiej zawsze 6 zgłosek i zawsze 6-a jest akcentowana.

151. [Nad Trylogją, 376].

— — — Czytanie to przez kilka dni i wieczorów było dla mnie najprzyjemniejszą rozrywką jaką kiedykolwiek w życiu do tej pory miałem. Naprzemian i śmiałem się i płakałem, czytając pełne dowcipu i pomysłowości, to znowu niebezpieczne, zagrażające życiu chwile opisywanych postaci. — — — Nie wiedziałem tylko i nie rozumiałem, czy te wszystkie postacie jak: Skrzetuski, Helena, Podbipięta, Zagłoba, Oleńka, książę Wiśniowiecki i wiele innych były naprawdę prawdziwymi postaciami, i ich opisywane czyny prawdziwymi czynami, czy też to wszystko było tylko wymyślone przez autora. Pytanie to zadawałem sobie po każdej przeczytanej później powieści i pomimo, że mię ono ogromnie dręczyło¹⁾ — nie umiałem dać sobie dostatecznej odpowiedzi. Nie było też nikogo, ktoby mi tej odpowiedzi udzielił.

¹⁾ Niezmiernie charakterystyczne wyznanie czytelnika prostodusznego, który w książce chce poznawać prawdę.

152. [Uniwersytet wiejski, 379].

Przez czteromiesięczny pobyt w Szycach i przez wysłuchane w tym czasie wykłady „otworzyły mi się oczy“, na świat i życie we świecie. Rozwiała mi się z przed oczu mgła nieświadomości zasłaniająca mi wiele tajemnic życiowych. Poznałem wielu wielkich pisarzy i ich dzieła nietylko z nazwiska i z tytułów dzieł, ale z ich dążenia i celu w jakim swe dzieła tworzyli. Poznałem historyczne

zabytki Krakowa, Wieliczkę i Ojców, które znałem, ale z różnych krótkich opisów. Poznałem i nauczyłem się cenić piękno otaczającego nas życia przyrody. Poznałem wiele, wiele cennych wartości wsi, która mi się nieraz wydawała najgorszą „pod słońcem“ i z której marzyłem czasami o „wyrwaniu się“ gdzieś poza nią. Poczułem się dumny ze swego chłopskiego pochodzenia, którego się wiele razy wstydzilem i czułem się poniżonym i upośledzonym. Nauczyłem się cenić wartości ludzi nie po zewnętrznym ich wyglądzie, ale po wewnętrznej wartości. Poznałem swą osobistą godność człowieka i poczułem się równym człowiekiem z różnymi „inteligentami“, czy „półpankami“ z miasta, wydającymi mi się przedtem ogromnie „wysokimi figurami“ w ludzkim mrowiu. Poznałem swój cel życia i swoje w życiu przeznaczenie i obowiązki. Nauczyłem się cenić swoją godność i honorność chłopską.

153. [Bilans życia wiejskiego optymistyczny, 381].

Reasumując wszystkie strony dodatnie i ujemne w życiu wsi, trzeba stwierdzić, że stron dodatnich jest daleko więcej i coraz więcej ich przybywa. Być może, że i dzisiejsza bieda przyczyniła się w dużej mierze do tego, że chłop się przebudza z długiego uśpienia, przegląda na oczy, zaczyna myśleć o sobie i poczyną szukać wyjścia z tego chaosu, w jaki został wplątany. Wyjście to wcześniej czy później znajdzie, bo samo życie mu je wskaże, a kiedy chłop je ujrzy i zacznie przez nie wychodzić, nie będzie przeszkody, ani siły która by zatrzymała, a tembardziej cofnęła na dawne miejsce.

154. [Myśli nad morzem, 463].

(*Pam. nr. 33, gospodarz, bodaj średniorolny w pow. wolkowyskim, wojew. białostockie, około lat 50*)¹⁾.

Wyjechało nas z naszej gminy 11 ludzi, w Gdyni więcej ich interesowali różne zabawki w mieście, jak urządzenie portowe. Ja sam jeden zwiedzałem całe urządzenie portowe. Wreszcie przyszedłem w końcu betonu do morskiej latarni, która dość wysoko jest zbudowana, po stopniach wdrapałem się dość wysoko ponad same morze, wsiałem na wydrążonym gzymisie, i zapuściłem wzrok w dal morską i to z takim wzruszeniem, że łzy pociekły mi po twarzy i spadły do morza, siedziałem tak w zamyśleniu dwie godziny i czterdzieści minut z wielką miłością nasycając swój wzrok ogromną masą wód, które w swem życiu pierwszy raz widzę, a może i ostatni. Pierwsza ma myśl to była tą radością, że mamy swą własną bramę na cały świat otwartą, że tam nie stoją żołnierze z karabinami, pilnować granic, masz człowieku ochotę, to jedź gdzie twoja dusza zapagnie. Dalsza ma myśl to była ta, dlaczego pan Bóg stwarzając świat zrobił tak wielką obmyłkę stwarzając tyle wód, żeby to były lądy, ileżby ludzi tu się zmieściło chociaż te Niemcy co ziemi tak pragną albo polacy, co tak jej miłują. Dalszą mą myślą to było mierzenie przestrzeni, od tej latarni na której siedzę hen tam tak bardzo daleko aż po swoją wieś rodzinną, która kilkaset kilometrów od tego morza jest oddalona. A od wsi rodzinnej hen aż do swego ukochanego Wilna. Tak wciąż siedząc nad morzem przyszło mi na myśl pewnego księdza wygłoszona w kościele nauka, który powiedział: „Moi najmilsi, patrzcie jaki Pan Bóg nasz jest dobry, stwarzając świat

i człowieka stworzył i żonę tak piękną dla niego, stworzył konika, którym ty jeździsz, też to dla ciebie człowieku, stworzył krówkę, która daje mleko i masło, też to dla ciebie człowieku, stworzył słońce tak jasne co świeci i grzeje, dając życie całemu światu, też to dla ciebie człowieku, stworzył księżyc i gwiazdy co tak nam w nocy pięknie przyświecają, też to dla ciebie człowieku, stworzył powietrze, którym my oddychamy, bez któregoby życie nie istniało, też to dla ciebie człowieku!“ Bardzo dobrze powiedział tylko, że tych prawd nie dokończył, że te obszerne łąki, łąny i obszerne lasy — to nie dla ciebie człowieku. To dla jednostek tylko uprzywilejowanych. Światło słońca, księżyc a gwiazd i działania powietrza to nie jest w mocy przywłaszczyć sobie w większej ilości a co resztę to spryt dla siebie więcej tego wszystkiego dokonał. Tak siedząc i patrząc na morze srebrzyste od słońca zadałem sobie takie pytanie, dlaczego to pomimo wysiłków ludzkich, dlaczego to nędza i grzech trwają na świecie. Na to znalazłem jedną odpowiedź, że nie przez wysiłki jednostek chociażby najszlachetniejszych ludzi odmieni się zło na świecie, lecz przez gruntowne przemiany w ustroju społeczeństw. Gdy naród wprowadzi w życie prawdziwe zasady wolności, równości, nauki, pokoju i miłości i kiedy narodami rządzić będzie nie siła pięści, lecz sprawiedliwość, to wtedy zapanuje na ziemi owo królestwo Boże, o które codziennie się modlimy.

1) Ukończył dwa oddziały szkoły element. rosyjskiej, prawdopodobnie prawosławny, bo nie „znał liter polskich“, jako katolik znalazłby je z książki do nabożeństwa.

155. [Korzyść z konkursów rolniczych. Kryzys, 478].

(Pam. nr. 36, córka gospodarza na świeżo skomasowanym gospodarstwie w pow. postawskim, woj. wileńskie, kończyła szkołę polską, także szkołę rolniczą dla dziewcząt w Łuczaju).

— — — Zorganizowane w roku 1926 Konkursy rolnicze, na terenie naszego powiatu, w którym też brałam udział, stały się polem pracy i przekonały dobrymi rezultatami zatwardziałych, dowiodły czynem znaczenie dobrych rad i wskazówek rolniczych. Nasiona kapusty konkursowej zakupiła organizacja, która asygnowała pewną kwotę na ten cel, rzeczywiście ten zbieg okoliczności na który oczekiwałam, przyczynił się dodatnio na bieg spraw moich związanych z gospodarstwem na przyszłość. Plon z poletka dawał mi możliwość nabycia nasion ogrodniczych na rok następny, prenumeratę jakiejś gazetki, kupno pożytecznej książki. Przekonanie bliższego otoczenia i sąsiadów zmieniło się, jeśli nie z przekonania to może z zazdrości, z przyjemnością przykładają rękę do nowej pracy. Nastąpił, jakby powiedziec zupełny przewrót u ludzi, nabrali przekonania, że tak dłużej żyć nie można, że trzeba inaczej zabrać się do pracy.

Parę lat urodzaju sprzyjały i zdawaćby się mogło, że już nadeszła chwila lepszego bytu. Pożyczkę, którą należało spłacać Bank sprolongował, podatku gruntowego nie płacili z powodu komasacji — chwileczkę odetchnęli. Rzucili się ludzie do pracy, wprowadzili zmiany w gospodarstwie, sprowadzając dobre nasiona ogrodnicze i rolnicze, stosując nawozy sztuczne, zmieniając rasy bydła, hodując

świnie. Gospodarze stali [się] nietylko samowystarczalniami, ale i produkcyjni. W czasie, kiedy wydajność gospodarcza podniosła się wyżej w postaci plonów, racjonalnej hodowli, ceny zboża i bydła spadły do minimum i dochód pieniężny nietylko nie zwiększył się, ale zmalał.

I gdyby nie pożyczki zaciągnięte w poprzednie lata, które bardzo są ogromne w porównaniu z korzyścią, jaką osiągnięto w czasie pożyczania, jeszczebyśmy przetrwali ciężkie czasy¹⁾. — —

¹⁾ Podobnie jak u pamiętnikarza 1., okazuje się, że przy nieszczęśliwym dla rolników obrocie warunków, raczej aktywniejsi, ci którzy brali się do inwestycji gospodarczych i na nie się zadłużali, padli ofiarą „kryzysu“.

156. [„Jestem chłopem...“, 524].

(*Pam. nr. 38, syn gospodarza matorolnego, pracujący w gospodarstwie domowym w pow. wilejskim, wojew. wileńskie, prawosławny*).

Żyję na głuchej zapadłej wsi, całe życie nigdzie nie wyjeżdżając, w złych warunkach materialnych, z wiecznym głodem duchowym, jak i fizycznym. I odważam się do czegoś nierealnego: opisać o sobie, o swoich brakach powszechnych, o swej nędzy nierozłącznej, o rozpuście, krzywdzie publicznej i o własnych zapatrywaniach dzisiejszych, wczorajszych i jutrzejszych, dla ludzi dalece innego świata.

Chociaż treść mego oświadczenia może być nieprzyzwoita, nawet dziwna — na tem mało zastanawiam się, byle byłaby rzeczywista i doskonale zrozumiana przez ludzi innych stanowisk społecznych. Temi ludźmi, które tak pragną wiedzieć o rzeczywistości chło-

pa, którego jęk zaczął dolatać na najwyższe stopnie społeczeństwa, skąd zawsze patrzą na niego jak na rzadkość z drugiej planety spadszego z pogrutzgotanemi kośćmi, stęającego w kloace.

Wiem, że mnie to wszystko nie uda się tak, jak ja chcę — lecz przystępuję...

Piszę same rzeczywistości.

Chociaż jestem mało wykształcony, z białoruskim akcentem w wymowie z artograficznymi [sic] błędami w piśmie, bez żadnej stylistyki pisarskiej, z jedyną desperacją w uczuciu, że wszystko pójdzie na marne i nikt nie zwróci najmniejszej uwagi — zaraz od listonosza powąduje do kosza. Jednak nic nie poradzę, muszę byle co pracować, choć bez korzyści dla nikogo.

Sceptyk też ma czasem swoje idee.

Jestem chłopem, rzeczywistym chłopem, o czym potwierdzi każdy biurokrata podlegającej gminy i nietylko że potwierdzi ktoś — sam jestem pewny tego, nigdy nie zrzekam się, w żadnych wypadkach choćby chodziło o ważne sprawy niejakiego awtoritetu [sic]. — — —

157. [Wódka, 529].

Wódka dla większości społeczeństwa niniejszej klasy stanowi wyższą energję życia, — ideał, bez którego życie na tyle marne, jak niebo bez raju. Jakie nie byłoby życie — sędzę po własnem uczuciu — o ile ono dąży do punktu, w którym widzi się zbawienie, choć tymczasowe, jest życiem właściwym, a właśnie nim jest wódka, przeważnie w życiu chłopskim¹⁾. Są tacy, którzy nie używają, lecz to okazy. Ja też lubię pić. Piłem nawet dużo

do namiętności. To miała być swego rodzaju rozrywka, bo innych nie było, nie pójść do kina lub do teatru, skoro ich nie było, a musiałem zadawać się tem co jest.

Teraz piję zupełnie mało, nawet rzadko i przedczuwam, że w przyszłości nie będę ją używał wcale.

Czas płynie nudnie, nie mam żadnej uciechy w życiu.

¹⁾ Prawdopodobnie chce powiedzieć, że „życiem właściwym“ jest to, w którym się dąży do szczęścia („zbawienie“), a w życiu chłopskiem, to szczęście, choć tylko „tymczasowe“, daje wódka.

158. [Dysonanse rodzinne, 530].

W domu tak samo, zawsze dysonans. Przyjdiesz czasem z pracy zgłodniały do psa. Bywasz troszeczkę w humorze, bo masz niezły apetyt i zasiadłszy do stołu, czekasz na kartofle. Zaczynają się rozmowy, przeważnie na temat braku czegoś w gospodarce. Wkońcu ta rozmowa dochodzi do tego, że zaczyna się sprzeczka nie na żarty. Zirykujesz się zawsze do zera, wszystko jedno jak podjadł — nie chce się jeść wcale, tylko trzęsie się w środku jak od febry i basta.

Ta kłótnia zaczyna się tak:

— Ale dziś mróz porządny, zaznacza ktoś z rodziny.

— Na noc ma być jeszcze większy, potwierdza drugi.

Ojciec przy myśli o mrozie kurczy się i drży i raptem przypomina:

— A czy podłaskę podjęliście?

Podłaską nazywamy krowę, która, czy to bądź od starości, czy od złego pastwiska, nieżyźnego pokarmu — zaczęła niedomagać, co za każdym razem muszą para ludzi usługiwać, ażeby pomóc wstać jej na nogi.

Więc:

— Podjęliśmy ją, — mówi brat — pod wieczór.

Ale tu wtrąca się siostra:

— Ja zaglądałam niedawno do obory i widziałam, że znów leży.

— Otóż macie — wznosi się ojciec — głodna... onaż nic nie jadła... a tu taki mróz. Ot, gospodarze!

Ja cały czas milczę. A kiedy już zaczyna się podkreślać „gospodarze“, co częściowo jest i pod moim adresem, zaczynam się irytować i wkońcu nieścierpię:

— Przy czym tu gospodarze?... Mają stać zawsze przy niej? Jak djably przy grzesznej duszy — co? Czy nie mówiłem, żeby karmić lepiej?...

— A co dasz lepszego? — sucho zapytuje ojciec.

— Kartofli.

— A co sam będziesz żarć — słomę?

— Choćby siana już...

— A! Rozumiem! Dawno jużby porozdawałaby wszystko, nie zważając, że cała zima na przodzie. A zresztą dla konia co dasz?

Ja zaczynam się odmagać po swojemu, zaprzeczając jego wszystkie podkreślenia gospodarcze. W piersiach gryzie nieprzyjemny ból, jakiegoś czarnego poczucia. A ojciec zaczyna po swojemu zmagać się na złości. I tak między nami dochodzi do istnego konfliktu, zakończonego depresją.

Tak bywa zawsze, nie to, tak owo staje na drodze pacyfiku rodzinnego ¹⁾.

¹⁾ Tu, jak i gdzieindziej u tego pamiętnikarza charakterystyczny snobizm stylistyczny (por. w ust. z Wojciechowskiego *Mowa weselna*, I, str. 190).

159. [Kalkulacja z wieprzem, 549].

(*Pam. nr. 39, gospodarz pięciohektarowy w pow. motodeckim, wojew. wileńskie, wiek i wyznanie niepodane*).

Mam jednego jedyne go wieprza, był przeznaczony na tuczenie dla siebie, lecz potrzeby zmuszają by sprzedać na rynek. Kalkuluje sobie tak (ponieważ tu u nas jeszcze transakcje handlowe odbywają się na pudy), wytuczę wieprza na jakich sześć pudów, a na najbliższym rynku daje kupiec (bo tylko jeden przyjeżdża) po 17 zł. za pud i dwa pudy „skidki“ więc płatnych będzie cztery pudy po 17 zł. tj. 68 zł. Chwytam się za głowę z przerażeniem iż tak mało otrzymuję, a tak mnie drogo kosztuje tuczenie! I zastanawiam się jaki mam zysk wykazując w poniższej tabliczce:

Wyszczególnienie	Zjadł pudów	Cena za pud zł gr	suma zł gr
Ziemniaków	38	— 80	30 80
Ogółem ziarna	14	2	29
Miękiny lnianej	4	— 50	2
Koszt przemiału zboża	—	— 15	2 17
Pastwisko, obsłu- ga i inne	—	— —	10
Razem koszt żywienia	—	— —	73 97

Czyli na swoim wieprzu straty będę miał 73-97 —

68 tj. 5·97 zł. Ale pomijając wszystko, nie zważając na straty muszę sprzedawać, gdyż potrzeba zmusza ¹⁾).

1) Obliczenie to podaję na dowód, jak skrupulatnie niektórzy prowadzą rachunkowość gospodarczą; jest to jeden z rachunków najkrótszych.

160. [„Zaniedbana kultura gospodarczo-społeczna“, 547].

Mieszkam w powiecie Mołodeckim na Wileńszczyźnie. Prowadzę gospodarstwo na pięciu hektarach ziemi. Nasza okolica znajduje się w fatalnych warunkach ekonomiczno-gospodarczych.

Od miasta stołecznego Wilna 140 km., od granicy bolszewickiej 20 km, na północ Litwa. Słowem żyjemy w zapadłym zakątku naszego kraju, gdzie niema najmniejszego ożywienia handlu i zaniedbana kultura gospodarczo-społeczna.

Zdani jesteśmy na łaskę pośredników żydów, którzy jak pijawki wysysają naszą krew, handlując artykułami rolnymi. Ceny na te artykuły rolne ustanawiają na miejscowym rynku tylko żydzi. I tym sposobem każdy żyd dorabia się fortuny, kosztem wyzysku drobnego rolnika. Każda sztuka rzeźna, każdy korzec zboża, każde jajko, kura, len i sienie lniane itp. artykuły, wszystko przechodzi przez ręce pośredników żydów, w których pewien procent zostaje na ich korzyść. Rolnik nasz mając towar do zbycia nic bez żyda sprzedać nie może.

Dla moich sąsiadów jest teraz stan opłakany, nad którym nikt poważnie nie zastanawia się, gdyż oni sami wychowani w półtorawiekowej niewoli, z pokolenia w pokolenie pozbawieni są tej cechy przedsiębiorczości wyzwolenia się od wyzysku po-

średników. Jakiś czyn, jakieś działanie każdy rad zwałć na kogoś, a sam gotowego patrzeć i bez miłosierdzia krytykować. Na okoliczność tu u mnie lud ciemny, ospały, niezdolny do czynów szlachetnych, zabity od świata deskami, nie mając dostępu kultury zachodniej. Moi sąsiedzi są bardzo przeczorni i niedowierzająco odnoszą się do pracy społecznej. Chętniej zniosą biedę i niedostatek niż mają wczas zapobiec temu.

Komunikacja u nas utrudniona błotnistymi wybojami na drogach. Przewiezienie ciężkiego wozu na dystans 20 km jest nie do pomyślenia. Rynków zbytu nie mamy. Tylko żydzi jeżdżą po wsiach i wykupują za pół ceny artykuły rolne, ten owoc pracy rolnika.

161. [Wychowanie na pastwisku, 552]

— — — Z powodu ciemnoty rodziców młode pokolenie jest wychowane w fatalnych warunkach, gdzie w czystym polu przy krowach, przy pasionce, będzie w przyszłości przedstawiało element najgorszego gatunku. Takie wychowanie młodzieży w gromadzie w polu doprowadza do rezultatów tych, że policja z młodzieżą nie daje rady. Panuje kradzież, grabieże, bandytyzm, morderstwo i przepełnienie więzień.

Oto obrazek z życia podam jaki widziałem. Grupa pasącej młodzieży w bestjałski sposób znęcała się nad krowami: jeżeli która zawiniła, okrążali ją dokoła całą gromadą i siekli batami bez miłosierdzia, lub wiązali je grupami po kilka sztuk i brali ich w t. zw. „obławę“. Wyłapywali biedne żaby, brali ich za tylne łapki i rozdierali ich żywcem

z rozkoszą słuchając żałosnych pisków tego nieszczęśliwego stworzenia. A cóż dopiero z gniazdami różnych ptaków? Wyszukują po krzakach gniazd, niszczą jajeczka. Po okropnych torturach i męczarniach konają w ich rękach malutkie pisklęta. Tych małych, nieszczęśliwych dziątek matki z żalonym ćwiraniem rzucają się do rąk tych niedorośliwych rozbójników, jakby chciały wydarć nieszczęśliwe ofiary¹⁾.

Zasiadali po czterech do gry w karty na piędzdy t. zw. „oczko“. Kradli od rodziców ostatni grosz, przyprawiając ich o kłótnie i zasiadając godzinami, zawzięcie wygrywali, zanim się nie skończyło bijatyką. — — —

¹⁾ Wyższy typ człowieka wiejskiego jest litościwy dla zwierząt.

162. [Dlaczego pisze, 640].

(Pam. nr. 46, praktykant krawiecki, syn gospodarza matorolnego, 3 morgi, w pow. wadowickim, województwo krakowskie, lat 20).

Rodzice moi z powodu ciężkiego trybu życia, jaki ostatnio przechodzili, i teraz tem bardziej przechodzą, mają tak ciężkie ręce, że pióra w rękach utrzymać nie mogą. Wyręczam ich z tego, choć nie mam czasu, jednak chcę i ja dostarczyć choć trochę materiału na ten drogi sercu memu pamiętnik, za co tworzącym go do śmierci wdzięczny będę.

163. [Nie przezywać od „chamów“, 641].

Jako praktykant krawiecki mam styczność bywać pomiędzy ludźmi rozmaitej sfery czy z ostatnią robotą czy po pieniądze itp.

Bywając najwięcej pomiędzy biednym przygnębionym ludem, patrząc na ich nędzę, narzekania i gorzkie łyzy, widząc obdarte i zmarznięte, wzrokiem miłosiernie proszącym o kawałek chleba dzieci, a nawet i staruszków, którymi z powodu braku czasu niema się kto opiekować i podać im dawno krwawo odrobionej i ciężko zasłużonej łyżki strawy, zapominam o swej doli, gdyż mi się zdaje, że oni jeszcze gorzej mają, na ten widok serce we mnie bić przestawało, a krew w żyłach to zamarzała, to znów szalonem tętnem rozsadzała żyły, chcąc całą siłą wybuchnąć i stłumić wszystkich ciemieżycieli ludu biednego.

Ale to tylko chwilowo, cóż pomoże jednemu człowiekowi głowić się nad czyjąś nędzą, skoro sam się w niej znajduje, tak samo i ja choć widzę w jakiej nędzy wkoło mnie moi rówieśnicy, biedne dziatki i ludzie starsi toną, pomyślawszy, że i ja to przechodzę, wiem że i nadal musimy to przetrwać dopóki nas z tem nie rozłączy najlepsza pocieszycielka miłosierna śmierć.

Póki żyjemy najważniejszą potrzebą do życia jest pożywienie, pożywienie to daje nam w największej części nasza kochana matka ziemia. Nie daje go jednak sama! Jak się na roli pracować nie będzie to i na niej nic nie urośnie. Któż do tej pracy jest przeznaczony? Nikt inny tylko chłop! Pracuje on ażeby mieli wszyscy pożywienie w całym kraju... I za to jest od sfer wyższych nazwany „chamem“(!...¹). Jest uważany za woła roboczego, który musi na nich pracować! a gdyby tak zagładnęli, w co obfituje ten szarfarz pracy, który się najwięcej napracuje, a najwięcej głodem i chłodem nahandluje, toby z pewno-

ścią zmienili zapatrywania i nie zwaliby biednego chłopka chamem, gdyż jest on żywicielem całego narodu.

Bo i przez co nas tak mają nazywać? Że nie mamy wykształcenia wyższego, to w części nie nasza wina — bo gdyby się wszyscy kształcili, to który na chleb pracował, — chcąc się kształcić muszą być pieniądze i pożądany czas! Zaś na wsi pomiędzy ludem biedniejszym o tem niema mowy. Dziecko, które ukończy dwuklasową szkołę z czterema oddziałami, na tem zamyka na całe życie swe studja. Po ukończeniu szkoły idzie na służbę do jakiegoś bogatego gospodarza paść krowy, albo zostaje w domu, gdzie musi dobrze i ciężko zaraz za młodu odrobić lichą strawę.

1) Podkreślenie pamiętnikarza.

164. [Parcelować na kresach, 678].

(*Pam. nr. 48, gospodarz małorolny w pow. limanowskim, b. żołnierz na froncie rosyjskim i włoskim*).

— — — U nas na Podkarpaciu gospodarstwa rozdrobnione strasznie, na przykład w mojej wiosce to prawie w każdej chałupie jest po dwie rodziny, bo emigracji niema a ludzi przybywa, to też młodzież wałęsa się bez celu i skutek jest taki, że ludzie poprostu zgrzytają zębami i nienawiść do do władzy i do pajstwa rośnie, a to jest straszne i tego być nie powinno. Mojem zdaniem i na to jest rada, przecież w Polsce jest tyle wielkich obszarów dworskich, które często dzierżawia żydzi, zwłaszcza na wschodzie można to rozparcelować, dać tym ludziom ziemię a zwłaszcza byłym żołnierzom, już nie mówię za darmo, bo pajstwo też pieniędzy

niema, ale dać na wypłat na dłuższe lata, otoczyć ich opieką, żeby mogli pracować spokojnie, a wyjdzie to z pewnością na korzyść państwu, bo nie kto inny jest podporą państwa, tylko chłop, bo przecież sam widziałem na kresach w czasie wojny, jak to obszarnicy pouciekali, ale zostali chłopci i widziałem jak wieś polska walczyła z wsią ruską i może przyjsć czas, że jeszcze się mogą rzucić na dwory, ale na chłopów się nie rzuca; może kto jest innego zdania, ale ja tam byłem przeszło dwa lata i ja ich dobrze znam. Tak państwu powinno na tem zależeć, żeby jak najwięcej Polaków było na Kresach, to wtenczas bezpieczeństwo będzie pewniejsze, a także i tutaj się rozprzestrzeni i będzie zadowolenie i przywiązanie do państwa, bo przecież Polska nie leży gdzieś na dalekiej wyspie, ale ma pod bokiem sąsiadów, którym wierzyć nie można, bo w każdej chwili mogą uderzyć na Polskę, a wtenczas na kim się ona oprze jeżeli większa część narodu jest rozgoryczona i powiada, że lepiej było pod zaborem. Tak to są te bolączki, które powinny być usunięte, ale nie chcą tego zrozumieć ludzie, którzy państwem kierują.

165. [Bitwa, 668].

Kiedy dochodziliśmy do okopów rozległ się krzyk gaz angryf, atak gazowy, ja poczułem zaraz jakichś dziwny zapach, zaczęło mi się robić słodko, w gardle mnie zaczęło swędzić i dusić, rzuciłem się do jakiejś dziury i założyłem gaz maskę ale niewiele to pomogło, bo byłem zmęczony i powietrze nie mogło mi się w masce pomieścić i oddychać było trudno, bo maska tyle powietrza przepuścić nie mogła, a do tego kaszel i kichanie barnie było do picia i do karabinów maszynowych,

dzo mnie męczyło, a do tego nic nie widziałem, bo szkła od maski zaszyły rosą. Niektórzy rzucali maski i uciekali na pagórki, tam gazu nie było, ale granaty i miny i różne pociski padały jeden przy drugim a do tego kamienie to aż fruczały, to też zabitych i rannych było dużo i tak doczekaliśmy się rana, nad ranem gaz już ustał i powłaziliśmy do kawerni, ale piersi mnie bardzo bolały. Z nastaniem dnia Włosi rozpoczęli ogień huraganowy, tak że padał granat przy granacie, zdawało się że świat się kojczy, od dymu mało jeden drugiego widział. W kawerniach świeciło się światło, bo były głębokie i daleko w skale, ale co chwila gasło od wstrząsów, tam też kto mógł to uciekał, bo z okopów nie było śladów, nawet ranni nie mogli odejść do tyłu. Po stronie austryjackiej ucichło wszystko, śmierć zbierała plon obfity. O godzinie 3-ciej po południu Włosi przestali bić na nasze linje i przerzucili ogień na tyły, ale wnet włoska piechota ruszyła do ataku, zaraz też rozległ się krzyk po kawerniach (alles heraus) talijani worykują¹⁾ i powypadaliśmy i naraz rozpoczęły karabiny maszynowe i ręczne straszny ogień. Włosi byli już blisko to też padło ich dużo i nie mogli wytrzymać morderczego ognia i jedni zaczęli się cofać, a drudzy się poddali i nietrwało pół godziny i atak został odparty i ucichło, ale tylko na chwilę, bo zaraz włoska artylerja zaczęła ostrzeliwać nasze linje, ale bardzo gwałtownie, tak żeśmy nie mogli zebrać rannych ani odprowadzić jejców, ale trzymali ich w kawerniach aż do wieczora. Z nastaniem nocy dopiero biegiem wycofali ich do tyłu, ale ogień włoski nie ustał ani na chwilę, w kawerniach było już dużo rannych, wodociągi zostały rozbite, wody

a dowieźć się nie dało, nie mogły też dojechać kuchnie. Rannych dużo umarło, bo ich nie miał kto odnieść, ani zaopatrzyć, ja byłem przekonany, że żywy stamtąd nie wyjdę i prosiłem Boga, żeby mnie zabiło odrazu, żebym się nie nacierpiał. O spaniu nie było ani mowy, bo w kawerniach nie było miejsca, bo ranni zajmowali, a na polu też nie można się było położyć, bo kto się tylko dalej wychylił ten już dostał kamieniem albo odłamkiem, powystawiali posterunki, ale prawie ani jeden się nie ostał. Była może godzina 4-ta, siedzieliśmy i kuczeli, jak kto mógł, a tu naraz Włosi otoczyli nas tak jak myszy w dziurze i skierowali karabiny maszynowe lekkie i miotacze płemieni do nas i nie było rady trzeba było podnieść ręce do góry i z okrzykiem avanti pognali nas do swoich²⁾.

1) Włosi posuwają się naprzód.

2) Jeden z nielicznych w tej księdze opisów wojennych.

166. [Emerytura wiejska, 709].

(*Pam. nr. 51, gospodarz sześciomorgowy w pow. buczackim, wojew. tarnopolskie*).

Dzień po dniu, rok po roku smutnie w zmartwieniu mija, a jeszcze Panie wszechmocny dopomóż przeżyć emeryturę. Ta ostatnia chwila życia najczęściej bardzo gorzką bywa, rozpoczyna się wtedy, jak rolnik cały warsztat dzieciom rozda a sam się do pracy już niema. Coraz trudniej wychować dobre i grzeczne dzieci, a tem trudniej przy takich dzieciach o szczęśliwą emeryturę. Wolałbym tysiąc razy dawniejszą prostotę, niżeli dzisiejszą kulturę¹⁾. Młodzież coraz bardziej demoralizuje się, jedni z rozkoszy nie zdając sobie sprawy, a drudzy — rodzice

trapieni nędzą opuszczają obowiązek wychowywania dzieci. Takie rzeczy mszczą się okropnie, a szkody mogą być tak wielkie ogólne, że mogą być niepowetowane. W zimie na piecu odbywa się taka emerytura a nikt mu nie sprzyja, a wiosną gdy słońce ogrzeje, jeżeli słabo chodzi, niegrzeczne dzieci bez czucia pogany chrześcijańskie poszturkują i garbują staruszkowi kości i z bydlęm na pastwisko wysyłają. Oswoiwszy się ciepłem wiosennem z lichego ubrania trzepie nędzę, która w ciągu zimy dość go nagryzła. A ptak polny śpiewa jakby pomagał albo płakał nad dolą staruszka. Staruszek słuchając głosu ptaszka polnego spojrzał do góry — pomyślał o Bogu szepcząc modlitwę półgłosem, a kończąc ciężko wzdychając — Panie wysłuchaj błaganie moje ! jeśli się położę, niech więcej nie wstanę!

Dużo rzeczy nie napisałem i pisać nie mogę, czegoś za dużo wilgoci w oczach się gromadzi.

1) Nie wiadomo czy przy dawniejszej „prostocie“ lepiej obchodzono się ze starymi!

*

W czasie pisania rozdziału o *Pamiętnikach chłopów* wyszedł II ich tom, 1937, *ibid.*, por. w *Dodatkach do T. II.*

XI. STANISŁAW ŁAKOMSKI.

Robotnik metalowy, liczący dziś około 56 lat, za młodu uczestnik P. P. S. w Miechowskim, podczas wojny i przed wojną pracował wiele w Niemczech. W r. 1927 udał się dobrowolnie do Rosji jako zwolennik komunizmu, gdzie przebywał około 8 lat, pracując jako robotnik kwalifikowany. Pozbawiony złudzeń wraca do Polski, gdzie pisze swą książkę prawdziwie cenną, jako świadectwo inteligentnego i dokładnego obserwatora, który poznał

życie sowieckie od dołu, a nie turysty dającego się omamić cudami, które mają na pokaz. Książka obfituje w spostrzeżenia wszechstronne, pisana jest stylem wysoce poprawnym i ściśle rzeczowym, nie przez agitatora komunistycznego lub antykomunistycznego, lecz przez kogoś, komu zależy na prawdzie i tylko prawdzie. Pamiętnik jego zasługuje na jak-najszerze rozpowszechnienie, jako jeden z najlepszych utworów literatury ludowej, na tym już poziomie, na którym ludowość przestaje już oznaczać coś, co się traktuje z życzliwą pobłażliwością.

*

Stanisław Łakomski. *Z przeżyć i doświadczeń robotnika polskiego w Z. S. S. R.*, 1927, nakł. Domu Ludowego „Wisła“ w Krakowie.

167. Wyjazd na prowincję — wrażenia ze wsi, 7.

Był to rok 1930. Miejscowość, do której przybyłem, leży w gubernji twierskiej (obecnie przemianowana na Kalininino).

W czasie mojej podróży, z okien wagonu kolejowego obserwowałem okolicę, łany przeróżnych zbóż leżały zżęte, a nie mniej na pniu ich stało, a przecież był to miesiąc wrzesień. W pobliżu miejscowości Bakunino (sowchoz tejże nazwy) ogromny łan owsa sypiącego się prosił się o sierp. Widok ten spotykało się coraz częściej, nie zdziwiłem się też wcale, gdy przyjechawszy na miejsce usłyszałem: „towarzyszu, u nas z chlebem bardzo trudno“. Okazało się, że trafiliśmy na czas najgorszy. Przed przyjazdem naszej tam brygady, ogłoszona została ogólna kolektywizacja (tak zwana spłosznaja), którą przeprowadzono po bolszewicku, bez litości. Chłó-

pi w tej okolicy zamieszkali, jeszcze przez reformę Stołypina osadzeni byli na chutorach (gospodarstwa scalone), zagospodarowani byli nie źle i cieszyli się zamożnością; większość z nich narodowości estońskiej, trzeźwi, pracowici; do kolektywów wstąpić nie chcieli. Pierwszy też atak na nich przypuszczono, a przy tzw. rozkułaczywaniu rozgromiono ich doszczętnie. Łącznie z rodzinami wywieziono ich w niewiadomym kierunku, gdzie większość — jak mi opowiadano w fabryce — w drodze poumierła. Kiedy miejscowi mieszkańcy opowiadali mi o całej tej tragedji, jak ich z majątku wyrzucali, jak zwozili ich do cerkwi Szyliżarowo z całej okolicy z żonami i dziećmi, jak łącznie z nimi wszyscy płakali, a później w nieopalonej cerkwi (a był to miesiąc marzec) od głodu i chłodu marzli, by w końcu nalaadować ich jak śledzie do wagonów towarowych i wywieźć gdzie oczy poniosą, — słuchając tego wszystkiego, — wyznam szczerze, że wierzyć temu nie chciałem, aby dla tak szlachetnej i wzniosłej idei przeciw ludowi pracy — wszak to nie byli burżuazyści, kapitaliści czy fabrykanci — takie drakońskie środki stosować. System ten zemścił się srogo, jak zobaczymy dalej, na wszystkich, tylko nie na tych, którzy go inspirowali.

Zadomowiwszy się po przyjeździe, wyszedłem przyjrzeć się okolicy. Jak okiem sięgnąć, lasy, a wśród nich wioski i ślady dawnych dworów. Wiele pól leżało odłogiem, okna domów, których właściciele „razkułaczywani“ zostali, deskami zabite, koło domów pustka i zaniedbanie. Ponieważ chodziłem z towarzyszem pracy, a obaj byliśmy ubrani po miejsku, mieszkańcy patrzeli na nas jak na wysłańców władz partyjnych, z nieufnością i niechęcią, — gdy ich zagadnąc, odpowiadali krótko i wy-

mijająco. Wogóle wyczuć można było nastrój wrogi i niezyczliwy. Wokół panowała jakaś apatja do wszystkich i do wszystkiego. Zapytani o żywność, rozkładali ręce i odpowiadali krótko: nie niema.

168. Sądy tłumu, 63.

W parę dni później łowiąc ryby nad rzeką Wielką, wdałem się w rozmowę z chłopem stojącym obok mnie: Wy w kołchozie pracujecie? „Tak odpowiada zagadnięty. — No, jakże wam tam idzie? Źle towarzyszu, oddaliśmy państwu len, konopie, a chleba nie możemy się doprosić, otrzymaliśmy trochę durandy (peluszki) i kartofli, miesza się to razem i piecze się z tego placki. No a w innych kołchozach, czy także jest źle jak u was? Nie lepiej, a bywa jeszcze gorzej. Wielu ucieka do miast pozostawiając ziemię kołchozowi, dawniej było lepiej, bo nie było tak srogo. Wpierw pracując, człowiek nie czekał podziału, mógł coś nie coś wyprosić, albo jakoś tam uszczknąć i żyło się jak niebądź, ale odkąd wyszło prawo nowe, że dobro kolektywne jest święte i nietykalne, najmniejsze przywłaszczenie kołchoznego dobra lub minimalna kradzież karane bywają bardzo surowo, a tu żyć trzeba. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu, za ukradzenie dwóch worków kartofli z kołchoznego pola, sądziliśmy jednego na sądzie publicznym i skazaliśmy go na lat pięć kopania torfu, a wypadków takich jest teraz bardzo wiele. Ciągłe niedojadanie i braki wielu popychają do przestępstw. „A dla czegoż tak surowo karzecie — pytam — czy on to na handel ukradł?“ Nie — odpowiada — on sam biedny i żyje z matką starszą, majątku żadnego nie posiadają, ale prawo

jest takie surowe, a przytem inaczej nie można, nam każą i my sądzymy, sprzeciwiać się nie wolno, pozatem sprowadzają na sprawę młodzież z innych okolic, która na sądzie prosi o wydanie surowego wyroku na oskarżonego, a nie rzadko po jego zasądzeniu klaszcze w ręce z radości“.

Opowiadanie chłopa utkwilo mi mocno w pamięci i przypomniało mi podobne zdarzenie w Leningradzie, gdzie za agitację przeciwpożyczkową we fabryce „Wulkan“ tokarza Stańczyka i dwóch jego kolegów skazano na sądzie publicznym na śmierć przez rozstrzelanie. Wpierw jednak rozpętano piekielną po fabryce agitację, gdzie podjudzone przez władze partyjne grona młokosów (konsomolców) podejmowały na fabrycznych zebraniach uchwały wysyłane do sądu z prośbą o rozstrzelanie oskarżonych, w czem prasa sowiecka sekundowała im zjadle.

Tego rodzaju polityka władz partyjnych deprawowała młodzież, wzbudzała nieufność i podejrzenie u ludności do sądownictwa i była tak rażąco sprzeczna z głoszonemi na zebraniach robotniczych hasłami o sowieckim humanizmie, pacyfizmie i demokracji państwa proletarjackiego, że bezstronny obserwator śmiało mógł przyznać, iż sąd nie był tu sądem, a stawał się zespołem misternie wyreżyserowanej komedji i wykonawcą woli rozagitowanego motłochu, który w wielu wypadkach, po odczytaniu wyroku skazanym, wobec majestatu śmierci klaszał w ręce z radości, dając tem dowód zdziczenia i upadku moralnego.

169. Bezdomni, 120.

Do zjawisk przykrych, jakie w pierwszej i drugiej pięciolatce spostrzegać się dało, zaliczyć należy

stałe powiększanie się różnego rodzaju włóczęgów i bezdomnych (bezprzornych). Dawna Rosja carska nigdy od nich wolną nie była, a słowo „brodiaga“ (włóczęga) najlepiej to charakteryzuje. O ile dawniej do kategorii włóczęgów i bezdomnych należeli ludzie ścigani za przestępstwa polityczne i kryminalne, o tyle obecnie włóczęgami i bezdomnymi są najczęściej zbiegli z kołchozów „kułaki“, „podkułaczni“ i ich dzieci, a często i porzucone przez wywłaszczonych ze wsi dzieci chłopów, którzy wobec strasznych warunków wsi, ścigani przez władze sowieckie zajadłe, pozostawili je po przyjeździe do miasta na los szczęścia. Same miasta też nie mniej ich dostarczają, a do rzadkości nie należy, że matka stojąc z dzieckiem na rynku, przed sklepem robotniczym, pozostawia dziecko i kryje się, nie wracając po nie więcej. W takich wypadkach dziecko zabierane bywa przez policję i umieszczane w domach dziecięcych. O faktach podobnych szeroko opowiadali stojący za towarami w osławionych „ogonkach“.

Zbytniego zdziwienia opowiadania te nie wywoływały u nikogo, a w miarę potęgowania się kryzysu żywnościowego wzrost wszelakiego rodzaju bezdomnych i żebractwa szerzył się gwałtownie. Coraz częściej można było spotkać dzieci bezdomne, włóczące się po targach, skwerach, ogrodach i miejscach publicznych, stawały się one prawdziwą plagą społeczną. Kradzieżom, przez wyrostków tych popełnianym, końca nie było, tembardziej, że przepelnione tramwaje, ogonki przed sklepami, prawdziwe procesje na targach i ścisk za wszelkiego rodzaju produktami żywnościowymi, były dla wielu wspaniałym polem do popisu. Aby oczyścić miasto od tych uciążliwych elementów, władze sowieckie co pewien

czas urządziły za niemi obławę. Wysyłano auta ciężarowe z policją, która obstawiała ulice, place i ogrody publiczne, łowiąc je częstokroć masami. Ciekawy przedstawiały widok auta, naładowane po brzegi, które pędziły przez ulice miasta uwożąc tych obdartusów, częstokroć i do istot ludzkich mało podobnych. Kierowano wszystkich do domów poprawczych, z których najczęściej po pewnym czasie wielu zbiegło, by włączyć się dalej bez przeszkody. Latem kryje się to wszystko po kanałach, skwerach, pod mostami i w opróżnionych wagonach kolejowych, zimą natomiast wielu ucieka na południe lub południowy wschód, przekradając się w różny sposób pociągami i okrętami. Są między nimi i tacy, którzy całą Rosję zjeździli w ten sposób.

170. [Bez złudzeń, 139].

Uzyskawszy po długich staraniach możliwość powrotu do Polski, z żalem i niekłamaną przykrością opuszczałem kraj, który wszystkie możliwości ma przed sobą, aby rzeczywiście być ojczyzną pracujących mas. Gwałtowne jednak posunięcia polityczne, ekonomiczne i społeczne jego kierowników doprowadziły nietylko do walki wewnątrz partji rządzącej ale wypaczyły głoszone przez głównych jej teoretyków hasła, że „dyktaturą długo rządzić nie wolno“, ponieważ, jak wywodzili, jest ona tylko środkiem do uzyskania przez klasę pracującą władzy nad wyzyskiem, a nie władzy tej celem; utrzymanie dyktatury na dłuższą metę, pracujących zdemoralizuje i zamieni w niewolników, twórców zaś jej w tyranów. Jako szczerzy demokrata i uczestnik walk o niepodległość Polski, wykonywanie władzy z zastosowaniem przeważnie środków gwałtownych uważa-

łem zawsze za zbrodnię. Jak widmo stały mi przed oczyma prześladowania carskich siepaczy i różnice w moim umyśle zacierały się coraz bardziej. Spostrzegąłem coraz wyraźniej despotyzm z całym aparatem, na nową modłę urządzony, wyzyskiem i przemocą, mimowoli wspomniałem głoszone przez Bakunina hasło: Zdrawstwoj dyktatura, adieu swoboda! (Witaj dyktaturo, żegnaj wolności), i nie zastanawiając się dłużej, wyjechałem.

Po powrocie moim do Polski, otrząsnąwszy się z przeżyć i wrażeń, rozpocząłem pisanie niniejszego pamiętnika, nie przestając interesować się krajem, w którym tyle pracy, tyle zawiedzionych nadziei i niespełnionych marzeń zostawiłem. Z powodu literatury o Rosji Sowieckiej z niemałym zainteresowaniem i ciekawością czytałem pełną entuzjazmu książkę profesora Spasowskiego „Z.S.S.R.“, jak również nie mniej ciekawą broszurę p. Drobnera „Co widziałem w Rosji sowieckiej“.

Kiedy czytałem, przyszły mi na myśl słowa wypowiedziane przez tragicznie zmarłego poetę Jęsienina:

„Chciałoby się, zdjąwszy spodnie, biec za Kom-somolcem, ale droga bez wolności najeżona kocem...“

Gdyby książki te trafiły do Rosji sowieckiej, to autorzy ich napewno otrzymaliby od robotników (tak jak i wielu tamtejszych) przydomek „pajok-pisateli“, to jest piszących za deputat. Ponieważ o rzeczy takie posądzić szanownych autorów nie mogę, muszę uznać, że idąc śladami sowieckiej inteligencji, inaczej pisać jako fanatyczni idealisci nie potrafią i nie mogą. Szara masa pracująca, nosząc na swych barkach brzemień ciężarów ustrojowych, ma na stosunki tam panujące inny pogląd i w rozmowie po-

tocznej (naturalnie pomiędzy sobą) z nim się nie kryje, mówiąc:

„Dyktatury na narody nadzieją wędzidło.

Tworząc z ludu nieme stado, pracujące bydło“.

Entuzjazmować się, pisać o dokonywających się w Rosji sowieckich wielkich przemianach, nie myśląc o tem, że dalej istnieje O. G. P. U. i polit-oddziały, znaczy to samo, co zachwycać się projektem nowo ogłoszonej konstytucji sowieckiej, zapominając o dyktaturze partji i wszechwładnej biurokracji partyjnej. Aby zapanował tam nowy kurs i przyniósł korzyści masie pracującej, musiałaby wprzód odejść od rządu klika oligarchów. A ponieważ na to się tam nie zanoszą, przeto tak nowo ogłoszona konstytucja jak i zmiany przez nią wprowadzone, systemu nie zmienią i na życie narodu wpływu wielkiego nie wywrą, a także i efektu większego nie wywołają, tembardziej, gdy cała elita umysłowa w Sowietach głosi już dawno, że wolność osobista jest rzeczą względną.

Można przeto mówić, że tak jak swoboda jednostki zależną będzie nadal od organów G. P. U., tak samo i nowa konstytucja dostosuje się do dyktatury partji rządzącej. Korzyści stąd odniesie tylko biurokracja, która za cenę mizernych, politycznych ochłapów rzuconych ludności pracującej miast i wsi, sama przy pomocy nowej formy rządzenia bezspornie i ostatecznie nad masą tą zapanuje.

*

Wzmianki o innych pamiętnikarzach w Tomie II.

*

DODATKI DO TOMU PIERWSZEGO.

1. Wzmianki o czytelnictwie ludowem.

(Por. przyp. 10 do Wstępu). W *Głosie Narodu* podczas „Tygodnia książki“ w r. 1933 i w *Myśli Nar.*

(7. I. 934) w art. pt. *O popularyzację poezji*, proponuję jakieś bardzo tanie wydanie poetów, dla ludu przystępne, w składzie typograficznym niby - prozaicznym (np. „Litwo, ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie; ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił...“). Tam również proponuję odczyty poetyckie (recytacje) po wsiach i na przedmieściu; już po napisaniu owego znajduję zwierzanie Iłakowiczównej: „Cudowną publiczność stanowią robotnicy i ich żony, mówię o polskich emigrantach w Wiedniu, Kopenhadze, Pradze, Cieszynie, Ostrawie, Berlinie. Inteligent może źle reagować na wiersze, ale ludzie prości mają do nich stosunek bezpośredni, prosto dlatego, że sami piszą wiersze przy wszelkich znaczniejszych okazjach, jak imieniny, chrzciny, ślub. Kocha się wierszem i wiersze są na nagrobkach. W którymś z odczytów moich mówiłam następujące słowa: „Wiersze pisać, moi państwo, jest bardzo łatwo“. Otóż parę pierwszych rzędów publiczności inteligenckiej zaśmiało się na dobry żart, ale cała reszta sali patrzyła poważnie z całkowitem zrozumieniem, że tak jest naprawdę. Bo się tej części publiczności naprawdę bardzo często zdarza pisać wiersze“ (*Il. Kur. Codz.* 2. VI. 935). W. Skuza zapewniał mnie, że jego wieczory recytacyjne w kilku wsiach pow. myślenickiego miały pełne powodzenie. S. Młodożeniec na zarzut, że *Chłopi* Reymonta niechętnie czytani są przez chłopów (zarzut częsty!), powiada, że „literatura piękna na papierze niezbyt się przyjmowała na gruncie wiejskim, ale to nie dowód, żeby *Chłopi* Reymonta nie znaleźli najgościnniejszego przyjęcia w masie chłopskiej, kiedy się jej objawia w jedynie pełnej formie, to jest w recytacyjnej wypowiedzi“. (*Młoda Myśl Lud.* 2—3/936). Myśl godna podkreślenia i uznania, zwłaszcza dziś, gdy przyszła moda na poniżanie tego arcydzieła! Autor niniejszego czytywał w środowisku robotniczym w Krakowie *Pana Tadeusza*, przy sali coraz pełniejszej.

W r. 1934 odbyła się w Min. WR. i OP. pod przewodnictwem W. Sieroszewskiego, przy udziale J. Wiktora i innych pisarzy oraz przedstawicieli organizacji młodzieży ludowej „Wieś“, konferencja w sprawie czytelnictwa ludowego; dysputowano nad kwestją, jakich autorów wieś chce, a jakich nie chce czytać?

Czy wieś lubi wiejskie tematy? J. Wiktor

powiada, że — nie: „Chłopi — mówił — nie chcą czytać o sobie. Powiadają: my znamy ten gnój, my nie potrzebujemy, aby nam o tem ktoś pisał...“.

Delegatka z łódzkiego stwierdza, że chłop nie chce czytać o sobie, o swojej doli i niedoli. Chce rozrywki. Czytanie jest na wsi wciąż uważane jako pewna forma lenistwa, jako odciąganie od pracy. Częściowo ma powodzenie większe Reymont, Słomka, Rodziewiczówna — ale bije rekord zawsze i wszędzie Sienkiewicz.

Jakich autorów wieś nie lubi? Przodowniczka wiejska, Karczmarczykówna, atakuje *Kordjana i Chama*, powieść Kruczkowskiego „w której tak niekorzystnie przedstawiono duszę chłopską, a najgorsze to zakończenie!!!“ Przodownik wiejski p. Ciemieniowski znowuż, uderza w Kadena Bandrowskiego: „To co tworzy Kaden Bandrowski, to oburzające. Jego *Mateusz Bigda*, to jedna obelga, rzucona masom chłopskim. Wybrano tu najgorsze typy i przedstawiono społeczeństwu, że oto tak wygląda chłop polski“... Konkluzja wszystkich przemówień przedstawicieli wsi była, że cała nowoczesna (tj. powojenna) literatura polska, jest najzupełniej niepopularna na wsi i że na placu boju pozostał tylko Sienkiewicz, Reymont i Słomka. Słomka powtarza się kilkakrotnie. Naogół z przemów młodzieży wynika, że do najpoczytniejszych autorów na wsi należą: Orzeszkowa, Krąszewski, Rodziewiczówna, Sienkiewicz, Reymont, Prus, Żeromski, Sieroszewski, Kasprowicz. Niektórzy czytają Londona, Tolstoja, Turgieniewa, nie brak również zwolenników Wallace'a, któremu skuteczną konkurencję robię Marczyński. Do najbardziej umiłowanych przez młodzież wiejską należą poezje Orkana.

Wreszcie — co wieś chce znaleźć w książce? Jedni z przedstawicieli młodzieży ludowej pragnęliby w literaturze znaleźć siebie, inni idealne postacie z życia wiejskiego, natomiast nikt z nich nie pragnie czytywać książek, opisujących cechy ujemne ludu wiejskiego, a więc nie uznają oni postaci takich jak Bigda — Kadena-Bandrowskiego. Inni mówcy pragnęliby znaleźć w książkach postacie, których głównymi cechami są: wytrwałość w dążeniu do celu i do osiągnięcia upragnionej wyżyny rozwoju. (*Głos Narodu*, z dnia 20. marca 1934).

Inny przyczynek do czytelnictwa — i biblijofilstwa —

ludowego znajduję w notatce o Antonim Kuźniarskim, zamieszkałym w zapadłej osadzie w Łatowiczu w pobliżu Mińska Mazowieckiego. A. Kuźniarski jest z zawodu stolarzem, jednakże tuż obok swojego warsztatu posiada olbrzymią wprost bibliotekę książek i czasopism.

Biblioteka niezwykłego stolarza urosła w przeciągu lat 20-tu, w czasie których zebrał on 3000 książek. Kolekcjonuje przede wszystkim dzieła najwybitniejszych polskich pisarzy, obok arcydzieł pisarzy obcych. Nie zbiera jednak p. Kuźniarski tej biblioteki tylko dla siebie, ale oddaje ją do dyspozycji całej wsi. Młodzież szkolna i dzieci korzystają nader chętnie z biblioteki niezwykłego stolarza, przy czem wydawanie książek odbywa się w niedzielę i w święta po nabożeństwie.

Niezwykłe ciekawym faktem jest to, że stolarz-bibliofil nie posiada katalogu, lecz operuje tylko pamięcią. Wie on doskonale, która książka jest wolna, a która została pożyczona.

Interesującą będzie statystyka czytelnictwa w tej prywatnej, ale niezwykle poczytnej bibliotece obywatelskiego stolarza. Oto okazuje się, że młodzież czyta najchętniej Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Żeromskiego, Orzeszkową i Rodziewiczównę, natomiast starsi częściej zaglądają do dzieł Makuszyńskiego, Zapolskiej, Londona i Weyssenhofa. Największem powodzeniem cieszy się w ogólnem rozliczeniu Sienkiewicz, Prus, Reymont i Rodziewiczówna.

Bardzo rzadko zdarzają się wypadki niezwracania książek, chociaż p. Kuźniarski nie bierze żadnej kaucji, ani też pokwitowań, poza zanotowaniem się każdego z wypożyczających w osobnym zeszycie. (*Il. Kur. Codz.* 16. 3. 934).

Co do mnie, to w niejednej chacie na Pogórze Krakowskiem znajdowałem tylko broszurki dewocyjne, a z „beletrystyki“ *Przepowiednie królowej Saby* itp. Istnieje bibliofilstwo ludowe, w pracy niniejszej są przyczynki do tej kwestji¹⁾, istnieje czytelnictwo ludowe, bardzo zachłanne, ale biblioteczka domowa u chłopca i robotnika naszego to jeszcze rzadki wyjątek. Współczesne czytelnictwo ludowe w olbrzymiej większości nie różni się od tego stanu, w jakim było na początku wieku. Znawca jego, wędrowny sprzedawca

¹⁾ Por. w t. II. rozdz. pt. Jan Wantuła.

książek, M. Kapuściński, opowiadał w r. 1900: Najpokupniejsze są *Genowefa*, *Żyd wieczny tułacz*, ale także starodawne: *Opcia* *Żywot Pana Jezusa*, *Żywot Patrycjusza*. Osia czytelnictwa ludowego jest książka nabożna, zwłaszcza pięknie oprawna. W książce musi być „treść żywa, taka, żeby zaraz przy czytaniu łzy płynęły z oczu“; dlatego Tomasz à Kempis *O naśladowaniu Chrystusa* zaprzestał kolportować, gdyż nie szła; wogóle ma być „wiele serdeczności, ognistej wymowy, obrazowość ma być bogata ale prosta, akcja „symetryczna“ i „tragiczna“. Książek bez tragiczności lud nie czyta, usypia przy nich; kto innym stylem i innym pomysłem książki dla ludu pisze, ten się minie z celem. W gazetach czytają o pożarach, zabójstwach i o wojnie, jeśli się jej spodziewają i co innego z polityki ich nie zajmuje. Ilustracji nie trzeba. Lubią kalendarze z przepowiedniami pogody. Z wierszy lubią śpiewać, krakowiaki rozrywają między sobą. Kto chce, żeby książki rozchodziły się, niech sprzedaje po jarmarkach, odpustach, dawać w każdej wsi jednemu z włościan do rozprzedaży, przekonacie się; rozejdą się wszystkie“. (*Wiśła* XIV, 2, 199—201). Dodajmy, że tania i bezpretensjonalna groszowa książka, podobna do jarmarcznej z wyglądu, o treści zajmującej, może rozejść się masowo. Seweryn Udziela, który przed jakimiś trzydziestu laty wydawał książeczkę po 5—10 ct., nie stracił na nich, a rozrzucił pożytecznej lektury krocie tysięcy egzemplarzy. Można śmiało przepowiedzieć, że wieś i przedmieście mogłyby w ciągu paru lat wchłonąć, przeczytać i zedrzeć kilka milionów egzemplarzy, gdyby dano książkę bardzo tanio, o wyglądzie zewnętrznym bardzo skromnym ale pociągającym (obrazek na okładce, papier i druk nie potrzebują być wykwintne), gdyby umiano ją pomyslowo rozkolportować i gdyby wybrano te książki, które do ludu, przez treść swą zabawną, mogą trafić masowo. Zorganizowanie takiej akcji, lub inicjatywa do takiego przedsięwzięcia, byłoby ładnym zadaniem dla świeżo powstałego Instytutu Kultury Ludowej!

2. List wyrzutków społeczeństwa.

W związku z pamiętnikami bezrobotnych uważam za obowiązek w książce uratować od zapomnie-

nia niniejszy głęboko sumieniem uczciwem wstrząsający, tragiczny *Dokument chwili*, który (pod tym tytułem) był drukowany w *Głosie Narodu* z 8. marca 1936, wraz z poniżej podanem objaśnieniem:

„— — — Jest to pismo, które podczas misyj parafjalnych w Jaworznie (pow. Chrzanów) podrzucono do konfesjonatu kierownika misyj Ks. Sz. Jarosza, T. J. Drukujemy je w pełnem brzmieniu. Jest ono skargą i krzykiem rozpacz człowieka wierzącego, zgnębionego przez biedę, a rwącego się do pracy i chcącego pracować. To nie poezja, nie literatura, ale życie woła, krzyczy z tych kart: Ludzie, ratujcie ciało, jeśli chcecie uratować duszę...“.

171. [List wyrzutek w społeczeństwa].

Przewielebny Ojcie Misjonarzu!

Wstyd nas [*sic*] bardzo przyznać się do tego co chcemy ci powiedzieć, ale jesteś dobry i to nas ośmiela. Jesteśmy kawalerami brukowemi, mało jesteśmy w kościele, czyja to wina, nie wiemy. Rośniemy, nie wiemy na co i dla kogo.

Dzisiaj przypadek zrządził, że znaleźliśmy się na twojej nauce, która nas przejęła do głębi. Nie jesteśmy wykształconymi, byśmy umieli pięknie napisać i pięknie poprosić, ale prosimy sercem i sądzymy, że nas wysłuchasz. Jest nas kilkunastu, wybraliśmy jednego, by nam napisał prośbę do Ciebie, Ojcie Misjonarzu. Jeśli się to nie sprzeciwia programowi kościelnemu, by P. Ojciec Misjonarz raczył wygłosić bodaj jeszcze jedną naukę dla nas młodych kawalerów zbłąkanych. Byliśmy zawsze poza Kościołem i nigdy takiej nauki nie słyszeliśmy, może nasi Księża mówili, ale my o tem nie wiemy, bo do kościoła nie chodziliśmy, a jeśli ktoś z nas był to mało. Dzisiaj poznaliśmy wartość Twojej nauki, ale to było tak mało, że wątpimy, byśmy mogli być tak silnymi jak sobie życzysz Ojcie Misjona-

rze. — Byliśmy zawsze w złem otoczeniu i pozostajemy w nim nadal, bo jakże możemy pozostawić to do czego już dawno przywykliśmy. — Kryzys, nie mamy pracy, jesteśmy młodzi, trzeba się ubrać, trzeba jeść, a nie ma co. Więc trzeba kraść. Ukradniemy, idziemy do paki, wysiedzimy, idziemy znowu na ulicę, by robić to samo, bo cóż mamy robić? Przecież trzeba żyć. Policja się nami wtedy opiekuje kiedy zgrzeszymy, ale kiedy jesteśmy głodni, opiekuna niema, a przecież niejednen z nas chciałby być innym.

Mówisz Ojcze, że stoimy na tretoarze zamiast (pójść) do kościoła. Stoimy nie dlatego, żebyśmy tak chcieli stać, ale stoimy, bo nie mamy co robić, a modlić się nikt z nas niema ochoty, bo zamiast pacierza wolałby dobry obiad. Cóż nam z tego, że zmówimy sto pacierzy, kiedy po tej modlitwie trzeba grzeszyć. Więc jak żyć? Jesteśmy młodzi, umierać z nas nikt niema ochoty, a pomoc nam też nikt nie chce. Więc co? — Jesteś Ojcze Misjonarzu mądry, więc powiedz nam, jak mamy w takich warunkach żyć, by nie grzeszyć? — Że jesteśmy nicponiami, że może wyrośniemy ze złodzieji na zbrodniarzy, że może nas kiedyś powieszą na szubienicy lub zgnijemy w kryminale, my o tem wiemy, ale co mamy robić?... O pracy nikt już z nas nie marzy, bo tej niema. A jak się podnieść? — Mówisz Ojcze, byśmy szli do spowiedzi. I po co do spowiedzi? Czy po to, by samego Boga kłamać? W kościele przy konfesjonale powiem, że się poprawię, a zgóry wiem, że to jest niemożliwe. Bo każdy z nas, kiedy wyjdzie z kościoła, więc gdzie pójdzie? Stanie na tretoarze i będzie myślał jak coś zdobyć, by go policja nie złapała, bo co będziemy robić? I po cóż nam ta spowiedź? To jest łatwe, ale dla uczciwych, ale dla nas to nie.

Jeśli jesteś Ojcie Misjonarzu dobry, to powiedz tym, by się poprawili, co nas krzywdzą i wyzyskują, co nam nie dają pracy, co nas zmuszają do złodziejstwa i morderstwa; gdy się oni poprawią i nie będą nas męczyć, gdy oni nam nie dadzą powodu do złego, to my nietylko, że się poprawimy, ale i oni będą mieć spokój, bo się nie muszą nas bać, że ich okradniemy. Policja będzie mieć spokój i my też nie będziemy się bać policji. Niech oni dadzą nam przykład dobrego obywatela. Niech my, Ojcie, zobaczymy jak ten obywatel wygląda. Niech widzimy syna ojczyzny, niech widzimy „dziecko Boże“, o którym Ojciec Misjonarz mówił, że takim powinien być człowiek, a my napewno pójdziemy za tym dobrym przykładem. Ale jak oni jedzą bułkę posmarowaną masłem i przyłożoną szynką, psom swoim dają wykwiłne obiady, a my suchego chleba nie mamy i dla nas jeszcze piekło. Jeżeli oni są wykształceni, dlaczego się tego piekła nie boją, dlaczego nam taką krzywdę robią, nie dadzą pracy, a gdy ją dadzą, to się nad nami znęcają, dlaczego oni nie chcą iść do nieba? Dlaczego jest tyle policji i to na nas biednych? Dlaczego oni się nie podzielą z nami chlebem? A kiedy go żądamy, wysyłają policję. Czy my nie jesteśmy ludźmi? A że biednymi, ale tak samo mamy prawo do życia jak i ci bogaci. Gdy nam oni nie dadzą, zabieramy, sami kradniemy, kiedy sobie nie pozwolą to i przypada kogoś zabić, grzeszymy i cierpimy podwójnie i po co to wszystko? Rozważ więc Ojcie Misjonarzu nasze położenie, daj nam więcej nauki, a jeśli wierzysz, że modlitwa nam coś pomoże, pomódl się za nas włóczęgów.

Serdeczne podziękowanie Księdzu Proboszczowi i Ojcom Misjonarzom za cenne nauki składają

Wyrzutki społeczeństwa.

SPIS RZECZY TOMU PIERWSZEGO.

(Cyfry w nawiasach *kursywą* oznaczają numery cytacyj).

	Strona
Przedmowa wydawcy prof. Dr.	
Franciszka Bujaka	V
Przedmowa autora	VII
Wstęp: Zagadnienia pisarstwa ludowego	1—49
A) Pamiętnikarze	50—312
I. Jan Słomka (<i>1—19</i>)	50—90
Pierwsza nauka. Nauczycielka Pawłowska	
55. Babka Kunegunda Gierczykowa 57.	
Pierwszy zegar 58. Ogień 59. Stroje 60.	
Uprawa roli 61. Bydło 65. Koltun 65. Lichwa	
żydowska, pijaństwo chłopskie 67. Życie	
towarzyskie na wsi 70. Słomka ma od-	
wagę zająć się handlem 73. Misje. Absty-	
nencja Słomki 74. Śmiertelność dzieci 75.	
Stosunek do służby 75. Pomoc sąsiedzka	
76. Uświadomienie narodowe 76. Mowa na	
wiecu narodowym. Odrzuca order 78. Przy-	
czyny postępu na wsi 79. O zmianie stroju.	
„Wy“ i „pan“ 86.	
II. Ferdynand Kuraś (<i>20—28</i>) . . .	90—107
Branka Agnieszka Kurasiowa 96. Dzwony	
sandomierskie 97. Utrata słuchu. Poże-	
gnanie ze światem głosów 98. Nie przece-	
niać nauki książkowej 100. Szkoła w kotle	
100. Drewniane krzyż 103. Burza nad fry-	
marką 104. Wędrowny szewc uczy poezji	
106. Kuraś podejrzanym „gazeciarem“ 106.	
III. Franciszek Magryś (<i>29—44</i>) . .	107—125
Dzieciństwo. Przednówki 111. Pierwsza	
nauka 113. Przy warsztacie tkackim 114.	

Ciekawość do książek 115. Mądra matka 116. Pijaństwo popańszczyźniane 116. Samoucy 117. Nie przymuszać dzieci 119. Książki, wiersze 119. Abstynencja 119. Uczy się lepszej gospodarki. Czasopisma 120. Przoduje w uprawie roli 120. Początek pracy społecznej 122. Odkrycie arytmetyki 122. Szkoła dla dziewcząt 123. Bilans życia 124.

IV. Pamiętnikarze konkursu ponańskiego (45) 125—126

Szczęśliwa rodzina 126.

V. Władysław Berkan (46—53) 127—149

Wychowanie dzieci 128. Krawiec utrzymuje klientów 134. Poszanowanie czasu 135. Sprawność pracy 136. Stosunek do robotników 136. Patriotyzm 144. Cięte odpowiedzi 145. Rzemieślnik uczy godności narodowej inteligentów 147.

VI. Jakób Wojciechowski (54—76) 149—195

Lata dziecinne. Sierota Wojtuś 156. Pobożne westchnienia nędzarki 158. Syn parobka chce uczyć się 158. Śmierć chlebowdawcy. „Wszystko wybaczyć“ 165. Śmierć Marynki 166. Pierwsza spowiedź 168. Lekture 169. Czysto polskie kazanie 170. Domowe porządki 170. Zalecanki 170. „A my to jak te cygany“ 171. Spotkanie z ojcem 172. Ksiądz patrijota 172. Propaganda ateizmu 173. W Belgji z Prusakami 174. „Polonja żołnierz“ 177. Profesor dr. Thieme 177. Śmierć córeczki 178. Polemika z Niemcami 180. Przemowa na zebraniu 183. Życzenia pamiętnikarza 187. Po sześciu miesiącach znajomości z Marynką 189. Na stanie cywilnym 190. Mowa weselna 191. Żarty i śpiewki weselne 194.

VII. Alojzy Bonczek (77—81) . . . 196—203

Dobry nauczyciel 197. Do szkoły proletarjackiej 198. Wojsko szkołą proletariusza 201. Trudności ruchu współdzielczego 202. Każdy może iść wyżej 203.

VIII. Wacław Koral (82—85) . . . 203—211

Warszawskie dzieci 205. „Bibuła“ 208. Życie w komunie 208. Robotnik warszawski w r. 1920, 209.

IX. Pamiętniki Bezrobotnych
(86—127) 211—251

Nie wahać zakazanych przysmaków 222. Poniżenie 223. W kolejce 224. Filozofowanie w kolejce 225. Kamienica i tłum 226. Książę Niezłomny 226. Myśli w kolejce 228. Czy chrześcijaństwo uratuje 229. Komedja ludzkiej sprawiedliwości 229. Zmysły i śmierć 230. Mógłbym się uczyć 231. Wielkie pytanie 231. Do inicjatorów konkursów na pamiętnik bezrobotnych 232. Dlaczego? Bezrobocie demoralizuje 232. Wszystko na opak 233. „Milczący wieczór rodziny“ 233. Kwas solny 234. Bóg się rodzi, moc truchleje 235. Być kółkiem zębątem 235. Na Nowy Rok 236. Tchórz 237. Po ukończeniu szkoły 237. Po powrocie z wojska 238. „Nie umie robić“ 238. Oryginalny bagaż 239. Człowiek i pies 239. Twarze dzieci 240. Kraj mój wytrwa 241. Łatwo wkroczyć na drogę hańby 241. Malżeństwo 242. Noc czarna 242. Zaprawa na wronach 243. Data do wpisania 244. Upokorzące imię 245. Nie wódz nas na pokuszenie 246. Dumanie o samobójstwie 247. Wstyd ojca 248. Honor robotniczy 248. „Trzeba umieć kraść“ 249. Dzieci głodne 249. Czekolada 250. Pochwała łopaty 251.

X. Pamiętniki chłopów (128—166) 252—304

Co myśli o przyczynach kryzysu 257.
Bieda wiejska 258. Lichwiarze chłopscy 260.
Upadek organizacji gospodarczych 261.
Krajobraz wsi rodzinnej 261. Dawne czasy 263.
Wojsko i powrót z wojska 264.
Śmierć żony 266. Tłuczenie kamieni 267.
Ojczyzna proletariuszów 268. Na folwarku 269.
„Na wiarę“ 270. Życie udałe 270.
Przy W. P. Marzenie o Polsce 274.
Powrót żołnierza z wojny 276. Maltuzjanizm.
Życie wiejskie 277. Charakter chłopca 279.
Gruźlica 280. „Pisać, pisać“ 280.
O poszanowanie godności człowieka 281.
Wstępuje do Stronnictwa Ludowego 282.
Dlaczego pisze 283. Zabiera się do pisanja wierszy 284.
Nad Trylogią 286. Uniwersytet wiejski 286.
Bilans życia wiejskiego, optymistyczny 287.
Myśli nad morzem 288. Korzyść z konkursów rolniczych.
Kryzys 290. „Jestem chłopem“... 291. Wódka 292.
Dysonanse rodzinne 293. Kalkulacja z wieprzem 295.
„Zaniedbana kultura gospodarczo-społeczna“ 296.
Wychowanie na pastwisku 297. Dlaczego pisze 298.
Nie przezywać od chamów 298. Parcelować na kresach 300.
Bitwa 301. Emerytura wiejska 303.

XI. Stanisław Łakomski (167—170) 304—312

Wyjazd na prowincję, wrażenia ze wsi 305.
Sądy tłumu 307. Bezdomni 308. Bez złudzeń 310.

Dodatki do tomu pierwszego 312—319

1. Wzmianka o czytelnictwie ludowym 312—316
2. List wyrzutek społeczeństwa (171) 316—319

List wyrzutek społeczeństwa 317.

WAŻNIEJSZE Z DOSTRZEŻONYCH OMYŁEK
W TOMIE I:

str.	wiersz	jest	ma być
25	w przyp. 13. 2, od dołu	Kulturalny	kulturalny
45	w przyp. 28. 6. od dołu	,	rewelacyjnem, a są to zużyte klisze zwulgary- zowanego darwinizmu zastosowanego do ludzi i społeczeństw
76	w przyp. 1.	(opuszczono:)	<i>Ustrój wsi samorządnej małopolskiej we w. XVIII,</i> Lublin 1922.
96	6. od góry	prostokątny	prostotny
151	1. od dołu	zadowolony	niezadowolony
286	w przyp. 1 2 w. od góry		zawsze akcentowana jest 6. zgłoska w pierwszej części wiersza, 5. w drugiej drukowania
304	w. 21 od góry	pisania	z przedmową St. Thu- gutta
305	13 od góry	(opuszczono:)	
311	11 od dołu	kocem	kolcem
312	3 „ „	Wzmianki	Wzmianka
313	10 „ „	niniejszego	niniejszej Antologii
314	4 od góry	łódzkiego	Łódzkiego.

~~BI
Państw. Biblioteka
Liceum Ped.
w GLIWACH~~

Nr.



1993-01-28

11. 05. 1999

2009-09-03

2013-09-01

2011-11-25

SNK 19896

W „BIBLIOTECE DZIEJÓW I KULTURY WSI“

ukazały się dotychczas następujące tomy:

1. Franciszek Magryś: Żywot chłopca-dziacza, opracował dr Stefan Inglot. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1932, str. XVI+236 z 24 rycinami. Cena zł 3.—.

2. Stefan Kora: Wincenty Witos a państwo polskie. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1936, str. VII+103. Cena zł 1.—.

3. Michał Janik: Na drogach myśli ludowej. Studja historyczno-literackie. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1936, str. XV+206. Cena zł 1.50.

4—5. Karol Ludwik Koniński: Pisarze ludowi. Wybór pism i studjum o literaturze ludowej. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1938. Tom I, str. XVI+325. Tom II, str. 464. Cena za oba tomy zł 6.

W przygotowaniu do druku:

6. Jan Gerlach: Piechota wybraniecka.

7. Józef Rafacz: Walka włościan z uciskiem w królewskich włościach.

8. Erazm Kostołowski: Udział włościan w walkach zbrojnych o niepodległość.

9. Stanisław Szczotka: Podhalańscy i karpaccy zbójnicy.

10. Franciszek Kącki: Książka Stanisław Stojalowski.

Do nabycia w Spółdzielni Wydawniczej „Wieś“, Lwów, ul. Trzeciego Maja 11, I p. Konto P. K. O. Nr. 500.803.